

Brooks Geraldine

Ludzie księgi

„Tam gdzie pali się książki,
pali się też w końcu ludzi.”

Heinrich Heine

Rozdział 1

Hanna

Sarajewo. wiosna 1996

I

Powiem od razu: normalnie nie trudnię się czymś takim. Lubię pracować samotnie, w mojej własnej czystej i zacisznej dobrze wyposażonej pracowni, gdzie jest klimatyzacja i wszystko mam pod ręką. Nie da się zaprzeczyć, że wyrobiłam sobie reputację kogoś, kto potrafi pracować w terenie. To znaczy w sytuacjach, gdy muzeum nie jest skłonne opłacić porządnego ubezpieczenia podróznego albo gdy prywatni kolekcjonerzy wolą nie wiedzieć dokładnie, czym dysponują i skąd zabytek pochodzi. Prawdą jest też, że w poszukiwaniu ciekawych zadań przemierzyłam samolotem pół świata. Ale nigdy jeszcze nie znalazłam się w takim miejscu jak to - czyli w sali konferencyjnej banku położonego w mieście, gdzie dopiero od jakichś pięciu minut ludzie nie strzelają do siebie non stop.

Muszę wspomnieć, że w mojej pracowni żaden strażnik nie sterczy mi nad głową. Oczywiście muzeum zatrudnia profesjonalnych ochroniarzy, którzy dyskretnie krążą po gmachu, ale żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy wtargnąć do mojego miejsca pracy. Tutaj było ich sześciu. Dwóch z bankowej ochrony, dwóch bośniackich policjantów, którzy mieli nadzorować bankowych ochroniarzy, i dwóch z sił pokojowych ONZ, pilnujących z kolei bośniackich policjantów. Cała szóstka prowadziła głośne rozmowy - po serbsko-chorwacku i duńsku - przez skrzęzące radiotelefony. Jakby tego było mało, na sali znajdował się także oficjalny obserwator z ramienia ONZ, Hamish Sajjan. To był pierwszy szkocki Sikh, jakiego poznałam. Prezentował się bardzo elegancko w tweedowym garniturze z wyspy Harris i turbanie koloru indygo. Drugiego takiego w ekipie ONZ nie było. Musiałam go poprosić, by uświadomił Bośniakom, że w pokoju, gdzie zaraz znajdzie się czternastowieczny manuskrypt, nie

ma mowy o paleniu. Ale kiedy schowali papierosy, zrobili się jeszcze bardziej nerwowi.

Sama też się denerwowałam. Czekaliśmy już prawie dwie godziny. Staralam się jak umiałam wypełnić ten czas. Ochroniarze pomogli mi przysunąć do okna ciężki stół konferencyjny, żebym miała więcej światła. Ustawiłam stereoskopowy mikroskop i rozłożyłam narzędzia - aparaty do zdjęć dokumentacyjnych, probówki, skalpele. Na żaroodpornej szalce miękką żelatyną. Pod ręką miałam klajster z mąki pszennej, rulon czerpanego papieru lnianego, płatek złota. Do tego przezroczyste saszetki aptekarskie na wypadek, gdybym znalazła w oprawie jakieś okruchy. To zadziwiające, jak wiele można się dowiedzieć o starej książce dzięki chemicznej analizie znalezionej w niej okruszyny chleba. Na powitanie naszego zabytkowego kodeksu czekały też w ordynku próbki różnych skór i pergaminów cielejących oraz rulony czerpanego papieru w najrozmaitszych odcieniach i o zróżnicowanej fakturze. Czekają - ale czy ktoś w końcu przyniesie tę książkę?

- Nie wie pan, jak długo będziemy jeszcze czekać? - pytałam Sajjana. Wzruszył ramionami.

- Myślę, że spóźnia się przedstawiciel Muzeum Narodowego. Ponieważ księga jest własnością placówki, bank może ją wyjąć ze skarbca tylko w obecności upoważnionego muzealnika.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, podeszłam do okna. Znajdowaliśmy się na najwyższym piętrze banku wyglądającego jak tort weselny z czasów monarchii austro-węgierskiej. Tylko wypełniona stiukami fasada gmachu podziurawiona była pociskami moździerzowymi, tak jak wszystkie inne budynki w mieście. Dotknęłam szyby i poczułam zimno. Była już niby wiosna. Na dole, na małym klombie przy wejściu do banku kwitły krokusy. Ale wcześniej rano spadł śnieg i teraz w każdym kwiatowym kielichu tkwiła mała biała kołderka. Krokusy wyglądały jak miniaturowe filiżanki cappuccino z pianką. Dzięki śniegowi leżącemu na ziemi światło było tego dnia rozproszone i mocne. Doskonałe do pracy - o ile będę się mogła do niej zabrać.

Żeby się czymś zająć, rozwinęłam jeden z moich ruloników - francuski czerpany papier z włókien lnianych. Przeciągnęłam po nim linijką, żeby się rozprostował. Dźwięk, jaki się przy tym rozległ, przypomniał mi szum przybrzeżnych fal dochodzący do mojego mieszkania w Sydney.

Spostrzegłam, że ręce mi się trzęsą. W mojej pracy to niedobra rzecz.

W ogóle nie można powiedzieć, że dłonie są moją mocną stroną.

Popękane, ze zgrubieniami na wierzchu, nie pasują do nadgarstków,

smukłych i gładkich jak reszta mojego ciała. To są dłonie posługaczki - powiedziała moja matka, kiedy się ostatnio pokłóciliśmy. Od tej pory kiedy tylko spotykałyśmy się w Cosmo-politan na kawie, by porozmawiać krótko, zdawkowo i oficjalnie, zakładałam demonstracyjnie rękawiczki kupione w Salvos*. Robiłam to dla kawału. Oczywiście Cosmopolitan Cafe to być może jedyne miejsce w Sydney, gdzie ludzie potrafią nie dostrzec w takim geście żadnej ironii. Ale moja matka potrafiła. Jak mało kto...

W tym śnieżystym świetle moje dłonie wyglądały jeszcze gorzej niż zwykle. Były zaczerwienione i szorstkie od szorowania pumeksem tłustych cielęcych flaków. W Sydney niełatwo zdobyć metr cielęcych flaków. Od kiedy z Homebush wyprowadzili rzeźnię i zaczęli pucować to miejsce na potrzeby olimpiady w 2000

* Sieć tanich sklepów prowadzonych przez australijską Armię Zbawienia - przyp. tłum.

roku, trzeba się najeździć po jakichś zadupiach, żeby dostać kawałek jelit, a i wtedy trudno je kupić, bo nie można wejść do zakładu. Przy bramie stoją zawsze strażnicy - boją się aktywistów PETA*. Właściwie to rozumiem ich podejrzliwość. Niełatwo pojąć, na co komu właściwie metr cielęcej kiszki. Ale jeśli chce się pracować z materiałami liczącymi sześćset lat, trzeba wiedzieć, jak się je robiło przed sześcioma wiekami. Tak uważa mój mistrz Werner Heinrich. Jego zdaniem można przeczytać wszystko, co napisano o mieleniu pigmentów i mieszaniu gipsu, ale jedynym sposobem, by naprawdę zrozumieć, jak to się robi, jest zrobienie tego samego. Jeśli chce się naprawdę wiedzieć, czym jest pozłota płatkowa na pulmencie, należy własnoręcznie wykonać płatek złota - po wielokroć skuwać i składać kawałek kruszcu na czymś, do czego metal nie przyłgnie, na przykład na miękkiej podkładce z dobrze wyszorowanego jelita cielęcego. W końcu człowiek dorobi się pakieciku płatków o grubości tysięcznych części milimetra. Produktem ubocznym staną się fatalnie wyglądające dłonie. Zacisnęłam je w pięści, by wygładzić tę moją skórę staruszki i przy okazji sprawdzić, czy potrafię opanować drżenie.

Zrobiłam się nerwowa, już na lotnisku w Wiedniu, kiedy wsiadałam do samolotu lecącego do Sarajewa. Dużo podróży; nie ma zresztą innego wyjścia, jeśli ktoś mieszka w Australii, a chce brać udział w najciekawszych przedsięwzięciach z mojej dziedziny - konserwacji

średniowiecznych manuskryptów. Zwykle jednak nie jeżdżę do miejsc, z których nadają korespondenci wojenni. Wiem, że są ludzie, którzy je odwiedzają i piszą potem wspaniałe książki. Ale ich chroni jakiś nieodparty optymizm, przekonanie, że złe rzeczy przytrafiają się tylko innym. Co do mnie - jestem jednak zdeklarowaną pesymistką. Jeśli w kraju, który odwiedzam, czai się chociaż jeden snajper, to nie mam wątpliwości, że padnę jego ofiarą. Zanim jeszcze samolot wylądował, można było dostrzec ślady wojny. Kiedy znaleźliśmy się poniżej gęstej pierzyny szarych chmur, która zdaje się wszechobecna na europejskim niebie, ukazały się skupiska małych domków o rdzawych dachach, ciągnące się wzdłuż wybrzeży Adriatyku. Na pierwszy rzut oka wydały mi się znajome. Przypominały czerwone dachy Sydney rozrzucone wzdłuż ciemnobłękitnego zakola Bondi Beach. Ale z bliższej odległości widać było, że połowa tych domów to przylepione do stoków ruiny. Sterczały rzędami z ziemi jak zepsute zęby.

Kiedy przelatywaliśmy nad górami, pojawiły się turbulencje. Nie chciałam patrzeć, jak nadlatujemy nad Bośnię, więc zaciągnęłam zasłonę. Siedzący obok młody facet - pewnie jakiś pracownik ONZ albo wolontariusz, co wywnioskowałam z kam-bodżańskiej opaski i malarycznej cery - najwyraźniej miał ochotę popatrzeć przez okno, ale zignorowałam jego minę.

- Co pana sprowadza do Bośni? - zapytałam.

- Rozminowywanie terenu.

Miałam ochotę powiedzieć coś „dowcipnego”, w rodzaju: „Ten interes tu kwitnie”, ale powstrzymałam się, co nie było dla mnie typowe. Kiedy wylądowaliśmy, natychmiast wstał i zarzucił sobie na ramiona wielki wór, który go niemal przygniół do ziemi. Dobrze, że kolejka pasażerów była zwarta, bo nie przewrócił się w przejściu między fotelami. Takich gości z morderczymi plecakami widuje się codziennie w autobusach jadących na Bondi Beach.

Drzwi kabiny pasażerskiej wreszcie się otworzyły i kolejka ruszyła szparko naprzód. Tylko ja wciąż siedziałam. Czułam się tak, jakbym połknęła ciężki kamień, który przygniół mnie do fotela.

- Doktor Heath? - zapytała stewardesa w opustoszałym już wnętrzu.

W pierwszej chwili chciałam odpowiedzieć: „Nie, doktor Heath to moja matka”, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że jednak chodzi o mnie. W Australii tylko nadęci durnie chepią się swoimi tytułami uniwersyteckimi. Mnie wystarczyła zwykła „miss”.

- Na płycie lotniska czeka na panią eskorta z ONZ - powiedziała

stewardesa. Zdażyłam już zauważyć, że ONZ lubi mieć wszystko pod kontrolą.

- Eskorta? - powtórzyłam głupkowato. - Na płycie lotniska?

Uprzedzali, że ktoś będzie na mnie czekać, ale myślałam, że będzie to znudzony taksjarsz z kawałkiem tektury, na którym napisano z błędem moje nazwisko. Stewardesa obdarzyła mnie jednym z tych szerokich, perfekcyjnych germańskich uśmiechów. Pochyliwszy się nade mną, podciągnęła roletę. Wyjrzałam na zewnątrz. Przy końcu skrzydła stały trzy wielgachne vany z przyćmiwionymi szybami, takie jakie zwykle jeżdżą w kolumnie amerykańskiego prezydenta. Ten widok powinien mnie uspokoić, ale nie wiedzieć czemu kamień w moim brzuchu stał się jeszcze cięższy. Dalej, na trawniku upstrzonym wielojęzycznymi tablicami ostrzegającymi przed minami zobaczyłam rdzewiejący wrak wielkiego samolotu transportowego, który najwyraźniej nie trafił na właściwy pas. Spojrzałam znów na Fraulein Uśmiech.

- Myślałam, że zawieszenie broni jest przestrzegane... - powiedziałam.

- Bo jest. Na ogół... Czy potrzebuje pani pomocy przy wynoszeniu bagażu podręcznego?

Pokręciłam głową i schyliłam się, by spod fotela przede mną wyszarpnąć ciężką walizę. Linie lotnicze nie przepadają za takimi zbiorami ostrych narzędzi na pokładzie, a ja miałam kilka naście skalpeli. Ale Austriacy rozumieją, co to praca, i kontroler bagażu pojął bez trudu, że nie chcę czekać, aż mój nie daj Boże zagubiony ekwipunek dotrze wreszcie do mnie, po obleceniu połowy Europy.

Kocham swoją pracę. Naprawdę. I dlatego choć jestem tchórzem światowej klasy, zgodziłam się przyjąć to zlecenie. Szczególnie mówiąc nawet się nie zastanawiałam. Nie odrzuca się szansy pracy nad jednym z najrzadszych i najbardziej tajemniczych wołuminów na świecie.

Telefon o drugiej w nocy. Tak to jest, kiedy się mieszka w Sydney.

Czasami dziwię się, że całkiem inteligentni ludzie, jak dyrektorzy muzeów i innych prestiżowych instytucji, dzwoniący do mnie z jakimiś duperelnymi sprawami, nie są w stanie zapamiętać, że w Sydney jest dziewięć godzin później niż w Londynie i czternaście niż w Nowym Jorku. Taki na przykład Amitaj Jonitów to bardzo błyskotliwy człowiek. Może najbłyskotliwszy w branży. A też nie uświadamiał sobie różnicy czasu między Jerozolimą i Sydney.

- Szalom, Chana - powiedział, kładąc jak zwykle silny sa-bryjski* akcent na „ch”. - Nie obudziłem cię?

- Ależ skąd, Amitaj. O drugiej w nocy zawsze jestem na nogach. To

najlepsza pora dnia...

- No tak... przepraszam, zapomniałem o tym waszym czasie... Ale pomyślałem, że zainteresuje cię wiadomość, że ta haka-da z Sarajewa wypłynęła... to znaczy wiadomo, gdzie jest...

- Poważnie? - Byłam już zupełnie obudzona. - Wspaniała wiadomość... Istotnie, była to świetna wiadomość, ale mógł mi ją przekazać mailem, jak cywilizowany człowiek. Wciąż nie rozumiałam, czemu musiał zaraz do mnie dzwonić.

Amitaj, jak każdy sabra, był trochę zamknięty w sobie, ale w jego głosie wyczuwało się tym razem wyraźne poruszenie:

- Zawsze wiedziałem, że ta księga ocaleje, że przetrwa bombardowania...

- Sabra - Żyd urodzony w państwie Izrael lub przed 1948 w Palestynie. W sabryjskiej wymowie głoska „ch” jest artykułowana w charakterystyczny bardzo twardy sposób, jak w niektórych dialektach niemieckich - przyp. red.

Sarajewska haka-da powstała w średniowiecznej Hiszpanii i była słynnym białym krukiem. Ten wspaniały iluminowany manuskrypt sporządzono w czasach, gdy religia żydowska zdecydowanie odrzucała - przynajmniej w teorii - wszelkie ilustracje, wszelkie wizerunki. Niechęć do sztuki figuratywnej wynikała z Bożego przykazania spisanego w Księdze Wyjścia: „Nie czyn sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze, i na ziemi w dole, i tego, co jest w wodzie pod ziemią”*. Kiedy w 1894 roku księga odnalazła się w Sarajewie, trzeba było skorygować podręczniki historii sztuki.

W początkach oblężenia Sarajewa w 1992 roku, kiedy także muzea i biblioteki znalazły się pod ostrzałem, księga zniknęła. Wedle jednej z plotek muzułmański rząd bośniacki sprzedał ją, by kupić broń. Inni szeptali, że wywieźli ją z kraju agenci Mo-sadu, korzystając z tunelu pod sarajewskim lotniskiem. Nigdy nie wierzyłam w żadną z tych plotek. Myślałam raczej, że księga podsycała ogniową burzę, która rozpełtała się nad Sarajewem, pochłaniając z równą bezwzględnością stare otomańskie dokumenty, zabytkowe egzemplarze Koranu i słowiańskie księgi liturgiczne. Został po nich tylko popiół - ciepły śnieg, który padał po eksplozjach bomb fosforowych.

- No dobrze, Amitaj, ale powiedz mi, gdzie haka-da podziwała się przez cztery lata? I w jaki sposób wyszła znów na światło dzienne?

- Wiesz przecież, jak się obchodzi Pesach?

Wiedziałam, chociaż moje doświadczenia w tej dziedzinie były dwuznaczne. Wciąż leczyłam kaca po czerwonym winie. Jeden z moich kumpli wyprawił przedwczoraj na plaży strasznie hałaśliwy i nieortodoksyjny piknik paschalny. Po hebrajsku taki rytualny posiłek rozpoczynający święto Pesach nazywa się seder, czyli „porządek”. Ale ta balanga na plaży była jednym z najbardziej nieporządnych wieczorów w mojej historii najnowszej.

- No więc przedwczoraj wieczorem gmina żydowska w Sarajewie siadła do swojego sederu. Aż tu nagle, w środku wiesz, ktoś wyciągnął tę hagadę... Zrobił się straszny szum. Przewodniczący gminy wygłosił zatem przemówienie. Stwierdził, że ocalenie księgi jest symbolem przetrwania wielonarodowego ducha miasta. Bo wiesz, kto uratował hagadę? Facet, który nazywa się Ozren Karaman i jest szefem muzealnej biblioteki. Poszedł po nią - głos Amitaja drżał ze wzruszenia - kiedy gmach muzeum znajdował się pod ciężkim ostrzałem. Możesz to sobie wyobrazić? Muzułmanin ryzykował życiem, żeby uratować żydowską księgę?

Uniesienia nad jakimś bohaterskim wyczynem nie były w stylu Amitaja. Pewien jego niedyskretny kumpel zdradził kiedyś, że Amitaj Jomtow odbywał obowiązkową służbę wojskową w super-tajnym oddziale komandosów, który Izraelczycy nazywają po prostu i tylko jednostką. Już w chwili gdy go poznałam - a było to dość dawno - uderzył mnie jego wygląd: miał muskuły jak bokser, a całe zachowanie zdradzało niezwykłą czujność. Podczas rozmowy patrzył niby prosto w oczy, ale zarazem nieustannie lustrował otoczenie. Kiedy zagadnęłam go o wojskową przeszłość, zbaraniał.

- Bez komentarzy - rzucił tylko. - To nic ciekawego. Mnie jednak ta sprawa wydała się bardzo ciekawa. Wśród konserwatorów ksiązek nieczęsto trafiają się byli komandosi.

- No i co ten gość zrobił później z hagadą? - spytałam.

- Wsadził ją do skarbca depozytowego w podziemiach banku centralnego. Wiesz dobrze, jak to mogło podziać na pergamin... Przez co najmniej dwie zimy w Sarajewie nie było ogrzewania... no i ten metalowy sejf... żadnej wentylacji, wilgoć... Wolę nie myśleć, jakie są skutki... W każdym razie ONZ zaraz zgłosiło, że potrzebuje kogoś, kto by sprawdził, w jakim stanie jest hagada. Mają fundusz stabilizacyjny, no i chcą jak najszybciej pokazać tę książkę, żeby podnieść morale mieszkańców. A ja zauważyłem twoje nazwisko w programie konferencji w Tate Gallery w przyszłym miesiącu, więc pomyślałem, że skoro już wybierasz się na naszą półkulę,

to może podjęłabyś się też zadania w Sarajewie...

- Ja? - miauknęłam, choć właściwie nie lubię fałszywej skromności. Jestem naprawdę dobra w tym, co robię. Ale do takiego przedsięwzięcia, mającego ogromne znaczenie dla kariery każdego konserwatora, można było w Europie znaleźć kilkunastu ludzi z większym stażem i lepszymi kontaktami.

- A czemu sam się tym nie zajmiesz? - spytałam.

Amitaj wiedział o sarajewskiej hagadzie więcej niż ktokolwiek ze śmiertelników. Napisał o niej monografię. Wiedziałam, że bezpośredni kontakt z księgą byłby dla niego największym szczęściem. Amitaj westchnął głęboko.

- No cóż, Serbowie przez ostatnie trzy lata wmawiali ludziom, że Bośniacy to muzułmańscy fanatycy - i w końcu paru Bośniaków im uwierzyło. A co najważniejsze, Saudyjczycy pakują tam teraz wielkie pieniądze i nie mają ochoty zatrudniać Izraelczyka. Mogą zapytać o radę, ale praca to coś zupełnie innego...

- Tak mi przykro, Amitaj...

- Daj spokój, Chana. Jestem w dobrym towarzystwie. Niemca też nie chcą. Kiedy zadzwonili do mnie z ONZ, zaproponowałam najpierw - tylko się nie obraż - Wenera...

Trudno byłoby znaleźć lepszego kandydata. Doktor Werner Maria Heinrich był nie tylko moim mistrzem, ale także drugim po Amitaju czołowym specjalistą na świecie w dziedzinie hebrajskich manuskryptów. Jak się jednak okazało, Bośniacy mają żal do Niemców, że przyczynili się do wybuchu wojny na Bałkanach, zbyt szybko uznając niepodległość Słowenii i Chorwacji.

- Na dodatek ONZ nie chce Amerykanów, bo jest obrażone na ich niechętny stosunek do UNESCO. No więc pomyślałam, że ty będziesz dobra, bo komu przeszkadzają Australijczycy? Powiedziałam, że technicznie też jesteś niezła.

- Dzięki za protekcję - powiedziałam. A potem dodałam już pewniejszym głosem: - Amitaj, nigdy ci tego nie zapomnę. Naprawdę bardzo ci dziękuję.

- Zrewanżujesz mi się, robiąc porządną dokumentację, żebyśmy mogli wydrukować piękne faksymile. Wyślesz mi jak najszybciej zdjęcia, które tam zrobisz, i szkic swojego raportu, dobrze?

Powiedział to tak smętnym głosem, że poczułam się nieswojo z powodu mojego szczęśliwego wyniesienia. Ale była jedna sprawa, o którą musiałam koniecznie spytać.

- Amitaj, czy są jakieś zastrzeżenia co do autentyczności hagady? Wiesz, były plotki, że w czasie wojny..

- Nie, nie ma żadnych wątpliwości. Ten bibliotekarz Kara-man i jego szef, dyrektor muzeum, potwierdzają autentyczność w stu procentach. Pod tym względem twoje zadanie jest w zasadzie techniczne.

Techniczne... Zobaczymy - pomyślałam. W tym, co robię, jest mnóstwo techniki. To wiedza i rzemiosło, którego można nauczyć każdego, kto ma trochę oleju w głowie i sprawne palce. Ale posiłkując się wynikami technicznych badań można także - jeśli uruchomi się wyobraźnię - wejść w myśli ludzi, którzy stworzyli daną książkę, dowiedzieć się, kim byli i jak pracowali. I w ten sposób dorzucić kilka ziarenek do wielkiej góry ludzkiej wiedzy. Właśnie to w mojej pracy podoba mi się najbardziej. A jeśli chodzi o hagadę z Sarajewa, mnóstwo pytań czeka wciąż na odpowiedź. Gdybym zdołała rozwikłać choć jedną z jej tajemnic...

Po rozmowie z Amitajem nie mogłam już zasnąć. Narzuciłam na siebie coś wygodnego i ruszyłam na spacer nocnymi ulicami, zalatującymi wciąż piwem i olejem ze smażalni. Dotarłam do plaży, gdzie ogarnął mnie wiatr, czysty i rześki, nadlatujący od bezkresnego oceanu, ciągnącego się stąd przez pół świata. Była jesień i środek tygodnia, więc wokół nie widziałam prawie nikogo. Tylko paru pijaczków chybotalo się przy ogrodzeniu klubu surfingowego, a bliżej brzegu jakaś para obściskiwala się na plażowym ręczniku. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Spacerowałam samym skrajem plaży, niemal w zasięgu fal, które pobłyskiwały rytmicznie na brokatowej czerni piasku. W końcu sama nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam podskakiwać, figlując z falami jak małe dziecko.

Minął tydzień. Podniecenie sarajewską przygodą stopniowo uchodziło ze mnie pod ciężarem starań wizowych, kłopotów ze zmianą rezerwacji biletów i pierwszych potyczek z oenzetowską biurokracją. Wszystko to kosztowało masę nerwów. Kiedy schodziłam z pokładu samolotu na płytę sarajewskiego lotniska, walcząc z ciężką walizką, musiałam sobie powtarzać, że właśnie dla takich przedsięwzięć żyję.

Miałam ledwie parę sekund, by rozejrzeć się po górach okalających gigantyczny kocioł lotniska - i zaraz jakiś żołnierz w błękitnym hełmie, wysoki i wyglądający na Skandynawa, wyskoczył ze środkowego samochodu, porwał moją walizkę i upchnął z tyłu vana.

- Uwaga! - krzyknęłam odruchowo. - Tam są delikatne przyrządy!

Żołnierz nic nie odpowiedział, tylko złapał mnie pod ramię i usadził na tylnym siedzeniu, a sam wskoczył na przednie, obok kierowcy. Stuknęły obojętnie automatyczne zamki w drzwiach i kierowca odpalił silnik.

- To pierwszy raz, kiedy... - odezwałam się, szukając jakiegoś uchwytu w wielkim wnętrzu samochodu. - Konserwatorzy ksiąg rzadko podróżują opancerzonymi pojazdami...

Żołnierz i tym razem nic nie odpowiedział. Milczał także ubraony po cywilnemu szofer, wczepiony w kierownicę wozu. Z głową wciśniętą między ramiona wyglądał jak żółw. Za przyciemnionymi szybami uciekały do tyłu domy zniszczonego miasta, poharaane i dziobate od szrapneli. Nasze samochody jechały szybko, klucząc zgrabnie między dziurami w jezdni wybitymi przez pociiski móżdziejowe i wyrwanymi przez gaśienice wozów bojowych. Nie było dużego ruchu. Większość ludzi poruszała się pieszo. Byli wynędzniali i wycieńczeni. Otulali się szczelnie płaszczami, próbując walczyć z chłodem tej nibywiosny. Minęliśmy jakiś blok mieszkalny - wyglądał jak mój domek dla lalek z dzieciństwa. Cała fasada runęła, odsłaniając kryjące się wewnątrz pokoje, umeblowane podobnie jak mój domek dla lalek. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że w środku wciąż mieszkają ludzie i że jedyną ochroną przed zimnem i wiatrem są dla nich płachty plastikowej folii, którymi opakowali swoje mieszkania. Urządzali tu nawet pranie, o czym świadczyła bielizna rozpięta na drutach zbrojeniowych wystających z betonowych ścian.

Myślałam, że zawiozą mnie prosto do miejsca, gdzie będę mogła obejrzeć hagadę. Ale cały dzień pochłoneły niekończące się i nudne spotkania, najpierw z wszystkimi urzędnikami ONZ, którzy mieli cokolwiek wspólnego ze sprawami kulturalnymi, potem z dyrektorem Muzeum Bośniackiego, a jeszcze później z gronem przedstawicieli miejscowego rządu. Spodziewałam się, że w oczekiwaniu na rozpoczęcie pracy nie będę mogła zasnąć, ale nawet kilkanaście mocnych kaw po turecku nie zniwelowało zmęczenia i nudy tego dnia. Może przez te kawę drżą mi teraz ręce.

W radiotelefonach ochroniarzy rozległ się nerwowy charkot. Nagle wszyscy zerwali się na równe nogi - policjanci, ochroniarze, nawet Sajjan. Z hukiem otwały się drzwi i do środka niczym rój pszczół wtargnęła chmara nowych ochroniarzy. W centrum grupy szedł szczupły młody człowiek w spłowiałych džinsach. Pewnie to na tego lesera z muzeum czekaliśmy tyle czasu. Facet trzymał w obu rękach metalową skrzynkę. Kiedy położył ją na stole, zobaczyłam, że była zabezpieczona paroma woskowymi pieczęciami i papierowymi banderolami. Podałam muzealnikowi swój lancet. Złamał pieczęcie, porozcinał banderole i podniósł wieko skrzynki. Odgarnął parę arkuszy bibułki.

A potem wręczył mi książkę.

II

Kiedy ma się do czynienia z tak rzadkim arcydziełem, pierwsze dotknięcie wywołuje dziwne i silne emocje. Czuje się coś w rodzaju lekkiego prądu, a zarazem wzruszenia, jakby się głaskało główkę nowo narodzonego dziecka.

Żaden konserwator od stuleci nie miał w rękach tego manuskryptu.

Wyciągnęłam dłonie. Przez chwilę się zawahałam

- to hebrajska książka, więc należy ją wziąć grzbietem w prawo

- i położyłam na gąbczastej podkładce.

Dopóki jej nie otworzyłam, zdawała się nie wyróżniać niczym szczególnym, w każdym razie dla laika. Była nieduża, wygodna do czytania przy sederowym stole, oprawiona w zwykłym dziewiętnastowiecznym stylu. Na okładce widać było plamy i zadrapania. Ale tak bogato ilustrowany kodeks musiał mieć kiedyś godną siebie oprawę. Homara nie podaje się przecież na tekturowej tacce zapaćkanej musztardą. Okładka na pewno miała kiedyś złocenia i srebrne okucia, może była inkrustowana kością słoniową albo i macią perłową. W ciągu swej długiej historii książka była zapewne oprawiana po wielokroć. Wiemy tylko o ostatnim takim przypadku, bo został odnotowany. Zdarzyło się to w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, w Wiedniu. Niestety księga została wówczas haniebnie potraktowana przez austriackiego introligatora, który za mocno poprzycinał pergaminowe karty, tak że stara oprawa zupełnie się rozsypała. Coś takiego nie miało prawa się przydarzyć, szczególnie fachowcowi pracującemu dla poważnego muzeum. Nie da się dziś stwierdzić, co z oryginalnego egzemplarza wówczas utracono. Ten niewydarzony introligator oprawił karty ponownie - w tekturową okładkę z niepasującą do zawartości oklejką z tureckiego papieru w roślinny deseń, teraz już wyblakły. Tylko grzbiet i narożniki pokryto cielecą skórą, dziś częściowo poprzecieraną, spod której wyzierała szara tektura.

Przeciągnęłam lekko środkowym palcem wzdłuż popękanych narożników.

Trzeba je będzie zreperować w najbliższych dniach. Kiedy dotknęłam brzegu tektury, zauważyłam coś niespodziewanego. Introligator zrobił tam dwa rowki i parę małych dziurek, żeby założyć dwie klamry, które miały spinać książkę. Ale teraz żadnych klamer nie było. Pomyślałam, że trzeba to zbadać.

Podparłam starannie grzbiet i otworzyłam okładkę. Pochyliłam się, żeby obejrzeć dokładniej podartą wyklejkę. Będę ją musiała zdublować, czyli

podkleić odpowiednim papierem lnianym na pszenney klajster. Od razu zauważyłam, że lniany kordonek, którego wiedeński introligator użył do zszywania książki, ledwie się trzyma. Wyglądało więc na to, że będę musiała wyjąć blok książki z okładki, rozdzielić go na pojedyncze składki, a potem zszyć całość od nowa. Wreszcie wzięłam głęboki oddech i odsłoniłam pierwszą stronę samego manuskryptu. Zaraz się okazało, co ostatnie ciężkie cztery lata zrobiły zabytkowi, który przetrwał pięć albo i sześć stuleci.

W śnieżnym świetle rozbłysły kolory. Błękit mocny jak niebo Południa, uzyskany z mielonego lapisu-lazuli zwożonego wielbłądzimi karawanami z gór Afganistanu. Biel - czysta, kremowa, doskonale kryjąca. Nie tak efektowna jak błękit, bardziej skomplikowana. W tamtych czasach uzyskiwano ją wciąż metodą wynalezioną przez starożytnych Egipcjan. Sztabkę ołowiu zalewano osadem ze starego skwaśniałego wina, a naczynie obkładano zwierzęcym nawozem. Zrobiłam kiedyś coś takiego w szklarni mojej matki w Bellevue Hill. Ocet winny sprawia, że ołów zamienia się w octan ołowiu, reagujący z dwutlenkiem węgla uwolnionym z nawozu, który sam dodatkowo podnosi temperaturę. Powstaje $PbCO_3$, występujący w przyrodzie jako cerusyt. Matka była tym eksperymentem mocno zniesmaczona. Odwróciłam kartkę. Tu kolory były jeszcze żywsze. Miniatury zniewalały swoim pięknem, ale nie pozwoliłam sobie na dłuższe zachwyty. Na to przyjdzie jeszcze czas. Najpierw musiałam spojrzeć na zabytek okiem chemika. Dostrzegłam żółć szafranową. W każdym kielichu tego pięknego jesiennego kwiatu, *Crocus sativus* Unneaus, znajduje się słupek z trójdzielnyznamieniem, dostarczającym luksusowej przyprawy i barwnika. Chociaż wiadomo już, że ten bogaty kolor bierze się z krocyny, związku o znanej nam strukturze molekularnej, wciąż nie potrafimy uzyskać równie pięknego barwnika syntetycznego. Dostrzegłam też malachitową zieleń i bardzo intensywną czerwień, znaną jako czerwi szkarłat, po hebrajsku tolaat szani. Barwnik ten uzyskiwano z nadrzewnych pluskwików, czerwców, mielonych i gotowanych w ługu. Później, kiedy alchemicy nauczyli się sporządzać podobny czerwony barwnik z siarki i rtęci, nadal nazywali go robaczkiem - ver-miculum*. Niektóre rzeczy nie zmieniają się z upływem lat.

Właśnie: zmiany. To jest prawdziwy wróg. Książki nie lubią zmian, najlepiej im w jednym miejscu, w stałej temperaturze i wilgotności. A tymczasem trudno o bardziej dramatyczne koleje losu niż te, przez które musiała przejść hagada z Sarajewa, wyniesiona z narażeniem życia i

ukryta bez żadnych zabezpieczeń, wystawiona na najdziksze skoki temperatury. Obawiałam się, że pergamin się zesechł, a pigmenty skruszały i zaczęły odpadać. Ale kolory trzymały się dobrze - czyste i żywe jak w dniu, kiedy je położono. W odróżnieniu od dziewiętnastowiecznej pozłoty, która dawno już odpadła od skórzanego grzbietu okładki, złocenia na iluminacjach zachowały blask. Widać pozłotnik sprzed pięciu wieków lepiej znał swój fach niż wiedeński fuszer sprzed jednego stulecia. Znalazłam też płatek srebra, ale był już poszarzały i zmatowiały.

- Usunie to pani? - usłyszałam pytanie.

To był ten szczupły młodzieniec z muzeum. Wskazywał palcem na zaplamione miejsce na stronie. Stał zbyt blisko książki. Pergamin to w końcu skóra zwierzęca, więc ludzkie bakterie mogą mu zaszkodzić. Wyciągnęłam rękę i lekko odsunęłam jego dłoń. Cofnął się o krok.

- Nie - powiedziałam. - Nie mam najmniejszego zamiaru - dodałam, nie podnosząc na niego wzroku.

- Przecież jest pani konserwatorem, więc myślałam...

- No właśnie. Jestem, jak słusznie pan zauważył, konserwatorem, a zatem zajmuję się konserwacją tego, co już jest, a nie przywracaniem zabytku do stanu pierwotnego.

Nie miałam zupełnie ochoty na dłuższą dyskusję o filozofii mojego fachu.

- Proszę posłuchać - dorzuciłam dość ostrym tonem. - Uprzedzono mnie o pańskiej obecności, ale byłabym zobowiązana, gdyby nie przeszkadzał mi pan w pracy!

- Rozumiem - odpowiedział pojednawczo. - Ale niech i pani mnie zrozumie. Jestem kustoszem. Odpowiadam za tę książkę.

Kustosz? To chyba niemożliwe? Odwróciłam się do muzealnika.

- Pan nie jest chyba Ozrenem Karamanem? Człowiekiem, który ocalił hagadę?

Sajjan zerwał się z miejsca.

- To moja wina. Powiniennem od razu przedstawić pana Ka-ramana. Pani pozwoli - doktor Ozren Karaman, główny bibliotekarz Muzeum Narodowego i profesor bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Bośniackim...

- Bardzo przepraszam, że potraktowałam pana tak nieuprzejmie.

Myślałam, że kurator tak ważnych zbiorów musi być o wiele starszy - wyjaśniłam.

Prawdę mówiąc, myślałam również, że osoba na stanowisku kustosa powinna się ubierać nieco staranniej. Doktor Karaman miał na sobie

wytartą skórzaną marynarkę, nałożoną na wymięty biały tiszert. Dżinsy strzępiły się, a gęsta, zmierzwiona czupryna

- pozbawiona, jak się wydawało, częstszego kontaktu z grzebieniem i nożyczkami - spadała na okulary sklezione pośrodku taśmą izolacyjną.

Doktor uniósł brew.

- Miała pani wszelkie prawo tak myśleć. W pani wieku...

- powiedział to z kamienną twarzą. Byliśmy oboje, jak oceniałam, w bardzo podobnym wieku, zaraz po trzydziestce. - Byłbym jednak bardzo wdzięczny, gdyby zechciała mi pani, doktor Heath, poświęcić chwilkę swego cennego czasu i wyjaśnić, co ma pani zamiar zrobić z tą książką...

Powiedziawszy to, Karaman rzucił wymowne spojrzenie Sajjanowi.

Oenzetowska administracja sądziła, że zrobiła Bośniakom wielką łaskę, fundując im moje usługi. Ale gdy w grę wchodzi skarby narodowe, ludzie robią się podejrzliwi wobec cudzoziemców. Ozren Karaman czuł się najwyraźniej odsunięty na boczny tor. Ostatnią rzeczą, której sobie życzyłam, było pakoowanie się w taki konflikt. Z drugiej jednak strony przyjechałam tu, by zadbać o cenną książkę, a nie o nadszarpnięte ego jakiegoś bibliotekarza.

- Nie potrafię dokładnie określić zakresu moich działań, dopóki nie przejrzę dokładnie manuskryptu. Niemniej jednak już teraz mogę powiedzieć jedną rzecz: nie zaangażowano mnie po to, bym oczyściła książkę środkami chemicznymi. Moim zadaniem nie jest również gruntowna restauracja zabytku. Swoje stanowisko przedstawiłam zresztą na piśmie. Próby przywrócenia książce wyglądu z okresu jej powstania to brak szacunku dla historii. Myślę, że powinno się uszanować zabytek w takiej postaci, w jakiej przekazały go nam minione pokolenia, a że trafiają się uszkodzenia... no cóż, to są również świadectwa historyczne. Moje zadanie polega - tak to przynajmniej widzę

- na zabezpieczeniu zabytku w takim zakresie, by można go było w miarę spokojnie badać i pokazywać. Reperacje wchodzi w grę jedynie wtedy, gdy są absolutnie konieczne. Niech pan spojrzy tu - wskazałam miejsce, gdzie nad zamaszystymi hebrajskimi literami wykwitła brunatna plamka.

- Mogę pobrać stąd mikroskopijną próbkę, którą przeanalizujemy i spróbujemy ustalić, co spowodowało powstanie plamy. Na tej podstawie da się sformułować jakąś hipotezę na temat miejsca, w jakim książka się wówczas znajdowała. A jeśli nie zdołamy niczego wywnioskować, może zrobią to nasi następcy, za pięćdziesiąt lub sto lat, gdy metody badawcze staną się doskonalsze. Jeśli jednak zdecydujemy się na chemiczne wywabienie plamy, na zawsze stracimy szansę dowiedzenia się, co ten

feler może nam powiedzieć.

Ozren Karaman patrzył na mnie trochę zbaraniałym wzrokiem. Nagle sama poczułam konsternację.

- Oczywiście bardzo przepraszam, jeśli pana uraziłam. Ale to taka moja obsesja i gdy zacznę... - nie było sensu płatać się w dalszych wyjaśnieniach, więc zamilkłam na chwilę. - Chodzi o to, że dano mi tylko tydzień na pracę nad tą książką, więc żal mi każdej minuty. Chciałabym zabrać się od razu do roboty. Dzisiaj będę mogła popracować do szóstej, czy tak?

- No nie całkiem. Będę musiał zabrać hagadę dziesięć minut wcześniej, żeby ją schować do skarbca przed końcem tej zmiany ochroniarzy...

- W porządku - powiedziałałam poprawiając się na krześle.

- A czy nie dałoby się gdzieś spławić tych tutaj? - spytałam wskazując głową na koniec stołu, gdzie się rozsiedli ochroniarze. Karaman pokręcił nieuczesaną głową.

- Obawiam się, że wszyscy musimy tu zostać do końca. Nie zdołałam powstrzymać się od głębokiego westchnienia. Moja praca polega na obcowaniu z przedmiotami, a nie z ludźmi.

Lubię materiały, z których powstaje książka. Lubię kartki pergaminowe i papierowe, lubię różne podkłady mineralne i śmiertelnie trujące farby z dawnych wieków. Potrafię zanudzić każdego gadaniem o pszenicznej paście klejowej. Spędziłam sześć miesięcy w Japonii, ucząc się, jak ją mieszać, by uzyskać właściwą konsystencję i chłonność.

Szczególnie kocham pergamin. Tak trwały, że może przetrwać wiele stuleci, i tak delikatny, że może go zniszczyć chwila nieuwagi. Pewna jestem, że jedną z przyczyn, dla których dostałam to zlecenie, było opublikowanie w fachowej prasie wielu artykułów o pergaminie. Na podstawie samej wielkości i rozmieszczenia porów w pergaminie, który miałam przed sobą, mogłam stwierdzić, że wykonano go ze skóry wymarłej już odmiany hiszpańskich owiec górskich o grubym runie. Można datować taki pergamin wiedząc, w którym stuleciu skóry takich owiec były powszechnie stosowanym surowcem do jego wyrobu w królestwach Kastylii i Aragonii.

Pergamin to w zasadzie skóra, ale wyglądem i dotykiem różni się od skóry zwierzęcej, ponieważ jego włókna układają się inaczej w wyniku naciągania. Kiedy się go zmoczy, włókna wracają do pierwotnej trójwymiarowej struktury. Obawiałam się, że w metalowej skrzynce skraplała się para wodna albo książka uległa zmoczeniu podczas transportu. Stwierdziłam jednak, że obydwa te czynniki pozostawiły tylko

nieznaczące ślady. Na niektórych kartach znać było dawniejsze uszkodzenia wodne. Kiedy przyjrzałam się im pod mikroskopem, zauważyłam w tych miejscach regularne kryształki. To był chlorek sodu, NaCl, czyli zwykła sól kuchenna. A zatem uszkodzenia powstały zapewne od słonej wody stawianej na sederowym stole na pamiątkę łez, które przelewali żydowscy niewolnicy w Egipcie.

Oczywiście książka to coś więcej niż suma materiałów, z których ją wykonano. To artefakt, dzieło ludzkiego umysłu i ludzkich rąk. Złotnicy, skrybowie, zawodowi pergamiści zwani pergaminari, fachowcy od szlifowania i blichowania* pergaminu, introligatorzy - oto ludzie, z którymi czuję się najlepiej. Czasami przemawiają do mnie w ciszy. Pozwalają poznać swoje intencje, a to pomaga w pracy. Obawiałam się, że dociekliwy kustosz oraz strażnicy nieustannie gawędzący przez radiotelefony odstraszą moje dobre duchy. A ja potrzebowałam ich pomocy. Miałam do nich mnóstwo pytań...

Pierwszy problem był taki: wspaniałe iluminowane kosztownymi farbami kodeksy sporządzano zwykle na zamówienie dworów lub katedr.

Tymczasem hagady używa się jedynie w domowym zaciszu. Słowo to wywodzi się od hebrajskiego rdzenia hgd, „opowiadać”, i wiąże z biblijnym nakazem, by rodzice opowiadali dzieciom dzieje wyjścia z niewoli egipskiej. Historia ta ma zresztą mnóstwo wariantów, bo w ciągu wieków każda gmina żydowska dorobiła się własnej wersji, odczytywanej podczas domowych obchodów święta Pesach.

Nikt jednak nie wie, dlaczego ta akurat hagada została zilustrowana licznymi miniaturami - i to w czasach, gdy większość Żydów uważała, że sztuka figuratywna stanowi pogwałcenie Bożego przykazania. Wątpliwe, by jakiś Żyd chciał się wprawiać przy tych miniaturach w sztuce malowania. Stylistyka ilustracji nie odbiega zbyt od dzieł miniaturzystów chrześcijańskich. Z tym że większość ilustracji ukazuje biblijne sceny w duchu midraszowym, a więc wedle żydowskiej egzegezy tekstów biblijnych.

Odwróciłam kolejną kartkę i po chwili zdałam sobie sprawę, że wpatruję się w ilustrację, która wywołała szczególnie dużo spekulacji naukowych. Była to scena domowa. Rodzina żydowska z Hiszpanii - co można poznać po strojach - siedzi za paschalnym stołem.

* W końcowych stadiach wyrobu pergaminu skórę wygładzano nożami, a następnie pumeksem, po czym bielono kredą (było to tzw. blichowanie) -

przyp. tłum.

Widzimy obrzędowe pokarmy: macę, upamiętniającą przaśne chleby pieczone w pośpiechu przez Izraelitów szykujących się do ucieczki z Egiptu, oraz pieczony udziec barani z kością, przypominający ofiarę z baranków, których krwią pomazali Żydzi odrzwia i nadproża swoich siedzib, dzięki czemu anioł śmierci ominął ich domy. Ojciec siedzący za stołem lekko pochyła się w lewą stronę, co ma świadczyć, że jest wolnym człowiekiem, a nie niewolnikiem, i popija wino ze złote-go pucharu. Obok niego widać syna, który też unosi swój kubek. Matka przygląda się temu z pogodną twarzą. Ubrana jest w piękną suknię, a jej nakrycie głowy zdobią klejnoty. Scena ukazuje najprawdopodobniej rodzinę fundatorów. Ale przy stole siedzi jeszcze jedna kobieta, o hebanowej twarzy, ubrana w szafranową suknię. W dłoni trzyma kawałek macy. Kim jest? Jak na służącą ma zbyt bogate szaty. Ta afrykańska kobieta w strojnej sukni, uczestnicząca w żydowskim obrzędzie, od stulecia wpędza w zakłopotanie badaczy sarajewskiej hagady.

Powoli sprawdzałam stan każdej strony i robiłam notatki. Za każdym razem, gdy przewracałam kolejną kartę, zwracałam uwagę na położenie grzbietu. Nigdy nie narażaj książki na stres - to pierwsze przykazanie konserwatorów. Ale ludzie, do których należała ta książka, doświadczyli niesłychanych stresów - pogromów, inkwizycji, ludobójstwa, wojen. Kiedy dotarłam do końca hebrajskiego tekstu, zauważyłam dopisek w obcym języku, zrobiony inną ręką: *Revisto per mi Gio. Domenico Yistorini, 1609*. Te słowa - „Sprawdzone przeze mnie...” - były parafą weneckiego cenzora Świętej Inkwizycji. Gdyby nie one, książka mogłaby w tym samym roku wylądować w płomieniach i nigdy nie przebyć Adriatyku, żeby znaleźć się w Sarajewie.

- Czemu ją oszczędziłeś, Giovanni? - usłyszałam. Podniosłam wzrok. Doktor Karaman uśmiechnął się przeproszająco. Pewnie myślał, że znów się zirytuję, ale ja byłam tylko zdumiona, że wypowiedział na głos pytanie, które sama posta-wiłam w myślach. Nikt nie znał na nie odpowiedzi, tak jak nikt nie wiedział, czemu, a nawet kiedy książka trafiła do Sarajewa. Zachował się rachunek z 1894 roku, stwierdzający jedynie fakt, że hagadę sprzedał do muzeum niejaki Kohen. Kim był - nie wiadomo. A po drugiej wojnie światowej, kiedy wymordowano dwie trzecie sarajewskich Żydów i splądrowano ich dzielnicę, nie było już w mieście żadnych Kohenów, których można by spy-tać o krewnego. Wiadomo, że z rąk nazistów uratował hagadę pewien muzułmański bibliotekarz - ale szczegóły

wydarzenia są niejasne i krążą o nim sprzeczne opowieści.

Kiedy skończyłam pierwsze oględziny i zapisałam swoje wnioski, sięgnęłam po aparat z błoną formatu osiem na dziesięć i zaczęłam powtórnie przeglądać książkę strona za stroną, robiąc szczegółowe zdjęcia zabytku, aby udokumentować jego stan przed podjęciem prac konserwatorskich. Kiedy ukończę pracę nad hagadą, sfotografuję ją ponownie, a filmy pošlę do Jerozolimy, do Amitaja. On pokieruje wykonaniem serii odbitek wysokiej rozdzielczości dla muzeów światowych oraz wydrukowaniem faksymilowej kopii hagady z Sarajewa, którą będą mogli kupić wszyscy zainteresowani. Zwykle taką dokumentację robi osobny fachowiec, ale oenzetowskiej administracji nie chciało się szukać drugiego eksperta do pracy w specyficznych warunkach tego miasta, ja zaś zgodziłam się wykonać zdjęcia samodzielnie.

Rozprostowałam plecy, a potem sięgnęłam po skalpel. Zniechęcałam na chwilę, podpierając jedną ręką brodę, a drugą wyciągnąwszy nad okładką książki. Zawsze na moment przed rozpoczęciem pracy pojawia się chwila zwątpienia. Na stalowym ostrzu zamigotało światło, a ja pomyślałam o matce. Gdyby ona się tak wahała, jakiś pacjent mógłby się jej wykrwawić na ope-racyjnym stole. Ale moja matka - pierwsza kobieta, która została szefem kliniki neurochirurgii w australijskim szpitalu - nie wiedziała, co to brak wiary w siebie. Nie wątpiła nigdy w swoje prawo do łamania wszelkich konwencji. Urodziła dziecko, nie troszcząc się o ślub ani nawet o prawne ustalenie ojcostwa. Do dzisiaj nie mam pojęcia, kto jest moim ojcem. Kimś, kogo kochała, a może tylko człowiekiem, którym się posłużyła? Ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna. Myślała, że wycho-wa mnie na swój obraz. Dobrze sobie! Ona jest blondynką o te-nisowej karnacji, a ja brunetką z cerą jak u Skandynawki. Ona gustuje w szampanie, ja wolę piwo prosto z puszki. Już dawno zdałam sobie sprawę, że matka nigdy nie uszano-wała mojego wyboru, nie uznała faktu, że zdecydowałam się na reperowanie książek, a nie ludzkich ciał. Moje dyplomy z che-mii i bliskowschodnich języków starożytnych znaczyły dla niej tyle co chusteczki higieniczne. Doktorat z konserwacji sztuki również. „Przedszkolne robótki ręczne” - mawiała, widząc moje papiery, pigmenty i pasty. „Powinnaś wreszcie spoważnieć - po-wiedziała, kiedy wróciłam z Japonii. - W twoim wieku byłam już głównym rezydentem” - skwitowała mój powrót z Harvardu. Czasami czułam się jak postać z perskiej miniatury - mała figur-ka nieustannie obserwowana przez nieruchome twarze spoglądające z górnej galerii albo

szpiegujące zza okratowanych okien. Tylko że w moim przypadku zawsze chodziło o jedną twarz, twarz mojej matki, z miną pełną dezaprobaty i ustami rzucającymi ostre, nieprzyjemne słowa. I tak dobiegłam trzydziestki, a ona wciąż próbowała stanąć pomiędzy mną i moją pracą. Myśl o jej ciągłych krytycznych uwagach dała mi tymczasem impuls do działania. Wcisnęłam ostrze skalpela i kodeks rozpadł się na cenne folia. Uniosłam pierwsze, a wówczas spod oprawy wypadła jakaś kruszyna. Ostrożnie za pomocą pędzelka przeniosłam ją na szkiełko i umieściłam pod mikroskopem. Eureka. To był kawałek owadziego skrzydła, przezroczystego, z żyłkami. Żyjemy w świecie pełnym stawonogów, mogło to być zatem skrzydełko jakiegoś pospolitego owada, które nic nam nie powie. Ale równie dobrze mogło chodzić o przedstawiciela gatunku endemicznego, o ściśle określonym obszarze występowania. A może to jakiś wymarły gatunek? W obu przypadkach okruszek skrzydełka mógł nam wiele powiedzieć o historii książki. Włożyłam znalezisko do przezroczystej saszetki aptekarskiej, a na wierzchu nalepiłam karteczkę z danymi o jego pochodzeniu.

Parę lat temu mały fragment ptasiego pióra, który znalazłam wciśnięty w oprawę książki, wywołał sporo zamieszania. Badany przeze mnie zabytek składał się z kilku godzinek do świętych, modlitw przeznaczonych do prywatnego nabożeństwa. Była to zapewne część jakiejś większej księgi. Należała do wpływowego francuskiego kolekcjonera, który zainteresował nią Fundację Getty'go. Miał dokumenty, na podstawie których dzieło należało przypisać Mistrzowi diuka Bedford, pracującemu w Paryżu około 1425 roku. Tak wiekowy zabytek musiał być oczywiście bardzo drogi. Niby wszystko się zgadzało, ale sprawa, jak na mój nos, załatywała oszustwem.

Kawałek dudki ptasiego pióra w zasadzie niewiele może powiedzieć. Nie trzeba jakiegoś szczególnego egzotycznego pióra, by wykonać z niego użyteczne narzędzie do pisania. Śmieszy mnie zawsze, kiedy na filmach kostiumowych widzę skrybów z efektownymi strusimi piórami w dłoniach. Jakby po średniowiecznej Europie biegały całe stada strusi. Na dodatek te wielkie pióra nie-mal nie chwieją się podczas pisania, jakby były wycięte z blachy. W przypadku kawałka znalezionego przeze mnie w godzinkach uparłam się jednak na ekspertyzę ornitologa. I co się okazało? Że to pióro kaczki piżmowej. Teraz kaczki piżmowe spotyka się nie-mal wszędzie, ale około roku 1400 obszar ich występowania ograniczył się do Meksyku i Brazylii. W Europie pojawiły się dopiero na początku XVII wieku. Tak więc francuski „kolekcjoner” dopisał do metryki swego

zabytku jakieś dwieście lat.

Kiedy delikatnie oddzieliłam od bloku drugie folio hagady i wyprułam z niego zetlałą nić, którą było przeszyte na grzbiecie, zauważyłam, że w nitkę zaplątał się biały włos, długi na jakiś centymetr. Pod mikroskopem dostrzegłam jeszcze, że włos zostawił malutki odcisk tuż przy grzbiecie strony, na której odmalowano sederową wieczerzę hiszpańskiej rodziny. Także to znalezisko schowałam do osobnej plastikowej torebki, używając pincetki chirurgicznej.

Niepotrzebnie się obawiałam, że ludzie na sali będą mi przeszkadzać w pracy. Rychło przestałam ich zauważać. Wchodzili i wychodzili z pokoju, a ja nawet nie podnosiłam głowy. Dopiero kiedy zaczęło się ściemniać, zdałam sobie sprawę, że przepracowałam bez przerwy cały dzień.

Poczułam się nagle obolała od ciągłego napięcia mięśni i głodna jak wilk. Wstałam - i zaraz pojawił się Karaman ze swoją okropną metalową skrzynką. Włożyłam do niej ostrożnie wszystkie kawałki rozprutej książki.

- Trzeba to będzie koniecznie zamienić na coś innego - powiedziałam wskazując na skrzynkę. - Metal to fatalne środowisko dla książki. Jest zbyt dobrym przewodnikiem ciepła...

Na bloku książki położyłam szklaną szybę i obciążyłam ją woreczkami z piaskiem, aby luźne pergaminowe karty się nie odkształciły. Kiedy ją czyściłam i porządkowałam swoje narzędzia, Ozren pieczętował skrzynkę woskiem, banderolami i sznurkiem.

- No i co pani sądzi o naszym skarbie? W jakiej jest kondycji? - spytał.

- Nie widać specjalnych uszkodzeń powstałych w ostatnim okresie. Jak na tak stary zabytek hagada zadziwiająco dobrze zniosła nieodpowiednie przechowywanie w minionych latach. Ale kiedy zbadam jeszcze parę próbek pod mikroskopem, dowiem się więcej. W każdym razie książce trzeba teraz dać odpocząć w stabilnych warunkach, no i zreperować oprawę. Zapewne pan wie, że pochodzi z końca XIX wieku i jest już trochę sfatygowana, jak można się było spodziewać.

Karaman pochylił się nisko nad wiekiem skrzynki i odcisnął w wosku pieczęć muzeum. Później cofnął się o krok, by urzędnik banku mógł odcisnąć swoją pieczęć. Skomplikowana sieć sznurków i woskowych pieczęci miała świadczyć, że nikt nieupoważniony nie będzie miał dostępu do zawartości skrzynki.

- Słyszałem, że jest pani Australijką - odezwał się Karaman. Stłumiłam westchnienie. Byłam zmęczona całodzienną pracą i nie miałam ochoty na pogawędkę.

- Dbanie o wiekowe zabytki innych narodów to trochę dziwne zajęcie jak na kogoś, kto pochodzi z tak młodego kraju... - ciągnął Karaman. Nie odpowiedziałam, a on dodał: - Dorastając w takim kraju czuje się pewnie niedosyt kultury...

Ponieważ wcześniej potraktowałam go dość szorstko, teraz zdobyłam się na pewien wysiłek. Nie za duży, ale zawsze. Ta moja młoda kulturalna pustynia miała bardzo stare korzenie. Australia ma najdłuższą nieprzerwaną tradycję artystyczną na świecie. Aborygeni tworzyli dzieła sztuki na ścianach swoich skalnych siedzib trzydzieści tysięcy lat wcześniej niż ludzie z grot Lascaux. Ale postanowiłam, że tym razem oszczędzę mu wykładu.

- No cóż, powinien pan wziąć pod uwagę, że imigracja uczyniła z Australii najbardziej zróżnicowany etnicznie kraj na świecie. Korzenie Australijczyków sięgają bardzo daleko wszcz i w głąb. To daje nam udział w całym światowym dziedzictwie kulturalnym. Także waszym.

Nie dodałam już, że kiedy dorastałam, przybysze z Jugosławii byli znani z tego, że jako bodaj jedyna grupa imigrantów pielęgnowali swoje stare waśnie z kraju pochodzenia. Wszyscy inni popadali szybko w słoneczną apatię, ale Serbowie i Chorwaci dalej z sobą wojowali, tocząc futbolowe wojny nawet w najmniej-szych zadupiach w rodzaju Coober Pędy.

Przyjął moją uwagę pogodnie, uśmiechając się do mnie znad skrzynki. Trzeba przyznać, że miał bardzo miły uśmiech. Jego usta wyginały się jednocześnie do góry i w dół, jak na rysunkach Charlesa Schulza.

Ochroniarze wstali, by eskortować Karamana i książkę. Po-szłam za nimi długimi, zdobnymi korytarzami. Zatrzymałam się dopiero przy marmurowych schodach prowadzących do skarbcza w podziemiach.

Czekałam, aż ktoś otworzy mi główne drzwi wyjściowe. Z dołu dochodziło buczenie pneumatycznych siłowników zamykających wrota skarbcza. Potem z metalicznym szczękiem opadły rygle. Ten odgłos uspokajał. Przynajmniej hagada będzie tej nocy bezpieczna.

Po chwili pojawił się przy mnie Karaman.

- Może dałaby się pani zaprosić na obiad? Znam dobre miejsce na starym mieście... W zeszłym miesiącu znów je otworzyli. Szczerze mówiąc, nie mogę gwarantować jakiegoś ekstrajedzenia, ale przynajmniej będzie tam po naszymu, po bośniacku...

Miałam już powiedzieć „nie”. Tak jakoś odruchowo. Ale po-tem pomyślałam: a właściwie czemu nie? To lepsze niż zjedzenie byle czego w hotelowym pokoiku. Powiedziałam sobie, że chodzi o uzasadnioną ciekawość kraju. A zresztą uratowanie hagady przez Ozrena Karamana

sprawiło, że stał się on częścią historii tej książki. Częścią, którą chciałam lepiej poznać.

III

Wyszliśmy na ciemną ulicę i zatrzęślam się z zimna. Większość śniegu stopniała za dnia, ale teraz temperatura znów spadła. Księżyc schował się za ciężkimi chmurami. Latarnie nie działały. Kiedy zdałam sobie sprawę, że Karaman zaproponował mi spacer na Stare Miasto, znów poczułam ciężki kamień w żołądku.

- Jest pan pewien, że dobrze robimy? Może lepiej poprosimy, żeby podwieźli nas moi oenzetowscy ochroniarze?

Skrzywił się z niesmakiem, jakby poczuł coś nieapetycznego.

- Te ich wielkie czołgi nie mieszczą się na wąskich uliczkach baścarsii* - powiedział. - A zresztą już od ponad tygodnia żaden snajper się nie odezwał...

Świetnie. Cudownie. Pozwoliłam mu spławić moich wikingów z ONZ. Miałam nadzieję, że się nie zgodzą, że nie puszczą mnie bez obstawy, ale doktor Karaman był widać bardzo przekonujący, a w każdym razie uparty, i w końcu ruszyliśmy sami, pieszo. Szedł długimi krokami, więc z trudem za nim nadażałam. Podczas marszu monologował jak turystyczny przewodnik

- oprowadzający po piekle - objaśniając mi, jakie to zrujnowane obiekty właśnie mijamy. - Tu jest gmach rządu bośniackiego, styl neorenesansowy, ulubiony cel artylerii serbskiej... To była kiedyś poczta główna... To jest katedra katolicka. Neogotyck. W ostatnie Boże Narodzenie chcieli tam odprawić o północy pasterkę, ale ostatecznie odprawili ją dopiero w południe, bo wtedy tylko samobójcy chodzili nocą po mieście. Po lewej synagoga, dalej meczet. Po prawej cerkiew prawosławna. Ostatnimi czasy nikt w te miejsca nie zaglądał. Zbyt niebezpiecznie. Ale prawdę mówiąc, dawniej też mało kto się tu modlił...

Próbowałam sobie wyobrazić, jak bym się czuła, gdyby nagle Sydney obróciło się w ruinę, gdyby zniszczono lub zburzono wszystko, wśród czego się wychowałam. Co by było, gdyby pewnego dnia zobaczyła, że ludzie z północnych dzielnic ustawili barykadę na Harbour Bridge i szykują się do ostrzału Opery.

- Coś mi się zdaje, że spacer po tym mieście wciąż są rodzajem atrakcji. Można powiedzieć, że to luksus po latach krycia się przed snajperami...

Ozren szedł pół kroku przede mną. Nagle się zatrzymał:

- Owszem, ma pani zupełną rację. Mamy tu swoje luksusy - rzucił.

Aż dziw, ile sarkazmu zmieścił w tej prostej odpowiedzi. Szerokie aleje z

czasów austro-węgierskich ustąpiły miejsca brukowanym kocimi łbami uliczkom otomańskiego Sarajewa, uliczkom tak wąskim, że rozpostarłszy ręce, można było sięgnąć murów po obu stronach. Domki były małe, jakby wzniesiono je dla karzełek. I mocno tuliły się do siebie, niczym podchmieleni faceci, podtrzymujący się wzajemnie w drodze powrotnej z pubu. Duża część Starego Miasta znajdowała się poza zasięgiem serbskiej artylerii, więc zniszczenia nie były tu tak widoczne jak w nowszych dzielnicach. Z jakiegoś minaretu chodzą zwoływał wiernych na akszamy, wieczorne modły. Jego wołanie kojarzyło mi się z gorącym klimatem, z miejscami takimi jak Kair czy Damaszek, a nie z okolicami, gdzie szron chrzęści pod nogami, a w zagłębieniach pod kopułą meczetu gromadzą się śnieżne nawisy. Musiałam sobie przypomnieć, że islam sięgał jeszcze dalej na północ, że zatrzymał się u bram Wiednia, a w czasach gdy powstawała sarajewska zagłada, w wielkim imperium muzułmańskim, które nie miało za sobą mroków europejskiego wczesnego średniowiecza, rozkwitały nauki, sztuki i poezja. To właśnie na terenach muzułmańskich chronili się Żydzi, których zaczęto wypędzać z zachodniej Europy. Chodzą z tego meczetu był starym człowiekiem, ale jego głos niósł się pięknie, donośnie i czysto w mroźnym wieczornym powietrzu. Na jego wezwanie pospieszyła brukowanymi uliczkami jedynie garstka innych starszków. Teraz przy studni pod kopułą obmywali pieczołowicie twarze i dłonie lodowatą wodą. Przystanąłam na chwilę, by się im przyjrzeć.

Karaman zauważył i rzucił cierpko:

- To są właśnie ci straszni muzułmańscy terroryści z serbskich bredzeń... W restauracji, którą wybrał, było ciepło i pachniały smażone kiełbaski na ruszce mięsa. Koło drzwi wisiało zdjęcie właściciela - inwalidy wojennego ściskającego wielką bazookę. Zamówiłam talerz ćevapčići.

Karaman wziął dla siebie sałatkę i jogurt.

- Bardzo pan powściągliwy - zauważyłam. Uśmiechnął się.

- Od dziecka jestem wegetarianinem. Podczas oblężenia bardzo mi się to przydało, bo w mieście w ogóle nie było mięsa. Z zieleniną też było marnie. Powszechnie dostępna była tylko trawa. Zupa z trawy stała się moją specjalnością.

Zamówił dwa piwa.

- Ale piwo można było dostać nawet w czasie oblężenia. Browar był jedynym zakładem w Sarajewie, którego nigdy nie zamknięto.

- Australijczykowi to by się spodobało - zauważyłam.

- Myślałam o tym, co mi pani wcześniej powiedziała. Rzeczywiście, trochę ludzi wyjechało stąd do Australii. Jeszcze przed wojną paru

Australijczyków odwiedziło nasze muzeum...

- Tak? - rzuciłam obojętnie, popijając piwo, które trąciło mydłem.

- Tak. Byli dobrze ubrani i mówili fatalnie po bośniacku. Tacy sami przyjeżdżali ze Stanów. Średnio pięć osób na tydzień. Chcieli się czegoś dowiedzieć o historii rodziny. W bibliotece nazywaliśmy ich Kinta Kinte, od takiego Murzyna z amerykańskiego serialu...

- Chyba Kunta Kinte - poprawiłam.

- O, właśnie. Nazywaliśmy ich Kunta Kinte, bo szukali swoich korzeni. Tak się nazywał ten amerykański serial - Korzenie... Ci ludzie chcieli zawsze przeglądać oficjalną prasę z lat 1941-1945. Ciekawe, że nigdy nie szukali w swoim drzewie genealogicznym partyzantów Tity. Nie chcieli być potomkami lewicowców. Preferowali fanatyków - ustaszy albo czetników, zbrodniarzy wojennych. Ciekawe jak to jest czuć pokrewieństwo z takimi ludźmi... Nie wiedziałem wtedy, co nas czeka. Zresztą nie chcieliśmy wierzyć, że wkrótce znów rozpęta się takie szaleństwo...

- Zawsze się dziwiłam, że mieszkańcy Sarajewa byli zaskoczeni tą wojną
- powiedziałam. - Ale z drugiej strony trudno być przygotowanym na coś takiego...

Wydawało mi się, że to sensowna odpowiedź. Bo i kogóż by nie zamurowało, gdyby jego sąsiad wyciągnął nagle broń i zaczął strzelać, bez skrępowań i litości...

- Fakt - przyznał. - Kiedy wcześniej oglądaliśmy w telewizji wojnę w Libanie, mówiliśmy sobie: „To przecież Bliski Wschód, co za prymitywy!” Potem zobaczyliśmy płonący Dubrownik i mówiliśmy: „Sarajewo to co innego”. Wszyscy tak myśleliśmy. Bo jak może dojść do wojny etnicznej w mieście, gdzie co drugi człowiek pochodzi z mieszanej rodziny? I jaka może być wojna religijna w mieście, gdzie mało kto chodzi do kościoła, cerkwi czy meczetu? Dla mnie meczet jest czymś w rodzaju muzeum, miejscem dla dziadków. Owszem, nawet malowniczym. Raz do roku chodziliśmy na zikr, taniec derwiszów. To było jak teatr, jak... Jak by to pani wyjaśnić... Jak pantomima. Mój najlepszy przyjaciel, Danilo, jest Żydem, ale nie został nawet obrzezany. Tu po wojnie nie było żadnego mohela, więc pozostawał jedynie miejscowy golibroda... W każdym razie nasi rodzice byli wszyscy lewicowi, uważali takie rzeczy za prymitywne przesady...

Zamknął, najwyraźniej zmęczony monologiem, i paroma haustami wypił swoje piwo. Zamówił dwa następne.

- Chciałam spytać o ten dzień, kiedy ocalał pan hagdę...

Skrzywił się i spojrzał na swoje dłonie wyciągnięte na lakminowanym blacie kawiarnianego stolika. Palce miał długie i delikatne. Zabawne, że nie zauważyłam tego wcześniej, kiedy zachowałam się wobec niego tak nieprzyjemnie, obawiając się, że dotknie bez pozwolenia cennego pergaminu.

- Musi pani zrozumieć... Było właśnie tak, jak powiedziałem. Nie wierzyliśmy w wojnę. Nasz przywódca stwierdził: „Do wojny trzeba dwóch stron, a my nie będziemy walczyć”. Nie tu, w naszym ukochanym Sarajewie, w naszym idealistycznym mieście olimpijskim. Byliśmy zbyt inteligentni, zbyt cyniczni, żeby wojować. Oczywiście nie trzeba być prymitywnym durkiem, żeby zginąć głupią, prymitywną śmiercią. Teraz to wiemy. Ale wówczas, w te pierwsze dni, robiliśmy wszyscy jakieś szalone rzeczy. Dzieciaki, nastolatki, szli demonstrować przeciwko wojnie, z muzyką i transparentami, jak na piknik. Chodziliśmy nawet wtedy, gdy snajperzy zabili już kilkunastu ludzi. Oczekiwaliśmy, że wspólnota międzynarodowa położy temu kres... Ja też w to wierzyłem. Denerwowałem się, że zwlekają. Ale wierzyłem, że za „parę dni” świat zbierze siły do wspólnego działania.

Mówił tak cicho, że ledwie go mogłam dosłyszeć w gwarze śmiechów wypełniających restaurację.

- Byłem kustoszem, a muzeum znalazło się pod ostrzałem. Nie byliśmy przygotowani na coś takiego. Wszystko było ekspozycyjne. W muzeum znajdowały się dwa kilometry książek, a zaraz obok mieli swoją pozycję czetnicy. Myślałem, że wystarczy jedna bomba fosforowa i wszystko pójdzie z dymem. A jeśli... Jak się nazywają po angielsku zwierzęta hodowlane, takie z obory...

- Bydło? - domyśliłam się.

- O, właśnie. Nazywaliśmy wroga „bydłem” albo „kopytnymi”. No więc myślałem, że jeśli oni wejdą do muzeum, to zaczną plądrować zbiory szukając złota, a przy okazji zniszczą wszystko, czego przez swoją ignorancję nie będą w stanie docenić. Poszedłem na posterunek policji. Większość policjantów poszła bronić miasta. Został jeden oficer, który powiedział mi: „Kto będzie ryzykował życie, żeby ratować jakieś rupiecie?” Ale kiedy zdał sobie sprawę, że i tak pójdę, wezwał dwóch swoich ludzi, żeby ze mną poszli na ochotnika. Powiedział, że nie mógł pozwolić, by ludzie potem gadali, że jego policjanci nie mają jaj, że jakiś mól książkowy okazał się odważniejszy...

Niektóre większe obiekty przenieśli do pomieszczeń w głębi. Mniejsze, ale cenne rzeczy pochowali w miejscach, których ewentualni rabusie raczej by

nie splądrowali - na przykład w składziku przy portierni. Długie dłonie Ozrena tańczyły w powietrzu, gdy opisywał uratowane zabytki - szkielety dawnych bośniackich królów i królowych czy rzadkie okazy przyrodnicze.

- A potem próbowałem dostać się do hagady... W latach pięćdziesiątych odkryto ponoć, że kilku pracowników muzeum zmówiło się, żeby ukraść księgę, i od tej pory tylko dyrektor placówki znał szyfr do sejfu, w którym ją trzymano. Ale dyrektor mieszkał za rzeką, gdzie walki były najbardziej zacięte. Ozren opowiadał dalej, cicho, krótkimi i prostymi zdaniami. W muzeum nie było światła. Z pękniętej rury lała się woda. Ściany trzęsły się od wybuchów. Sama musiałam sobie wyobrażać, jak to wyglądało w szczegółach. A że byłam już w tyłu muzealnych podziemiach, miałam jakieś pojęcie, co się tam mogło dziać. Wiedziałam, że z każdym pociskiem trafiającym w mury muzeum z sufitów musiał się sypać tynk na cenne zbiory - i na niego, na głowę i w oczy, kiedy próbował po omacku znaleźć właściwą kombinację cyfr.

- Jakim cudem udało się panu złamać szyfr? Uniósł rozwarte dłonie.

- No cóż, to był stary sejf, niezbyt skomplikowany...

- Wszystko jedno, to nadzwyczajne...

- Jak już mówiłem, nie jestem człowiekiem religijnym, ale gdybym wierzył w cuda, to... fakt, że w końcu dostałem się do książki... w takich okolicznościach... musiałbym uznać za...

- Za cud! - dokończyłam. - Dokonał pan... Nie pozwolił mi skończyć:

- Bardzo proszę, niech pani nie robi ze mnie bohatera. Nie czuję się bohaterem. Szczerze mówiąc, czuję się raczej podle, bo wielu cennych książek nie uratowałem...

Odwrócił wzrok. Myślę, że to spojrzenie mnie rozbroiło. Może dlatego, że sama nie jestem w najmniejszym stopniu odważna, zawsze byłam trochę podejrzliwa wobec bohaterów. Posądzałam ich o brak wyobraźni - gdyby ją mieli, nie odważyliby się na takie szaleństwa. Ale to był facet, który zamartwiał się utraconymi książkami, którego trzeba było siłą ciągnąć za język, żeby zdał relację ze swoich czynów. Zaczynałam czuć do niego sympatię.

Przynieśli jedzenie - podłużne pieczone pulpeciki z drobno siekanego mięsa, doprawionego papryką i tymiankiem. Rzuciłam się na nie, przegryzając gorącym tureckim chlebem. Byłam tak pochłonięta jedzeniem, że dopiero w po chwili zdałam sobie sprawę, że Ozren nie je, tylko gapi się na mnie. Miał zielone oczy. Była to głęboka zieleń mchu z małutkimi akcentami miedzi i brązu.

- Bardzo przepraszam... nie powinnam była pytać o to wszystko... może

weźmiesz trochę moich évapácií'f.

Uśmiechnął się swoim uroczym dwuznacznym uśmiesz-kiem.

- Nie, dziękuję. Nie o to chodzi...

- Więc o co?

- Kiedy cię dzisiaj obserwowałem przy pracy, twoja twarz była taka skupiona i pogodna, że przypominała Madonny z pra-wosławnych ikon. A teraz rozbawiła mnie ta niebiańska twarz zdradzająca tak ziemski apetyt... Krępuje mnie, że wciąż rumienię się czasami jak uczennica. Spróbowałam więc udawać, że nie rozumiem komplementu.

- Ładne rzeczy! Sugerujesz, że jem jak jakaś bestia... - roze-śmiałam się. Pochylił się i stał z mojego policzka jakąś tłustą plamkę. Przestałam się śmiać. Zanim zdążył cofnąć rękę, złapałam go za dłoń i odwróciłam ją. To była dłoń naukowca, z czystymi, starannie przyciętymi paznokciami. Ale były też na niej zgrubienia. Pewnie nawet na-ukowcy musieli tu podczas oblężenia rąbać drewno, jeśli uda-ło im się jakieś znaleźć. Czubki palców połyskiwały jagnięcym tłuszczem startym z mojego policzka. Podniosłam je do ust i wylizałam powoli, jeden po drugim. Jego oczy spojrzały na mnie uważnie, zadając pytanie zrozumiałe dla każdego. Mieszkał niedaleko, u zbiegu ulic, na poddaszu nad cukiernią. Nazywała się Słodki Kącik. Drzwi cukierni były całkiem zaparo-wane, a kiedy je otworzyliśmy, uderzyła nas fala ciepła. Właściciel powitał nas podniesieniem umięzionej ręki. Ozren pomachał mu w odpowiedzi dłonią i zaprowadził mnie przez tłum do schodów na poddasze. Owionął nas zapach kruchych ciastek i karmelu.

Ozren ledwie mógł się wyprostować pod skośnym dachem swojego mieszkania. Od czasu do czasu zamiatał sufit niesfornymi kędziorami. Pomógł mi zdjęć kurtkę i przy okazji dotknął leciutko mojej szyi. Serdecznym palcem musnął delikatnie wybrzuszenie kości na moim karku, gdzie spięte wyżej włosy rozbiegały się luźny-mi pasmami. Potem przeszedł dotykiem linię moich ramion i talii, a kiedy sięgnął bioder, jego dłonie wśliznęły się pod kaszmirowy sweter i ściągnęły go ze mnie przez głowę. Wełna zahaczyła o spin-kę, która spadła z brzękiem na podłogę i włosy rozsypały mi się po plecach. Zadrżałam, a on otoczył mnie ramionami.

Później położyliśmy się w płataninie ubrań i pościeli. Miesz-kał jak student, spał na cienkim materacu rozłożonym pod ścia-ną. W kątach piętrzyły się bezładnie stosy książek i gazet. Był szczupły jak koń wyścigowy, miał długie kości i smukłe mięśnie. Nie było na nim grama tłuszczu. Dotknął moich włosów.

- Są takie proste... jak u Japonki...

- Taki z ciebie znawca? - spytałam zaczepnie.

Uśmiechnął się, wstał i nalał dwa kieliszki ognistej rakii. Kiedy weszliśmy do mieszkania, nie włączył światła, dopiero teraz zapalił dwie świece. Gdy zapłonęły równym światłem, zobaczyłam, że przeciwległą ścianę wypełniało duże figuratywne malowidło - portret kobiety z dzieckiem, namalowany śmiały-mi, impastowymi pociągnięciami pędzla. Dziecko było częściowo ukryte za linią kobiecego ciała, które zdawało się tworzyć ochronny łuk. Kobieta zwrócona była ku niemu, ale posyłała artystyście - i widzowi - spokojne, baczne spojrzenie, piękne i poważne zarazem.

- Piękny obraz - powiedziałam.

- Tak, to dzieło mojego przyjaciela Daniły, pamiętasz, mówiłem ci o nim.

- A ta kobieta?

Zasępił się i westchnął. Potem podniósł kieliszek w geście toastu.

- To moja żona.

IV

Dobra robota nie zostawia żadnych śladów.

Nauczył mnie tego mój mistrz, Werner Heinrich. „Niech pani nie czuje się artystką. Trzeba zawsze skrywać się za obiektem swej pracy”.

Pod koniec tygodnia nie znalazłoby się chyba na świecie nawet dziesięciu osób, które potrafiłyby dostrzec, że rozłożyłam książkę na czynniki pierwsze i ponownie ją złożyłam. Po mojej pracy nie było śladu. Teraz musiałam jeszcze odwiedzić paru starych przyjaciół, którzy mogli mi podpowiedzieć, co da się odczytać z tych paru mikroskopijnych próbek, jakie pobrałam z manuskryptu. Ludzie z ONZ poprosili, żebym napisała jakiś artykuł, który można by zamieścić w katalogu wydanym z okazji ponownego wystawienia hagady. Nie jestem ambitna w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Nie marzę o wielkim domu ani imponującym rachunku bankowym. Dla takich celów nie kiwnęłabym palcem. Nie chcę być niczyim szefem. Natomiast wiele przyjemności sprawia mi zaskakiwanie moich zramolałych kolegów publikacjami, w których piszę o rzeczach im nieznanych. Uwielbiam posuwać naprzód ludzką wiedzę, choćby o milimetr.

Wstałam od stołu i przeciągnęłam się.

- No więc, mój panie kustoszu, myślę, że mogę już oddać hagadę pod pańską pieczę...

Ozren nie uśmiechnął się, nawet nie spojrział na mnie, tylko wstał i

poszedł po nową skrzynkę, którą kazał zrobić wedle moich wskazówek. Był to prawidłowo zaprojektowany pojemnik archiwalny, w którym książka mogła bezpiecznie czekać, aż administracja oenzytowska przygotuje nową klimatyzowaną salę wystawową w muzeum. Miał to być przybytek upamiętniający ocalenie wieloetnicznego dziedzictwa Sarajewa. Hagada będzie jego chlubą, a ściany wokół zamierzano zapisać islamskimi manuskryptami i prawosławnymi ikonami, co miało pokazywać, że te różnorodne zabytki wyrosły - tak jak ich twórcy - z jednej ziemi, gdzie żywy był obieg tradycji i wzajemnych inspiracji. Kiedy Ozren zabierał książkę, położyłam dłoń na jego ręce.

- Zaprosili mnie na otwarcie nowej sali. Tydzień wcześniej mam referat w Tate Gallery. Jeśli przylecę tu z Londynu, zobaczę cię jeszcze?

Gwałtownie cofnął rękę.

- Na ceremonii tak.

- A potem? Wzruszył ramionami.

Spędziliśmy w Słodkim Kąciku trzy noce, ale Ozren nie wspomniał ani słowem o żonie, która przypatrywała się nam z obrazu. Czwartej nocy obudziłam się jeszcze przed świtem, bo cukiernik na dole hałasował przy rozpalaniu pieców. Podniosłam się z materaca i dostrzegłam, że Ozren leży z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w obraz dzikim i bardzo smutnym spojrzeniem. Dotknęłam lekko jego twarzy.

- Opowiedz mi - poprosiłam.

Odrócił się i spojrzał na mnie badawczo, a potem ujął moją twarz w obie dłonie. Po chwili zerwał się z materaca i naciągnął dzinsy. Podał mi moje rzeczy. Kiedy byliśmy już oboje ubrani, zeszłam za nim do cukierni. Pogadał chwilę z właścicielem, a ten wręczył mu kluczyki samochodowe. Przy końcu uliczki znaleźliśmy starego, sfatygowanego citro-ena. W milczeniu wyjechaliśmy z miasta ku pobliskim górą. Pierwsze promienie słońca pięknie barwiły śnieg na szczytach - na złoto, różowo, mandarynkowe. Mocny wiatr huśtał iglastymi drzewami. Przypomniała mi się bożonarodzeniowa choinka, jej mocny żywiczny zapach, tak wyraźny w gorącym grudniowym powietrzu - bo przecież w Sydney grudzień to środek lata.

- To jest góra Igman - odezwał się w końcu. - Kiedyś, w czasie zimowej olimpiady, był tu tor bobslejowy. A potem zagnieździł się w tym miejscu Serbowie ze swoją artylerią i lunetami. Urządzili sobie stanowisko snajperskie. Nie możemy tu wysiąść, wszędzie są miny. Musimy trzymać się drogi.

Z miejsca, gdzie przystanęliśmy, roztaczał się fantastyczny widok na

miasto w dole. Namierzyli ją właśnie stąd, kiedy stała z synkiem w kolejce po wodę, dostarczaną przez siły ONZ. Pierwsza kula rozerwała jej tętnicę udową. Zatoczyła się, ale dojrnęła wraz z dzieckiem do najbliższego muru. Tu padła, ale ciałem zasłoniła syna. Nikt nie odważył się jej pomóc - ani żołnierze ONZ, którzy widzieli, jak się wykrwawia na śmierć, ani przerażeni cywile, którzy rozpierzchli się z krzykiem, szukając jakiegokolwiek osłony przed serbskimi pociskami.

- Bohaterscy mieszkańcy Sarajewa... - powiedział Ozren z goryczą. Ledwie mogła dosłyszeć jego słowa, bo wypowiadał je ze ściśniętymi ustami, a wiatr był mocny. - Tak nas nazywali w CNN. Ale większość z nas wcale nie była bohaterska, możesz mi wierzyć... Kiedy zaczynała się strzelanina, zmykaliśmy, aż się kurzyło...

Ranna, krwawiąca Aida była wciąż celem dla mordercy z góry Igman. Druga kula przebiła jej ramię i łopatkę. Pocisk rozszczerpił się w jej ciele, więc tylko mały kawałek metalu przeszedł na wylot, trafiając w czaszkę dziecka.

- Syn ma na imię Alija... - Ozren powiedział to szeptem, jakby z westchnieniem.

„Obrażenie pierwotne” tak brzmi techniczny termin z dziedziny neurochirurgii. Kiedy byłam nastolatką, podsłuchiwałam matkę rozmawiającą przez telefon. Nagłe telefony bywały nieraz błogosławieństwem, bo przerywały nasze kłótnie przy stole. Zwykle dzwonił jakiś zdenerwowany lekarz dyżurujący w izbie przyjęć. Zawsze myślałam, że „obrażenie” to całkiem zgrabny termin, jeśli chodzi o postrzał w głowę czy zrobienie komuś w czaszce dziury dwa na cztery centymetry. Trudno o poważniejsze „obrażenie”. W przypadku Alii było ono jednak tym poważniejsze, że w mieście nie było wówczas żadnego neurochirurga, nie mówiąc już o kimś, kto by się specjalizował w neurochirurgii dziecięcej. Chirurg ogólny zrobił, co mógł, ale wdała się infekcja - „obrażenie wtórne” - i chłopczyk zapadł w śpiączkę. Kiedy po paru miesiącach do miasta dotarł wreszcie neurochirurg, stwierdził, że nic nie da się już zrobić.

Gdy zjechaliśmy z góry, Ozren zapytał, czy chciałabym pojechać do szpitala, żeby zobaczyć jego syna. Nienawidzę szpitali. Zawsze ich nie cierpiałam. Czasami w weekendy, kiedy gosposia miała wychodne, matka ciągnęła mnie z sobą na obchód. Nie nawidziałam jaskrawych świateł, mdłozielonych ścian, szczęku metalu o metal, krwawego nieszczęścia wiszącego w powietrzu. W szpitalu ten tchórz, który we mnie siedział, przejmował pełną kontrolę nad moją wyobraźnią. Na każdym łóżku

widziałam siebie, podłączoną do kroplówki z krwią albo woreczka na mocz. Wszystkie wyniszczone ciała miały moją twarz. Trochę to patetyczne - wiem. Ale nie mogę nic na to poradzić. A mamę dziwiło, dlaczego nie chcę być lekarzem.

Ozren patrzył na mnie jednak jak zbity pies czekający na łaskawszy gest... Nie mogłam odmówić. Powiedział, że chodzi do szpitala codziennie przed pracą. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. W minionych dniach odprowadzał mnie rankiem do hotelu, żebym mogła wziąć prysznic - jeśli była woda - i przebrać się.

Nie wiedziałam, że potem szedł do szpitala, by pobyć godzinkę ze swoim synem.

Idąc szpitalnym korytarzem, starałam się nie patrzeć na boki. Wreszcie znaleźliśmy się w pokoju Alii - a tam można było patrzeć tylko na niego. Miał słodką, spokojną twarz, troszkę nabrzmiałą od płynów, które utrzymywały go przy życiu. Małe ciało oplecione plastikowymi rurkami. Brzęczenie aparatury monitorującej każdą minutę jego krótkiego życia. Ozren powiedział, że jego żona zginęła przed rokiem, więc Alija mógł mieć jakieś trzy lata. Zresztą trudno było to ocenić. Drobnie ciało mogło należeć do jeszcze młodszego dziecka, ale grymasy pojawiające się na twarzy zdawały się odbijać uczucia kogoś bardzo starego. Ozren odgarnął mu z czoła kosmyk kasztanowych włosów i szepnął coś po bośniacku, prostując delikatnie małe rączki dziecka.

- Ozren - spytałam cicho. - Czy nie myślałeś, żeby zasięgnąć opinii innego specjalisty? Mogę zabrać wyniki jego badań i...

- Nie - przerwał mi w pół słowa.

- Ale czemu nie? Lekarze to też ludzie i mogą się mylić...

Nie zliczyłam sytuacji, kiedy matka wyśmiewała opinie swoich szanowanych kolegów. Ale Ozren wzruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział.

- Miał zrobiony rezonans magnetyczny czy tylko tomografię komputerową? Rezonans pokazuje znacznie więcej, można...

- Hanna, daj już spokój! Powiedziałem: nie.

- Dobrze sobie. Nigdy nie sądziłam, że jesteś wyznawcą tego cholernego fundamentalistycznego fatalizmu - insza'Allah\ To jakieś bzdury!

Wstał od łóżka, podszedł do mnie i chwycił moją twarz w obie dłonie. Był wściekły.

- To ty gadasz bzdury!

Jego napad wystraszył mnie. Cofnęłam się.

- To ty - ciągnął - i wy wszyscy z tego bezpiecznego, poukładanego

świata poduszek powietrznych i diet niskotłuszczowych jesteście zabobonni jak cholera. To wy uważacie, że można oszu-kać śmierć, a kiedy okazuje się, że jednak nie, jesteście strasznie oburzeni. Siedzicie w swoich przytulnych mieszkaniach i gapi-cie się na nas w telewizji. I myślicie sobie: „Ohyda!”. I zmieniacie kanał albo idziecie do kuchni zaparzyć sobie kawę...

Kiedy to mówił, wstrząsnął mną dreszcz. Jego opis był bar-dzo trafny. Ale jeszcze nie skończył. Wciąż kipiał złością.

- Zdarzyły się złe rzeczy. I mnie przydarzyły się bardzo złe rzeczy. Ale nie różnię się od tysięcy tutejszych ojców, którzy rów-nież cierpią. Ja z tym żyję. Nie każda historia dobrze się kończy. Czas dorosnąć, Hanna, i przyjąć to do wiadomości!

Nadal się trzęsłam. Chciałam wyjść, chciałam się stamtąd wydostać. Ozren usiadł znów przy łóżku Alii. Nie patrzył na mnie. Kiedy ruszyłam ku wyjściu, dostrzegłam, że trzyma w ręku książkę dla dzieci. Nie zrozumiałam bośniackiego tytułu, ale wy-starczył mi obrazek na okładce - to był Kubuś Puchatek.

- Czytam mu - powiedział ze spokojnym już wyrazem twa-rzy. - Codziennie. Żadne dzieciństwo nie może się obyć bez tych historyjek. Trzymałam już rękę na klamce, ale jego głos mnie zatrzymał. Ozren wciąż rozmawiał z Aliją. Może wyjaśniał mu trudniejsze słowa albo angielski humor Milne'a? Nie widziałam jeszcze ta-kiej czułości w relacjach ojca z dzieckiem.

Wiedziałam, że nie będę miała siły znów tego oglądać. Wie-czorem po pracy Ozren zaczął przeproszać za swój wybuch. Nie wiedziałam, czy nie jest to przypadkiem preludium do kolejnego zaproszenia na noc, więc na wszelki wypadek ucięłam rozmowę. Pod jakimś błahym pretekstem wróciłam prosto do swojego hote-lowego pokoju. Następnej nocy tak samo. Trzeciego wieczoru nawet nie próbował. Zresztą czas już było wyjeżdżać.

Kiedyś pewien bardzo przystojny, ale i złośliwy botanik po-wiedział, że moje podejście do seksu jest żywcem wzięte z jakiegoś socjologicznego wyboru tekstów z lat sześćdziesiątych. Mówił, że zachowuję się jak samiec z przedfeministycznej epoki, zdobywający partnerki do przygodnego seksu i porzucający je natychmiast, gdy pojawia się emocjonalne zobowiązanie. Posta-wił hipotezę, że ponieważ nie znam własnego ojca i mam niedo-stępną uczuciowo matkę, zabrakło mi kogoś, kto ukształtowałby we mnie zdrowy model relacji międzyludzkich. Odpowiedziałam, że jeśli miałabym ochotę na słuchanie ta-kich

pseudopsychologicznych bredni, skorzystałabym z telefonu zaufania albo napisałabym do kącika porad sercowych w piśmie kobiecym. Nie traktuję seksu jako czegoś przygodnego. Bynajmniej. Jestem w tych sprawach bardzo wybredna. Ale istotnie nie przepaadam za wyżymaniem mokrych od łez chusteczek, a jeśli mam się z kimś związać, chcę, żeby to była „pewna firma”, człowiek pogodny, z poczuciem humoru. Nie sprawia mi najmniejszej przyjemności ranienie cudzych uczuć, zwłaszcza jeśli chodzi o kogoś tak tragicznie doświadczonego jak Ozren, który jest osobą ze wszech miar wartościową, odważną, inteligentną i tak dalej. No i jest przystojny. W przypadku botanika też było mi głupio, że go zraniłam. Ale on zaczął mi już opowiadać o jakichś wycieczkach w busz z dziećmi-kami w nosidełkach. Więc musiałam go spławić. W tamtym czasie nie miałam jeszcze dwudziestu pięciu lat. Moim zdaniem dzieci to luksus, na który można sobie pozwolić dopiero w średnim wieku.

Co zaś do mojej dysfunkcyjnej „rodziny”, to prawdą jest, że wyniosłam z niej jedno mocne przekonanie: nie wierz, że ktoś inny będzie się troszczył o twoje uczuciowe potrzeby. Znajdź sobie lepiej jakieś absorbujące zajęcie - tak absorbujące, że nie zostanie czasu na roztkliwianie się nad sobą.

Moja matka kocha swoją pracę, ja swoją. A że nie kochamy się wzajemnie... no cóż, rzadko o tym myślę.

Kiedy Ozren pozakładał te wszystkie pieczęcie i banderole, zesłam z nim po raz ostatni schodami banku. Można powiedzieć, że odprowadzałam hagadę. Kiedy wrócę do Sarajewa na otwarcie wystawy, książka będzie już na swoim miejscu, w bezpiecznej, dobrze strzeżonej sali muzealnej. Poczekalam, aż Ozren odniesie hagadę do skarbcza, ale kiedy stamtąd wrócił, w ogóle się do mnie nie odezwał, pochłonięty rozmową ze strażnikami. Jeden z nich otworzył mu drzwi frontowe.

- Dobranoc - powiedziałam. - I do widzenia. Dziękuję...

Trzymał już rękę na ozdobnej posrebrzanej klamce. Odwrócił się do mnie i mruknął coś pod nosem. Potem nacisnął klamkę, otworzył drzwi i wyszedł w ciemność. Ja zaś wróciłam na górę, by spakować rzeczy.

Miałam tam swoje plastikowe torebki, a w nich okruszek owadziego skrzydełka, biały włoszek wyjęty z oprawy i malutkie próbki, nie większe od kropki na końcu zdania, które pobrałam z plam na pergaminowych kartkach. Schowałam wszystko storniannie do walizeczki. Potem przejrzałam jeszcze raz notes, by się upewnić, że o niczym nie zapomniałam. Rzuciłam okiem na notatki z pierwszego dnia, kiedy rozmontowywałam oprawę. Zobaczyłam uwagę na temat wgłębień w okładce i brakujących klamer.

Żeby dostać się z Sarajewa do Londynu, trzeba lecieć przez Wiedeń. Planowałam wykorzystać przesiadkę do załatwienia dwóch spraw. Miałam w Wiedniu starą znajomą, entomolożkę, która pracowała w Naturhistorisches Museum. Mogłaby zidentyfikować dla mnie ten owadzi fragment wydobyty z oprawy haga-dy. Chciałam też odwiedzić swojego starego nauczyciela Wenera Heinricha. Ten kochany człowiek, życzliwy i uprzejmy, był dla mnie kimś w rodzaju dziadka, którego nigdy nie miałam. Wie-działam, że chętnie posłucha relacji z mojej pracy nad hagadą z Sarajewa, a poza tym potrzebowałam jego rady. Może dzięki jego stosunkom uda mi się pokonać biurokratyczne przeszkody w muzeum, gdzie hagadę oprawiono ponownie w 1894 roku. Jeśli wyrobię sobie wstęp do archiwów, może zdołam odnaleźć dokumentację ówczesnego stanu książki. Schowałam notes do walizki. Na koniec wsunęłam tam dużą manilową kopertę z na-drukiem szpitala.

Posłużyłam się podstępem i niby w imieniu swojej matki poprosiłam o „dokumentację medyczną syna doktora Karamana w celu konsultacji”. Nawet tu znali jej nazwisko. Była współ-autorką fundamentalnej pracy o tętniakach mózgu. Nie miałam zwyczaju prosić jej o przysługi, ale powiedziała, że wybiera się do Bostonu, żeby wygłosić referat na corocznym zjeździe ame-rykańskich neurochirurgów. Ja zaś miałam w Bostonie klienta, multimilionera i poważnego kolekcjonera manuskryptów, który chciał, bym dokonała ekspertyzy pewnego kodeksu mającego trafić na aukcję w Houghton Library.

Australijczycy są przyzwyczajeni do podróży. Kiedy się dora-sta w tym kraju, pół dnia czy nawet cała doba spędzona w samo-locie nie robi specjalnego wrażenia. Ośmiogodzinny skok przez Atlantyk z Europy do Stanów to dla nas małe piwo. Poza tym mój klient postanowił opłacić mi bilet pierwszej klasy, którą latałam nieczęsto. Wyliczyłam sobie, że mogę wyskoczyć do Ameryki, załatwić swoje sprawy i zdążyć do Tatę Gallery. W innej sytu-acji tak bym sobie wszystko rozplanowała, żeby się przypadkiem nie spotkać z matką. Potem wystarczyłby jeden telefon: „Co za szkoda, że się nie spotkałyśmy!” - powiedziałyby nieszczercze jedna z nas, a druga poskarżyłaby się równie obłudnie na pe-cha. Wczoraj wieczorem, kiedy zaproponowałam matce, byśmy się naprawdę spotkały w Bostonie, w telefonie zaległa minutowa cisza, przerywana jedynie trzaskami na linii Sarajewo-Sydney. W końcu odpowiedziała bezbarwnym głosem: „To by było bardzo miłe. Spróbuję znaleźć trochę czasu”.

Nie zadałam sobie pytania, dlaczego angażuję się w tę spra-wę. Czemu pakuję się z butami w czyjeś życie, dlaczego działam wbrew woli tego

człowieka, życzeniu, którego nie można było wyrazić jaśniej. Pewnie dlatego, że notorycznie muszę wszystko wiedzieć. Na tej zasadzie skany mózgu Alii interesowały mnie tak samo jak miniaturowe próbki pobrane z hagady. Zawierały informacje, które specjaliści mogli dla mnie odczytać.

V

Wyglądało na to, że upadek komunizmu wyszedł Wiedniowi na dobre. Kiedy moja taksówka przebijała się przez zapchaną Ringstrasse, wszędzie widziałam wylaniające się zza tortowatych fasad dźwigi budowlane. Promienie słońca odbijały się wesoło od świeżo pozłożonych fryzów Hofburga, a maszyny do piaskowania przywracały ciepłą kremową barwę dziesiątkom neorenesansowych budowli, które od lat pokrywały się miejskim brudem. Zachodni kapitaliści potrzebowali widać nowych wymuskanych siedzib dla swoich joint ventures, które zakładali z partnerami pochodzącymi z sąsiednich krajów, należących dawniej do bloku sowieckiego.

Kiedy byłam w Wiedniu na początku lat osiemdziesiątych, jeszcze jako praktykantka, miasto wyglądało szaro i brudnawo. Wszystkie domy pokryte były kopciem, chociaż wtedy nie zdałam sobie z tego sprawy, bo myślałam, że tak musi być, że tak je zbudowano. Ogólnie Wiedeń sprawiał dość przygnębiające wrażenie. Położenie miasta na krańcu Europy Zachodniej czyniło z niego wysuniętą placówkę zimnej wojny. Postawne panie i odziani w loden panowie prowadzili tu swą stateczną burżuazyjną egzystencję w atmosferze, która wydawała się trochę podminowana, jakby czymś naładowana, niczym powietrze po burzy. Ale lubiłam tutejsze złożone rokokowe kawiarnie i wszechobecną muzykę - to był puls i rytm serca tego miasta. Wedle miejscowego dowcipu, jeśli ktoś na wiedeńskiej ulicy idzie bez instrumentu pod pachą, to znaczy, że jest pianistą, harfistą albo zagranicznym szpiegiem. Na ogół nie kojarzy się Wiednia z centrum nauk ścisłych czy zaawansowanych technologii. Moja stara znajoma, entomolożka Amalie Sutter, zajmuje się naukami przyrodniczymi i prowadzi nowoczesne laboratorium w Naturhistorisches Museum. Poznałam ją przed wielu laty, kiedy była tuż po doktoracie, a spotkałyśmy się bardzo daleko od złożonych wiedeńskich kawiarni, bo na zboczach góry w odległym zakątku północnego Queenslandu. Mieszkała tam w postawionym do góry nogami starym przerdziałym zbiorniku na wodę. W tamtych czasach ja byłam plecakiowym włóczykijem. W wieku szesnastu lat, najwcześniej jak tylko zdołałam, rzuciłam swoją drogą elitarną szkołę. Już wcześniej robiłam co mogłam, by mnie z niej

wyrzucili, ale oni za bardzo bali się mamy, chociaż wyczyniałam okropne rzeczy. Opuściłam więc nasz pałacowy dom i przyłączyłam się do bandy trampów

- zdrowych skandynawskich dzieciaków, odjechanych surferów i wychudzonych ćpunów - by podryfować na północ, do Byron Bay, a potem wzdłuż wybrzeża za Cairns i Cooktown, gdzie nogi poniosą. Zrobiłam kawał drogi, żeby zejść matce z oczu, aż w końcu spotkałam kogoś, kto bardzo ją przypominał - prawie był nią, ale w równoległym świecie. Amalie rzeczywiście była jak matka, tylko bez pretensji towarzyskich i wygórowanych ambicji materialnych. Ale podobnie jak moja mama żyła swoją pracą

- zajmowała się studiami nad tym, jak niektóre gatunki motyli wykorzystują mrówki do ochrony swoich gąsienic przed drażniącymi. Pozwoliła mi zostać w swoim zbiorniku i nauczyła wszystkiego o kompostowych toaletach i słonecznych prysznicach. Choć wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, teraz myślę, że tamte tygodnie w górach - kiedy obserwowałam, jak z pasją przygląda się światu wokół, by dowiedzieć się czegoś nowego o mechanizmach jego funkcjonowania - pchnęły mnie z powrotem do Sydney, gdzie miałam zacząć nowe prawdziwe życie. Po latach, gdy przyjechałam do Wiednia i zgłosiłam się na praktykę do Wenera Heinricha, znów trafiłam na Amalie. Werner poprosił mnie, żebym sprawdziła DNA wszy, którą wydobył z jakiejś oprawy - i ktoś powiedział mi, że najlepsze laboratorium zajmujące się identyfikacją kodu DNA mieści się w Naturhistorisches Museum. Zdziwiłam się, bo to muzeum wydawało mi się przybytkiem z zamierzchłych czasów, skarbnicą wypchanych zwierząt zżeranych przez mole i osobliwych kamieni zbieranych przez dziewiętnastowiecznych gentlemanów. Lubiłam po nim błądzić, bo nigdy się nie wiedziało, na co człowiek trafi. To był gabinet osobliwości, a nie nowoczesne muzeum. Krążyła plotka - której jednak nigdy nie zweryfikowałam - że trzymano tam głowę tu-reckiego wezyra, odciętą podczas oblężenia Wiednia w 1683 roku. Może przetrzymywali ją w podziemiach, bo ja jej nie widziałam. Laboratorium Amalie Sutter stało na najwyższym poziomie, jeśli chodzi o badania z zakresu biologii ewolucyjnej. Pamiętam, że niełatwo było do niego trafić: należało wjechać windą na drugie piętro i przejść wzdłuż szkieletu diplodoka, a na wysokości jego szczęki skręcić w lewo - w głębi znajdował się jej pokój.

Kiedy teraz znów tam dotarłam, jakaś asystentka powiedziała mi, że doktor Sutter wyszła do pracowni. Pokazała, gdzie to jest. Gdy

otworzyłam drzwi, uderzył mnie zapach naftaliny. W głębi zobaczyłam Amalie. Prawie się nie zmieniła - ślęczała nad jakąś szufladą, z której było srebrzystobłękitne światło.

Ucieszyła się na mój widok, ale chyba jeszcze bardziej z powodu sprawy, z którą do niej przyszedłam.

- Myślałam, że przyniosłaś mi kolejną wiesz książkową...

Wtedy, we wczesnych latach osiemdziesiątych, musiała zmiażdżyć mojego owada, żeby pobrać z niego próbkę DNA, potem ją zamplifikować, a wreszcie poczekać parę dni na analizę.

- ...ale z tym - powiedziała, przyglądając się zawartości mojej plastikowej torebki - nie będzie wiele zachodu, tak mi się przynajmniej zdaje. To chyba mój stary znajomy...

-Mól?

-Nie, to nie mól...

- Ale raczej nie motyl?

Wiedziałam, że w książkach nie znajduje się szczątków motyli, bo nie są to w zasadzie stworzenia domowe. Co innego mole.

-A jednak...

Wstała i przeszliśmy z pracowni do jej gabinetu, gdzie rozejrzała się po półkach z książkami, sięgających od podłogi po sufit. Wyciągnęła wielki tom poświęcony żyłkom na owadach skrzydłach. Potem pchnęła drzwi, na których nalepiono jej wielkie zdjęcie z czasów, gdy kończyła studia. Fotografie zrobiono gdzieś w malajskiej dżungli. Miała wtedy w rękach czterometrową siatkę na motyle. Zadziwiające, jak mało się zmieniła od tamtych czasów. Myślę, że to ten niezwykły entuzjazm tak ją konserwował. Za drzwiami mieściło się błyszczące laboratorium.

Zobaczyłam laborantów z pipetami w dłoniach; inni obserwowali na monitorach paski DNA. Amalie umieściła moje znalezisko na szkiełku pod obiektywem potężnego mikroskopu.

- Cześć, kochanie - powiedziała po chwili. - Poznałam cię...

Uśmiechnęła się do mnie. Nie musiała nawet sprawdzać w swoim wielkim tomie. - To niepylak mnemosyna, Parnassius mnemosyne leonhardiana.

Występuje w całej Europie...

Cholera! Byłam rozczarowana i dałam to po sobie poznać. A więc owadzi ślad nic mi nie powie. Amalie uśmiechnęła się znowu.

- Żadnych rewelacji? - domyśliła się.

Skinęła na mnie, żebym zeszła z nią do magazynu wypełnionego jakimiś zbiorami. Zatrzymała się przed dużą metalową szafą. Wyciągnęła drewnianą szufladę. Całe zastępy niepylaków w różnych stadiach rozwoju

tkwiły bez ruchu nad kaligraficznie wypisanymi etykietkami.

Motyle były naprawdę urocze na swój subtelny, stonowany sposób. Miały kremowe skrzydełka z czarnymi kropkami, ich dolna część była niemal przezroczysta, jak szkło ołowiane. Czarne żyłki dzieliły skrzydełka na mniejsze tafelki.

- Z pewnością nie są najefektowniejnymi motylami świata - powiedziała Amelie. - Ale zbieracze je lubią. Może dlatego, że trzeba się nachodzić po górach, żeby złapać jakiś okaz.

Zamknęła szufladę.

- Występują w całej Europie, to fakt. Ale trzymają się ekosystemów górskich, nawet wysokogórskich. Gąsienice niepylaka żerują na ostróżce, która rośnie na zboczach, na kamienistych glebach. Wygląda więc na to, że twój manuskrypt zawędrował kiedyś w góry, może w Alpy?

Rozdział 2

Owadzie skrzydełko

Sarajewo, 1940

Tu jest mogiła.

Przysiąć na chwilę, kiedy las nasłuchuje.

Zdejmij czapkę,

Tu spoczywa kwiat ludzi, którzy wiedzieli,
jak umierać.

Inskrypcja na pomniku ofiar II wojny światowej,

Bośnia

Z nad Miljacki uderzył lodowaty podmuch, mocny jak poli-czek. Cienki płaszczyk Loli nie dawał żadnej ochrony. Prze-biegła przez wąski most. Ręce wepchnęła głęboko do kieszeni. Po drugiej stronie rzeki wznosiły się strome schody z niedbale obrobionych kamieni. Prowadziły do labiryntu ciasnych uli-czek zabudowanych lichymi czynszówkami. Lola wbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i zagłębiła się w drugą uliczkę z lewej. Tu wreszcie znalazła osłonę przed bezlitosnym wiatrem.

Nie było jeszcze północy, więc brama do kamienicy była otwarta. We wnętrzu panował ziąb niewiele mniejszy niż na ulicy. Musiało minąć parę chwil, nim doszła do siebie i złapa-ła równiejszy oddech. Na klatce schodowej wisiał ciężki zaduch gotowanej kapusty i kociego moczu. Wspięła się po schodach i delikatnie nacisnęła klamkę rodzinnego

mieszkania. Sama nie wiedziała, czemu wyciągnęła instynktownie prawą rękę, żeby dotknąć mezuzy na futrynie. Zdjęła płaszcz, rozsznurowała buty i wzięła je w rękę, kiedy mijała na palcach posłanie rodziców. Ich mieszkanie było jednoizbowe i tylko dzieląca je na pół kotara dawała złudzenie prywatności.

Jej małą siostrzyczkę ledwie było widać pod kołdrą. Lola uniosła nieco pościel i wśliznęła się do łóżka. Dora spała zwińnięta w kłębek jak zwierzątko, promieniując jakże teraz pożądanym ciepłem. Chcąc się rozgrzać, przytuliła się do pleców siostry. Dziecko zaprotestowało przez sen, zaczęło nawet cicho popłakiwać i odsunęło się od Loli, musiała więc rozgrzać lodowate dłonie pod własnymi pachami. Pomimo zimna wciąż czuła rumieniec na twarzy, a i spocona w tańcu głowa jeszcze nie całkiem wyschła. Gdyby ojciec się obudził, mógłby to zauważyć.

Lola uwielbiała taniec. Właśnie dlatego tak ją ciągnęło na spotkania Młodych Strażników. Lubiała też wycieczki, długie wyrypy nad górskie jeziora albo do ruin starych zamków. O resztę nie dbała. No i ten hebrajski... nie przepadała za czytaniem nawet we własnym języku, znacznie łatwiejszym od czarnych zakrętasów, do których chciał ją przekonać Mordechaj.

Pomyślała o jego ramieniu, obejmującym ją w tanecznym kręgu. Wciąż czuła przyjemny ciężar tego ramienia, muskularnego od ciężkiej pracy na roli. Kiedy podwijał rękawy, ukazywały się ręce ciemne i twarde jak orzechy laskowe. Nawet kiedy nie znała jakichś tanecznych kroków, bez trudu podążała za jego ruchami. A on uśmiechał się, by dodać jej odwagi. Mieszkanka Sarajewa - nawet tak biedna jak Lola - nigdy nie spojrzęłaby życzliwym okiem na bośniackiego chłopca. Ludzie z tego miasta mieli się zawsze za lepszych od wieśniaków, nawet zamożnych. Ale z Mordechajem to była zupełnie inna sprawa. Choć napracował się w polu, nie pochodził ze wsi, tylko z Trawnika, miasta, które nie mogło się oczywiście równać z Sarajewem, niemniej jednak miało swój urok. No i był chłopakiem wykształconym - chodził do gimnazjum. Ale dwa lata temu, kiedy miał siedemnaście lat, popłynął do Palestyny, żeby popracować na farmie - a z tego, co opowiadał, nie było to bogate gospodarstwo, lecz kawałek suchej, jałowej ziemi, gdzie trzeba było wypruć sobie żyły, żeby doczekać jakichś plonów. I nic się nie zarabiał - dostawało się tylko coś do jedzenia i robocze ubranie na grzbiet. Nawet bośniaccy chłopcy żyli lepiej. A jednak kiedy mówił o palestyńskich doświadczeniach, wydawało się, że nie ma na świecie bardziej fascynujących i szlachetniejszych zajęć niż kopanie kanałów irygacyjnych czy zbieranie daktyli. Lola uwielbiała

słuchać, jak Mordechaj opowiadał o tych wszystkich rzeczach, których pionierzy muszą się nauczyć - jak unikać skorpionów, jak budować latryny, jak wznieść dla siebie dach nad głową. Wiedziała, że nigdy nie opuści domu, żeby wieść pionierskie życie w Palestynie, ale lubiła rozmyślać o pełnym przygód życiu, które wymagałoby takich umiejętności. I lubiła myśleć o Mordechaju. Forma jego opowieści przypominała Loli stare pieśni ladino*, które śpiewał jej dziadek, gdy była jeszcze mała. Dziadek miał stragan z nasionami na bazarze i matka zostawiała tam czasami Lolę, kiedy musiała coś pilnie załatwić. Dziadek znał mnóstwo opowieści o rycerzach i hidalgach, a także wiele wierszy z magicznej krainy zwanej Sefarad**, gdzie dawno temu mieszkali ich przodkowie. Mówił też, że chciałby już być w Erec Israel, Ziemi Izraela: „Zazdroszczę tamtejszym Żydom każdego poranka, kiedy wschodzące słońce złoci białe skały doliny Jordanu”.

Lola przez dłuższy czas nie zabierała głosu w grupowych dyskusjach. Czuła się głupia w porównaniu z innymi. Wielu kolegów Mordechaja wywodziło się z rodzin aszkenazyjskich, mówiących w jidysz. Język ten pochodził z niemieckiego dialektu i był zupełnie niepodobny do ladino. Ludzie, którzy go używali, pojawili się w Bośni pod koniec XIX wieku, kiedy rządy nad prowincją przejęły Austro-Węgry. Natomiast rodziny posługujące się ladino żyły w Sarajewie od 1565 roku, gdy miasto należało do imperium otomańskiego, a muzułmański sułtan zaoferował tu schronienie Żydom, których wypędzono z Półwyspu Iberyjskiego. Wielu wygnanców błąkało się po świecie, nie mogąc sobie znaleźć stałych siedzib.

* Ladino - język Żydów iberyjskich, łączący w sobie elementy języków starokastylijskiego i hebrajskiego - przyp. tłum.

** Sefarad to hebrajskie określenie Hiszpanii i Portugalii. Po wypędzeniu z Hiszpanii w 1492 roku tamtejsi Żydzi osiedlali się licznie na terenach znajdujących się pod panowaniem islamu, m.in. w Palestynie - przyp. tłum.

W Sarajewie czekało ich życzliwe przyjęcie i spokój, ale tylko parę rodzin prosperowało naprawdę dobrze. Większość utrzymywała się - jak dziadek Loli - z drobnego dorywczego handlu albo z prostego rzemiosła. Żydzi mówiący w jidysz byli lepiej wykształceni i mieli szersze, europejskie horyzonty. Bardzo szybko opanowali co lepsze stanowiska i nawiązali kontakty z wyższymi sferami Sarajewa. Swoje dzieci posyłali do

gimnazjum, a nawet na uniwersytet. Właśnie ta młodzież przewodziła w organizacji Młodych Strażników.

Należała do nich córka rajcy miejskiego, był też syn aptekarzy - wdowy, u której prała matka Loli. Ojciec innej dziewczyny zajmował się buchalterią w ministerstwie finansów. Tata Loli też tam pracował, ale jako woźny. Ponieważ jednak Mordechaj traktował wszystkich tak samo, Lola nabrała stopniowo pewności siebie i wreszcie zdobyła się na odwagę, by zadać mu pytanie:

- Ale powiedz, Mordechaju - poprosiła nieśmiało - czy nie cieszysz się, że znów jesteś w domu, w swoim kraju? Że mówisz w swoim języku i nie musisz tak ciężko harować?

Mordechaj uśmiechnął się lekko.

- Tylko że to nie jest mój kraj - odparł łagodnie. - Twój też nie. Jedynym prawdziwym domem Żydów jest Ziemia Izraela. A ja wróciłem tu po to, by wam opowiedzieć o życiu, jakie możecie prowadzić. Żeby was do niego przygotować, a potem wrócić tam razem z wami, żeby wspólnie budować naszą żydowską ojczyznę.

Wyciągnął ręce, jakby chciał ją razem ze wszystkimi uściskać.

- Jeśli będziecie tego naprawdę chcieli, tak się stanie*. - Zrobił krótką pauzę, jakby chciał, by jego słowa zapadły im głębiej w dusze.

* Aluzja do słów Teodora Herzla (1860-1904), ojca syjonizmu politycznego, który powiedział: „Jeśli Żydzi zechcą, będą mieli swoje państwo” - przyp. red.

- Tak powiedział pewien wielki człowiek i ja mu wierzę. A jak jest z tobą, Lola? Czy chcesz zrealizować swoje marzenia, sprawić, by stały się rzeczywistością?

Lola oblała się rumieńcem, a Mordechaj znów się uśmiechnął. Zwrócił się teraz do całej grupy:

- Pomyślcie, czego naprawdę chcecie... Pozostać miejskimi gołębiami i wróblami, które zabiegają o rzucane z łaski okruchy, czy też jak pustynne jastrzębie żeglować majestatycznie w powietrzu wedle własnej woli? Izak, syn aptekarzy, był wątłym, rozmiłowanym w nauce chłopcem o rękach i nogach cienkich jak zapalki. Matka Loli uważała, że to z nadmiaru nauki; sądziła, że aptekarzowa nie miała pojęcia, jak wychowywać i karmić dorastającego chłopaka. Teraz, jako jedyny z obecnych, Isak zachnął się nerwowo, słysząc retoryczny popis Mordechaja. Ten zaś od razu to zauważył i postanowił unieszkodliwić

sceptyka całą siłą swej życzliwości:

- O co chodzi, Izak? Czy chciałbyś się podzielić z nami jakąś myślą?

Izak poprawił na nosie okulary w drucianej oprawie.

- Może to, co mówisz, jest prawdą w odniesieniu do Żydów z Niemiec - zaczął. - Wszyscy słuchamy z przerażeniem wieści stamtąd. Ale tu jest inaczej. W Sarajewie nigdy nie dokuczał nam antysemityzm. Spójrz, gdzie stoi nasza synagoga - między meczetem i cerkwią. Wybacz, ale Palestyna jest domem Arabów, nie twoim. A już na pewno nie moim. My jesteśmy Europejczykami. Czemu mamy porzucić kraj, który dał nam utrzymanie i wykształcenie, i zostać wieśniakami wśród ludzi, którzy nas wcale nie chcą?

- A więc dobrze ci z takim życiem gołębia? - odparował Mordechaj z uśmiechem, ale też z zamiarem pograżenia Izaka, oczywistym nawet dla Loli.

Izak podrapał się po głowie.

- Może i tak - przyznał. - Gołębie nie robią przynajmniej nikomu krzywdy, a taki jastrząb żyje kosztem innych stworzeń zamieszkujących pustynię. Lola przysłuchiwała się ich sporom tak długo, aż rozboleła ją głowa. Nie mogła się zdecydować, komu przyznać rację. Teraz przewracała się na cienkim materacu, próbując uspokoić myśli. Chciała szybko zasnąć. Jeśli teraz się nie wyśpi, jutro może znowu przysnąć przy pracy, a wtedy ojciec będzie chciał znać przyczynę. Lola pracowała w pralni ze swoją matką Raszela. Jej zadaniem było roznoszenie po mieście upranej bielizny i zbieranie brudnych rzeczy. Gotowała też w wielkich kotle wodę do prania.

Jej ojciec Lujo nie był człowiekiem surowym, ale lubił porządek i miał praktyczne podejście do życia. Początkowo pozwalał Loli chodzić na zebrania Młodych Strażników - po hebrajsku Ha-Szomer ha-Cair - o ile uwinęła się ze wszystkimi pracami zleconymi przez matkę. Przyjaciel ojca imieniem Mosa, który był odźwiernym miejscowej gminy żydowskiej, wyrażał się o tej organizacji jak najlepiej. Mówił, że szomrowie to porządna i spokojna młodzież, coś w rodzaju skautów. Ale kiedyś Lola usnęła w pracy i pozwoliła, by zgasł ogień pod kotłem, w którym gotowało się pranie. Matka zbeształa ją, a ojciec spytał, czemu jest taka senna. Kiedy się wydało, że na zebraniu tańczyli razem, dziewczęta i chłopcy, horę, zabronił jej chodzenia na spotkania Młodych Strażników. „Masz dopiero piętnaście lat, córko. Jak trochę podrośniesz, znajdziemy ci miłego narzeczonego i wtedy będziesz mogła się wytańczyć do woli”. Błagała, by cofnął zakaz, przyrzekała, że będzie siedziała podczas

tańców. „Mogę się tam nauczyć różnych rzeczy” - powiedziała.
„Ciekawe jakich - odparł ojciec. - Czy będzie z tego jakiś chleb dla rodziny? Wątpię. To są jakieś zwariowane idee. Z tego, co słyszałem, ruch szomrów zalatuje komunizmem. W naszym kraju są to idee zakazane i mogą cię wpędzić w kłopoty. A ten martwy język, którym nikt nie mówi, zostaw garstce starców w synagodze. Prawdę mówiąc, nie wiem, co się tak podobało Mo-sie w tej waszej organizacji. Muszę strzec twojego honoru, nawet jeśli inni już zapomnieli o takich wartościach. Owszem, nie mam nic przeciwko niedzielnym wycieczkom - o ile matka nie będzie miała dla ciebie jakichś poleceń. Ale od dziś spędzasz wieczory w domu, moja panno”.

Od tej pory Lola musiała prowadzić uciążliwe podwójne życie. Szomrowie spotykali się wieczorami, dwa razy w tygodniu. W tych dniach kładła się do łóżka wcześniej, razem ze swoją małą siostrzyczką. Czasami, kiedy za dnia miała dużo pracy, z najwyższym trudem udawało się jej nie zasnąć obok delikatnego, cichutko oddychającego ciała Dory. Zwykle jednak dużo myślała o nadchodzącym spotkaniu i to odpędzało sen. Kiedy pochrapywanie rodziców potwierdzało, że jest już wolna, wskakiwała szybko w ubranie i wyslizgiwała się z domu, mając nadzieję, że nie zauważy jej żaden sąsiad.

Tego wieczoru Mordechaj obwieścił grupie, że wyjeżdża. Lola w pierwszej chwili nie zrozumiała.

- Jadę do domu - powiedział, a ona sądziła, że chodzi mu o Trawnik. Dopiero później domyśliła się, że zamierza znów popłynąć do Palestyny - i że już go nigdy nie zobaczy. Zaprosił wszystkich, by go pożegnali na dworcu. Potem powiedział jeszcze, że razem z nim postanowił wyjechać Awram, czeladnik drukarski.

- On jest pierwszy. Mam nadzieję, że dołączy do niego wielu z was. - Rzucił okiem na Lolę. Wydało się jej, że spojrzał na nią dobitniej niż na innych. - Kiedykolwiek przyjedziecie, będziemy was witać...

W dniu wyjazdu Mordechaja i Awrama Lola bardzo chciała pójść na dworzec, ale matka miała akurat mnóstwo roboty w pralni. Raszela machała ciężkim żelazkiem, a Lola zajęła swoje zwykłe stanowisko przy kotle i maglownicy. Gdy nadeszła pora odjazdu Mordechaja, mogła jedynie oglądać szare ściany pralni; na chłodnych kamieniach skraplała się para, ściekając wąskimi strużkami. Nozdrza wypełniał zapach pleśni. Lola próbowała sobie wyobrazić to gorące białe światło słoneczne, o którym opowiadał, srebrzące liście drzew oliwnych i zapach kwitnących drzewek pomarańczowych, rosnących w otoczonych kamiennymi murkami

ogrodach Jerozolimy.

Miejsce Mordechaja jako przywódcy grupy zajął człowiek imieniem Samuel. Znał się dobrze na różnych pionierskich technikach, ale brak mu było tej charyzmy, którą miał Mordechaj i która spędzała Loli sen z powiek w oczekiwaniu wieczornego spotkania. Coraz częściej zdarzało jej się usnąć jeszcze przed rodzicami. Budził ją dopiero głos chodzący, zwołujący wiernych mużulmanów na wieczorną modlitwę. Zdawała sobie wtedy sprawę, że przegapiła zebranie szomrów, ale nie bardzo rozpacziała z tego powodu.

Za każdym razem, kiedy ktoś z grupy wyruszał w ślad za Mordechajem i Awramem do Palestyny, żegnano go tłumnie na dworcu kolejowym. Czasami dawni szomrowie pisali do kolegów, którzy zostali w Sarajewie. Ich listy były takie same - że ciężko pracują, ale ta ziemia warta jest każdego wysiłku, a bycie Żydem budującym żydowską ojczyznę to najpiękniejsza sprawa na świecie. Lola czasami zastanawiała się na tych listach. Czy takie życie naprawdę wszystkim odpowiada? Czy nikt z nich rzeczywiście nie tęskni za Bośnią? Wydawało się, że wszyscy, którzy wyjechali, stopili się w jedną osobę, mówiącą wciąż tym samym monotonnym głosem.

Wyjazdy nasiliły się wraz z napływem coraz gorszych wieści z Niemiec. Po aneksji Austrii Trzecia Rzesza graniczyła z królestwem Jugosławii. Ale tu, w centrum kraju, życie biegło jak dawniej. Starzy ludzie spotykali się przy kawie i plotkowa-ili, a w piątkowe wieczory celebrowano Oneg Szabat*. Nie było poczucia zagrożenia, choć rząd przymykał oko na wybryki faszystujących band zaczepiających na ulicy Żydów i wdających się w bijatyki z Cyganami. „To zwykła hołota - mawiał Lujo. - W każdej społeczności są takie typy, nawet wśród nas. Incydenty bez znaczenia”.

* Oneg Szabat (hebr.) - „rozkosz szabatu” (przyp. tłum).

Czasami, kiedy Lola zabierała rzeczy do prania z jakiegoś mieszkania w zamożniejszej dzielnicy, widywała Izaka, zawsze z grubymi książkami pod pachą. Był już na uniwersytecie, studiował chemię jak niegdyś jego ociec. Lola miała chęć z nim porozmawiać, zapytać, co sądzi o wybrykach chuliganerii albo o upadku Francji. Ale wstydziła się swojego tłumoka pełnego brudnej, niepięknie pachnącej bielizny. Nie była też pewna, czy potrafi zadać te pytania w taki sposób, żeby nie zrobić z siebie idiotki. Kiedy Stela Kamal posłyszała lekkie pukanie do drzwi swojego mieszkania, sięgnęła do czepek i spuściła na twarz koronkową woalkę.

Mieszkała w Sarajewie od ponad roku, ale nie wyzbyła się jeszcze konserwatywnych zwyczajów z kosowskiej Prisztiny, gdzie żadna porządna muzułmańska rodzina nie pozwoliłaby swoim kobietom na pokazywanie twarzy obcym mężczyznom.

Jednak tego popołudnia nie zapukał do jej drzwi żaden mężczyzna. W progu stała dziewczyna z pralni, zamówiona przez męża Steli. Aż żal było patrzeć na tę biedaczynę. Dźwigała wielki wiklinowy kosz z uprasowaną czystą bielizną, a na ramieniu miała płócienną torbę na brudne rzeczy.

Stela zaproponowała jej coś gorącego do picia.

Z początku Lola nie mogła zrozumieć, co pani domu do niej mówi - a to przez silny albański akcent. Stela odgarnęła z twarzy woalkę i powtórzyła propozycję, wykonując gest, jakby nalewała kawy z dżezwy. Lola zgodziła się bardzo chętnie - na dworze panowało przenikliwe zimno, a ona miała już w nogach wiele kilometrów. Stela zaprosiła ją ruchem ręki do wnętrza, sama po-deszła do mangali, gdzie żarzyły się gorące węgle. Nasypała mielonej kawy do dżezwy, zalała wodą i pozwoliła, by napój dwa razy króciutko zagotował się na węglach.

Bogaty aromat sprawił, że Loli ślina napłynęła do ust. Rozejrzała się wokół. Nigdy jeszcze nie widziała tylu książek. Zapęłniały ściany od podłogi po sufit. Mieszkanie nie było duże, ale wszystkie sprzęty wydawały się zgrabnie rozmieszczone, jakby zdążyły się już uleżeć i dopasować. Na niskich stolikach, wyłożonych w tureckim stylu macicą perłową, leżały jeszcze inne pootwierane książki. Kilimy w stonowanych barwach ocieplały nawoskowane na wysoki połysk podłogi. Mangala była bardzo stara, z błyszczącej miedzianej blachy. Jej półokrągłą osłonę zdobiły gwiazdy i półksiężycy.

Stela odwróciła się i podała Loli delikatny porcelanowy filiżan, również ozdobiony motywem gwiazd i półksiężyców. Uniosła dżezwę i z wysoka naląła kawy długim ciemnym strumieniem. Lola wzięła czarkę w obie dłonie i poczuła, jak wonna para pieści jej twarz. Popijając mocną kawę, zerknęła znad czaruki na młodą muzułmankę, która była panią tego domu. Nawet w mieszkaniu nosiła na związanych włosach biały jedwabny szal, a do tego czepek z koronkową woalką, którą mogła w każdej chwili osłonić twarz, jeśli wymagałyby tego względy przyzwoitości. Młoda kobieta była bardzo piękna, miała ciepłe ciemne oczy i kremową cerę.

Z pewnym zaskoczeniem Lola stwierdziła, że muzułmanka była w tym samym wieku co ona. Poczowała ukłucie zazdrości. Dłonie Steli były gładkie i białe, a nie zaczerwienione i spękane jak jej. To musi być bardzo przyjemne wieść takie lekkie życie - mieszkać sobie wygodnie i mieć

innych do ciężkiej roboty.

Później Lola zauważyła fotografię w srebrnej ramce, przedstawiającą młodą kobietę podczas jakiejś uroczystości - to musiał być jej ślub! - ale z miną smutną, a w każdym razie niewesołą. Obok stał mężczyzna, wysoki i dystyngowany, w fezie i ciemnym surducie. Wyglądał na dwa razy starszego od swej żony. No cóż - zaaranżowane małżeństwo, nie nadzwyczajnego. Lola słyszała, że zgodnie z albańską tradycją panna młoda musi stać cały dzień bez ruchu i nie wolno jej brać żadnego udziału w uroczystościach weselnych. Nawet uśmiech uważano za niewybaczalny przejaw braku skromności. Lola, przyzwyczajona do dzikiej radości panującej w czasie żydowskich wesel, nie mogła sobie wyobrazić czegoś takiego. Zastanawiała się, czy to prawda, czy też złośliwa plotka z rodzaju tych, jakie rozpuszczają o sobie nawzajem różne społeczności żyjące w sąsiedztwie. Patrząc na zdjęcie, poczuła, że opuszcza ją zazdrość. Ona przynajmniej wyjdzie za kogoś młodego i silnego. Jak Mordechaj. Stela zauważyła, że Lola przygląda się fotografii.

- To mój mąż, Serif effendi Kamal - powiedziała z uśmiechem, lekko zaczerwieniona. - Może go znasz? Chyba większość ludzi w Sarajewie go zna...

Lola pokręciła głową. Bo i jakim cudem jej biedna i nie-wykształcona rodzina mogłaby mieć coś wspólnego z licznym i wpływowym klanem muzułmańskich intelektualistów? Wszak Kamalowie dali Bośni wielu muftich, najwyższych dostojników religijnych.

Serif Kamal studiował teologię na uniwersytecie w Stambule oraz języki orientalne na paryskiej Sorbonie. Był profesorem i wyższym urzędnikiem w ministerstwie wyznań religijnych, a następnie został naczelnym bibliotekarzem w Muzeum Narodowym. Mówił dziesięcioma językami i pisał prace naukowe z historii i architektury, choć jego specjalnością pozostawały studia nad starymi manuskryptami. Jego pasją była literatura powstająca na sarajewskim skrzyżowaniu kultur: liryka tworzona przez muzułmańskich Słowian w klasycznej arabszczyźnie, nawiązująca do klasycznych form sonetów Petrarcki, przeniesionych w głąb Bałkanów z dalmackiego wybrzeża. Serif długo odkładał ślub, skupiając się na studiach, a w końcu wziął sobie żonę po prostu dlatego, by uciszyć krytyczne uwagi rodziny i znajomych. Pewnego razu odwiedził ojca Steli, który uczył go języka albańskiego. Stary profesor zaczął mu robić docinki z racji zbyt długiego pozostawania w kawalerskim stanie. Serif rzucił od niechcienia, że ożeni się chętnie, ale tylko wtedy, gdy jakiś dobry przyjaciel odda mu swoją córkę. Ani się obejrzał, a już miał żonę. Minął

od tego czasu rok z okładem, on jednak wciąż nie mógł się nadziwić, ile szczęścia wniosła w jego życie młoda małżonka. Szczególnie od kiedy okazało się, że jest brzeźmienna.

Stela starannie złożyła rzeczy przeznaczone do prania. Wręczyła je Loli niemal z zawstydzeniem. Zawsze sama prała swoje stroje. Uważała, że tak powinno być. Ale od kiedy spodziewała się dziecka, Serif uznał, że powinna się oszczędzać. Lola chwyciła kosz, podziękowała za kawę i ruszyła w swoją drogę.

Kwietniowego poranka, kiedy topniejące w górach śniegi uwolniły zapach traw, na Belgrad spadły formacje niemieckich bombowców nurkujących Ju-87 Stuka. Armie czterech nieprzyjacielskich państw* przekroczyły granice Jugosławii. Nie minęły nawet dwa tygodnie i armia jugosłowiańska musiała się poddać. Niemcy oddali Sarajewo nowo powstałemu Niezależnemu Państwu Chorwackiemu, którego przywódcą uczynili poglawnika ustaszów Ante Pavelicia. Oświadczył on, że kraj „trzeba oczyścić z Serbów i Żydów. Nie ma tu miejsca dla jednych ani drugich. Z tego, co kiedyś do nich należało, nie zostanie kamień na kamieniu”.

17 kwietnia Niemcy wkroczyli do Sarajewa i przez następne dwa dni szaleli w dzielnicy żydowskiej. Rabowali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. W starej synagodze wybuchł pożar.

* Tj. Trzeciej Rzeszy, Wioch, Węgier i Bułgarii - przyp. tłum.

Antyżydowskie prawa, mające „bronić aryjskiej krwi i honoru narodu chorwackiego”, oznaczały, że Lujo, ojciec Loli, nie miał co marzyć o zachowaniu posady w ministerstwie finansów. Razem z innymi, nawet wykształconymi Żydami, zapędzono go do robót przymusowych. Wszyscy musieli nosić żółte gwiazdy. Dorę, małą siostrzyczkę Loli, wyrzucono ze szkoły. Rodzina zawsze była biedna, ale teraz jej przetrwanie zależało od paru groszy, które zdołały zarobić Lola i Raszela.

Stela Kamal była strapiona. Jej mąż, zwykle tak uprzejmy, tak dbający o jej samopoczucie, od dwóch dni niemal się do niej nie odzywał. Wracał z muzeum późnym wieczorem. Prawie nic nie jadł i zamykał się w swoim gabinecie. Rano, nie tknąwszy śniadania, biegł wcześniej do pracy. Gdy Stela weszła do jego pokoju, by trochę posprzątać, zobaczyła na biurku plik zapisanych kartek. Większość była pokreślona i upstrzona dopiskami. Inne leżały zmięte na podłodze.

Serif pracował zwykle w ciszy i porządku. Jego biurko było przykładem

wzorowego ładu. Stela podniosła i wygładziła jedną z pomiętych kartek, choć czuła się nieswojo, zaglądając do mężowskich papierów.

„Nazistowskie Niemcy to kleptokracja - przeczytała. Nie знаła tego słowa. - Muzea mają obowiązek przeciwstawić się plądrowaniu dziedzictwa kulturowego. Strażnicy w Polsce i Francji byłyby mniejsze, gdyby niektórzy muzealnicy nie służyli rabusiom fachową pomocą. Niestety, jesteśmy jedną z najbardziej znazyfikowanych profesji w Europie...” Podniosła inną kartkę. Widniał na niej nagłówek z podwójnym podkreśleniem:

„Antysemityzm jest obcy muzułmanom Bośni i Hercegowiny”. Tekst poniżej wyglądał na jakiś artykuł albo list otwarty, potępiający antyżydowskie ustawodawstwo. Dużo tu było przekreśleń i poprawek, ale Stela zdołała odczytać niektóre fragmenty: „...to tylko czarnoksiężka różdżka, służąca odwróceniu uwagi ludzi od ich realnych problemów...” „Trzeba pomóc ubogim Żydom, których jest dużo więcej, niż myślimy”. Zmiała kartkę i wrzuciła ją do kosza na śmieci. Rozmasowała krzyż, który ostatnio ją pobolewał. Nigdy nie wątpiła, że jej mąż jest najmądrzejszym mężczyzną pod słońcem. I teraz też była tego pewna. Ale to jego milczenie, te pomięte kartki, alarmistyczne słowa... Pomyślała, że powinna z nim o tych sprawach pomówić. Przez cały dzień układała sobie w głowie właściwe zdania, planowała, co powie. Ale kiedy wreszcie wrócił do domu, nalala mu tylko kawy i nie powiedziała nic.

Po paru tygodniach zaczęły się aresztowania. Na początku lata Lujowi kazano zgłosić się do transportu wysyłanego do jakiegoś „obozu pracy”. Tak było napisane na wezwaniu. Raszela płakała i błagała męża, żeby się nie zgłaszał, żeby uciekł z miasta. Ale Lujo powiedział, że jest silnym i dobrym robotnikiem, więc da sobie radę. Ujął żonę pod brodę. „Tak będzie najlepiej. Wojna nie potrwa wiecznie. A gdybym uciekł, przyszliby po was”. Nie był człowiekiem skorym do okazywania uczuć, ale wsiadając do pociągu, ucałował Raszelę długo i czule.

Lujo nie wiedział, że nie jedzie do żadnego obozu pracy, tylko w miejsce, gdzie panowały tortury i głód. Przed końcem roku zapędzono go z innymi na jedno z hercegowińskich wzgórz. Wałpienna skała zryta jest tam krasowym labiryntem. Rzeki znikają niespodziewanie w podziemnych kanałach i wypływają znów na powierzchnię wiele kilometrów dalej. Razem z innymi kompletnie wycieńczonymi i poranionymi ludźmi - Żydami, Cyganami, Serbami - Lujo stanął na krawędzi ogromnego leja krasowego, którego dna nie sposób było dojrzeć. Ustasze podcięli mu ścięgna i popchnęli w otchłań.

Po Raszelę przyszlizli w czasie gdy Lola roznosiła upraną i wyprasowaną

bieliznę. Żołnierze mieli listę wszystkich Żydówek, których mężowie lub bracia zostali wcześniej deportowani. Zapędzili kobiety na ciężarówki i zawieźli do zrujnowanej synagogi.

Kiedy Lola wróciła do domu, zobaczyła, że matka i siostra gdzieś zniknęły. Ich skromny dobytek leżał porozrzucany na podłodze - widać szukano daremnie czegoś wartościowego. Po-biegła do mieszkania ciotki, odległego o parę ulic, i zaczęła walić w drzwi, aż ją rozboleły dłonie. W końcu muzulmańska sąsiadka ciotki, sympatyczna kobieta chodząca wciąż w tradycyjnym cza-dorze, wpuściła ją do środka. Dała dziewczynie wody i powie-działa, co się stało.

Panika sparaliżowała jej myśli. Ale przecież musiała myśleć, i to dobrze - szybko i precyzyjnie. Co powinna zrobić? I co mogła zrobić? Przez natłok myśli przebijał się jeden imperatyw: musi odszukać matkę i siostrę.

Zebrała się do wyjścia. Stara muzulmanka położyła jej dłoń na ramieniu. - Tu cię mogą poznać. Weź to - powiedziała i wręczyła jej czador.

Lola otuliła się nim i ruszyła ku synagodze. Frontowe drzwi, porąbane siekierami, ledwie się trzymały na pękniętych zawia-sach. Przed synagogą stali wartownicy, więc zakradła się pod boczne pomieszczenie, gdzie przechowywano sidurim*. Okno było częściowo wybite. Lola zdjęła czador, obwiązała sobie dłoń, a następnie złapała kawałek szyby i zaczęła nim poruszać, aż wy-padł. Później wyleciały dalsze odłamki, a w końcu pusta framuga runęła na zewnątrz. Dobrze, że w ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na ten hałas. Podciągnęła się na parapecie. W środ-ku panował straszny bałagan. Półki były zavalone, książki pospa-dały na podłogę. Śmierdziało. Ktoś musiał się tu załatwić.

Na silnych ramionach, zaprawionych w nieustannym dźwiganiu kosza z bielizną, Lola podciągnęła się wyżej i najciszej jak mogła wślizgnęła przez okno.

* Sidurim (hebr.) - modlitewniki (przyp. tłum.).

Pchnęła drzwi z politurowanego drewna. W sprofanowanej synagodze śmierdziało strachem, potem, spalenizną i moczem. Arka, w której spoczy-wała starożytna Tora, przywieziona przed wiekami z Hiszpa-nii, ziała teraz pustką, osmalona pożarem. Na zniszczonych ławkach i w zagraconych przejściach siedziały przerażone ko-biety, stare i młode. Niektóre próbowały uspokoić dzieci, któ-rych płacz, wzmacniany echem, niósł się aż pod półokrągłe sklepienie. Inne siedziały z twarzami ukrytymi w dłoniach. Lola powoli i ostrożnie torowała sobie drogę przez tłum.

Stała się, by nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wreszcie w jakimś ciemnym kącie dostrzegła matkę, siostrę i ciotkę. Podeszła do nich od tyłu i delikatnie położyła dłoń na matczynym ramieniu. Raszela, myśląc, że Lolę również złapano, rozplakała się na jej widok. Córka zaraz uciszyła matkę i zaczęła jej szeptać do ucha:

- Jest stąd droga ucieczki, przez okno. Tak dostałam się do was i w ten sam sposób możemy wszystkie uciec.

Rena, ciotka Loli, machnęła grubym ramieniem w geście rezygnacji. Zrobiła to tak gwałtownie, że jej tłuście ciało zatrzęsło się jak galareta.

- To nie dla mnie, dziewczyno. Moje serce słabe, ciężko mi oddychać. Nigdzie się nie ruszam...

Lola przeraziła się. Wiedziała, że matka nie zostawi swojej ukochanej starszej siostry.

- Pomogę ci, zobaczysz - zapewniła ciotkę. - Proszę cię, spróbujmy przynajmniej...

Twarz jej matki, od dawna poznaczona bruzdami i zmęczeniem, teraz przeobraziła się w pomarszczoną twarz staruszki. Raszela pokręciła głową.

- Lola, to nie ma sensu. Oni mają listy. Inaczej nie zagoniliby nas wszystkich na ciężarówkę. A zresztą - dokąd mogłybyśmy pójść?

- W góry - wyjaśniła Lola. - Znam drogę. Tam są jaskinie, możemy się schronić. Możemy też dostać się do jakiejś muzułmańskiej wsi. Oni nam pomogą, zobaczycie...

- Co ty gadasz, Lola! Muzułmanie też byli w synagodze. Palili i rabowali jak ustasze.

- To tylko paru wyrzutków, jakaś hołota...

- Lola, wiem, że chcesz dobrze, ale Rena jest chora, a Dora za mała na takie awantury.

- Ale ja wiem, że może się nam udać. Uwierz mi, znam góry i... Raszela położyła dłoń na ramieniu Loli.

- Wiem. Przez te wszystkie wieczory u szomrów czegoś się chyba nauczyłaś. Mam przynajmniej taką nadzieję... Lola zdziwiona spojrzała na matkę.

- Czy ty naprawdę myślałaś, że tak szybko usypiam? Nie. Ja chciałam, żebyś tam chodziła. Nie jestem taka jak ojciec, który ciągle martwił się o twój honor. Wiedziałam, że jesteś porządną dziewczyną. Ale teraz chcę, żebyś uciekła. Tak, tego właśnie chcę - powiedziała stanowczo, gdy Lola próbowała kręcić głową. - Jestem twoją matką, więc musisz mnie słuchać. Idź. Moje miejsce jest przy Dorze i ciotce Renie.

- Mamo, pozwól mi chociaż zabrać Dorę...

Raszela pokręciła głową. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Sama będziesz miała większe szansę. Ona za tobą nie na-dąży...

-Mogę ją nieść!

Dora, przytulona do matki, spoglądała to Lolę, to na Raszelę. Osoby, które kochała najbardziej na świecie. Kiedy zdała sobie sprawę, że w wyniku tego sporu musi stracić jedną z nich, roz-plakała się. Raszela poklepała ją po plecach i rozejrzała się wokół; miała nadzieję, że jej szloch nie zwróci uwagi wartowników.

- Po wojnie odnajdziemy się wszyscy... - Wzięła twarz Loli w obie dłonie i pogładziła ją po policzkach. - A teraz już idź. I nie daj się złapać!

Lola objęła matkę i siostrę. Ucisnęła je mocno. Pocałowała ciotkę. A potem się odwróciła i zaczęła przeciskać przez zre-zygnowaną ciżbę.

Kiedy dotarła do składziku na modlitewniki, odczekała chwilę, aż wartownicy znajdą sobie jakiś inny obiekt obserwacji. Wreszcie uchyliła drzwi i wśliznęła się do środka. Zamknęła drzwi za sobą i oparła się o nie plecami, by chwilę od-począć. Wytarła rękawem nos. Kiedy opuszczała rękę, poczuła, że chwyta ją miała, miękka dłoń. Spojrzała w dół. Dłoń należała do dziewczynki o skupionej twarzy z oczami wyolbrzymionymi przez grube okulary i z palcem przyciśniętym do ust. Dziewczyn-ka przyciągnęła Lolę mocno do siebie i wskazała okno. Lola do-strzegła w nim przesuwający się garb niemieckiego hełmu i lufę karabinu.

- Znam cię - wyszeptała dziewczynka wyglądająca na ja-kiś dziewięć czy dziesięć lat. - Chodziłaś na zebrania szomrów z moim bratem Izakiem. Ja też miałam w tym roku wstąpić do Ha-Szomer...

- A co z Izakiem? - przerwała jej Lola. Wiedziała, że wyrzu-cono go z uczelni. - Zabrali go na roboty przymusowe? Dziewczynka pokręciła głową.

- Nie, Izak jest u partyzantów. Tam są też inne osoby z wa-szej grupy: Maks, Oskar, Zlata... A może i ktoś jeszcze. Izak nie wziął mnie, bo jestem za mała. Mówiłam mu, że mogę przeno-sić meldunki albo szpiegować. Ale on mnie nie słuchał. Powie-dział, że bezpieczniej będzie, jeśli zostanę z sąsiadami. No i nie miał racji. Teraz musi mnie wziąć do siebie, bo tutaj czeka tylko śmierć...

Lola zachnęła się. Żadne dziecko w tym wieku tak nie mówi. Ale dziewczynka miała rację. Lola widziała już śmierć na twa-rzach ludzi, których kochała. Przyjrzała się z powagą małej sio-strzyczce Izaka. Taki szkrab, niewiele większy od Dory... Ale jej twarz ożywił ten sam wyraz czujnego skupienia i rozważnej refleksji, jaki gościł często na twarzy brata.

- Czy ja wiem... - zastanowiła się Lola. - Czeka nas ciężka wędrówka. No i musimy najpierw wymknąć się jakoś z miasta. To będzie niebezpieczne. Myślę, że twój brat...

- Jeśli chcesz wiedzieć, gdzie on jest, musisz mnie zabrać. Inaczej nic ci nie powiem. A poza tym mam to...

Dziewczynka sięgnęła pod fartuszek i wyciągnęła stamtąd niemieckiego lugera. Lolę zamurowało.

- Skąd masz ten pistolet? - wykrztusiła po chwili.

- Ukradłam go!

- Jakim cudem?

- Kiedy po nas przyszli, specjalnie porzygałam się na żołnierza, który ciągnął mnie do ciężarówki. Wcześniej jadłam gulasz z ryby, więc śmierdziało okropnie. Zbluźnił mnie i puścił, żeby się trochę oczyścić. Kiedy się wycierał, wyjęłam mu pistolet z kabury i uciekłam. Schowałam się w domu, gdzie mieszka twoja ciotka. Poszłam potem za tobą. Wiem, gdzie jest mój brat, ale nie wiem, jak się tam dostać. No to jak: bierzesz mnie ze sobą czy nie?

Lola wiedziała, że tego upartego dzieciaka nie da się spławić ani podpytać, gdzie jest Izak. Czy to się jej podobało, czy nie, wiedziała, że są sobie potrzebne. Zaraz kiedy się ściemniło, prze-lały przez okno i rozpląnęły się w mroku sarajewskich ulic.

Przez dwa dni Lola i Ina spały w jaskiniach i kryły się w szopach, kradły jajka i wypijały je na surowo ze skorupki. Wreszcie dotarły na terytorium partyzanckie. Izak podał Inie nazwisko pewnego wieśniaka, starszego człowieka o poranej zmarszczkami twarzy i wielkich jak bochny dłoniach.

Mężczyzna o nic nie pytał, otworzył drzwi domu i ponaglił do wejścia. Jego żona, załamawszy ręce nad ich rozczochranymi włosami i brudnymi twarzami, nagrzała wody w osmalonym kotle i dała im się umyć. Potem postawiła przed nimi duży garnek z jagnięcym gulaszem, a do tego ziemniaki i marchew. To był ich pierwszy porządny posiłek od czasu, gdy opuścili miasto. Wy-smarowała im maścią poobcierane stopy i położyła na dwa dni do łóżka. Dopiero potem pozwoliła mężowi zaprowadzić je do partyzanckiego obozu w górach.

Lola cieszyła się, że były wypoczęte i najedzone, kiedy przyszło im wspinać się po stromych skałach. Pnąc się ku górze, nie myślała o swoim trudnym położeniu. Najważniejsze, że udało im się wydostać z miasta. Nie czuła się dość odważna, by walczyć z bronią w ręku. Zresztą jaki byłby pożytek z praczki? Po Sarajewie krążyły plotki o partyzanckich atakach na

linie kolejowe i mosty. Były też straszne wieści o rannych partyzantach pojmanych przez nazistów. Opowiadano, że grupę rannych partyzantów położono na drodze, a Niemcy przejechali po nich ciężarówką. Zajęta takimi myślami, Lola wspinała się wytrwale po piargach.

Wreszcie dotarli do szerokiego połogiego grzbietu, na którym rozrzucone były wielkie poduchy gęstego mchu. Lola, porządnie już zmęczona, rzuciła się na jedną z nich. Nagle z traw przed nimi wyłoniła się postać w szarym mundurze. To był niemiecki mundur...

Wieśniak służący im za przewodnika poderwał się na równe nogi i odbezpieczył pistolet. Ale zaraz potem roześmiał się i otworzył szeroko ramiona.

- Maks! - krzyknęła Ina i rzuciła się w kierunku umundurowanego młodzieńca. Maks był jednym z najlepszych przyjaciół Izaka. Ina pomacała pagony na bluzie Maksa, skąd zdarto naziśstowskie insygnia. Na ich miejscu przyszyto dość niezgrabnie czerwone pięcioramienne gwiazdy - emblematy ruchu oporu.

- Cześć siostrzyczko Izaka, cześć Lola! To co, jesteście naszymi nowymi partyzantkami?

Maks poczekał chwilę, aż pożegnają się ze swoim przewodnikiem, a potem poprowadził je grzbietem do niskiego budynku wzniesionego z grubych belek gdzieniegdzie obrzuconych tynkiem. Była to zwykła pasterska koliba, tylko trochę wzmocniona. Lola poznała chłopaka siedzącego na trawie i opartego plecami o ścianę szałas. To był Oskar. Dwóch innych, siedzących obok, nie znała. Cała trójka zajęta była wyłapywaniem wszy gnieźdzących się w bluzach ich mundurów. Ścisłe mówiąc, tylko dwóch miało niemieckie bluzy wojskowe, a trzeci kurtkę uszytą chyba z szarego koca. Maks przeprowadził Lolę i Inę przez chlewik przy wejściu do szałas. Drzwi wiodły do pomieszczenia kuchennego.

Wysoki czterospadowy dach z dranic, okrywający niskie ściany szerokim okapem, tworzył poddasze, na które można się było wdrapać po drabinie.

- Dobre miejsce do spania - powiedział Maks, wskazując wzrokiem poddasze. - Ciepło tam, ale czasem trochę za dużo dymu.

W kuchni nie było podłogi, tylko klepisko, wyłożone w jednym miejscu kamieniami. Na kamieniach urządzono palenisko. Nie było komina, dym uchodził przez otwór w szczycie dachu i szpary między deskami. Z żerdzi nad ogniskiem zwieszał się grubo łańcuch zakończony hakiem. Na nim zawieszono kotlik z gotującym się jedzeniem. Koło drzwi Lola zauważyła jeszcze jeden większy kocioł i parę drewnianych gielet wypełnionych wodą. Za tym pomieszczeniem znajdowały się jeszcze dwa

inne, w których położono podłogę z desek. W jednym stał nawet cementowy piec. Nad nim zawieszono żerdki do suszenia ubrań. Lola pokiwała głową z uznaniem - dobrze pomyślane, można pracować we wnętrzu nawet wtedy, gdy na dworze pada deszcz albo śnieg.

- Witamy w kwaterze głównej naszego oddziału - powiedział z uśmiechem Maks. - Jest nas tylko szesnaścioro, a właściwie osiemnaścioro, jeśli dowódca was przyjmie... Dziewięć osób to znajomi z Ha-Szomer. Reszta to miejscowi chłopcy. Dobre chłopcy i dziewczyny, tylko młode... Chociaż nie tak młode jak ty - pogłaskał Inę po głowie. - Ale się brat zdziwi, jak cię zobaczy! Izak jest w oddziale drugi po dowódcy. Nasz dowódca Branko pochodzi z Belgradu. Był tam tajnym działaczem studenckiej komórki partii komunistycznej...

- A gdzie oni są teraz? - zapytała Lola. Wprawdzie Maks zachowywał się bardzo przyjaźnie, ale słowa „jeśli dowódca was przyjmie” napędliały ją obawą. Bała się zostać partyzantką, a jeszcze bardziej bała się, że ją odrzucą i odeślą do miasta.

- Poszli zorganizować jakiegoś muła. Niedługo będziemy się stąd wynosić. Potrzebujemy muła do transportu naszych zapasów, kiedy wyruszymy na akcję. Noszenie razem żywności i broni to nic dobrego. Niedawno przypadkowa eksplozja detonatorów pozbawiła nas jedzenia na dwa dni. Wszystko diabli wzięli...

Słowa Maksa pogłębiły jeszcze niepewność Loli. Nie miała pojęcia o detonatorach ani w ogóle o broni. Rozejrzała się po kuchni i nagle znalazła coś, do czego mogłaby się przydać.

- Mogę skorzystać z tej wody? - spytała, wskazując gaelety.

- Oczywiście - zgodził się Maks. - I nie ma kłopotów z wodą, źródło jest zaraz obok, dosłownie parę metrów.

Lola przypięła do żerdzi nad ogniskiem drugi osmalony koc. Napędliała go wodą, a potem rozdmuchała ogień i dołożyła dREW. Wyszła przed szafas. Stała nad Oskarem i jego towarzyszami. Zabębniła palcami o deski okapu.

- Co jest, Lola? - spytał Oskar. Poczwała, że się rumieni.

- Wiesz... Czy moglibyście mi dać te swoje bluzy i spodnie?

Chłopcy spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

- Ho, ho, mówi się, że dziewczyny z Sarajewa są szybkie, ale nie myślałem, że aż tak...

- Nie wygłupiajcie się. Nie pozbędziecie się wszy, wyłapując je w ten sposób - wyjaśniła pośpiesznie Lola. - One chowają się w szwach, stamtąd ich nie wyciągniecie. Trzeba wasze ubrania wygotować. Wyginą co do

jednej, zobaczycie!

Chłopaki, gotowe na wszystko, byleby się pozbyć piekielnych insektów, ściągnęły z siebie ubrania, śmiejąc się przy tym i żartując jak dzieci.

- Daj jej jeszcze swoje gacie!

- Niedoczekanie!

- A ja dam. Co z tego, że pozbędziesz się wszy z munduru, kiedy będą ci biegały po jajach?

Wygotowawszy wszystko porządnie, Lola porozwieszała na krzakach parujące mundury, gacie i skarpety. Wtem z łańców kołósówki wyłonili się Branko i Izak. Prowadzili ze sobą muła z wyłpchanymi jukami.

Branko był wysokim młodzieńcem o surowej twarzy i oczach nieustannie - jak się wydawało - zmrużonych, jakby badał sceptycznie wszystko i wszystkich. Izak był od dowódcy niższy o głowę, ale kiedy witał się z siostrą, Lola zauważyła, że i on zmężniał. Pierś miał teraz szerszą, a jego twarz nie była już tak blada od ciągłego ślęczenia nad książkami. Nawet trochę się opalił. Wydawał się naprawdę uradowany widokiem Iny. Loli zdawało się nawet, że oczy mu zwilgotniały. Ale zaraz zaczął wypytywać siostrzyczkę o szczegóły drogi - czy nie zostawiły jakichś śladów, które mogłyby naprowadzić nazistów na ich bazę. Gdy dowiedział się wszystkiego, powiedział do Loli:

- Dziękuję, że ją tu przyprowadziłaś... I cieszę się, że tu jesteś.

Lola nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała przecież wyboru, ale nie chciała się do tego przyznać w obecności Branka, do którego należała decyzja o jej dalszym losie. Nawet z małej Iny partyzanci mieliby więcej pożytku. Taki szkrab mógł niepostrzeżenie, nie budząc niczyjej podejrzliwości, śledzić poczynania wroga. A do czego przyda się Lola? Prezentacja, jakiej dokonał Izak, niewiele pomogła:

- Lola jest towarzyszką z Ha-Szomer ha-Cair. Przychodziła na wszystkie zebrania. No, może na prawie wszystkie... Jest dośbrym piechurem... Izak, który dawniej nie zwracał na Lolę żadnej uwagi, niewiele mógł o niej powiedzieć, by zachęcić dowódcę do przyjęcia dziewczyny do oddziału.

Branko wpatrywał się w nią zmrużonymi, taksującymi oczami, aż Lola oblała się rumieńcem. Uniósł brzeg bluzy rozłożonej do wyschnięcia po praniu.

- ...No i dobrą praczką, jak widzę. Szkoda, że nie mamy czasu na takie luksusy - wycedził przez zęby.

- Wszy... - Z przejęcia nie mogła wydusić z siebie słowa. - Chodzi o to, że... wszy roznoszą tyfus. A jak się już zalęgną, trzeba gotować ubranie i

bieliznę co najmniej raz w tygodniu, żeby zniszczyć ich jajeczka... Inaczej cały oddział może się zarazić...

Wiedziała o tym od Mordechaja. Praktyczne informacje po-trafiła zrozumieć i zapamiętać.

- O, widzę, że znasz się na różnych rzeczach...

- Ja... ja wiem, jak nastawić złamaną kość, jak zatamować krwawienie, jak leczyć stłuczenia...

- Możesz się przydać jako sanitariuszka - powiedział Branko, przypatrując się jej badawczo. - Do tej pory takimi sprawami zajmował się Izak, ale on ma inne zadania na głowie. Mógłby cię trochę poduczyć... a potem, jeśli się sprawdzisz, możemy cię wysłać do jakiegoś partyzanckiego szpitala, żebyś się nauczyła opatrywać rany. Pomyślę o tym.

Odwrócił się, a Lola odetchnęła z ulgą. Zaraz jednak zatrzymał się i odwrócił.

- No tak, wszystko pięknie, ale w tej chwili potrzebujemy po-ganiacza do muła. Znasz się na mułach?

Miała już palnąć, że nie bardzo odróżnia przód muła od zadu, ale ugryzła się w język. Bała się, że po takiej odpowiedzi Izak uzna ją za zbyt głupią, by zrobić z niej sanitariuszkę. Spojrzała na zwierzę skubiące trawę.

Podeszła do niego i rozluźniła rze-mienie wrzynające się w boki muła. Ciało było w tych miejscach obtarte aż do krwi.

- Wiem tyle, że trzeba pod takie ciężkie juki podkładać derkę - powiedziała. - Bo inaczej zwierzę nie będzie chciało dla nas pracować.

Otworzyła juki i zaczęła z nich wyjmować różne pakunki, które następnie przenosiła do szałasów. Gdy Oskar poderwał się, żeby jej pomóc, odprawiła go słowami:

- Dam radę... W naszym domu to ja robiłam za muła - dodała z nieśmiałym uśmiechem.

Wszyscy się roześmieli. Branko też. Nic już do niej nie po-wiedział, ale Lola zrozumiała, że została zaakceptowana w od-dziale.

Wieczorem jednak, gdy dowódca urządził partyzantom po-gadankę przy piecu, Lolę znów ogarnęły wątpliwości. Branko był twardym bojownikiem. W Belgradzie policja zatrzymywała go i biła za działalność polityczną. Kiedy opowiadał o Ticie i Stalinie, o powinności podążania za wytycznymi tych dwóch wielkich przywódców, w jego słowach nie było nawet cienia wątpliwości.

- Wasze życie nie należy do was, tylko do tych członków wa-szych rodzin, którzy zginęli. Albo ujrzymy nasz kraj wolnym, albo również zginie.

Nie ma przed nami innej przyszłości.

Kiedy później Lola położyła się spać na twardej pryczy, poczuła się nagle bardzo samotna. Zatęskniła do łagodnego ciepła zwiniętego w kłębek ciała siostry. Nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co mówił Branko, o tych krewnych, którzy zginęli. Jej bliscy na pewno żyją. Z drugiej strony sama czuła, że nie bardzo w to wierzy. W ostatnich dniach jej myśli zajęte były ucieczką z miasta i poszukiwaniem partyzantów, ale teraz, kiedy słyszała obok siebie chrapanie obcych ludzi, poczuła tępy ból. Zdało się jej, że błądzi we mgle.

* * *

Przez kilka następnych dni Lola doglądała muła. Prawdę mówiąc, nie bardzo potrafiła go skłonić do czegoś, czego on sam by nie chciał. Najpierw kazano jej zaprowadzić zwierzę na zrzutowisko i zabrać stamtąd świeżą dostawę zaopatrzenia. Muł uznał jednak, że droga powrotna jest zdecydowanie za stroma - zwłaszcza z ciężkim ładunkiem - i wygrzmocił wszystko w krzaki jeżyn. Lola musiała potem, nie bacząc na ostre kolce, wyciągać z chaszczki pudełka z amunicją. Bardziej jednak niż jeżynowe kolce bolały ją przekleństwa wściekłego Branka.

Codziennie starała się muła obłaskawić, smarując mu cenną maścią z szałwi obtarte boki, ale zwierzak wciąż parskał i ryczał, jakby go okładała kijem. Stopniowo jednak rany się goiły. Lola uszyła specjalne podkładki, by nie obcierały go rzeźmienie uprzęży. W ten sam sposób zabezpieczyła lekkie no-sidło z wierzbowych gałęzi, dzięki czemu ciężar juków lepiej rozkładał się na grzbiecie, a i samo troczenie było łatwiejsze. Podczas dłuższych marszów prosiła, by dać zwierzęciu chwilę wytchnienia, gdy przy drodze pojawiały się dziki anyżek albo koniczyna.

Najwidoczniej źle kiedyś traktowany, muł zrobił się narowisty, ale z czasem zaczął reagować na starania Loli, a nawet trącać ją czule pyskiem. Nazwała go Czerwoniakiem - raz ze względu na marchewkową maść, a po drugie czerwoni byli też partyzanci Tity.

Lola szybko zdała sobie sprawę, że ich oddział nie ma większej wartości bojowej. Oprócz Branka tylko Izak i Maks mieli nowoczesne pistolety maszynowe - brytyjskie steny. Reszta musiała się zadowolić przyniesionymi z rodzinnych wsi dubeltówkami albo jakimiś antycznymi flintami z czasów tureckich. Dowódca brygady dawno obiecał, że dozbroi ludzi Branka, ale po każdym zrzucie okazywało się, że potrzeby innych oddziałów są jeszcze bardziej naglące.

Na ten stan rzeczy skarżył się zwłaszcza Oskar. W końcu Branko

powiedział mu, że jeśli tak bardzo pragnie dostać do ręki prawdziwą broń, powinien ją sobie zdobyć.

- Spójrz na Inę. Ma dziesięć lat i już sobie poradziła!

Tej nocy Oskar wymknął się z obozu. Nie wrócił następnego dnia. Lola podsłuchiwała, jak Izak robił Brankowi wyrzuty z tego powodu:

- Sam go sprowokowałeś do zrobienia jakiegoś głupstwa! Jak ma zdobyć broń, kiedy sam jest bezbronny? Branko się obruszył:

- Twoja własna siostra udowodniła, że to możliwe!

Branko zabrał Inie zdobycznego lugera i teraz sam paradował z nim u pasa.

Tego wieczoru, kiedy Lola pomagała Złacie zbierać chrust na ognisko, z lasu wyłonił się nagle Oskar, uśmiechnięty od ucha do ucha. Na ramieniu niósł niemiecki karabin. Ubrany był w niemiecki mundur, o parę numerów za duży. Nogawki spodni musiał podwinąć na dole kilkakrotnie. Na plecach dźwigał niemiecki plecak wojskowy, mocno czymś wypchany. Nie chciał nic mówić o swoim triumfie aż do czasu, gdy Branko zarządził odprawę. Wtedy Oskar poczęstował wszystkich niemiecką kielbasą i opowiedział, jak to zakradł się do pobliskiej wsi, gdzie stacjonowali Niemcy, i schował w przydrożnych krzakach.

- Musiałem leżeć plackiem cały dzień, bo wciąż chodzili tam i z powrotem. Zawsze w paru, co najmniej we dwóch. Wreszcie zobaczyłem pojedynczego Szwaba. Oczekałem, aż się zbliży, wtedy wyskoczyłem z krzaków, przytknąłem mu do pleców karabin i krzyknąłem Hande hoch! Facet naprawdę uwierzył, że jestem uzbrojony. Podniósł ręce, odebrałem mu karabin, a potem kazałem zdjąć mundur, rozebrać się aż do gaci...

Wszyscy słuchali tej historii ze śmiechem, tylko Branko miał kamienny wyraz twarzy.

- A potem go oczywiście zastrześliłeś... - rzucił zimnym, beznamiętnym głosem.

- No nie... Ja... nie widziałem potrzeby. Był rozbrojony, myślałem, że ...

- Jutro znów będzie miał broń, a pojutrze zabije któregoś z naszych towarzyszy! Sentymentalny głupku! Oddasz ten karabin Złacie. Ona będzie przynajmniej wiedziała, jaki zrobić z niego użytek!

Lola nie wiedziała w ciemności twarzy Oskara, ale czuła jego milczącą wściekłość.

Następnej nocy oddział miał zabezpieczać rejon zrzutu. Zadaniem Loli było zadbać, aby muł zachowywał się spokojnie i cicho. I żeby zabrał bez protestów broń, radiostacje lub lekarstwa, które zrzucą im z samolotu.

Kiedy jej oddział zajął pozycje na skraju lasu, inni partyzanci, działający pod kierunkiem jakiegoś cudzoziemca - mówiło się, że to brytyjski agent - rozłożyli na polanie ogniska, tworzące wzór znany alianckiemu pilotowi. Lola drżała z zimna i przejęcia. Przytuliła się do szorstkiej skóry muła, szukając odrobiny ciepła. Nie miała żadnej broni prócz granatu u pasa. Takie granaty musieli nosić wszyscy partyzanci.

- Gdybyście się dali złapać, niech przy okazji razem z wami zginie jak najwięcej wrogów - tłumaczył Branko. - Pod żadnym pozorem nie dajcie się wziąć żywcem. Użyjcie granatów. Z martwych nic już nie wydobędą w śledztwie.

Księżyc nie pokazał się jeszcze na niebie. Lola chciała przy najmniej popatrzeć na gwiazdy, ale gęste listowie nie pozwalało i na to. Jej wyobraźnię zaludnili Niemcy, chcący schwytąć partyzantów w zasadzkę. Godziny wlokły się niemiłosiernie. Przed świtem zerwał się wiatr i zakotłosał gałęziami drzew. Branko doszedł do wniosku, że zrzut został przełożony na inny termin. Dał Loli znak, żeby zbierała się do drogi powrotnej. Zmęczona i zdrętwiała, podniosła się powoli i zaczęła poprawiać uprząż Czerwo-niaka.

Lecz właśnie wtedy gdzieś w oddali dał się słyszeć warkot samolotu. Branko rozkazał natychmiast rozstawić ognie na polanie. Ognisko Izaka nie chciało się jakoś rozpaść mimo jego gorączkowych starań. Lola nie pomyślała nawet, co robi; nie chciała po prostu zostawiać chłopaka samego na otwartej przestrzeni. Rzucała się do opornego ogniska i zaczęła co sił rozdmuchiwać pełgające nieśmiało płomyki. Chrust wystrzelił światłem w chwili, gdy nad polaną ukazał się ciemny brzuch alianckiej dakoty. Pilot przeleciał nad nimi raz - dla rekonesansu - a potem zawrócił i zrzucił cały łańcuch ładunków, każdy na osobnym spadochronie. Z otaczającego polanę lasu wybiegli partyzanci, by jak najszybciej pozbierać cenne pakunki. Lola odcinała linki spadochronów i związała jedwabne czasze. Przydadzą się na bandaż.

Na wschodzie zaczynało jaśnieć, więc oddział związał się jak w ukropie. Gdy słońce pokazało się nad horyzontem, Lola mąszerowała już wąskim górskim grzbietem. Objuczony muł drepnął za nią posłusznie. Partyzanci chcieli oddalić się jak najdalej od zrzutowiska. Niemcy mogli się tam zjawić lada chwila. Gdy oddział dotarł do strumienia, Branko kazał Maksowi wejść do wody i poodwracać omszałe kamienie. Kiedy już przeszli, kamienie znów odwrócono do góry mchem, na którym nie odcisnęły się żadne ślady partyzanckich butów ani kopyt Czerwoniaka.

* * *

Przez siedem miesięcy oddział był w ciągłym ruchu, rzadko spędzając dwie noce w tym samym miejscu. Chłopcy nieustannie prowadzili ataki sabotażowe na linii kolejowe i mniejsze mosty. Wiele nocy spędzali w chłopskich stodołach i oborach na posłaniach z siana, ogrzewani ciepłem zwierząt. Ale bywało też, że musieli nocować w lesie, gdzie jedyną ochronę przed zimnem i wilgocią dawała im cetyna. Choć na ogół nie odskakiwali od placówek niemieckich na więcej niż pięć-dziesięć kilometrów, udawało im się jakoś unikać zasadzek, w które wpadały inne oddziały. Branko był z tego powodu strasznie dumny, jak-by to zawdzięczali wyłącznie jego umiejętnościom dowódczym. Oczekiwał uznania i honorów. Kiedyś, pewnego paskudnego marcowego dnia, wyciągnął się na zwalonym pniu drzewa, żeby odpocząć, pozostałym zaś kazał nazbierać przed nocą chrustu na ognisko. Oskar rzucił mu wtedy pod nogi ciężką wiązkę drew, mruczając, że komuniści mieli przecież skończyć z nierównością. Usłyszawszy to, Branko zerwał się na równe nogi. Złapał Oskara za kołnierz munduru i walnął chłopakiem o pień drzewa.

- Takie zasmarkane dzieciaki jak wy powinny być szczęśliwe, że jestem waszym dowódcą. Powinniście mi co dzień dziękować, że jeszcze żyjecie!

Izak wsunął się pomiędzy Branka i Oskara, a potem delikatnie odepchnął dowódcę.

- To, że jeszcze żyjemy - zaczął spokojnie - nie jest sprawą szczęścia ani twojego, bez wątplenia doskonałego dowodzenia. Zawdzięczamy to miejscowej ludności. Jej pomocy i oddaniu. Bez wsparcia chłopów nie utrzymalibyśmy się tutaj nawet przez pięć minut!

Przez moment zdawało się, że Branko chce uderzyć Izaka, ale jakoś odzyskał panowanie nad sobą. Cofnął się o krok i splunął pogardliwie. Lola wyczuwała, że Izak ma coraz bardziej dosyć Branka. Wiedziała, że miał po uszy ciągłych przemówień dowódcy wygłaszanych wieczorami, nawet po ciężkich marszach, kiedy ludzie chcieli spać, a nie słuchać drętwej mowy o wartości dodatkowej albo zafałszowanej świadomości. Próbował jakoś powściągać te retoryczne popisy, ale Branko gadał i gadał jak nakręcony, upojony swym marksistowskim słowotokiem.

Jeszcze większym problemem był rozdźwięk pomiędzy wysoką samooceną Branka a dość marną opinią, jaką miał o nim dowódca brygady, odpowiedzialny za wszystkie oddziały w tym rejonie. Odbijało się to na sytuacji zaopatrzeniowej. Branko dawno już obiecał im lepsze uzbrojenie, ale nic z tego nie wychodziło. Zresztą z obietnicy, że wyśle

Lolę na przeszkolenie do polowego szpitala, też się nie wywiązał. Z drugiej strony ona sama czuła się użyteczna jako opiekunka muła i nawet Branko, który nie był skory do pochwał, od czasu do czasu wyrażał się o niej z uznaniem.

Od nadejścia zimy większość oddziału czuła się marnie. Każdy ranek w obozie zaczynał się kaskadą mokrego kaszlu. To była ich pobudka. Lola chodziła do wsi i zebrała u chłopów o cebulę. Isak nauczył ją robić cebulowy syrop na kaszel. Zaproponowała taki podział jedzenia, by rekonwalescenci dostawali więcej. Branko obiecał, że wkrótce przeprowadzą się na zimowe kwatery, ale mijały tygodnie, a oni wciąż tkwili wysoko w górach. Ubywało ludzi. Złata, chorująca od tygodni na płuca, została przygarnięta przez chłopską rodzinę. I umarła - ale przynajmniej w ciepłym łóżku. Oskar, zmęczony warunkami życia i ciągłymi szykanami ze strony Branka, zdezerterował pewnej nocy. Wziął z sobą Sławę, dziewczynę ze wsi.

Lola obawiała się o Inę. Dziecko cierpiało na ten sam ostry, szarpiący ciałem kaszel, który dokuczał większości partyzantów. Ale kiedy chciała namówić Isaka, by znalazł dla siostry mieszkanie na zimę, spotkała się z odmową:

- Po pierwsze, nie będzie chciała odejść. Po drugie, nie będę jej proponował czegoś takiego. Obiecałem, że już nigdy jej nie zostawię. To proste.

W połowie marca - panowała wtedy zamieć - Milowan, dowódca brygady, zjawił się na odprawie w oddziale Branka. Obwieścił im, że Tito ma nową wizję swojej armii. Chce ją przekształcić w zwarte, dobrze wyszkolone jednostki, zdolne do bezpośredniej walki z Niemcami. Siły nieprzyjacielskie miały zostać zepchnięte do miast, a ich linie transportowe i zaopatrzeniowe przerwane. W ten sposób tereny wiejskie przejdą pod kontrolę partyzantów.

Lola miała na sobie czapkę uszanę, mocno obwiązaną chustką, dlatego pomyślała z początku, że się przesłyszała, kiedy pułkownik Milowan zakomunikował, że ich oddział ma zostać rozwiązany w trybie natychmiastowym. Ale inni zrobili takie same wielkie oczy, więc wszyscy widać usłyszeli to samo.

- Marszałek Tito dziękuje wam za służbę. Nie zapomnimy o was w dniu zwycięstwa. A teraz proszę, by ci z was, którzy mają broń, zdali ją. Ty, dziewczyno od muła, będziesz odpowiedzialna za załadunek broni. Wkrótce wyruszamy. A wy zostaniecie na miejscu do wieczora... Wszyscy wbili wzrok w Branka, czekając, aż coś powie. Ale on

przypatrywał się tylko zamieci. Nic nie powiedział. W tej sytuacji jedynie Izak mógł zaprotestować.

- Towarzyszu pułkowniku, mogę spytać, dokąd waszym zdaniem powinniśmy pójść?

- Możecie wrócić do domu.

- Do jakiego domu? Większość z nas nie ma już żadnego domu. Nasze rodziny na ogół wymordowano. Jesteśmy wyjęci spod prawa. Czy naprawdę sądzicie, że nie mając broni pójdziemy prosto w łapy ustaszów? - Izak odwrócił się do Branka. - Powiedz mu coś, do cholery! Branko podniósł głowę i spojrzał zimno na Izaka.

- Przecież słyszałeś, co powiedział pułkownik. Marszałek Tito zdecydował, że w jego armii nie ma miejsca dla takiej bandy smarkaczy z patykami zamiast karabinów. Jesteśmy teraz prawdziwym wojskiem.

- O tak... - odparł Izak z pogardą. - Ty jesteś prawdziwym żołnierzem... masz prawdziwy pistolet, który zdobyła moja mała siostrzyczka. Taki z ciebie wojak. A reszta może iść do diabła, pod mur...

- Spokój! - Pułkownik Milowan uniósł dłoń w rękawiczce. - Kto wykona rozkaz, doczeka się w przyszłości nagrody za służbę. A dla tych, którzy nie wykonają rozkazu, jest jedna kara - kula.

Lola, zupełnie oszołomiona, posłusznie objuczyła Czerwo-niaka. Kiedy na grzbiecie muła znalazło się tych parę strzelb i torba z granatami, wzięła w dłonie miękki pysk zwierzęcia i spojrzała mu w oczy.

- Trzymaj się, przyjacielu - szepnęła. - Przynajmniej z ciebie będzie jakiś pożytek. Może wobec ciebie będą bardziej lojalni niż wobec nas.

Uzdę muła i worek z cennym owsem wręczyła adiutantowi Miłowana. Ten zajrzał do worka i zrobił taką minę, że Lola od razu się domyśliła, że Czerwoniak będzie miał dużo szczęścia, jeśli uszczknie coś ze swoich zapasów, zanim adiutant napelni brzuch owsianką. Wsadziła więc do worka obie dłonie w wełnianych rękawicach i zaczerpnęła ziarna. Podała zwierzęciu. Ciepły pysk muła rozgrzał na chwilę jej ręce. Kiedy sylwetka Czerwo-niaka rozpływała się w wirującym śniegu, resztki jego śliny zamrzły na surowej wełnie rękawic. Odszedł też Branko. Lola zauważyła, że nie odwrócił się w ich stronę ani razu.

Reszta grupy skupiła się wokół Izaka. Oczekiwali po nim jakiegoś planu działania.

- Myślę, że najbezpieczniej będzie, jeśli się rozdzielimy się na małe grupki - powiedział.

Chciał, żeby przedostali się na terytorium wyzwolone od nazistów. Kiedy przy ognisku dyskutowali zażarcie nad strategią na przyszłość, Lola

siedziała cicho. Niektórzy uważali, że lepiej będzie wyruszyć na południe, na tereny pod okupacją włoską. Inni zapowiadali, że wyruszą na poszukiwanie rozproszonych rodzin. Lola nie miała dokąd wracać i kogo szukać. Bała się wyprawy na południe, w nieznaną. Bała się też wracać do Sarajewa. Zresztą - po co? Czekala, aż ktoś spyta ją o plany, zaproponuje wspólną wędrówkę. Wszyscy zachowywali się tak, jakby już sobie poszła. Kiedy podniosła się i opuściła krąg towarzyszy, nikt nie powiedział jej nawet „dobranoc”. Położyła się z plecakiem pod głową. Stopy obwiązała szmatami, które miały się przydać na bandaż. Leżała tak, nie śpiąc, choć z zamkniętymi oczami. Nagle poczuła na sobie spojrzenie Iny.

Dziewczynka otuliła się kocem jak kokonem. Na głowę naciągnęła głęboko wełnianą czapkę, spod której widać było tylko oczy. Lola nie zdawała sobie sprawy, że jednak usnęła na chwilę. Obudziła się na dobre dopiero wtedy, gdy poczuła, jak szarpie ją mała dłoń. Było wciąż ciemno, ale Izak i jego siostra przygotowali się już do drogi. Ina położyła palec na ustach, by zawczasu uciszyć Lolę, a potem podała jej rękę, pomagając wstać. Lola zwinęła swój koc i wepchnęła go do chudego plecaka. Ruszyli za Iną i jej bratem.

Szczegóły tego, co działo się w następnych dniach, wracały potem w snach Loli. Ale na jawie przypominała sobie jedynie strach i ból. Poruszali się nocą, ukrywając za dnia. Gdy udało im się zakraść do jakiejś stodoły czy szopy, zapadali w niespokojny sen. Bali się psów, bo ich szczekanie mogło ściągnąć niemiecki patrol. Czwartej nocy Ina zaczęła mocniej gorączkować. Izak musiał nieść siostrę, drżącą, spoconą i mamroczącą w delirium. Piątej nocy gorączka jeszcze się nasiliła. Izak oddał Inie swoje skarpety i otulił ją własną kapotą, próbując daremnie powstrzymać wstrząsającą dziewczynkę dreszcze. Szli jednak dalej. W pewnej chwili, zaraz po przekroczeniu zamrzniętej rzeki, Izak nagle się zatrzymał i kucnął.

- O co chodzi? - szepnęła Lola.

- Moja stopa... w ogóle jej nie czuję... - powiedział Izak. - Tam na lodzie było takie słabe miejsce, noga przeszła mi na wylot... A teraz jest mokra i zmarznięta. Nie mogę iść...

- Nie możemy się tu zatrzymać. Znajdziemy potem jakieś schronienie.

- Ty znajdziesz. Ja już nie mogę...

- Daj mi to obejrzeć...

Wyjęła latarkę, ściągnęła Izakowi but i poświeciła na jego stopę. Gołe ciało, które wyłoniło się spod skóry buta, było szmerne. Odmrożenie. To się musiało stać wcześniej, na długo przedtem, zanim przekroczyli

rzekę. Ujęła stopę Izaka w obie dłonie i zaczęła ją rozcierać. Nie było to jednak dobre wyjście. Palce były zupełnie obumarłe i kruche. Nawet niewielki nacisk mógł spowodować uszkodzenia. Lola zdjęła płaszcz i rozłożyła go na ziemi. Posadziła na nim Inę. Oddech dziecka był płytki i nieregularny. Lola starała się zmierzyć dziewczynce puls, ale nie mogła go wyczuć.

- Lola - odezwał się Izak. - Ja już nie mogę iść, a Ina umiera. Idź dalej sama.

- Nie zostawię was - odparła.

- Dlaczego? Ja bym cię zostawił...

- Akurat... - rzuciła i zaczęła zbierać chrust na ognisko.

- Rozpalanie ogniska jest zbyt niebezpieczne - wyszeptał Izak. - A poza tym nie zdołasz rozpaścić tych zlodowaciałych patyków. Lola poczuła, że narasta w niej gniew.

- Nie wolno ci się poddawać - powiedziała szorstko. Izak nie odpowiedział ani słowem. Z najwyższym trudem podniósł się na kolana, a potem wstał.

- Twoja stopa! - przeraziła się Lola.

- Nie będzie mi już potrzebna...

Lola, nie wiedząc co począć, objęła Inę. Ale Izak odepchnął ją od siostry.

- Nie trzeba, ona pójdzie ze mną.

Wziął na ręce swoją siostrzyczkę. Ina była tak wychudzona, że ważyła tyle co nic. Nie ruszył jednak w kierunku, w którym do tej pory zmierzali.

Odwrócił się i pokuśtykał w stronę rzeki.

- Izak! - krzyknęła Lola.

Nie odwrócił się. Trzymając siostrę w objęciach zszedł niepewnie z brzegu na lód. Podreptał na środek nurtu, gdzie pod cienkim lodem huczała rwąca rzeka. Stał tam przez chwilę, kołysząc się niezdarnie. Nagle lód załamał się z trzaskiem. Runęli do wody.

* * *

Lola dotarła do Sarajewa, gdy spoza gór wydobywały się pierwsze promienie światła, srebrząc mokre od deszczu ulice. Wiedząc, że sama nie zdoła przedostać się na tereny wyzwolone, postanowiła wrócić do rodzinnego miasta. Przemierzała te raz znajome ulice, kryjąc się pod murami. Szukała najmniejszej choćby ochrony przed deszczem i nieprzyjaznymi oczami. Czowała dobrze znajome miejskie zapachy - woń mokrych chodników, gnijących śmieci i węglowego dymu. Wygłodzona i zdesperowana, szła bez żadnego konkretnego celu, aż znalazła się u wejścia do ministerstwa finansów, gdzie kiedyś pracował jej ojciec. Budynek był jeszcze pusty. Lola weszła do obszernego przedśionka.

Przecięgnęła dłonią po reliefie otaczającym drzwi wejściowe. Usiadła na schodach. Przyglądała się kropłom deszczu, spadającym na zewnętrzne schody. Porobiły się tam małe kałuże. Każda spadająca kropla wywoływała na moment koncentryczne kręgi, które zaraz się rozplęwały. Kiedy była w górach, spychała rodzinne wspomnienia na sam spód umysłu, obawiając się, że kiedy do nich sięgnie, nie będzie już w stanie się opędzić. Tu jednak z każdego kąta wzywały wspomnienia o ojcu. Szkoda, że nie była już dzieckiem, pilnowanym i chronionym przez rodziców. Bezpiecznym...

Musiała się zdrzemnąć na chwilę. Obudził ją odgłos kroków zza ciężkich drzwi. Odsunęła się w cień, za filar, niepewna, czy powinna zostać, czy uciekać. Zazgrzytały rygle, od dawna wiadać nieoliwione, i zza drzwi wyłonił się człowiek w roboczym kombinezonie, z szyją obwiązaną szalikiem. Nie dostrzegł jej w pierwszej chwili.

Pozdrowiła go tradycyjnym „Bóg z wami”. Mężczyzna odwrócił się do niej. Był mocno zdziwiony. Jego wodniste oczy rozwarły się szeroko, kiedy dostrzegł ociekającą deszczem, podobną do ducha postać. Nie poznał jej, bo miesiące w górach mocno ją odmieniły. Ale Lola go poznała. Sawa, dobroduszny staruszek, który kiedyś pracował z jej ojcem.

Wymówiła jego imię, a potem swoje.

Kiedy ją wreszcie rozpoznał, otworzył szeroko ramiona i uściśnął serdecznie. Ogarnęła ją nagła ulga, zaczęła szlochać. Sawa rozejrzał się po ulicy, czy nikt ich nie obserwuje, a potem wciągnął dziewczynę do środka, zamknął drzwi i przekręcił klucz.

Zabrał ją do portierni i okrył własnym płaszczem. Nalał jej świeżej, gorącej kawy. Kiedy wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos, opowiedziała o swojej tułaczce. Gdy doszła do momentu śmierci Iny, nie była w stanie dalej mówić. Sawa ukołysał ją łagodnie.

- Może mi pan pomóc? - spytała. - Jeśli nie, to niech mnie pan wyda od razu ustaszom, bo nie mam siły już dłużej uciekać.

Sawa przyglądał się jej przez chwilę, nic nie mówiąc. Po tem wstał i wziął ją za rękę. Wyszli z gmachu ministerstwa, zamknawszy za sobą drzwi. Szli w milczeniu. Jedna przecznica, druga. Kiedy dotarli do Muzeum Narodowego, Sawa wprowadził ją bocznym wejściem dla personelu i kazał poczekać na ławce we wnęce koło wejścia.

Nie było go przez długi czas. Lola słyszała ludzi, którzy zaczęli się kręcić po budynku. Zastanawiała się, czy Sawa jej aby nie zostawił. Ale zmęczenie i smutek wywoływały w niej apatię. Nie była w stanie zmusić się do żadnego działania. Siedziała więc i czekała. Gdy Sawa znów się

pojawił, stał przy nim wysoki elegancki pan w średnim wieku, bardzo dobrze ubrany. Na włosach przyprószonych siwizną miał karmazynowy fez. Loli zdawało się, że kiedyś już go widziała, ale nie mogła sobie przypomnieć kiedy. Sawa wziął dziewczynę za rękę i uściśnął, żeby podnieść ją na duchu. Wysoki mężczyzna dał znak, by poszła za nim. Wyszli z gmachu muzeum. Zaprowadził ją do małego samochodu, dając gestem do zrozumienia, że ma się położyć na podłodze pod tylnymi siedzeniami. Dopiero kiedy zapuścił silnik i zwolnił hamulec ręczny, odezwał się do Loli. Mówił z wytwornym akcentem. Łagodnym tonem wypytał ją, gdzie się ostatnio podziewała i co robiła.

Nie ujechali daleko. Mężczyzna wkrótce zatrzymał wóz i wysiadł, mówiąc Loli, żeby na razie została na miejscu. Wrócił po paru minutach. Wręczył jej czador i kazał go założyć, nie pozwalając jeszcze wysiadać. - Bóg z wami, effendi! - pozdrawiali go sąsiedzi, a mężczyzna udawał, że szuka czegoś w bagażniku. Dopiero gdy przed domem opustoszało, otworzył tylne drzwi i dał Loli znak, by za nim poszła. Poprawiła na sobie czador w taki sposób, jak robiły to znane jej skromne muzułmanki. Kiedy znaleźli się w budynku, mężczyzna zapukał energicznie do drzwi, a te się zaraz otworzyły.

W środku stała żona muzułmańskiego gentlemana. Lola natychmiast ją poznała. Ta sama kobieta, która poczęstowała ją kawą, kiedy zjawiała się tu po bieliznę do prania. Stela zdawała się jej jednak nie kojarzyć, co nietrudno zrozumieć, zważywszy na przebranie Loli. Zresztą i po zdjęciu czadoru wyglądała zupełnie inaczej niż kiedyś. Ostatnie przeżycia dodały jej lat. Wychudła, ale i zmężniała. Włosy miała obcięte na chłopaka. Stela była wyraźnie zaniepokojona niespodziewanym pojawieniem się męża w towarzystwie kobiety. Rozmawiali z sobą po albańsku. Lola nic z tego nie rozumiała, ale zauważyła, że na twarzy Steli malowało się wielkie zaskoczenie. Mąż mówił do niej przez dłuższą chwilę - uprzejmie, lecz stanowczo. W jej oczach pojawiły się nawet łzy, ale prędko wytarła je koronkową chusteczką. Potem zwróciła się do Loli:

- Witamy cię w naszym domu - powiedziała. - Mąż właśnie mi opowiedział o twoich cierpieniach. Wejdz więc i rozgość się - umyj, najedz i odpocznij. Później, kiedy się wyśpisz, porozmawiamy, jak ci zapewnić bezpieczeństwo.

Serif spojrział na żonę z czułością i dumą. Lola zauważyła to spojrzenie, a także rumieniec, jakim oblała się Stela. Tak się kochać, to musi być coś pięknego... - pomyślała.

- Muszę teraz wracać do muzeum - powiedział Serif. - Zobaczymy się

wieczorem. Moja żona się tobą zaopiekuje.

Ciepła woda i pachnące mydło zdały się Loli luksusami nie z tego świata. Potem Stela podała jej parującą zupę i świeży chleb. Lola musiała się mocno starać, by zjeść posiłek w cywili-zowany sposób, a nie pożreć łapczywie jak głodne zwierzę. Kiedy się najadła, Stela zaprowadziła ją do małej sypialni. Stało tam dziecinne łóżeczko, a w nim leżało niemowlę. - To mój syn Habib, urodził się jesienią. - Wskazała Loli ni-ską sofę pod ścianą. - To będzie także twój pokój.

Lola położyła się i zanim jeszcze Stela wróciła z kołdrą, zapa-dła w głęboki sen.

Kiedy się obudziła, miała wrażenie, że wypłynęła z jakiejś przepastnej głębi. Łóżeczko obok było puste. Usłyszała łagodne głosy - jeden zaniepokojony, drugi uspokajający. Później dziecię-ce kwilenie, rychło utulone. Dostrzegła, że na łóżku leży ubranie dla niej. Nigdy czegoś takiego na sobie nie miała - to był pełny strój albańskiej chłopki, a do tego biały szal, pod którym mogła schować swoje krótko przycięte włosy oraz dolną część twarzy, tak że widać było tylko oczy. Wiedziała, że jej stare ubranie, no-szące ślady partyzanckich przygód, nadaje się tylko do pieca. Ubrała się z pewnym trudem, bo szal nie chciał się ułożyć jak trzeba. Nie miała wprawy.

Gdy weszła do wypełnionego książkami saloniku, Serif i Ste-la siedzieli blisko siebie, pogrążeni w rozmowie. Serif trzymał na kolanach ciemnowłosego synka. Drugą ręką ścisnął dłoń żony. Na jej widok natychmiast rozłączyli dłonie. Lola wiedziała, że wśród konserwatywnych muzułmanów nawet małżonkowie nie lubią się afiszować ze swymi uczuciami.

Serif uśmiechnął się:

- Ho, ho, a cóż to za urocza wieśniaczka! - zagadnął. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wymyślimy jakąś historyjkę tłuma-zczącą twoją obecność w tym domu. Powiedzmy, że jesteś dziewczyną przysłaną przez rodzinę Steli do pomocy przy dziecku. Będiesz udawać, że nie znasz żadnego z języków używanych w Bośni. W obecności innych Stela i ja będziemy się do ciebie zwracali po albańsku. Ty musisz tylko kiwać głową na wszystko, co będziemy do ciebie mówili. Najlepiej będzie, jeśli w ogóle nie będziesz wychodzić z mieszkania, żeby jak najmniej ludzi wie-działo, że tu jesteś.

Aha - musimy ci nadać jakieś muzułmańskie imię... Może być Lejla?

- Nie zasługuję na tyle dobroci - szepnęła Lola. - Wy, muzuł-manie, pomagacie Żydówce...

- Daj spokój! - przerwał jej Serif, widząc, że dziewczyna go-towa się

rozpłakać. - Żydzi i muzułmanie to kuzyni, potomkowie Abrahama. Wiesz, że twoje nowe imię znaczy „wieczór” zarówno w arabskim, języku naszego świętego Koranu, jak w hebrajskim, języku waszej Tory.

- Ja... ja nie znam hebrajskiego... Moja rodzina nie była religijna... Rzeczywiście, rodzice chodzili do żydowskiego klubu, ale nie modlili się w synagodze. Kiedy powodziło im się lepiej, starali się ubierać córki w nowe ubrania z okazji Chanuki, ale to wszystko. Lola bardzo mało wiedziała o religii swoich przodków.

- Szkoda, bo to bardzo piękny, wręcz fascynujący język - powiedział Serif. - Współpracowałem z pewnym rabinem przy tłumaczeniu niektórych tekstów, ale to było jeszcze przed tym koszmarem, jaki na nas spadł... Potarł czoło i westchnął.

- Był bardzo dobrym człowiekiem i wielkim uczonym. A teraz mogę go tylko wspominać i opłakiwać...

W następnych tygodniach Lola wdrażała się do nowego życia. Z czasem przestała bać się dekonspiracji, a ciche, spokojne i monotonne dni w domu Kamalów stały się dla niej całkiem zwyczajne, nawet bardziej od przygód w partyzantce. Przywykła do tego, że Stela nazywała ją Lejlą. Niemal od razu pokochała dziecko. Bardzo też polubiła Stelę, która prowadziła co prawda życie czysto domowe, prywatne, ale jako córka i żona ludzi wykształconych nie miała bynajmniej ciasnych horyzontów. Z początku Lola krępowała się trochę Serifa, który był niemal w wieku jej ojca. Ale jego nienaganne maniery i życzliwe usposobienie sprawiły, że dość szybko poczuła się swobodniej. W pierwszych dniach nie wiedziała dobrze, co właściwie różniło Serifa od innych ludzi. Jednak pewnego dnia, kiedy cierpliwie wyjaśniał jej pewien problem - zasięgając przy tym jej opinii, jakby była na prawdę warta rozważenia, a potem naprowadzając delikatnie na właściwy trop - zdała sobie sprawę, na czym polegała ta wyjątkowość. Serif był najlepiej wykształconym człowiekiem, jakiego знаła, a zarazem jedynym, który nigdy nie dawał jej poczuć się jak idiotka. W najmniejszym nawet stopniu.

Dzień w rodzinie Kamalów toczył się wokół dwóch zasadniczych spraw: modlitwy i nauki. Pięć razy dziennie Stela przerywała wszelkie zajęcia, myła się starannie i perfumowała. Potem rozwijała mały jedwabny dywanik, który służył jej tylko do modlitwy, i zaczynała pokłony oraz recytacje wymagane przez religię. Lola nic z tego nie rozumiała, ale dźwięczne arabskie frazy wydawały się jej kojące i krzepiące.

Wieczorami Stela zajmowała się haftowaniem, Serif zaś czytał jej na głos. Z początku Lola zabierała wtedy małego Habiba do dziecięcego

pokoju, ale małżonkowie zaproponowali jej, by jeśli ma ochotę, wieczory spędzała z nimi. Siedziała więc z Habi-bem na kolanach, zaraz za kręgiem światła rzucanego przez lam-pę. Serif wybierał do czytania różne zajmujące historie i piękne wiersze, a Lola z coraz większą niecierpliwością czekała na te wieczorne lektury. Jeśli Habib grymasił, musiała wychodzić z nim na jakiś czas do dziecięcego pokoju, ale gdy wracała, Se-rif streszczał jej fragment, który opuściła. Czasami czekał nawet z ciągiem dalszym.

Niekiedy budziła się w nocy zrana zimnym potem, bo śniło jej się, że gonią ją Niemcy z psami albo że siostrzyczka Dora woła do niej o pomoc z gęstwiny lasu. Kiedy indziej widziała, jak Ina i Izak znikają pod pękającym lodem. Zbudziwszy się, wyjmowała Habiba z łóżeczka i kołysała go, kojąc stargane nerwy ciepłem jego pogrążonego we śnie ciała.

Pewnego dnia Serif wrócił wcześniej z biblioteki. Nie przy-witał się ani nie spytał, co u syna, nie zdjął nawet płaszcza, tylko poszedł prosto do swojego gabinetu.

Po paru minutach zawołał je obie. Lola była w tym pokoju po raz pierwszy, bo Stela sprzątała tu sama. Teraz mogła obejrzeć półki sięgające sufitu. Książki z gabinetu wydały jej się jeszcze piękniejsze i starsze niż te, które stały w salonie. Pyszniły się oprawami ze złoconego półskórka. Ale Serif trzymał w dłoniach odzianych w rękawiczki jakiś niewielki i zwyczajnie oprawiony tom. Odłożył go na biurko i wbił w niego pełen emocji wzrok, jakby to był Habib.

- Dzisiaj odwiedził muzeum generał Fortner... - zaczął. Stela złapała się za głowę. Fortner budził powszechny lęk, był dowód-cą niemieckiej dywizji stacjonującej w Bośni. Mówiło się, że ma na rękach krew tysięcy ludzi. - Nie, nic strasznego się nie stało. Prawdę mówiąc sędzę, że jego wizyta odniosła dobry skutek. Dziś bowiem udało nam się - to znaczy mnie i dyrektorowi - uchronić jeden z wielkich skarbów naszego muzeum... Serif nie miał ochoty zdawać pełnej relacji z tego, co wyda-rzyło się w muzeum. Nie zamierzał nawet pokazywać im hagady. Ale obecność książki w domu wytrąciła go trochę z równowagi i stępiła czujność. Przerzucił więc parę kartek, żeby i one mogły się zachwycić pięknem zabytku. Powiedział też, że dyrektor muzeum powierzył mu opiekę nad tym niezwykłym tomem.

Przełożonym Serifa był doktor Josip Bosković, Chorwat, któ-ry poszedł na współpracę z ustaszowskim rządem w Zagrzebiu, ale w głębi duszy pozostał sarajewczykiem. Zanim objął stanowisko dyrektora muzeum,

był kustoszem działu numizmatycznego i popularną postacią w mieście, gdyż uczestniczył we wszystkich wydarzeniach kulturalnych. Ciemne włosy zaczesywał do tyłu, używając mocno pachnącej pomady. Jego niewzruszonym rytuałem były cotygodniowe wizyty u manikiurzystki. Kiedy Fortner dał znać, że ma zamiar odwiedzić muzeum, Bosković zdał sobie sprawę, że jego taniec na linie osiągnął właśnie decydujący moment. Sam słabo mówił po niemiecku, więc zadzwonił po Serifa i wyznaczył go na tłumacza. Boskovicia i Ka-mala dzieliły pochodzenie i zainteresowania naukowe, ale obaj byli gorąco oddani bośniackiej tradycji i kochali różnorodność, która ją ukształtowała. Rozumieli też jasno, że Fortner nie miał zamiaru tej bośniackiej różnorodności pielęgnować. Wręcz przeciwnie.

- Wie pan, o co mu chodzi? - spytał Serif.

- Nie powiedział. Ale mogę się domyślić. Mój kolega z Zagrzebia powiedział mi, że splądrowano tamtejsze zbiory judaików. Pan i ja dobrze wiemy, że to, co jest u nas, ma o niebo większą wartość. Krótko mówiąc sędzę, że Fortner chce hagady.

- Panie Josipie, nie możemy jej oddać! Pewnie ją zniszczy, tak jak jego ludzie zniszczyli już wszystko co żydowskie w tym mieście.

- A jaki mamy wybór, panie kolego? Może zresztą jej nie zniszczy. Słyszałem, że Hitler chce zorganizować muzeum Zaginionej Rasy, gdzie znajdą się najcenniejsze żydowskie zabytki. Oczywiście nastąpi to dopiero po „rozwiązaniu kwestii żydowskiej”.

- Czy podłość tych ludzi nie zna granic? - westchnął Serif.

- Cicho sza! - Bosković uniósł obie dłonie, by uciszyć kolegę. Sam zaczął mówić szeptem:

- Ostatnio żartują w Zagrzebiu, że niedługo przyjdzie czas na fudenforschung ohne Juden, studia żydowskie bez Żydów, ha, ha... - chciał się roześmiać z własnego dowcipu, ale mu się nie udało. Położył dłoń na ramieniu Serifa. - Jeśli spróbuje pan ukryć tę książkę, zaryzykuje pan własnym życiem...

Serif spojrział poważnie na Boskovicia.

- A jaki mam wybór? Jestem przecież kustoszem. Czy zabytek, który przetrwał pięć stuleci, ma ulec zagładzie akurat wtedy, kiedy ja jestem jego opiekunem? Jeśli pan myśli, że na to pozwolę, to mnie pan nie zna, drogi kolego!

- W takim razie proszę robić, co pan uważa za słuszne. Tylko prędko, błagam pana.

Serif wrócił do biblioteki. Drżącymi dłońmi wyciągnął pudło z napisem

Archiv der Familie Kapetanović - Turkische Urkunden (Archiwum rodziny Kapetanović - dokumenty tureckie). Wyjął parę tureckich nadań ziemskich leżących na wierzchu. Pod spodem spoczywało kilka hebrajskich kodeksów. Wyciągnął najmniejszy z nich i schował za paskiem spodni. Potem starannie zapiął marynarkę, żeby niczego nie było widać.

Fortner był szczupłym, drobnym i niezbyt wysokim mężczyzną. Mówił miękkim głosem, który rzadko wychodził poza poziom szeptu, więc otoczenie musiało cały czas uważać, by dosłyszeć wszystkie jego słowa. Oczy miał zimne, zielone jak agat, a cerę bladą i jakby przezroczystą, niczym surowe rybie mięso.

Josip Bosković awansował na dyrektora dzięki nadzwyczaj gładkim manierom, graniczącym niekiedy z obłudą. Kiedy kordialnie, a zarazem uniżenie witał generała, nikt się nie domyślił, że po plecach ścieka mu pot wywołany skrajnym napięciem nerwów. Przeprosił gorąco, że tak lichy mówi po niemiecku. Kiedy Serif pojawił się w drzwiach, Bosković przedstawił go:

- Mój kolega jest świetnym lingwistą. Zawsze zawstydza mnie pod tym względem.

Serif zbliżył się do generała i wyciągnął rękę. Uścisk generalskiej dłoni był zadziwiająco miękki, żeby nie powiedzieć sflaczały.

Fortner nie wyjawiał jasno celu swojej wizyty. Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy, którą przerwał Bosković, proponując obejście zbiorów. W trakcie obchodu sklepionych sal Serif udzielał gruntownych wyjaśnień, a generał szedł za nim bez słowa, klepiąc się trzymanymi w prawej ręce czarnymi rękawiczkami po lewej dłoni, nagiej i białej. Kiedy doszli do biblioteki, Fortner odchrząknął i po raz pierwszy zabrał głos:

- Niech pan będzie łaskaw pokazać mi żydowskie manuskrypty i inkunabuły...

Serif lekko drżącymi rękoma wyjmował kolejne tomy z szaf bibliotecznych i kładł na długim stole. Były wśród nich takie rarytasy jak matematyczny traktat Elii Mizrachiego, słownik hebrajsko-arabsko-łaciński opublikowany w 1488 roku w Neapolu oraz wydany w Wenecji Talmud.

Blade dłonie generała pieściły każdy tom. Z niezwykłą starannością przeglądał stronicę. Kiedy dotykał najstarszych kodeksów, spisanych spłóviałym inkaustem na welinie, wyraz jego twarzy się zmieniał. Językiem zwilżał usta. Był wyraźnie podniecony, źrenice mu się

powiększyły. Serif odwrócił wzrok. Sytuacja robiła się nieprzyzwoita, wręcz pornograficzna. W końcu Fortner zamknął wenecki Talmud i uniósł brew, jakby zdziwiony.

- A nie pokaże mi pan tej waszej hagady? Chciałem ją zobaczyć...

Teraz z kolei Serif poczuł, że pot ścieka mu po plecach.

- To... niemożliwe, panie generale - powiedział. Twarz Boskovicia, dotąd zarumieniona, zrobiła się nagle białą jak kreda.

- Cóż to ma znaczyć? - spytał Fortner lodowatym głosem.

- Mój kolega chciał powiedzieć... - zaczął się natychmiast tłumaczyć Bosković - że jeden z pańskich oficerów zjawił się tu wczoraj i zażądał wydania hagady. Mówił, że ma to związek z pewnym projektem muzealnym samego Fuhrera... Oczywiście byliśmy zaszczyceni, że możemy pomóc w takim przedsięwzięciu...

Serif zaczął tłumaczyć słowa dyrektora, ale generał przerwał mu:

- Co za oficer? Nazwisko proszę...

Zbliżył się na krok do Boskovicia. Pomimo szczupłej budowy nagle wydał się znacznie potężniejszy. I groźny. Bosković cofnął się, wpadając na półki.

- Nie przedstawił się... Ja... ja... - płątał się Bosković - nie czułem się upoważniony, by go wypytywać o personalia... Ale jeśli wrócimy do mojego biura, mogę pokazać rewers, który zostawił... to był jakiś kapitan...

Ledwie Serif przetłumaczył te słowa, Fortner syknął:

- Bardzo dobrze. Idziemy!

Obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Bosković miał tylko chwilę na wymienienie spojrzenia z Serifem. Najbardziej znaczącego spojrzenia w swoim życiu.

Najspokojniej jak umiał, Kamal zwrócił się do generała:

- Będzie pan łaskaw pójść za dyrektorem. Zaprowadzi pana do głównych schodów.

Serif wiedział, że ma bardzo mało czasu. Miał nadzieję, że trafnie odgadł intencje dyrektora. Wypisał kartę biblioteczną z sygnaturą hagady, a potem innym piórem podpisał ją, stawiając jakiś nieczytelny gryzmoł z wielkim zawijaszem. Zadzwoił po portiera i kazał mu niezwłocznie zanieść kartę do gabinetu dyrektora.

- Proszę skorzystać z windy dla personelu. I niech się pan pośpieszy.

Proszę to położyć w widocznym miejscu na jego biurku, zanim wejdzie z generałem.

Wyprawiwszy portiera, zszedł powoli do szatni i założył na siebie lekki

płaszcz i fez. Ze wszystkich sił starał się nie okazać pośpiechu. Powolnym krokiem wyszedł z biblioteki, udając się do głównego wejścia. Zerknął na czekającą tam obstawę Fort-nera i skłonił się lekko. W połowie schodów wdał się w krótką pogawędkę z wchodzącym właśnie kolegą. Minął duży czarny samochód sztabowy zaparkowany przed muzeum. Uśmiechając się i kłaniając znajomym, dotarł spacerkiem do swojej ulubionej kawiarni, gdzie powolutku wypił kawę, ciesząc się - jak prawdziwy Bośniak - każdym łykiem. Potem, dopiero potem, ruszył w stronę domu.

Kiedy Serif przewracał strony hagady, Lola wpatrywała się w nie jak urzeczona, zachwycona przepychem ilustracji.

- Powinnaś być bardzo dumna - powiedział. - To wielkie dzieło sztuki dane światu przez twój lud.

Stela tymczasem załamała ręce i powiedziała coś po albańsku. Serif spojrział na nią łagodnie, ale stanowczo. Odpowiedział po bośniacku:

- Wiem, że się martwisz, i rozumiem to. Są powody do niepokojów.

Najpierw udzieliliśmy schronienia żydowskiej dziewczynie, a teraz żydowskiej książce. Naziści bardzo się interesują takimi historiami. Młode życie i stary zabytek... Jedno i drugie bardzo cenne. Mówisz, że nie chodzi ci o ryzyko grożące tobie - i ja to bardzo pochwalam i jestem z ciebie dumny. Ale mówisz, że boisz się o naszego syna. I to jest strach uzasadniony. Ja też się o niego boję. Razem z pewnym przyjacielem wymyśliłem plan dla Lejli. Jutro spotkamy się z tym człowiekiem. Wyśle ją do pewnej rodziny we włoskiej strefie, gdzie będzie bezpieczna.

- No a co z książką? - spytała Stela. - Generał na pewno zorientuje się w twoim podstępie. Kiedy przeszukają muzeum, przyjdą tutaj.

- Nie martw się - uspokoił ją Serif. - Nie zorientuje się. Doktor Bosković miał świetny pomysł, mówiąc że jeden z oficerów Fortnera zjawił się po książkę. Naziści to urodzeni rabusie. Generał wie, że jego ludzie są specami od kradzieży. Pewnie podejrzewa z pół tuzina swoich oficerów. W każdym razie - stwierdził zamykając książkę - jutro już jej tu nie będzie.

- A gdzie ją zabierzesz? - spytała Stela.

- Nie jestem jeszcze pewien. Ale wiem, że najlepszym miejscem ukrycia książki jest biblioteka.

Z początku myślał, że zanieśli hagadę z powrotem do muzeum i wepchnie ją gdzieś pomiędzy tysiące tomów przechowywanych w tamtejszej bibliotece. Ale potem przypomniała mu się inna biblioteka, znacznie mniejsza, gdzie spędził wiele szczęśliwych godzin, studiując w

boku swojego drogiego przyjaciela. Uśmiechnął się do żony:

- Wiesz, zabiorę tę książkę w takie miejsce, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy jej szukać.

Następnego dnia był piątek, muzułmański szabat. Serif poszedł do pracy jak zwykle, ale zwolnił się w południe, mówiąc, że chce wziąć udział we wspólnych modłach. Pojechał do domu i zabrał Stelę, Habiba i Lolę.

Zamiast jednak skierować się w stronę miejscowego meczetu, poprowadził samochód za miasto, w stronę gór. Podczas jazdy Lola zabawiała Habiba jak umiała, a jednocześnie przypominała sobie słodkie aromaty świeżo skoszonego siana. Droga, którą jechali, była dość trudna, wąska i kręta.

Teraz, w pełni lata, światło było gęste jak masło i złociło poletka pszenicy i słoneczników, wypełniające wszystkie bardziej połogie miejsca wśród stromych stoków. Gdy nadchodziła zima, nie dało się tu dojechać aż do wiosennych roztopów. Lola skupiła się na Habibie, bo od kołysania samochodu i własnych obaw robiło jej się niedobrze. Wiedziała, że opuszczenie miasta było rzeczą rozsądną, ale bardzo nie chciała zostawiać Kamalów. Pomimo smutku, który ją wciąż ogarniał, i ciągłej obawy przed dekonspiracją te cztery z okładem miesiące, jakie u nich spędziła, dały jej spokój ducha, jakiego od dawna nie zaznała.

Był już wieczór, kiedy dojechali do końca drogi i ujrzeli wioskę otwierającą się jak kwiat w małej wiszącej dolinie. Chłopi spędzali bydło z pastwisk, a nawoływanie do wieczornej modlitwy mieszało się z ryczeniem krów. Tu, wysoko w górach, wojna i jej dolegliwości zdawały się bardzo odległe.

Serif zatrzymał wóz przy niskim kamiennym domu. Jego ściany były białe, a wszystkie kamienie precyzyjnie do siebie pasowały. Ukryte w niszach okna, wysokie i wąskie, osłonięte były masywnymi drewnianymi żaluzjami pomalowanymi na niebiesko. Gdy nadchodziła zima, mogły dać odpór nawet najgwałtowniejszym wichrom.

Wokół domu rosły kępy ciemnobłękitnych ostróżek. Pośród kwiatami unosiła się niespiesznie para motyli. Nad podwórkiem rozciągały się gałęzie starej morwy. Kiedy samochód zaparkował przed domem, zza drzewa wyrzało kilka dziecięcych twarzy. Dzieciaki obsiadły morwę jak stado ptaków, a teraz jeden po drugim opuszczały się na ziemię, otaczając Serifa, który dla każdego miał jakieś słodycze. Z domu wyszła nieco starsza dziewczyna o twarzy zakrytej woalką i zbesztala rozwrzeszczane brzdące.

- Ale to przecież przyjechał wujek Serif! - odpowiedziały, a wtedy Lola zauważyła, że oczy dziewczyny również uśmiechnęły się spod zasłony.

- Witamy, serdecznie witamy - powiedziała. - Ojciec nie wrócił jeszcze z meczetu, ale w domu jest mój brat Munib. Wchodźcie i czujcie się jak u siebie!

Munib, dziewiętnastolatek wyglądający na mola książkowego, siedział przy biurku ze szkłem powiększającym w jednej dłoni i pincetą w drugiej. Studiował właśnie jakiś okaz owada. Tacka obok mieniła się owadzimi skrzydełkami.

Chłopak zmarszczył brew, niezadowolony, że siostra zakłóciła mu czas skupienia i pracy. Ale ledwie ujrzał Serifa, wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił.

- Szanowny gościu, jakież to niespodziewany zaszczyt nas spotkał! - powiedział z emfazą i autentyczną radością.

Serif, wiedząc, że owady są pasją syna jego przyjaciela, załatwił młodemu entomologowi wakacyjną praktykę w dziale przyrodniczym muzeum.

- Cieszę się, że mimo ciężkich czasów nie zaniedbujesz swoich studiów - powiedział Serif. - Wiem, że twój ojciec nie traci nadziei, że pewnego dnia pośle cię na uniwersytet.

- Insha'Allah - westchnął Munib.

Gdy Serif siadł na niskiej kanapce pod sklepieniem oknem, siostra Muniba zaprosiła Stelę i Lolę do kobiecego saloniku, a młodsze dzieci urządziły prawdziwą defiladę łakoci, wnosząc tace z sokiem winogronowym z własnej winnicy, herbatą - o którą w mieście było teraz bardzo trudno - ogórkami i ciastkami domowej roboty.

Lola nie była więc obecna, kiedy Serif Kamal poprosił swego dobrego przyjaciela, ojca Muniba i wiejskiego chodzę, o ukrycie hagady. Nie widziała, z jaką radością i ekscytacją chodzą odsunął na bok tackę z preparatami syna, by zrobić miejsce dla manuskryptu. Nie widziała, z jakim zachwytem przeglądał strony książki. Słońce już zaszło, ale w pokoju została czerwona poświata. W gasnącym świetle tańczyły drobiny kurzu. Kiedy jedno z dzieci wniosło tacę z herbatą, zrobił się mały przeciąg i kawałek moty-lego skrzydełka spadł niepostrzeżenie na otwartą hagadę.

Serif i chodzą zabrali kodeks do biblioteki w meczecie. Umieścili go między tomami muzułmańskich traktatów prawnych. Było to chyba ostatnie miejsce, gdzie można by szukać hebrajskiej książki.

Jeszcze tego samego wieczoru Kamalowie wrócili z gór. Zatrzymali się na przedmieściu przed pięknym domem z kamienia.

- A więc powiedzmy sobie „do widzenia”. Nie możemy tu stać za długo -

odezwał się Serif. Lola i Stela uścisnęły się.

- Do zobaczenia, siostró - powiedziała Stela. - Niech Bóg cię strzeże, dopóki nie zobaczymy cię ponownie.

Lolę ścisnęło w gardle. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Ucałowała główkę Habiba i oddała go matce, a potem zniknęła w ciemnościach za Serifem.

Rozdział 3

Hanna

Wiedeń, 1996

Parnassius... zaszczytne imię dla motyla! Ja też czułam się podniośle, kiedy wychodziłam z wymuskanych ogrodów muzealnych w kierunku wiecznie tętniącej ruchem Ringstrasse. Nigdy wcześniej nie odnalazłam w żadnej książce szczątków motyla. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy opowiem o tym Wernerowi.

Na praktykę uniwersytecką nie musiałam jechać akurat do Wiednia.

Pewnie więcej sensu miałby wyjazd do Jerozolimy albo Kairu. Ale mnie zależało na studiach u Wenera Marii Heinricha, czyli profesora doktora Heinricha, bo tak poradzono mi się do niego zwracać. Austriacy, w odróżnieniu od Australijczyków, lubią tytuły. Słyszałam już wcześniej, że jest ekspertem od dawnych technik - był najlepszym na świecie demaskatorem fałszerstw, bo więcej niż ktokolwiek inny wiedział o starych materiałach i rzeźmiślach. Był też specjalistą od manuskryptów hebrajskich, co wydało mi się intrygujące, bo nie spodziewałam się takich zainteresowań po niemieckim katoliku z jego pokolenia.

Na mój pierwszy list udzielił mi uprzejmej, ale odmownej odpowiedzi:

„Jestem zaszczycony, ale niestety nie mam możliwości...” i tak dalej.

Drugi list spotkał się z odpowiedzią nie tak już grzeczną, ale tak samo odmowną.

Odpowiedź na list trzeci można streścić w trzech słowach: „Nie ma mowy”. Ale ja mimo to przyjechałam. Z całą bezczelnością zjawiłam się w jego mieszkaniu przy Maria-Theresienstrasse i zaczęłam go błagać, by przyjął mnie na praktykę.

Była zima, a ja - podobnie jak większość Australijczyków, którzy po raz pierwszy wyruszają w jakieś naprawdę zimne miejsce - nie byłam przygotowana na tak surową aurę. Sądziłam, że moja szykowna, ale dość kusa skórzana kurtka będzie odpowiednim okryciem zimowym. W Sydney była. Nie miałam pojęcia o środkowoeuropejskiej zimie. Kiedy

zapukałam do drzwi Heinricha, cała drżąca, z płatkami śniegu i soplekmi we włosach, musiałam wyglądać jak dziewczynka z zapalkami. So-ple dosłownie chrzęściły, gdy poruszałam głową. Wyglądałam tak rozpaczliwie, że dobre maniery nie pozwoliły mu wyrzucić mnie za drzwi. Miesiące, które spędziłam na ucieraniu pigmentów i polerowaniu pergaminów w jego przestronnym mieszkaniu-pracowni albo na obserwowaniu go w zakładzie konserwatorskim pobliskiej biblioteki uniwersyteckiej, nauczyły mnie, jak sądzę, więcej niż wszelkie sformalizowane staże. Pierwszy miesiąc był bardzo sztywny. Zwracaliśmy się do siebie „panno Heath”, „panie profesorze” - oficjalnie i raczej chłodno. Ale kiedy wyjeżdżałam, mówił już do mnie Uebchen. Sądzę, że nawzajem wypełnialiśmy luki w swoich życiorysach. Bo w kwestiach rodzinnych obojgu nam nie układało się najlepiej. Nigdy nie poznałam swoich dziadków, on zaś stracił rodzinę podczas alianckiego nalotu na Drezno w lutym 1945 roku. Oczywiście był w Wehrmachcie, aczkolwiek nigdy o tym nie opowiadał. Nigdy też nie mówił o swoim drezdeńskim dzieciństwie, skróconym przez wojnę. Nawet wtedy miałam dość taktu, by go nie wypytywać o te sprawy. Za-uważałam jednak, że kiedy przechodziliśmy koło Hofburga, zawsze starał się omijać Haldenplatz. Dopiero później zobaczyłam słynne z zdjęcie z 1938 roku. Widać tam ogromne rzesze ludzi, z których paru wspięło się nawet, żeby lepiej widzieć, na wielkie konne pomniki Eugeniusza Sabaudzkiego i arcyksięcia Karola. I po cóż się tam zebrali? Aby oklaskiwać Hitlera ogłaszającego przyłączenie swojej ojczyzny do Trzeciej Rzeszy.

Po tym jak opuściłam Wenera, by uzyskać doktorat na Harvardzie (przypuszczalnie nie zdobyłabym go, gdyby nie rekomendacja wiedeńskiego mistrza), pisywał do mnie okazjonalnie, informując o ciekawych przedsięwzięciach, w jakich brał udział, i dając mi dobre rady. A kiedy na parę dni przyjechał do Nowego Jorku, wskoczyłam do pociągu z Bostonu, by się z nim zobaczyć. Ale od tego czasu minęło parę dobrych lat. Byłam więc podeks-cytowana, kiedy znów zobaczyłam drobną postać profesora czekającego u szczytu marmurowych schodów, prowadzących do jego mieszkania.

Wspierał się na mahoniowej laseczce ze srebrną gałką. Sre-brzyste, dość długie włosy miał zaczesane do tyłu. Ubrany był w ciemną aksamitną marynarkę z bladożółtą lamówką przy wy-łogach. Na szyi krawat w dziewiętnastowiecznym stylu - długi, szeroki pas wzorzystego jedwabiu zawiązany luźno pod kołnierzykiem. W butonierce mała różyczka. Wiedziałam, jak dużą wagę przykłada do wyglądu, więc wbiłam się w

kostium koloru fuksji, pasujący do moich włosów.

- Hanna, Lieben! Pięknie dziś wyglądasz! Za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś coraz piękniejsza...

Pocałował mnie w rękę, a potem przyjrzał się mojej pokaleczonej dłoni.

- Widzę, że płacimy za radość, jaką daje nasze rzemiosło - zauważył.

Jego własne dłonie były chropawe w dotyku i miejscami stwardniałe, ale po paznokciach znać było świeżo zrobiony manicure. Nie dało się tego powiedzieć o moich.

Przekroczywszy siedemdziesiąty piąty rok życia, Werner przeszedł na uniwersytecką emeryturę, ale wciąż pisał artykuły naukowe i służył radą przy konserwacji ważnych manuskryptów. Ledwie weszłam do jego mieszkania, mogłam też zobaczyć - i poczuć - że nie zaprzestał pracy z tradycyjnymi materiałami, z których powstawały niegdyś książki. Długi stół pod wysokim neogotyckim oknem zarzucony był jak niegdyś kamieniami agatu, śmierdzącymi orzeszkami galasowymi, starymi narzędziami złotniczymi i pergaminami we wszystkich stadiach produkcji. Miał teraz gosposię, która podała nam kawę do biblioteki. Był to jeden z moich ulubionych pokojów na świecie, bo każda ze zgromadzonych tam książek miała jakąś ciekawą historię.

Bogata nuta kardamonu dodanego do kawy sprawiła, że poczułam się znów jak dwudziestoletnia studentka. Werner nauczył się pić taką kawę w arabskim stylu, kiedy był profesorem wizytującym na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Mieszkał wówczas w chrześcijańskiej dzielnicy Starego Miasta, wśród Palestyńczyków. Za każdym razem zapach kardamonu przypominał mi Wenera i jego mieszkanie, wypełnione bladym europejskim światłem, tak łagodnym dla oczu, kiedy ślęczy się godzinami nad jakimś zabytkiem.

- A więc... miło cię znów widzieć, Hanno. Dziękuję, że nadłożyłaś drogi, by zrobić przyjemność staremu człowiekowi...

- Werner, wiesz przecież, że uwielbiam się z tobą spotykać, ale przyznam, że mam również nadzieję na twoją pomoc...

Twarz mu pojaśniała. Pochylił się ku mnie na bujanym fotelu.

- No to powiedz mi, Lieben, w czym rzecz. Wyciągnęłam notes i zaczęłam zdawać relację z pracy nad sarajewską hagdą.

- Zrobiłbym dokładnie to samo - mruknął z aprobatą. - Jesteś pilną uczennicą.

Potem opowiedziałam mu o skrzydełku niepylaka - co go zastrygowało - i o innych rzeczach, które znalazłam w tej książce: białym włosie, plamach, miejscach zasolonych. Na koniec poruszyłam kwestię

dziwnych wyłobień na okładce.

- Zgoda - powiedział. - Rzeczywiście wygląda to tak, jakby chcieli założyć parę klamer. - Spojrzał na mnie swoimi wodni-stoblękitymi oczami. Miał na nich okulary w złotych oprawkach. - Tylko dlaczego ich teraz nie ma? Bardzo ciekawe. Tajemnicze...

- Myślisz, że w Muzeum Sztuki albo Muzeum Miejskim będą coś wiedzieli na temat hagady i prac z nią związanych? Oprawiono ją tu w 1894 roku. To kawał czasu...

- Jak na wiedeńskie stosunki, nie taki znów kawał, moja droga. Jestem pewien, że będą coś mieli na ten temat. Kiedy książka wypłynęła na światło dzienne, zrobił się niezły hałas. Jak by nie patrzeć - ilustrowana hagadą była na owe czasy sensacją. Aby ją zbadać, przyjechało do Wiednia dwóch wybitnych znawców tematu. Jestem pewien, że w muzeum mają przynajmniej ich referaty. Jednym z nich był Rothschild z Oksfordu, a drugim - Martell z Sorbony... Czytasz po francusku? Tak? Notatki intrologatora - jeśli się zachowały - będą po niemiecku. Ale nie jest wykluczone, że intrologator nie zostawił żadnych notatek. Jak sama zauważyłaś, jego oprawa to fuszerka...

- Ale ciekawe, dlaczego ją spartaczono, skoro książka znalazła się w centrum uwagi?

- Sądzę, że powstały spory, kto ją powinien zatrzymać. Wiedeń oczywiście chciał ją mieć u siebie. Wiadomo - stolica Austro-Węgier, ośrodek kultury europejskiej... Ale pamiętaj, że w tym czasie monarchia habsburska tylko okupowała Bośnię. Formalna aneksja nastąpiła dopiero w 1908 roku. A znaczna część, jeśli nie większość Słowian Południowych sprzeciwiała się okupacji.

Podniósł zgięty palec i pokiwał nim. To był jego nawyk - robił tak zawsze, gdy miał coś szczególnie ciekawego do powiedzenia.

- Tak się składa, że człowiek, który rozpętał pierwszą wojnę światową, urodził się w tym samym roku, kiedy pojawiła się tutaj sarajewską hagadą.

- Masz na myśli tego studenta Principa, który zabił w Sarajewie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda?

Werner potarł brodę i uśmiechnął się lekko. Uwielbiał opowiadać o sprawach, których jego rozmówcy nie znali.

- W każdym razie myślę, że z obawy przed eskalacją nacjonalistycznej przemocy książkę zwrócono w końcu do Bośniackiego Muzeum Krajowego. Ale wiązał się z tym może rodzaj odwetu, znamionujący pewien stołeczny snobizm - jeśli książka miała pojechać do jakiejś prowincjonalnej placówki, nie było sensu wysilać się na porządniejszą

oprawę. A może chodziło o jeszcze bardziej nieprzyjemne sprawy...

Zawiesił głos, a palcami zabębnił lekko o poręcz fotela.

- Nie wiem, czy się orientujesz, ale lata fin-de-siecle'u były tutaj okresem narastającego antysemityzmu. Hitler wiele się w Wiedniu nauczył podczas swoich głodnych młodzieńczych lat. Nie wyniósł swoich poglądów z rodzinnego Linzu. Właściwie cała jego ideologia ukształtowała się pod wpływem wiedeńskich antysemitów. W stolicy mieszkało wówczas bardzo wielu Żydów, których zawzięcie atakowano, nie licząc się nawet ze sprzeciwem cesarza Franciszka Józefa. Tu się oddychało takim powietrzem. Kiedy hagada pojawiła się w Wiedniu, Hitler miał jakieś pięć lat i zaczynał chodzić do przedszkola w Braunau. Tak to się wszystko dziwnie układa...

Kiedy zaczął znowu mówić, wydawało mi się z początku, że chce zmienić temat:

- Powiedz mi, czy czytałaś Arthura Schnitzlera? Nie? Musisz koniecznie przeczytać. Nie da się zrozumieć wiedeńczyków, na-wet dzisiejszych, bez książek Schnitzlera.

Sięgnął po laskę i wstał z widoczną trudnością. Powoli pod-szedł do półek z książkami. Przeciągnął palcem po grzbietach - miał tam prawie same rzadkie wydania albo pierwodruki.

- Mam go tylko po niemiecku... Czytasz dobrze po niemiecku? Tak sobie? Wielka szkoda. Lektura Schnitzlera wymaga dobrej znajomości języka, wszystkich niuansów.... To niezwykle ciekawy pisarz, bardzo - wybac mi określenie - erotyczny. Z wielką szczerością opisuje swoje miłosne podboje. Ale dużo też pisze o tym, jak rośli w siłę Judenfressers - „żydożercy”. Schnitzler nie używa określenia „antysemici”, bo za jego młodzieńczych lat nie było go w obiegu. Oczywiście Schnitzler sam był Żydem. Wyciągnął z półki jakiś tom.

- Ta książka nosi tytuł Moja wiedeńska młodość. Ciekawy egzemplarz, bo z dedykacją autora dla nauczyciela łaciny Johanna Auera: „Z podziękowaniem za aueryzm”. Wiesz, znalazłem ją na wyprzedaży w pewnej parafii w Salzburgu. Dobrze, że ktoś inny jej nie wypatrzył... Kartkował tom przez chwilę, aż znalazł fragment, którego szukał:

- Tu Schnitzler przeprosza czytelników, że „tyle miejsca poświęca tak zwanej kwestii żydowskiej”. Ale, jak pisze, żadnemu Żydowi, najbardziej nawet zasymilowanemu, nie pozwala się zapomnieć o pochodzeniu. Najbardziej nawet „chrześcijańska” powierzchowność nie chroni przed atakami. Jak nie dziś, to jutro. Można powiedzieć, że wygłosił prorocze słowa.

Odstawił książkę na półkę. Potem wyjął z kieszeni świeżo wyprasowaną chusteczkę i otarł czoło. Siadł ciężko na swoim fotelu.

- Możliwe, że hagadę oprawiono tak niedbale, bo intrologator nie miał do niej serca. Może też był Schnitzlerowskim „ży-dożercą”.

Wysączył resztkę kawy.

- Ale niewykluczone, że w istocie nie o to chodziło. W tamtych czasach nie zważano, ile ciekawych rzeczy może opowiedzieć nawet najbardziej zniszczona oprawa. Gdy wymieniano ją na nową, tracono mnóstwo informacji. Za każdym razem, gdy muszę pracować nad takim tomem, boli mnie serce. Jeśli książka dotarła do Wiednia z klamrami na starej oprawie, to pewnie były one oryginalne, jednak z założenia ich na nową okładkę ostatecznie zrezygnowano. Ale trudno tu o pewność.

Skubnęłam kawałek zabójczo tuczącego ciasta zwanego „fałami Dunaju”, za którym przepadał Werner. Tymczasem on wstał, strzepnął z siebie okruchy i podszedł do telefonu, by zadzwonić do swojej znajomej z muzeum. Po ożywionej rozmowie prowadzonej po niemiecku odłożył słuchawkę i zakomunikował: „Pani Yerwaltungsdirektor z Muzeum Historycznego Miasta Wiednia może się z tobą spotkać jutro.

Powiedziała, że dokumenty z tamtych czasów przechowywane są poza gmachem muzeum. Dostanie je przed jutrzejszym popołudniem. Kiedy musisz być w Bostonie?

- Mogę tu zostać dzień lub dwa - odparłam.

- No to świetnie. Mam nadzieję, że zadzwonisz do mnie i powiesz, co ciekawego znalazłaś?

- Jasne!

Podniosłam się do wyjścia. Kiedy byłam już w drzwiach, pochyliłam się lekko - bo Heinrich był już trochę niższy ode mnie - i pocałowałam go w pergaminowy policzek.

- Werner, przepraszam, że pytam, ale czy na pewno dobrze się czujesz?

- Liebchen, mam już siedemdziesiąt sześć lat. W tym wieku mało kto czuje się dobrze. Ale trzymam się jakoś.

Stał jeszcze w drzwiach, kiedy zbiegałam po schodach. Zatrzymałam się na chwilę, odwróciłam - i posłałam mu dłonią buziaka. Byłam ciekawa, czy go jeszcze kiedyś zobaczę.

Tego samego dnia usiadłam z telefonem na kolanach na wąskim łóżku w pensjonacie koło Peterskirche. Strasznie chciałam opowiedzieć Ozrenowi o moim motylu. Kiedy wyciągałam z walizki notes, na podłogę spadła koperta ze skanami mózgu Alii. Poczulałam nagle wyrzuty sumienia, że zlekceważyłam wolę Ozrena, że wetknęłam nos w jego osobiste bardzo

bolesne sprawy. Pewnie mocno się wkurzył, jeśli dowiedział się o mojej inicjatywie. Miał rację - to nie był mój zakochany interes. Z jednej strony chciałam z nim porozmawiać o skrzydełku niepylaka, a z drugiej czułam się zdrajczynią. W końcu zdecydowałam się zadzwonić, choć nie sądziłam, że go jeszcze zastanę w muzeum. Ale był. Pracował do późna. Wyrzuciłam z siebie wszystkie nowości o książce i z przyjemnością usłyszałam radość w jego głosie.

- To było zawsze wielką zagadką, gdzie hagada podziewała się podczas wojny. Wiemy, że kustosz ocalił ją w jakiś sposób przed Niemcami, ale opowiadano na ten temat różne historie. Jedni twierdzili, że schował ją w bibliotece pomiędzy starymi tureckimi dokumentami. Inni mówili, że wywiózł ją do jakiejś wioski w górach i ukrył w tamtejszym meczecie. Twoje skrzydełko przemawia za górską wioską. Mogę sprawdzić, jakie miejscowości wchodziłyby w grę, i rozpyłać na miejscu, czy mieszkańcy wiedzą coś na ten temat. Dobrze byłoby ustalić, komu należy podziękować za przechowanie hagady podczas wojny. Szkoda, że nikt nie zapytał kustosza Kamala, kiedy jeszcze żył. Po wojnie znalazł się w tarapatkach. Komuniści oskarżyli go o kolaborację z nazistami.

- Ale przecież to on ocalił hagadę! Jak mógł być kolaborantem?!

- Ocalił nie tylko książkę. Ukrywał też Żydów. Ale wiesz, komunistom wygodnie było oskarżyć o kolaborację ludzi wykształconych, religijnych i mających własne zdanie. A on należał do wszystkich tych trzech kategorii. Na dodatek zaprotestował, kiedy komuniści chcieli wyburzyć Stare Miasto, żeby „unowocześnić” Sarajewo. Kamal przyczynił się do tego, że zrezygnowano z szaleńczych planów, ale zapłacił wysoką cenę. Sześć lat spędził w więziennej izolatce, w strasznych warunkach. Potem niespodziewanie go ułaskawiono. Tak to w tamtych czasach bywało. Wrócił do pracy w muzeum, ale więzienne lata zniszczyły mu zdrowie. Zmarł po długiej chorobie.

Przeczesałam dłonią włosy, aż wypadły z nich spinki.

- Sześć lat w izolatce... Nie wiem, jak można coś takiego wytrzymać.

Ozren przez chwilę milczał. W końcu rzucił:

- Też nie wiem.

- Przecież nie był żołnierzem ani działaczem politycznym - dziwiłam się dalej. - Tacy ludzie przynajmniej wiedzą, czym ryzykują. A on był tylko bibliotekarzem...

Ledwie to powiedziałam, poczułam się jak skończona idiotka. Ozren też był „tylko bibliotekarzem”, a dokonał nie byle czego.

- To znaczy, chciałam powiedzieć...

- Wiem, co miałaś na myśli, Hanno. Powiedz mi lepiej, co zamierzasz teraz robić...

- Zamierzam sprawdzić jutro archiwa muzealne. Może są tam jakieś wzmianki o klamrach. Potem polecę na parę dni do Bostonu. Tam w zaprzyjaźnionym laboratorium przebadają próbki z płam.

- Świetnie. Daj znać, jak się czegoś dowiesz.

- Oczywiście... Ozren?

- Co takiego?

- Co u Alii?

- Już prawie skończyliśmy Kubusia Puchatka. Zacznę mu teraz czytać bośniackie bajki.

Miałam nadzieję, że trzaski na linii zagłuszą moją nieartykułowaną odpowiedź.

Frau Zweig, naczelnia archiwistka Historisches Museum der Stadt Wien, zaskoczyła mnie swoim wyglądem. Nie miała jeszcze trzydziestki i ubrana była w wysokie czarne kozaki, prostą młodzieżową spódnicę i obcisły neonowoniebieski golf, który uwydatniał jej godną pozazdroszczenia figurę. Czarne włosy przycięte miała na boba, z pasemkami mieniącymi się odcieniami czerwieni i żółci. W skrzydełku cokolwiek zadartego nosa połyskiwał srebrny kolczyk.

- Jesteś przyjaciółką Wenera? - spytała, a ja wpadłam w jeszcze większy szok, bo nie znałam nikogo innego, kto mówiłby o nim po imieniu. -

Niezły z niego aparat. W tych swoich aksamitnych garniturach w dziewiętnastowiecznym stylu wygląda odjazdowo. Uwielbiam faceta. Tylnymi schodami sprowadziła mnie do muzealnych podziemi, w labirynt korytarzy, pokoi i pokoików.

- Nieprzyjemnie tu, ale co robić - powiedziała, otwierając drzwi do jednego z magazynów, gdzie na funkcjonalnych metalowych półkach spoczywały utensylia znane z każdego muzeum: ramy, tablice, gablotki. - Zaprosiłabym cię do gabinetu, ale tam przez cały czas mam różne służbowe spotkania. Straszny młyn, i to nudny. Byłam na stażu w Nowym Jorku. Ciężko mi było przyzwyczać się potem do tej naszej biurokracji. Zmarszczyła nosek.

- Wiesz, powinnam się chyba przeprowadzić do Australii. W Nowym Jorku ludzie pytali się mnie, skąd przyjechałam. Jak mówiłam, że z Austrii, to wszyscy zaczynali gadkę o kangurach. Nie protestowałam. Bo wy macie w Stanach lepszą prasę niż my. Australijczyków mają za fajnych luzaków, a Austriaków za sztywniaków ze Starego Świata. No więc powinnam się chyba do was przeprowadzić, nie?

Nie chciałam pozbawiać jej złudzeń, więc się nie przyznałam, że w Australii nigdy nie widziałam takiej luzaczki na stanowisku starszego archiwisty.

Na stole roboczym pośrodku pokoju stało pudło archiwalne. Frau Zweig wzięła nóż i zdjęła pieczęcie.

- No to życzę szczęścia. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj mi znać. I przekaz Wernerowi buziaki ode mnie.

Zamknęła drzwi, ale jeszcze przez dłuższą chwilę słyszałam stukanie jej obcasów na kamiennej posadzce korytarza.

W pudełku znajdowały się trzy teczki. Wątpię, czy ktoś do nich zaglądał w ciągu minionego stulecia. Każda opatrzona była muzealną pieczęcią z dwugłowym orłem i literami k.u.k - kaiser-Hch und kóniglich. W Austro-Węgrzech bowiem monarcha był cesarzem w Austrii, a królem na Węgrzech. Zdmuchnęłam kurz z pierwszej teczki. Zawierała tylko dwa dokumenty, oba spisane po bośniacku. Z jednego zrozumiałam tylko tyle, że to kopia ra-^uchunku wystawionego dla muzeum przez rodzinę nazwiskiem Kohen. Drugi był listem spisanym ręcznie pięknym charakterem. Na szczęście dołączono do niego niemiecki przekład, sporządzony być może na potrzeby naukowców.

Autor przedstawia siebie jako nauczyciela - stąd pewnie tak staranne pismo. Był lektorem języka hebrajskiego w sarajewskiej maldarze.

Tłumacz dodał w tym miejscu przypis wyjaśniający, że tak nazywa się u Żydów sefardyjskich szkoła elementarna.

„Pewien mój uczeń z rodziny Kohen - czytałam w liście

- przyniósł mi tę hagadę. Jego rodzina straciła niedawno ojca, swego jedyne go żywiciela, więc chciała podreperować sytuację finansową przez sprzedaż księgi. Zapytano mnie, ile może być warta. Widziałem już dziesiątki hagadot, niektóre bardzo sta-^{re}, ale ani jednej w ten sposób ilustrowanej. Odwiedziłem więc rodzinę Kohenów, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Ale po-^wiedziano mi tylko, że księga należała do rodziny «od bardzo wielu lat». Wdowa wyjaśniła, że według zmarłego małżonka jego dziadek korzystał z niej, kiedy przewodniczył uczcie sederowej. Miało to być jeszcze w połowie XVIII wieku. Opowiadała też, co mogę potwierdzić, że wspomniany dziadek jej męża był kanto-^{rem} wykształconym we Włoszech".

Zamyśliłam się. Inskrypcja Yistoriniego - Revisto per mi

- świadczy o tym, że hagada znajdowała się w Wenecji w 1609 roku. Czy dziadek Kohena kształcił się w Wenecji? Tamtejsza gmina żydowska była znacznie większa i zamożniejsza niż sara-jewska, a weneckie tradycje

muzyczne niezmiernie bogate. Może tam właśnie Kohen z Sarajewa nabył ilustrowaną hagadę?

Wyobraziłam sobie tę rodzinę, zgromadzoną wokół wykształconego i bywałego w świecie patriarchy. Głowa rodu umrze zapewne niespodziewanie, skoro zostawi swych bliskich w potrzebie. Zrobiło mi się żal matki, która będzie zmuszona samotnie walczyć o utrzymanie dzieci. Ale najgorsze miało przyjść znacznie później - końca drugiej wojny światowej nie doczekał żaden sarajewski Kohen.

Zanotowałam sobie, żeby sprawdzić, jakie były w XVIII wieku kontakty między gminami żydowskimi z krajów nadadriatyckich. Może bośniaccy kantorzy udawali się na studia do konkretnej jesziwy we Włoszech.

Mogłoby to wyjaśnić, skąd hagada wzięła się w Sarajewie.

Nie znalazłam jednak żadnej wzmianki o klamrach, odłożyłam więc teczkę i sięgnęłam po drugą. Niestety, Herman Rothschild, znawca starożytnych wschodnich manuskryptów z Bodleian Library w Oksfordzie, nie pisał tak czytelnie jak nauczyciel hebrajskiego z Sarajewa. Wręcz przeciwnie, bazgrał jak kura pazurem. Ledwie mogłam go odcyfrować. Szybko jednak się przekonałam, że jego uwagi w najmniejszym nawet stopniu nie dotyczą oprawy. Był pod tak wielkim wrażeniem ilustracji, że skupił się niemal wyłącznie na ich wartości artystycznej, w kontekście średniowiecznej twórczości iluminatorów chrześcijańskich. Przebrnęłam jakoś przez jego wywód, pięknie zresztą sformułowany i bardzo erudycyjny. Przepisałam parę linijek, które zamierzałam zacytować we własnej pracy. W końcu odłożyłam referat Rothschilda i przetarłam zmęczone oczy. Miałam nadzieję, że jego francuski kolega zwrócił uwagę na inne aspekty zagadnienia.

I rzeczywiście, raport pana Martella był zupełnie inny. Lapidarny i rzeczowy, miał całkowicie techniczny charakter. Czytając wyczerpujące opisy kolejnych foliów, nie mogłam powstrzymać się od ziewania. Dopiero kiedy dotarłam do ostatniej strony, senność natychmiast mnie opuściła. Martell opisywał tam zniszczoną, poplamioną i wytartą okładkę z koziej skóry. Odnotował też, że lniana nić, którą zszyto hagadę, była w bardzo złym stanie i w rezultacie większość składek już się nie trzymała. Zaskakujące, że przy takim stanie zabytku nie doszło do zagubienia części kart.

Dalej w rękopisie Martella znajdowało się kilka starannie przekreślonych linijek. Opuściłam abażur stojącej na stole lampy, by spróbować odczytać ten fragment, ale bez rezultatu. Odwróciłam kartkę. Spodziewałam się, że pod naciskiem dłoni Martella litery odcisnęły się na odwrocie.

Rzeczywiście, drobne ślady pozostały, chociaż musiałam się nieźle nagłówkować, nim złożyłam je w sensowny tekst. I wtedy zrozumiałam, czemu autor wykreślił te słowa:

„Para uszkodzonych i zoksydowanych srebrnych klamer. Po-dwójny haczyk i oczko z oznakami mechanicznego zużycia ma-teriału. Po oczyszczeniu roztworem NaHCO₃ ukazał się motyw kwiatu przysłoniętego skrzydłem. Wzór jest wypukły, tłoczony. Brak wybitej próby”.

Tu, w wiedeńskim muzeum, pan Martell pracował cierpliwie nad starymi i szerniałymi kawałkami metalu aż do chwili, gdy srebro odzyskało swój blask. I wtedy ten pedantyczny, chłodny uczoney stracił na chwilę zimną krew:

„Te klamry - napisał - są nadzwyczajnej piękności”.

Rozdział 4

Pióra i róża

Wiedeń, 1894

Wiedeń to laboratorium apokalipsy.

Karl Kraus

-Czy to szanowna koleżanka z Gloggnitz? Czy mogę mieć ten zaszczyt i życzyć pani udanego popołudnia? Mam nadzieję, że miło spędza pani dzień. Szanowny pan doktor Hirschweldt z tej strony chciałby pani najuprzejmiej podziękować i ucałować rączki, które tak sprawnie połączą go z panem baronem...

-I ja życzę pani miłego popołudnia, droga koleżanko z Wied-nia. Mam nadzieję, że będzie się pani mogła nacieszyć piękną letnią pogodą. Sądzę, że i jego ekscelencja pan baron byłby szcze-rze rad, gdyby mógł pani złożyć najlepsze życzenia...

Doktor Franz Hirschweldt trzymał słuchawkę z dala od ucha i bębnił ołówkiem o blat biurka. Szkoda mu było czasu na czcze uprzejmości. Na końcu języka miał już słowa nader ostre. Naj-chętniej przerwałby paplaninę telefonistek. Uderzył ołówkiem w niklowaną krawędź biurka tak mocno, że rysik odprysnął, przeleciał przez cały gabinet i wylądował na

przykrytej białym prześcieradłem kozetce. Czy te głupie gęsi nie wiedzą, że limit czasu na rozmowy zamiejscowe wynosi dziesięć minut? Hirschsweldtowi wydawało się, że panienki z centrali zmarnują cały ten czas. Ale kiedy ostatnim razem nie wytrzymał i w dosadnych słowach przerwał podobną konwersację, żądając natychmiastowego połączenia, urażona telefonistka po prostu odłożyła słuchawkę. Więc tym razem siedział cicho.

Ostatnio przeżywał coraz więcej takich irytujących sytuacji, uwierających go niczym zbyt sztywny kołnierzyk koszuli, wykrochmalony przez prачkę wbrew jego jasnym instrukcjom. W ogóle w tym mieście wiele rzeczy go denerwowało, nie tylko modne koszule o dławiających gardło kołnierzykach czy uniżona aż do fałszywości grzeczność. Ale czy rzeczywiście miał powody do irytacji? Liczył sobie trzydzieści sześć lat, był ojcem dwojga udanych dzieci i mężem kobiety, na której wciąż mu zależało, choć od czasu do czasu zabawiał się dyskretnie z kolejną kochanką. Pod względem zawodowym też powodziło mu się do brze, nawet bardzo. Poza tym mieszkał w Wiedniu, który mimo wszystkich niedogodności był jedną z najwspanialszych metropolii świata.

Hirschsweldt oderwał wzrok od biurka i spojrział w głęboką framugę okna. Z telefonu wciąż dochodziły odgłosy paplaniny telefonistek. To miasto ufało swojej sile - zburzyło nawet stare średniowieczne fortyfikacje, a na ich miejscu poprowadziło szeroką Ringstrasse. Otworzyło się też na przemysł, choć jutrzeńka gospodarczej prosperity szybko przybrała brudny odcień smogu.

To było jego miasto, w całej swej wspaniałości, stolica imperium sięgającego od Sudetów po krańce Dalmacji, od Alp Tyrolskich po złote pszeniczne pola Ukrainy. Było ośrodkiem kulturalnym przyciągającym największych myślicieli i najoryginalniejszych artystów. Czasami oryginalnych aż do przesady. Nie dalej jak wczoraj Anna zaciągnęła go na koncert. Grali pierwszą symfonię Mahlera. Skąd się wziął ten dziwny kompozytor, mieszający marsze pogrzebowe z pogodnymi ländlerami? Z Czech czy Moraw? Albo weźmy takiego Klimta. Urodził się co prawda w Wiedniu, ale też był jakiś dziwny. Doktor Hirschsweldt uznawał prawo artysty do twórczej fantazji, ale wyobrażenia Klimta o kobiecej anatomii wydawały mu się aż nadto idealne.

Wiedeń pulsował życiem w takt swego wynalazku - walca. A z drugiej strony...

Siedem wieków panowania Habsburgów okryło miasto splendorem imperialnej wspaniałości, pokryło je stiukami niczym gęstym kremem,

spętało złotymi akselbantami (tu nawet stróże nosili epolety) i omamiło potokami, wręcz kaskadami obłudnej kurtuazji.

- A zatem, jeśli pan doktor Hirschweldt będzie tak łaskaw, by poczekać jeszcze chwilę, to panu baronowi będzie bardzo miło z nim porozmawiać... Pewnie że będzie mu miło - pomyślał Hirschweldt. Tele-fonistka miała rację. Będzie bardzo, ale to bardzo zadowolony, słysząc, że ma zwykłego czyraka - co prawda nieszczęśliwie uło-kowanego - a nie syfilis. Nie trzeba będzie stosować groźnej dla zdrowia kuracji rtęciowej ani leżeć na oddziale malarycznym, by gorączka wypaliła jeszcze gorszą infekcję. Dobrze, że baron nie zaczął jeszcze składać pani baronowej jakichś wykrętnych i zby-tecznych wyjaśnień. Doktor poradził mu, by wysłał małżonkę do willi w górach, a on tymczasem zbada jego kochankę. Kochanka okazała się naiwną i zupełnie zdrową dziewczyną, której historię doktor poznał dzięki taktownemu, choć wnikli-wemu badaniu. Dopiero co opuściła jego gabinet - jej chabrowe oczy zaczerwieniły się nieco od płaczu. One zawsze trochę płą-czą - najpierw z obawy, potem z ulgi. Ale ta dziewczyna płaka-ła ze wstydu, poniżenia. Na prześcieradle okrywającym kozetkę zachował się jeszcze odcisk jej smukłego ciała. Gdy Hirschweldt poprosił, by rozsunęła kolana, zrobiła się blada i drżąca. Nie była żadną zdeprawowaną kurtyzaną. Doktor wyczuł jej wstyd i po-traktował bardzo delikatnie. Czasami, by dowiedzieć się jakichś szczegółów z intymnego życia pacjenta, musiał grać grubianina. Ale to był zupełnie inny przypadek; dziewczyna sama wyjawi-ła mu krótką historię uwiedzenia przez pewnego kulturalnego gentlemana, który zrządzeniem losu również był pacjentem Hir-schweldta, bardzo dbającym o swoje zdrowie. Po kilku pytaniach doktor skierował rozmowę na pana barona. Hirschweldt nie omieszkał zapisać adresu dziewczyny w prywatnym notesie. Być może za jakiś czas, kiedy nie będzie już mowy o relacji lekarz-pacjent, uda się zaaranżować mały romansik. Ostatecznie w tym mieście można było w tych spra-wach trafić znacznie gorzej.

W słuchawce odezwał się wreszcie tubalny baryton pana ba-rona. Telefonistki umilkły, ale Hirschweldt zachował ostrożność, wiedząc że te panienki notorycznie podsłuchują.

- Dzień dobry, panie baronie. Chciałem tylko powiadomić pana, że roślina, którą chcieliśmy zidentyfikować, jest prawdo-podobnie, niemal na pewno, zwykłym chwastem, a nie zarazą, której się obawialiśmy...

W słuchawce rozległo się głębokie westchnienie.

- Bardzo panu dziękuję, doktorze Hirschweldt. Dziękuję, że zawiadomił mnie pan tak szybko. Wielka to dla mnie ulga.

- Drobiazg, ekscelencjo. Ale i tej roślinki nie wolno lekceważyć. Nie powinien pan zwlekać z ostatecznym jej wytrzebieniem - powiedział doktor, myśląc o cięciu lancetem.

- Zwróć się do pana, gdy tylko zawitam w stolicy. W każdym razie dziękuję za dyskrecję, doktorze.

Hirschweldt odłożył słuchawkę. Dyskrecja - za to właśnie mu płacono. Wszyscy ci arystokraci o dłoniach okrytych rękawiczkami. I ci zacni mieszczanie, przerażeni, że w ich kaletkach nabrzmiewa wrzód.

Doskonale wiedział, że wielu z nich nie przyjęłoby nigdy Żyda w swoim salonie, a nawet nie wypilo-by z nim kawy. Jednak ochoczo powierzali mu troskę o intymne części swych ciał i jeszcze bardziej intymne epizody swych egzystencji. Hirschweldt oferował im oddzielną poczekalnię, gdzie nikt nie mógł obserwować strachu przed „wstydliwą chorobą”.

Trzeba jednak przyznać, że sam Hirschweldt długo mocował się z własnym wstydem, nim otworzył praktykę na takich właśnie zasadach.

Dyskrecja była cenną rzeczą w tym mieście, stolicy zmysłowości, gdzie skandale i plotki napędzały maszynę społeczną. A było o czym plotkować.

Sześć lat wcześniej następca tronu, arcyksiążę Rudolf, i jego kochanka, Maria Yetsera, zakończyli życie w gwałtowny sposób. Stało się to w podwiedeńskim pałacyku myśliwskim w Meyerling. Lata minęły, ale wciąż plotkowano, czy ta tragedia - a może farsa? - świadczyła o

romantycznym uczuciu kochanków, czy też o cynizmie panującym w sferach dworskich. Oczywiście starania dworu, by wyciszyć sprawę, przyniosły jak zwykle bywa skutek odwrotny od zamierzonego. Posunięto się nawet do tego, że ciało Marii przetransportowano w środku nocy z plecami usztywnionymi kijem od szczotki, by ukryć fakt, że nie żyła już od czterdziestu godzin. Choć udało się uciszyć prasę austriacką, a w każdym razie sprawić, by nazwisko kochanki nie pojawiało się na łamach, nie zdołano ocenzurować gazet zagranicznych ani zagrozić im drogi do austriackich czytelników. Prasowe rewelacje z zagranicy oferowali wszyscy fiakrzy.

Hirschweldt, który studiował u nadwornego lekarza, miał możliwość zetknąć się osobiście z arcyksięciem. Polubił go nawet. Byli w tym samym wieku i mieli podobnie liberalne zapatrywania. Doktor widział następcę tronu tylko parę razy, ale bez trudu wyczuł, że ten jedyny syn cesarza Franciszka Józefa był głęboko sfrustrowany ceremonialną rolą, jaką mu wyznaczono.

To nie było życie dla dorosłego mężczyzny; trzymano go z dala od istotnych problemów państwa, zlecając jedynie funkcje czysto reprezentacyjne. Czekał niecierpliwie, aż sytuacja się zmieni, chwycił się

każdej szansy politycznego zaistnienia - ale na próżno. Hirschweldt nie mógł jednak wybaczyć arcyksięciu tego operetkowego samobójstwa. Już Dante napisał, że papież ustępujący z tronu, by wieść życie kontemplacyjne, zasługuje na najniższe kręgi piekielne. To kara za rezygnację z wielkiej szansy czynienia dobra w świecie. Po szokującej śmierci Rudolfa Wiedeń nie był już tym samym miastem co wcześniej, chociaż chodziło raczej o pewną zmianę na stroju niż treści. W każdym razie ponurzy żydożercy coraz wyżej podnosili głowy mimo niechęci okazywanej im przez cesarza.

Któż się mógł spodziewać, że jedno samobójstwo - choćby i podwójne - może tak dalece zepsuć atmosferę stolicy? Wiedeń wszak ceniał samobójstwa - zwłaszcza cokolwiek teatralne, jak ów akt desperacji młodej kobiety, która w pełnym stroju ślubnym rzuciła się pod koła pędzącego pociągu, albo cyrkowego akrobata, który w środku pokazu odrzucił tyczkę i runął na arenę, ponosząc śmierć na miejscu.

Publiczność z początku biła brawo, sądząc że to jakiś efektowny trick. Dopiero gdy spod ciała zaczęła wyciekać krew, tłum ucichł, a kobiety odwróciły twarze, rozumiejąc, że linoskoczek podniósł właśnie wiedeński wskaźnik samobójstw, i tak już najwyższy w Europie. Samobójstwa i choroby weneryczne były wielkimi mordercami wiedeńczyków ze wszystkich sfer. Hirschweldt skończył właśnie notować przypadek barona i zadzwonił po sekretarkę, by wprowadziła następnego pacjenta. Zerknął do notesu. No tak, pan Mittl, intrologator. Biedny facet. Sekretarka pojawiła się w drzwiach, ale bez pana Mittla.

- Panie doktorze, przyszedł kapitan Hirschweldt. Czy nie poprosi go pan najpierw?

Doktor skrzywił się, choć bardzo powściągliwie. Znów się zirytował. Czemu brat Dawid zawraca mu głowę w klinice? Żeby chociaż wykazał trochę taktu i poczekał na swoją kolej... Pan Mittl był człowiekiem nerwowym, ale bez zarzutu. Płacił teraz wysoką cenę za chwilę młodzieńczej lekkomyślności. Bardzo się wstydził swego stanu - i tego, że nie zdecydował się na kurację wcześniej, kiedy była jeszcze szansa wyleczenia. Na pewno będzie przerażony, jeśli u lekarza natknie się na oficera elitarnego pułku Hoch und Deutschmeister.

- Nie. Proszę przekazać panu kapitanowi, żeby chwilkę poczekał. Pan Mittl z trudem znalazł czas na wizytę. Ma pierwszeństwo.

- Oczywiście, panie doktorze, ale...

- Ale co? - Hirschweldt wcisnął palec pod krawędź kołnierzyka, sztywniejszego niż zwykle.

- Ale on krwawi!

- Niemożliwe! Niech go pani wprowadzi...

Cały on - pomyślał doktor, gdy w drzwiach pokazał się jego przyrodni brat, o głowę wyższy, choć młodszy o całe trzynaście lat. Do swej posągowej twarzy Dawid przyciskał jedwabną chustkę zaplamioną krwią. Krople krwi połyskiwały nawet na wąsach.

- Dawid, coś ty znowu zmalował? Kolejny pojedynek! Nie jesteś już młodzikiem, czas się zmitygować! Kto tym razem?

Doktor podniósł się z biurka, by podprowadzić go do kołozetki. Zaraz jednak uświadomił sobie, że nie kazał jeszcze pielęgniarce zmienić prześcieradła. Lepiej dmuchać na zimne

- pomyślał i umieścił brata na fotelu przy oknie. Potem delikatnie zdjął zakrwawioną chustkę. Taki ładny jedwab zniszczony

- pomyślał.

- Dawidzie... - westchnął z niesmakiem. - Przeciągnął palcem po starej bliźnie, która jasnym łukiem biegła nad prawą brwią brata. - Jedna blizna pojedynkowa to jeszcze uchodzi. Pewnie w twoim kręgu coś takiego uważa się nawet za powód do chwały. Ale dwie? To już przesada.

Odkaził świeżą ranę alkoholem. Brat skrzywił się z bólu, ale nawet nie jęknął. Będzie z tego trwała blizna, bez wątpienia. Cięcie rapierem nie było rozległe, jednak całkiem głębokie. Doktor ocenił, że można by się obejść bez szycia, gdyby ranę dobrze opatrzyć i mocno zabandażować. Ale czy jego próżny brat będzie nosił bandaż jak trzeba? Bardzo wątpliwe. Hirschweldt sięgnął po nić chirurgiczną.

- Powiesz mi, kto tym razem?

- Nikt, kogo byś znał.

- Czyżby? Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ilu ludzi zdążyłem już poznać. Syfilis nie oszczędza nawet najwyższych szarż.

- Ale to nie był oficer.

Hirschweldt nic nie powiedział. Szykował się do szycia. Odwrócił do siebie twarz brata. Ciemne oczy kapitana patrzyły na niego z niewzruszonym spokojem.

- Cywil? Czy nie posuwasz się za daleko, Dawidzie? Z tego mogą być duże nieprzyjemności...

- Nie sędzę. W każdym razie nie mogłem puścić płazem sposobu, w jaki wymawiał moje nazwisko.

- Twoje nazwisko?

- Daj spokój, Franz. Dobrze wiesz, jak niektórzy ludzie wymawiają żydowskie nazwiska. Jak robią sobie zabawę z każdej sylaby...

- Przesadzasz, mój drogi. Jesteś przeczulony. Wszędzie widzisz złe spojrzenia.
 - Nie byłeś tam, Franz. Nie jesteś w stanie ocenić sytuacji.
 - Może. Nie wiem, jak było teraz, ale wiem, jak bywało wcześniej...
 - Niech będzie, że jestem przeczulony. Ale jeśli nawet tym razem nie miałem racji co do wymowy naszego nazwiska, ciąg dalszy nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Bo kiedy zażądałem satysfakcji, ten łotr odparł, że jako Żyd nie mam zdolności honorowej!
 - A cóż to za pomysł?
 - Odwołał się do manifestu z Waidhofen...
 - Do czego?
 - Franz, czy ty nie wiesz, na jakim świecie żyjesz? W wiedeńskich kawiarniach mówi się o tym manifeście już od paru tygodni. To jest wredna reakcja niemieckich nacjonalistów na fakt, że tak wielu Żydów robi karierę w kręgach uniwersyteckich i korpusie oficerskim. Poczuli się zagrożeni, więc „chronią się przed prowokacjami”. W każdym razie manifest stwierdza, że Żydzi od chwili narodzin pozbawieni są honoru, że nie odróżniają tego co szlachetne od tego co podłe. Że pod względem etycznym są „podludźmi”. A zatem Żyda nie sposób obrazić. W konsekwencji Żyd nie może zażądać satysfakcji na drodze honorowej. Doktor westchnął głęboko.
 - Widzisz, jak to jest - roześmiał się Dawid, ale zaraz skrzywił się z bólu.
 - Nawet mój starszy mądry brat sięgnąłby po lan-cet, żeby nauczyć takiego drania rozumu...
- Ironia losu kryła się w tym, że Dawid Hirschweldt nie był, w odróżnieniu od Franza, żydem. Tak się bowiem złożyło, że rok czy dwa po śmierci matki Franza, która zmarła na suchoty, ojciec zaczął się starać o rękę pewnej bawarskiej katoliczki. Zmienił dla niej wiarę i ochrzcił się. Ich syn Dawid dorastał zatem przy bożonarodzeniowej choince i świętował niedzielę. Jedyne, co w nim zostało z żydostwa - pomimo błękitnych oczu, blond włosów i półbawarskiego pochodzenia, a także służby w elitarnym stołecznym pułku - to właśnie nazwisko.
- Jest jeszcze coś...
 - Co takiego?
 - Krążą pogłoski, że wyrzucą mnie z „Silesii”...
 - Niemożliwe! Jesteś ich czempionem, już od czasów gimnazjalnych. Czy to z powodu ostatniej... awantury?
 - Nie, skądże. Każdy członek „Silesii” kiedyś się pojedyńkował. Ale wydaje mi się, że nieskazitelnie bawarska krew mojej mamy nie przesłania

już żydowskich korzeni papy...

Franz nie wiedział, co odpowiedzieć. Wyrzucenie z ukochanego klubu szermierczego byłoby dla Dawida ciosem bardzo bolesnym. Ale i klub poniósłby dotkliwą stratę - utraciłby swojego najlepszego zawodnika. Kiedy w gabinecie pojawił się ostatni pacjent, doktor był wciąż rozkojarzony i skonfundowany.

- Tak mi przykro, panie Mittl, że kazałem panu czekać, ale widzi pan, pojawił się nagły przypadek, więc musiałem...

Hirschweldt przyjrzał się dokładniej Mittlowi i bez trudu zauważył jego chwiejny krok. Marny stan pacjenta od razu sprawił, że doktor ponownie skupił się na swoich obowiązkach. Mittl na dziwnie sztywnych, stawianych szeroko nogach podszedł do kozetki i przystanął, miętosząc w dłoniach kapelusz. Twarz miał spiętą, cerę ziemistą. Na koszuli widać było plamy, co zdumiało Hirschweldta, który wiedział, że biedny introvertor bardzo dba o swoją powierzchowność. Odezwał się doń łagodnym tonem:

- Proszę siadać, panie Mittl, i opowiedzieć mi, jak się pan czuje.

- Dziękuję, panie doktorze - odparł Mittl i ostrożnie przysiadł na skraju kozetki. - Niedobrze ze mną. Bardzo niedobrze...

Hirschweldt przystąpił do badania, dobrze wiedząc, co zobaczy: ropiejące wrzody, spuchnięte stawy, słabnące oczy i mięśnie.

- Udaje się panu jeszcze pracować, panie Mittl? Musi to być bardzo trudne...

W oczach pacjenta pojawił się strach.

- A co mam robić, panie doktorze? Muszę. Nie mam wyboru. I tak już knują przeciw mnie. Najlepsze roboty dają swoim, a mnie zostawiają ochłapy...

Nagle Mittl złapał się za usta.

- Zapomniałem, że pan też jest... bardzo przepraszam! Hirschweldt postanowił zmienić temat, by wybawić ich obu z niezręcznej sytuacji:

- Jak pan sobie radzi z pracą? Pan robi takie ładne rzeczy, a tu wzrok coraz gorszy...

- Moja córka pomaga mi w szyciu opraw. Tylko jej mogę jeszcze zaufać... Wszyscy inni czeladnicy sprzysięgli się przeciw mnie i kradną wszystko, nawet lnianą nić do zszywania książek.

Hirschweldt westchnął. Paranoiczne przywidzenia były typowym objawem trzeciego stadium syfilisu, podobnie jak dolegliwości fizyczne. Dziwił się, że Mittl w ogóle dostawał jeszcze jakieś zlecenia, zważywszy na stan zdrowia. Miał widać bardzo lojalnych klientów. Niespodziewanie Mittl spojrział na doktora zupełnie innym, trzeźwym wzrokiem i

powiedział również całkiem normalnym tonem:

- Myślę, że tracę rozum, panie doktorze. Czy może pan coś dla mnie jeszcze zrobić?

Hirschsweldt podszedł do okna. Cóż miał odpowiedzieć nie-szczęsnemu introligatorowi? Niechętnie wspominał o eksperymentalnych kuracjach pacjentom niegotowym ponieść ryzyko, z którym nie wiązała się bynajmniej pewność wyleczenia. Zresztą te eksperymentalne metody były zbyt drastyczne dla każdego, kto nie wkroczył jeszcze w najbardziej zaawansowane, terminalne stadium choroby. Ale zachować milczenie znaczyło skazać pana Mittla na nieuchronny żałosny koniec.

- Wie pan, istnieje pewne wyjście... - zaczął w końcu doktor. - Otóż jeden z moich kolegów pracuje w Berlinie... Ma obiecujące rezultaty, choć jego kuracja jest uciążliwa, bolesna i niestety bardzo kosztowna. Wymaga czterdziestu zastrzyków w ciągu roku. Środek wynaleziony przez mojego kolegę jest bardzo toksyczny, oparty na arseniku... Założenie jest takie, że środek jest bardziej szkodliwy dla osłabionych, zarażonych tkanek niż dla tkanek zdrowych. W ten sposób organizm stopniowo uwalnia się od chorych tkanek. Ale skutki ogólne mogą być bardzo nieprzyjemne. Miejsca, gdzie dokonuje się zastrzyków, są bardzo czułe, więc ukłucia sprawiają duży ból. Ponadto występują zaburzenia gastryczne. Mój kolega udokumentował niektóre efekty... bardzo dramatyczne. Jego zdaniem kuracja prowadzi jednak do wyzdrowienia, ale muszę pana ostrzec, że ja osobiście nie mam takiej pewności.

Zgaszone spojrzenie Mittla ożywiło się nagle.

- Powiedział pan, że leczenie jest „kosztowne”. Jak bardzo, panie doktorze?

Hirschsweldt z westchnieniem podał kwotę. Mittl złapał się za głowę.

- Nie mam takich pieniędzy - wyszeptał, a potem, ku głębokiemu zakłopotaniu doktora, rozsłochał się jak dziecko.

Doktor Hirschsweldt nie lubił, kiedy ostatni pacjent w danym dniu okazywał się beznadziejnym przypadkiem. Nie lubił opuszczać kliniki w ponurym nastroju. Miał zamiar wpaść do kochanki, ale kiedy znalazł się w pobliżu jej domu, zawahał się i poszedł dalej. Nie chodziło tylko o Mittla. To trwało już dziesięć miesięcy i bujna, biodrzasta uroda Rosalindy zaczynała go nudzić. Może nadszedł czas, by rozejrzeć się za kimś innym. Nie mógł zapomnieć obrazu drżącego, smukłego ciała dziewczyny o chabrowych oczach. Ciekawe, jak długo baron zatrzyma ją dla siebie. Oby nie za długo...

Był łagodny wczesnojesienny wieczór. Skośne promienie zachodzącego

słońca oblewały ciepłym blaskiem zimne stiukowe postacie nagich postaci, wieńczące belkowania nuworyszowskich domów. Ciekawe, kto sobie funduje takie rezydencje - pomyślał Hirschweldt. Pewnie jacyś przemysłowcy nowej daty, próbujący choć w ten sposób upodobnić się do lokatorów Hofburgu. O ni-czym więcej nie mogli marzyć. Mimo swego bogactwa nie mieli żadnych szans, by wejść do kręgów dworskich. Ciepły wieczór zachęcał wszelkiego pokroju ludzi do spa-ceru ulicami miasta. Hirschweldt czuł się dobrze w tym wielo-barwnym tłumie. Dostrzegł nawet mężczyznę w fezie, któremu towarzyszyła zakwefiona żona. Przyjechali tu pewnie z Bośni, by zobaczyć stolicę imperium, które rozciągało protektorat nad ich krajem. Zauważył też rusińskiego chłopca w wyszywanej ko-szuli, z rumianym chłopcem na ramionach. Jeśli niemieccy na-cjonalisci chcieli naprawdę oczyścić kraj ze wszystkich obcych, to mieli pod ręką znacznie bardziej egzotyczne ludy niż Żydzi, zwłaszcza tak dogłębnie zasymilowani jak jego brat Dawid. Tylko że... Bośniacy ani Rusini nie zajmowali tak eksponowanych sta-nowisk w przemyśle, finansach ani sztuce cesarstwa. Tu był pies pogrzebany. Barwni turyści mogli być dla niemieckich nacjona-listów atrakcyjną odmianą, egzotycznym akcentem ożywiającym pejzaż miasta. Co innego Żydzi, coraz liczniejsi w każdej sferze austriackiego życia, ostatnio nawet w korpusie oficerskim.

Hirschweldt przyjrzał się młodym lipom i sykomorom, któ-rymi obsadzono pobocza Ringstrasse. Ładnie to wyglądało. Może warto by się wybrać wieczorem na rodzinny spacer po Praterze? Opowiedziałby żonie o Dawidzie. Zrozumiałaby jego obawy. Kie-dy jednak dotarł do domu, okazało się, że żony nie zastał. Dzie-ci również. Pani Hirschweldt wybrała się do państwa Hertzlów

- wyjaśniła pokojówka. Niania zaś zabrała dzieci do parku. Franz poczuł się zawiedziony, choć dobrze wiedział, że nie miał racji, bo często utrzymywał, iż nawał pracy zmusza go do jeszcze dłuż-szego przesiadywania w klinice. Teraz jednak zapragnął towa-rzystwa żony, a od małego przywykł do tego, że dostawał czego chciał. Co jego żona widziała w tej pustej Hertzlowej? A zresztą

- co widział w niej sam Hertzl? Franz tylko udawał, że nie wie.

Bo ta blond piękność z frywolnie umalowanymi paznokciami stanowiła doskonałą przeciwagę posępnej rabinicznej powagi Theodora Hertzla. Ze swą Julią u boku wydawał się mniej ży-dowski. I o to chodziło temu inteligentnemu człowiekowi. Ale do powiedzenia ta kobieta miała niewiele. Obchodziła ją wy-łącznie moda. Żona Franza, kobieta myśląca i

wykształcona, nie znajdowała z nią wielu tematów do rozmowy. Więc po co marnowała czas na takie wizyty, zamiast siedzieć w domu i czekać na męża? - zdenerwował się doktor. Poszedł do swojej sypialni i zmienił koszulę, pozbywając się dławiącego krtań kołnierzyka. Założył bonzurkę. Co za ulga! Pokręcił głową, by rozluźnić umęczone mięśnie szyi. Zszedł do salonu, kazał sobie podać kieliszek sznapsa i skrył się w fotelu za płachtą gazety.

Gdy po jakimś czasie pojawiła się Anna, nie od razu zauważyła męża. Ze spuszczoną głową wyciągała szpilki ze strojnego kapelusza. Potem przejrzała się w lustrze wiszącym na korytarzu. Franz ze swojego fotela mógł dostrzec jej odbicie. Uśmiechała się do swoich myśli. Na palcu okręciła kosmyk, który wyswobodził się z fryzury. Franz odstawił kieliszek i po cichutku podkrał się do żony. Kiedy dotknął opuszkami palców jej karku, zadrżała.

- Franz! Wystraszyłeś mnie! - powiedziała z wyrzutem. Gdy odwróciła się do niego przodem, zauważył rumieniec na jej policzkach. Ale to jedno spostrzeżenie nie wystarczyło, by poczuł nagłe i niechciane ukłucie podejrzliwości. Musiał zobaczyć coś jeszcze - jeden z guzików, na który zapinała się z tyłu bluzka żony, tkwił w niewłaściwej dziurce. Pokojówka, osoba niezwykle skrupulatna, nigdy by nie pozwoliła, żeby jej pani wyszła na miasto niestaranie ubrana. Taki malutki drobiazg - a ujawniał wielką zdradę.

Hirschweldt ujął twarz żony w obie dłonie i przyjrzał jej się badawczo. Czy jej usta nie wyglądały na pełniejsze, jakby lekko obrzmiały? A może to tylko złudzenie? Nagle stracił chęć, by ją dotykać. Opuścił dłonie i wytarł je o spodnie, jakby były czymś ubrudzone.

- Czy to Hertzl? - syknął.

- Hertzl? - Jej oczy wpatrywały się w niego czujnie. - Ach tak, poszłam zobaczyć się z Hertzlową, ale jej nie zastałam, więc...

- Daj spokój. Nie musisz kłamać. Pół życia spędziłem wśród niewiernych małżonków, rogatych mężów i wiarołomnych żon. Położył jej palec na ustach.

- Całowałaś się.

Odwinął kołnierzyk jej bluzki tak mocno, że cienka tkanina się rozdarła.

- Rozbierałaś się... Pochylił się nad nią.

- Ktoś cię miał... Pytam jeszcze raz: czy to był Hertzl?

- Nie - szepnęła. - Nie Hertzl. I nikt, kogo znasz... Powtórzył wówczas to, co niedawno powiedział swemu bratu:

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, ilu ludzi zdążyłem już poznać...

Przez umysł przebiegł mu ciąg obrazów: czyrak na penisie barona, żółta ropa wyciekająca z przeżartej chorobą dziewczyny, ropiejące wrzody, drżące ciało biednego Mittla. Zrobiło mu się duszno. Potrzebował powietrza. Odwrócił się od żony i wybiegł z domu, trzasnąwszy drzwiami. Rosalinda, nie doczekawszy się o zwykłej porze doktora Hir-schweldta, postanowiła wybrać się na koncert. Zeszłego wieczoru w pewnym prywatnym salonie występował kwartet Behrensdorfa, a przystojny muzyk grający drugie skrzypce wpatrywał się w nią cały czas. Po występie znalazł sposób, by zamienić z Rosalindą parę słów i powiedział jej, że nazajutrz będzie grał w sali Musikverein. Zdążyła się uperfumować za uszami i zastanawiała się właśnie, czy dobrze będzie spiąć bluzkę z cytrynowego jedwabiu małą szafirową broszką, gdy do jej buduaru wpadł Hir-schweldt z dziwnym wyrazem twarzy, ubrany po domowemu.

Rozdrażniła ją ta niespodziewana wizyta. Dlaczego nie przyszedł na czas?

- Franz, jak ty wyglądasz? Pokazujesz się tak ludziom na ulicy?

Nic nie odpowiedział, tylko zrzucił z siebie bonżurkę, a potem zaczął gorączkowo rozbierać kochankę i całować ją z pasją, jakiej nie doświadczyła już od miesiący.

Rosalinda poddała się temu nagłemu przyływowi namiętności, sama nie wykazując większej inicjatywy. Gdy było już po wszystkim, wsparła się na łokciu i spojrzała badawczo.

- Co się stało, Franz? - spytała.

- Nic szczególnego...

Odczekała chwilę, ale kiedy wciąż milczał, podniosła się z łóżka i zaczęła zbierać z podłogi rozrzucone ubrania. Nadal zamierzała iść do Musikverein. Jeśli się pośpieszy, zdąży na pierwszą przerwę.

- Gdzieś się wybierasz? - spytał z nutą urazy w głosie.

- Owszem. Jeśli masz zamiar leżeć tak dalej z twarzą jak maska, to lepiej będzie, jak sobie pójdę... Słuchaj, Franz, czy ty zdajesz sobie sprawę, że od miesiąca nigdzie mnie nie zabrałeś, nie dałeś mi prezentu, nie rozbawiłeś mnie nawet. Myślę, że powinienam sobie zrobić wakacje. Mogłabym pojechać gdzieś do wód, może do Baden...

- Rosalindo, proszę cię, nie teraz...

Było mu przykro. Nie tak to się powinno ułożyć. To on powinien

zdecydować o końcu ich romansu, nie ona...

Wpięła broszkę. Szafiry dobrze się prezentowały na tle cytrynowej żółci

- no i podkreślały blask jej spojrzenia.

- A więc, przyjacielu, podaj mi choć jeden powód, dla którego powinienam tu z tobą zostać...

Mówiąc to, narzuciła na ramiona lekką etolę i wyszła z po-koju. W gęstniejących ciemnościach wieczoru Florian Mittl obserwował, jak z synagogi wysypują się chasydzi w futrzanych czapach, wypełniając ulicę żargonowym szwargotem. Czuł się słabo, więc oparł się o cienki pień młodej lipy. Nie miał siły, żeby ruszyć pod prąd tej żydowskiej ciżby. Postanowił poczekać, aż przejdą. W górnoaustriackim miasteczku, gdzie się wychował, to Żydzi przepuszczali chrześcijan, ustępowali im z drogi. Ale Wiedeń był zbyt liberalny - Mittl nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Żydom pozwolono tu zapomnieć, gdzie ich miejsce. Wszędzie było ich pełno. Na tej ulicy też. Ciekawe, co ich przyгнаło do synagogi. Nie była to przecież sobota. Pewnie mają jakieś święto. Może zbiegli się z okazji tego samego święta, które odmalowano w starej książce czekającej na ponowną oprawę u niego w domu. Ale kto to wie? Zresztą - co za różnica. Był zadawolony, że ma co robić, niechby nawet przy żydowskiej książce. Zdumiewające jednak, że akurat jemu przydzielono żydowski kodeks, który na dodatek miał powędrować do prowincjonalnego muzeum w jakiejś dziurze. Jemu, któremu dawniej powierzano klejnoty zbiorów cesarskich, najcenniejsze psalterze, najpiękniejsze godzinki. Ale cóż - takich zleceń nie dostawał już od miesięcy, więc nie było sensu rozpamiętywać dawno minionych dni chwale. Trzeba się skupić na tym, co jest. Na tym, co teraz ma do zrobienia. Starał się, jak mógł. Zaczął od nowej okładki. Przyciął tekturę, zrobił w niej wgłębienia do klamer. Sądząc z ich urody, książka była niegdyś pięknie oprawiona. Mogłaby się znaleźć w bibliotece cesarskiej. Pięćset lat temu też byli bogaci Żydzi. Ale oni zawsze mieli talent do robienia pieniędzy. On zaś tego talentu nie posiadał. Czemu? Musiał się teraz przyłożyć, by ta żydowska książka znów wyglądała jak należy. Powinien zrobić wrażenie na dyrektorze muzeum. Udowodnić, że wciąż jest fachowcem pierwszej klasy. Musi więcej pracować, ciuć pieniądze na kurację u żydowskiego doktora. Oczywiście doktor okłamał go co do kosztów. Ten Żyd chce naciągnąć biednego Mittla, bez dwóch zdań. Ci krwio pijcy od zawsze tuczą się na niedoli chrześcijan. Zmęczony, obolały i rozżalony Mittl ruszył chwiejnie ulicą, martwiąc się, że niedługo będzie musiał skręcić i przejść przez plac. Właściwie niewielki skwer, ale Mittlowi wydawał się równie trudny do pokonania jak bezkresne piaski Sahary. Trzymał się pierzei placu. Cieszył się, że wzdłuż chodnika biegły słupki połączone łańcuchem. W razie czego, na przykład gwałtownego podmuchu wiatru, będzie się można czegoś przytrzymać. Do-tarł w końcu do domu. Zmagał się chwilę z ciężkimi drzwiami, a

potem, kompletnie wyczerpany, oparł się ciężko na wsporniku poręczy. Wypoczywał tak przez dłuższą chwilę, zbierając siły. Wreszcie zaczął się wspinać na górę. Nie lubił tych schodów. Bał się ich. Oczyma wyobraźni widział już siebie martwego, leżącego u ich podnóża z roztrzaskaną czaszką i wykręconymi groteskowo członkami. Uczepił się poręczy, bardziej wciągając się po niej, niż wchodząc po stopniach. Mieszkanie było ciemne i nie pachniało dobrze. Zwykle u in-troligatora zapachy skóry i kleju mieszały się z bardziej zjadli-wymi i przygnębiającymi woniami brudnych ubrań i zjełczałego tłuszczu. Zapalił pojedynczą lampę gazową - na więcej nie mógł sobie pozwolić - i wyjął z kuchennego kredensu talerz z kotletem baranim, zostawionym mu przez córkę... już przed paroma dnia-mi. Czemu ta dziewczyna tak zaniedbuje ojca? Była dla niego wszystkim, od kiedy jej matka.... Od kiedy Lise...

Ledwie pomyślał o żonie, znów przepeliło go poczucie winy. Jakiż to ślubny prezent dał małżonce? Czy córka wiedziała? Jeśli tak, to straszne... Może właśnie dlatego trzymała się od ojca z da-łeka, pomagając mu tylko z poczucia obowiązku? Pewnie się nim brzydziła. On sam się sobą brzydził. Gnił. Gnił od środka. Jak to mięso. Barani kotlet zaczynał zielenieć. W dotyku był jakiś śliski. Ale Mittl zjadł go mimo wszystko. W domu nie było nic innego.

Miał zamiar wziąć się do pracy. Wytarł ręce ścierką i siadł za stołem, gdzie czekała już na jego troskę rozłożona żydowska książka w zniszczonej oprawie. Od czasu gdy ją ostatni raz napra-wiano, minęły dziesiątki, setki lat. Mittl miał więc szansę, żeby się wykazać. „Zrób to szybko - powtarzał sobie - i tak dobrze, żeby im oko zbiełało. Niech się dziwią. Wtedy dadzą ci więcej dobrych zleceń”.

Tak, musiał się naprawdę postarać. Ale światło było marne, a ręce obolałe. Przynął bliżej lampę. Wziął do ręki nóż, lecz za-raz go odłożył. Co powinien teraz zrobić? Od czego zacząć? Zdjąć okładkę, spruć grzbiety, rozłożyć książkę na składki... Na pewno? A może najpierw powinien sobie przygotować klej? Oprawiał już setki cennych i rzadkich książek, a teraz nie był pewien, w jakiej kolejności ma wykonać poszczególne czynności, chociaż do tej pory wydawały mu się tak naturalne jak oddychanie.

Ukrył twarz w dłoniach. Wczoraj nie mógł sobie przypo-mnieć, jak się parzy herbatę. Taka prosta rzecz, robił ją tysiące razy, nawet nie się zastanawiając. Ale wczoraj wydała mu się bardzo trudna. Nasypał herbaty do kubka, a cukru do czajnika. W końcu poparzył się wrzątkiem. Gdyby udało mu się przekonać tego żydowskiego doktora... Niech zacznie swoją kurację, niezależnie od skutków ubocznych. Tylko za co? Może

przyjmie coś innego zamiast pieniędzy? Mittl nie mógł sobie jednak przypomnieć niczego, co mógłby zaoferować. To nie ma sensu. Żydów interesują tylko pieniądze. Musi coś sprzedać. Tylko co? Pierścionek ślubny żony... Ale nie, ma go teraz córka, byłoby głupio prosić ją o zwrot... Zresztą to nic naprawdę cennego. Kropla w morzu potrzebnej gotówki. Biedna Lise zasługiwała na coś lepszego...

Jak mógł pracować, jak mógł prawidłowo myśleć, skoro bezustannie dręczyła go ta sprawa? Może lepiej będzie, gdy się na chwilę położy, odpocznie, uspokoi. Przypomni sobie wszystko i jakoś to pójdzie...

Florian Mittl obudził się dopiero nazajutrz, gdy mocne światło późnego poranka sforsowało wreszcie grubą warstwę brudu zasnuwającego okno. Był ubrany i przez dłużą chwilę leżał jeszcze bez ruchu, usiłując zebrać myśli. Przypomnił sobie o książce. Potem przypomniał sobie wczorajsze lęki. Przypomnił sobie, że zapomniał... Dziwne. Zgubione myśli wracały, ale pozostawały nieuchwytnie. Jak mógł zapomnieć rzeczy, które robił przez całe życie? Gdzie się ulatnia ta wiedza? Jego umysł był jak armia w odwrocie, oddająca coraz więcej pola wrogowi - chorobie. Ale ostatnimi czasy to nie był już odwrót, lecz klęska. Kompletne lanie. Z trudem przekręcił głowę. Zobaczył promień światła układający się jak wstążka na stole roboczym. Światło padało na zniszczoną okładkę książki i rozbłyskiwało na świeżo oczyszczonym srebrze leżących obok klamer. Franz Hirschweldt nie przestrzegał postu w Dniu Pojednania. Solidarność ze swoimi to piękna rzecz - dlatego zjawiał się posłusznie w synagodze, kłaniał komu trzeba i ulatniał w pierwszej dogodnej chwili. Ale niezdrowe praktyki dietetyczne to coś zupełnie innego. Uważał takie zwyczaje za zabobony niegodne nowych czasów. Anna na ogół się z nim zgadzała, ale tego roku pościła przykładnie, snując się po mieszkaniu z dłonią przy skrośni. Hirschweldt zdiagnozował to w duchu jako bóle głowy typowe przy odwodnieniu organizmu.

O zmierzchu dzieci wybiegły na balkon, czekając aż rozbłyśnie trzecia gwiazda na wieczornym niebie, co oznaczało koniec postu. Podniosły kilka fałszywych alarmów, ale w końcu nadszedł czas, gdy mogły już całkiem oficjalnie wyciągnąć ręce po makowce i rogaliki.

Hirschweldt nałożył na talerzyk kawałek ulubionego tortu Anny. Ze srebrnego dzbanka nalał do kryształowej szklanki chłodnej wody i zaniósł to wszystko żonie. Złość na nią ustąpiła szybko, tak szybko, że sam był zaskoczony. Nie mógł się nadziwić własnej wielkoduszności, dojrzałości i mądrości. Duże znaczenie miał bez wątpienia fakt, że gdy tamtego poranka wrócił do domu, zastał Annę we łzach, skruszoną i pokorną.

Świadomość, że ktoś inny jej pożądał, w dziwny sposób rozpałała jego małżeńską namiętność. Apetyt erotyczny to fascynująca sprawa. Postanowił poznać bliżej doktora Freuda, którego gabinet nie-mal sąsiadował z jego własnym. Ten Freud musiał się znać na tych rzeczach. Niektóre jego prace były rzeczywiście intrygujące. Hirschsweldt zapomniał już prawie o Rosalindzie, bawiącej teraz w Baden, a także o dziewczynie z chabrowymi oczami.

- No nie wiem, panie Mittl. Nigdy wcześniej nie przyjmowa-łem honorarium w takiej postaci...

- Proszę, panie doktorze. Zdjąłem te klamry z rodzinnej Biblii Mittlów... Widzi pan, jakie są piękne...

- Rzeczywiście, bardzo piękne. Nie jestem ekspertem w dziedzinie złotnictwa, ale każdy musi przyznać, że to coś więcej niż wyrób rzemieślniczy, prawdziwe dzieła sztuki.

- Widzi pan! To czyste srebro, panie doktorze!

- Nie wątpię, panie Mittl. Nie w tym problem. Chodzi o to, że my... że Żydzi w ogóle nie mają rodzinnych Biblii. Naszą Torę trzymamy w synagodze, w formie zwoju...

Mittl zrobił zafrasowaną minę. Miał już wyznać, że klamry pochodzą z książki żydowskiej, ale nie mógł się przecież przy-znać do kradzieży. Czy fakt, że wmówił sobie, iż nikt z mu-zeum nie zauważył braku klamer, świadczył bardziej o jego szaleństwie, czy desperacji? Powiedział sobie, że jeśli nawet ktoś dostrzeże brak, to on zaręczy, że żadnych klamer z książką nie dostał. W razie czego rzuci podejrzenie na cudzoziemskich uczonych.

Negocjacje z doktorem nie szły jednak gładko. Mittl kręcił się nerwowo na krześle. Był przekonany, że Hirschsweldt w swojej żydowskiej zachłanności nie oprze się lśniąca-kawałkom meta-łu, że zapagnie ich jak sroka błyskotki.

- No ale nawet wy, Żydzi, musicie mieć coś w rodzaju, czy ja wiem... książeczki do nabożeństwa...

- Tak, oczywiście. Ja mam na przykład sidur z modlitwami na dzień powszedni i szabat. Mam też hagadę na Pesach, ale nie sądzę, by do którejś z tych książek pasowały tak cenne klamry. To niestety całkiem zwyczajne, proste wydania. Ze współczesnymi oprawami. Mogłyby być lepsze, myślę sobie nieraz, że...

Hirschsweldt urwał w pół zdania. Cholera. Ten człowiek zaraz się znów rozpłacze. Łzy kobiece to co innego. Zdażył już do nich przywyknąć. Mogą być na swój sposób czarujące. Przyjemnie jest pocieszyć płaczącą

kobietę. Ale łączy mężczyzny... Pierwszym mężczyzną, którego zobaczył płaczącego, był jego ojciec. To było tej nocy, kiedy umarła matka. Coś okropnego. Do tej pory myślał bowiem, że ojca nic nie może złamać. Franz poniósł więc po-dwójną stratę. Smutek ojca doprowadził go do wybuchu płaczli-wego żalu, ocierającego się o histerię. Od tego czasu ich stosunki nie układały się tak jak dawniej. Szlochanie Mittla też było straszne. Doktor mimowolnie za-krył uszy. Jakaż musi być rozpacz tego człowieka, że doprowadza go do takiej żałości. I do ograbienia własnej Biblii rodzinnej.

I wtedy nagle Hirschsweldt wyszedł poza mur, jaki wznosił wokół siebie przez wszystkie lata praktyki lekarskiej i doświad-czeń życiowych. Sam zaoferował się spełnić potrzeby tej zała-maniej, pochlipującej istoty, już nie jako lekarz, lecz po prostu człowiek współczujący bliźniemu.

- Bardzo proszę, panie Mittl, niech pan się uspokoi. Nie ma potrzeby tak rozpaczać. Poślę do Berlina, do doktora Ehrlicha, zamówienie na serum dla pana. W przyszłym tygodniu będzie-my mogli zacząć kurację. Nie obiecuję sukcesu, ale możemy mieć nadzieję...

- Nadzieję? - Florian Mittl podniósł wzrok na doktora i wziął chusteczkę, którą Hirschsweldt mu ofiarował. Nadzieja. To wy-starczy. To było wszystko.

- Tak pan zrobi, doktorze?

- Tak właśnie zrobię, panie Mittl.

Kiedy dostrzegł, jak zmieniła się wąska szczyrowata twarz Mittla, poczuł jeszcze większy przyływ wielkoduszności. Wziął klamry do ręki. Zrobił parę kroków. Chciał je zwrócić introligato-rowi, powiedzieć mu, by nie ogołacał z nich rodzinnej pamiątki.

Ale w pewnej chwili na srebro padł promień światła. Jak de-likatne są te róże... Rosalinda... Potrzebował dla niej pożegnalne-go prezentu, kiedy wróci z Baden. Takie rzeczy trzeba zaczynać i kończyć z fasonem.

Przyjrzał się klamrom dokładniej. Tak, jakiś zdolny jubiler - a znał akurat takiego człowieka - może z tych róż zrobić parę pięknych kolczyków.

Rosalinda, obdarzona bujną urodą, lubiła właśnie taką biżuterię, subtelną i delikatną.

Bo co mnie ostatecznie obchodzi rodzinna Biblia Mittlów? - pomyślał doktor. Przecież sama książka się nie zniszczy - w od-różnieniu od gór Talmudów i innych żydowskich ksiązek strawio-nych przez płomień z woli Kościoła pana Mittla. Co za różnica, czy książka ma klamry na okładce, czy nie? Ehrlich chciał za to swoje serum masę pieniędzy.

Kolczyki dla Rosalindy i tak nie pokryją ceny, jaką Hirschsweldt będzie

musiał dopłacić z własnej kieszeni. Przyjrzał się kłamrom dokładniej. Zauważył, że pióra otaczające róże układają się na kształt złożonych skrzydeł. Wstyd byłoby nie wykorzystać i tego elementu. Jubiler mógłby zrobić jeszcze jedną błyskotkę - pomyślał doktor i ujrzał w myślach chabrowe oczy smukłej przyjaciółki barona.

Nie. To byłby prezent nie dla niej. Po raz pierwszy od lat nie czuł potrzeby posiadania żadnej kochanki. Miał Annę. Musiał myśleć tylko o niej i swym pożądaniem zmasać obraz obcego mężczyzny, który jej dotykał. Uśmiechnął się. To będzie prezent bardzo a propos: para srebrnych skrzydeł połyskujących wśród ciemnych włosów jego własnego Upadłego Anioła.

Rozdział 5

Hanna

Wiedeń, wiosna 1996

Ręce mi drżały, kiedy odkładałam raport Martella. Gdzie się podziały srebrne klamry, tak piękne, że poruszyły nawet pedantycznego zabojadę? I kto wykreślił ostatnią część jego sprawozdania?

W głowie kłębiły mi się różne scenariusze. Klamry zginęły wkrótce po przewiezieniu książki do Wiednia, kiedy zlecono po wtórne jej oprawienie. Gdy pojawiły się w stolicy Austro-Węgier, były szerniałe i pokryte grubą warstwą brudu, więc na pierwszy rzut oka nie przedstawiały większej wartości. Dlaczego rodzina Kohenów ich nie oczyściła? Może nie zdawali sobie sprawy, że to srebro? Martell napisał, że klamry są „uszkodzone” i noszą ślady „mechanicznego zużycia materiału”. Chodziło mu pewnie o to, że nie spełniały już swojej funkcji - utrzymywania książki w całości, tak by pergamin się nie odkształcał. W każdym razie Martell zdjął klamry z okładki do oczyszczenia. Introligator muśiał je dostać oddzielnie, żeby założyć na nową okładkę. O ile rzeczywiście je dostał. Może Martell tak się nimi zachwycił, że posunął się do kradzieży? Ale nie - to niemożliwe, bo w nowej okładce widniały wycięcia na klamry. Zrobił je introligator, więc Martell nie był złodziejem.

Klamry powędrowały zatem do introligatora. Ale może nie od razu - zapewne najpierw dano je do naprawy złotnikowi. Czy koniec końców wróciły do muzeum? Oto jest pytanie! Wyjęłam z pudła ostatnią teczkę. Zawierała dziesięć dokumentów, wszystkie po niemiecku. Jeden wyglądał na rachunek lub fakturę. Był prawie nieczytelny, ale na dole widniał podpis. Nazwisko to rzecz bezcenna. Jest jak początek nici

prowadzącej przez labirynt. Na marginesie rachunku zamieszczono uwagi odnotowane innym, znacznie staranniejszym charakterem pisma. Pozostałe dokumenty obejmowały korespondencję między Kunsthistorisches Hofmuseum w Wiedniu i Muzeum Krajowym w Sarajewie. Listy pochodzące z kilku lat dotyczyły, jak mi się zdawało, zwrotu hagady, ale poza tym nie dowiedziałam się z nich niczego. Musiałam znaleźć panią Zweig. Właściwie nie powinno się włóczyć po obcym muzeum z pudłem archiwalnym pod pachą, ale nie mogłam przecież zostawić dokumentów bez opieki, a dłuższe czekanie też nie wchodziło w grę. Kiedy wreszcie znalazłam drogę do gabinetu, zastałam ją pogrążoną w rozmowie z jakimś szarym człowieczkiem - miał szare włosy, szary garnitur i nawet szary krawat. Na korytarzu czekał zaś pryszczaty młodzieniec ubrany na czarno. Też chciał się zobaczyć z panią Zweig, która pośród tych szaroburych ludzi wyglądała jak tropikalny rajski ptak zamknięty przez omyłkę w zwykłym gołębniku. Gdy mnie dostrzegła, pomachała ręką, dając do zrozumienia, że zaraz będzie wolna. I rzeczywiście, pożegnała się rychło z szarym człowieczkiem, a chłopaka w czerni poprosiła, by jeszcze chwilę poczekał. Weszliśmy do gabinetu. Zamknęłam za sobą drzwi.

- Skoro zachowuje pani takie środki ostrożności, to może wpadła pani na trop jakiegoś skandalu. Przydałby się nam tutaj chociaż jeden skandal! - rzuciła.

- Jeszcze nie wiem. Na razie ustaliłam, że kiedy ta moja książka pojawiła się w Wiedniu, miała srebrne klamry, a gdy opuściła miasto, już ich nie było.

Szybko streściłam, czego dowiedziałam się z dokumentów, i podałam jej papiery zapisane po niemiecku. Wyjęła okulary do czytania w oprawkach koloru limonkowego i założyła na nos przypominający jako żywo skocznę narciarską. Potwierdziło się, że najmniej czytelny dokument był fakturą wystawioną przez niejakiego Mittla.

- Straszna bazgranina... Nie mogę przeczytać imienia - przyznała pani Zweig. - Ale Mittl... Mittl... skądś znam to nazwisko. Chyba był introligatorem, musiał często pracować dla Kunsthistorisches Hofmuseum w tym okresie. Zdaje się, że nawet oprawiał jakieś książki ze zbiorów cesarskich... Mogę to łatwo sprawdzić. Właśnie zdigitalizowaliśmy tę sekcję dokumentów...

Postukała w klawiaturę komputera.

- Ciekawe - odezwała się po chwili. - Ten Mittl, na imię miał Florian, wykonał dla Hofmuseum ponad czterdzieści zleceń. Ale wiesz co? -

zawiesiła głos i obróciła się na fotelu w moją stronę - Hagada była ostatnia...

Spojrzała znów na fakturę.

- Ciekawe są uwagi na marginesie. Musiał je zamieścić ktoś z dyrekcji muzeum. Otóż jest tu napisane, że pieniędzy nie należy wypłacać do chwili, gdy „wyjaśnione zostaną ważne okoliczności”.

Wzięła do ręki następny dokument.

- Zdziwiająca. Mamy tu długą listę powodów, dla których hagada nie może być zwrócona o czasie do Sarajewa. Zwykle wykręty... marne zresztą. Wygląda na to, że Hofmuseum przetrzymywało książkę, a Bośniacy byli tym coraz bardziej wkurzeni... No tak: można z tego wszystkiego wnioskować, że Mittl ukradł albo zgubił klamry, przez co nie wypłacono mu należności za oprawę. Wiedeńczycy nie chcieli się do tego przyznać, żeby nie rozsierdzić Bośniaków. Zwlekali jak tylko mogli ze zwrotem książki, mając nadzieję, że z czasem wszyscy zapomną o jakichś szerniałych klamrach na starej okładce...

- No i udało się - zauważyłam. - Można powiedzieć, że historia ułatwiła im sprawę. Kiedy książka powróciła wreszcie do Sarajewa, wszyscy, którzy wiedzieli cokolwiek na temat starej oprawy, już nie żyli albo mieli co innego na głowie.

- Co innego na głowie... Skąd ja to znam... Kiedy lecisz do Stanów? Sprawdzę dla ciebie tego Mittla dokładniej, dobrze?

- Będę bardzo wdzięczna.

- A dzisiaj wieczorem pozwól mi się zabrać w takie miejsca w Wiedniu, gdzie nie dostaniesz tortu Sachera ani nie usłyszysz, gwarantuję, żadnego walca!

* * *

Przez tę nocną wyprawę do klubów S&M, piwnic jazzowych i pracowni artystów konceptualnych (jeden z nich, nagi i związany jak kurczak, zwisał pod sufitem, a clou pokazu było obsikanie widza na dole) przespałam cały lot do Bostonu. Można powiedzieć, że zmarnowałam bilet pierwszej klasy, bo równie dobrze mogłabym przespać tę podróż w klasie bydłowej.

Z lotniska Logan do Harvard Square pojechałam kolejką podziemną. Nie cierpię jeździć po Bostonie samochodem. Tłok na ulicach mnie obezwładnia, a do tego tutejsi kierowcy mają fatalne maniery. Inni mieszkańcy Nowej Anglii nazywają ich Massdup-kami. Jest jeszcze jeden, nawet istotniejszy powód, by nie jeździć po Bostonie autem - tunele.

Trudno ich uniknąć, bo zawsze jakaś jednokierunkowa ulica zaprowadzi człowieka w rozwartą paszczę otchłani. W zasadzie nie mam nic przeciwko tunelom. Moje tchórzostwo nie sięga aż tak daleko. Nie mam na przykład żadnych oporów przed pokonaniem Harbour Tunnel w Sydney. Jest tam jasno i czysto, co podnosi na duchu. Ale w tunelach bostońskich dostaję gęsiej skórki. Są ciemne i wyłożone brudnymi kafelkami. Wyglądają tak, jakby się miały za chwilę zawalić. Przypominają scenerię z filmu Spielberga. Ma się wrażenie, że zaraz rozlegnie się ryk lodowatej wody wdzierającej się do środka. Moja wyobraźnia nie może tego znieść.

Tutejsza kolejka podziemna jest najstarsza w Stanach. Po drodze z lotniska wagony wypełniają się stopniowo studentami. Wygląda na to, że wszyscy muszą nosić T-shirty z jakimiś deklarami. „Ludzie dzielą się na 10 rodzajów: tych którzy rozumieją system dwójkowy, i tych, którzy go nie rozumieją” - przeczytałam na jednej z koszulek. Dowcipne. Na przystanku koło MIT wysiedli ludzie obu rodzajów.

Czasami myślę sobie, że gdyby ewakuować z Bostonu wszystkie uczelnie i szpitale, zostałoby miasteczko z sześcioma ulicami na krzyż. Harvard rozciąga się po obu brzegach rzeki, zlewając się na jednym krańcu z MIT, a na drugim z Boston University. Wszystkie trzy campusy są naprawdę olbrzymie. Do tego dochoǳą mniejsze uczelnie, takie jak Brandeis, Tufts, Wellesley, Lesley and Emerson, a ponadto dziesiątki placówek, o których mało kto słyshał. Gdzie człowiek splunie, tam doktor. Facet, który zafundował mi bilet pierwszej klasy, był matematycznym geniuszem z MIT. Wynałazł algorytm znajdujący zastosowanie w branży komputerowej. W mikroprocesorach albo czymś takim. Ktoś mi kiedyś wyjaśniał istotę tego odkrycia, ale nie bardzo zrozumiałam, z jego autorem zaś nie spotkałam się jeszcze osobiście. Ten facet umówił się z bibliotekarzami z Houghton, że pokażą mi kodeks, który go zainteresował. Wcześniej, jeszcze przed otwarciem biblioteki, miałam się zobaczyć z matką.

Zostawiła mi oschłą wiadomość na automatycznej sekretarce w moim mieszkaniu w Sydney. Informowała, że jedyną wolną chwilę ma podczas krótkiej porannej przerwy na herbatę w dniu mojego przylotu. Słyszałam niemal jej myśli: „Może nie odsłucha komunikatu i uniknę spotkania”. Ale nic z tego - sprawdziłam sekretarkę przed wylotem z Wiednia.

Uśmiechnęłam się do siebie. „Nie ma drogi ucieczki, kapitanie Kirk. Zobaczymy się w Bostonie i już!”

Odnalezienie matki okazało się niełatwe. Podobnie jak uczelnie, wielkie

bostońskie szpitale były z sobą zrośnięte. Mass General, Brigham and Women's i Dana Faber tworzyły gigantyczny park przemysłowy poświęcony chorobie. Centrum konferencyjne stanowiło część kompleksu, wzniesioną specjalnie po to, by służyć tłumnym spędom lekarzy.

Musiałam cztery razy pytać o drogę, zanim trafiłam do auli, gdzie miałam znaleźć matkę. W recepcji zajrzałam do programu konferencji. Okazało się, że matka prowadziła jedyny w tym czasie wykład, niekolidujący z innymi wystąpieniami. Nie musiała więc z nikim konkurować. Pomniejsze znakomitości występowały równocześnie w kilku salach, a zwykłe płotki musiały się zadowolić krótkimi informacjami o swoich badaniach, wywieszonymi na tablicach w holu.

Referat mamy nosił skromny tytuł: Wielkie tętniaki - jak sobie z nimi radzę. Wśliznęłam się na salę i usiadłam w ostatnim rzędzie. Stała na katedrze, ubrana w kaszmirową suknię skrojoną tak, by uwydatnić jej wysportowaną sylwetkę. Podczas wykładu przechadzała się, demonstrując długie nogi. W audytorium zasiadali niemal wyłącznie łyśawi faceci w lekko wymiętych garniturach. Albo wpatrywali się w nią jak sroka w gnat, albo notowali jak szaleni, szczęśliwi, że mogą skorzystać z owoców jej najnowszych badań prowadzonych z zastosowaniem pionierskich metod.

Należała do nielicznych dziś medyków łączących badania naukowe z praktyką lekarską. Osobiście sędzę jednak, że bardziej odpowiadała jej precyzja nauki niż kontakt z rzeczywistymi pacjentami, w których widziała nie tyle istoty ludzkie, co przypadki, zespoły danych i problemów. Kochała jednak ten prestiż, to uwielbienie, jakie otacza czołowych chirurgów, zwłaszcza jeśli są kobietami. Zarzuciłam jej kiedyś, że za bardzo lubi te ciągłe pokłony całego personelu szpitala. „Myślisz, że chodzi o mnie? - zaprotestowała. - Chodzi o każdą siostrę lub internistkę, które wciąż się lekceważy, podając w wątpliwość ich uzdolnienia i kompetencje. Chodzi też o ciebie, Hanno. O wszystkie kobiety z twojego pokolenia, żeby nie musiały już nigdy znosić molestowania i upokarzania. Walczyły o to takie kobiety jak ja - i przetrwałyśmy.

Nikommu nie pozwolę o tym zapomnieć". Niezbyt ufałam jej wyjaśnieniom, ale wiedziałam, że matka wierzy w to, co mówi. W każdym razie uwielbiam patrzeć, jak prowadzi wykład, choć odwracam wzrok od tych lepkich, ośli-złych rzeczy, które ukazują się na ekranie obok. Matka ma pełną kontrolę nad przedstawianymi informacjami i przestrzega zasad tego, co uważa za sztukę rzeczowego i niepozobawionego wdzięku dyskursu. Biada jednak każdemu, kto odważy się zakwestionować jej

słowa lub zwrócić na siebie uwagę audytorium. Z czarującym uśmiechem nie pozostawi na śmiałku suchej nitki. Nie podnosząc głosu, z zabójczą uprzejmością zmiesza go z błotem, zmiażdży. Nie mogłam patrzeć, jak postępuje ze studentami. I jednak sytuacja była inna - mówiła do ludzi równych sobie, więc grała czysto. Wiedziała dobrze, jak radzić sobie z tłumem. Aplauz, jaki się zerwał, kiedy skończyła, pasował raczej do koncertu rockowego niż konferencji medycznej.

Wymknęłam się z sali jeszcze w trakcie oklasków i postanowiłam poczekać na ławce w holu. Wyszła otoczona rojem wielbicieli. O mało nie przyłączyłam się do pochwalnego chóru, ale kiedy mnie dostrzegła, jej twarz zamrugała i zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę wciąż miała nadzieję, że się nie spotkamy. Zmiany wyrazu jej twarzy były niemal komiczne - rozanielenie, potem nagły skurcz i sztuczny siłą przywołany uśmiech.

- Hanno, więc jednak jesteś. Jak miło... - rzuciła, a kiedy tłum wielbicieli wreszcie odpłynął, dodała: - Jesteś taka blada, kochanie. Musisz spróbować przebywać więcej na powietrzu...

- Tak, masz rację, ale dużo ostatnio pracuję...

- Wiem, wiem, kochanie...

Niebieskie oczy, starannie podmalowane matowym beżowym cieniem, mierzyły mnie od stóp po czubek głowy i z powrotem.

- Obie dużo pracujemy, prawda? Ale to nie znaczy, że nie możemy zrobić sobie chwili przerwy i poruszać się na powietrzu. Skoro ja znajduję dość czasu, to i ty możesz się zmobilizować. Jak się nazywa ta twoja ostatnia makulatura? Wszystkie rogi ma pozaginane?

Wzięłam głęboki oddech. Nie chciałam się z nią na dzień dobry kłócić. Przyjechałam z poważną sprawą. Zerknęła na zegarek.

- Mam mało czasu. Zjedziemy na herbatę do kafeterii. Dzisiaj mam spotkania jedno po drugim, a przed obiadem po prostu muszę wpaść na drinka. Obiecałam. Będzie jakiś nigeryjski pisarz, Wally Soy... coś tam, nie wiem dokładnie. Co robić - przewodniczącym Kongresu

Neurochirurgicznego jest obecnie Nigeryjczyk, więc musimy się spotkać z tym Murzynem, choć w Bostonie znajdzie się na pewno kilkunastu miejscowych pisarzy, którzy mówią przynajmniej po angielsku...

- Masz chyba na myśli Wole Soyinkę, mamó. On dostał Nobla. I pisze po angielsku. Zresztą w Nigerii ludzie znają na ogół angielski...

- Ach tak? Wiem, że się znasz na takich dziwnych rzeczach. Położyła mi rękę na plecach i popchnęła naprzód, w kierunku windy.

- Wiesz, mamó, mam pewną sprawę... Synek faceta, z którym

współpracowałam w Sarajewie, był ranny w czasie walk w Bośni...
Dzieciak ma obrzęk mózgu. Przywiozłam zdjęcia... Zastanawiałam się,
czy mogłabyś...

Przystanęła. Zapadła minuta ciszy.

- No tak... wiedziałam, że jest jakiś powód, dla którego zastanawiałaś mnie
swoją obecnością... Ale daj, zobaczę...

Wyjęła mi z dłoni manilową kopertę i ruszyła dalej korytarzem.

Musiałymy przedreptać kilkaset metrów kładką łączącą dwa pawilony. W
końcu weszłyśmy do windy. Gdy zamykały się drzwi, zamachała do nas
starsza pani - też chciała wsiąść. Mama wykonała nieokreślony gest
sugerujący, że chce windę zatrzymać, ale była to jedynie formalność, bo
w istocie nie zrobiła nic. Drzwi zatrzasnęły się przed nosem staruszki. W
milczeniu zjechałyśmy parę pięter. Już w windzie zaczęła przeglądać
skany. Każdemu poświęciła ze dwie sekundy.

Na dole znalazła przyścienną lampę i przejrzała skany jeszcze raz.

- No i po wszystkim - rzuciła w końcu.

- Jak to?

- Normalnie: po wszystkim. Powiedz swojemu przyjacielowi, że może
odłączyć zasilanie i zaoszczędzić sobie niepotrzebnych kosztów.

Ogarnął mnie piekący gniew. A jednocześnie łzy zakręciły mi się w
oczach. Zabrałam jej skany. Ze złości drżały mi dłonie. Ledwie udało mi
się wsadzić zdjęcia z powrotem do koperty.

- Co z tobą, mammo? Zapomniałaś już, że istnieją realni pacjenci? Nie
obchodzą cię?

- Daj spokój, Hanno. W szpitalach ludzie umierają codzien-
nie. Gdybym miała tragizować za każdym razem, kiedy zobaczę taki przypadek... -
westchnęła nienaturalnie głęboko. - Gdybyś była lekarzem, zrozumiałabyś
mnie bez trudu.

Byłam zbyt wkurzona, żeby odpowiedzieć. Położyła mi dłoń na ramieniu i
przyjrzała się uważnie mojej twarzy.

- Tylko mi nie mów - zaczęła z przyganą w głosie - że coś cię łączy z
ojcem tego dzieciaka. Z jakimś obdartym mołem książkowym z
bałkańskiego zadupia. Czy w Sarajewie nie mieszkają sami islamiści? Czy
nie o to poszło w tej wojnie? Chyba nie związałaś się z muzułmaninem?
Myślałam, że wychowałam cię na feministkę, nie sądziłam, że masz takie
skłonności...

- Wychowałam mnie? Ty? - Trzasnęłam kopertą o stół. - Wcał-
nie mnie nie wychowywałaś, co najwyżej podpisywałaś czekie dla opiekunki...

Kiedy budziłam się rano, matki nie było już w domu i rzadko zdarzało

się, bym ją widziała przed zaśnięciem. Moje najwyraźniejsze wspomnienie z dzieciństwa to tylne światła jej bmw, znikające na podjeździe. Często budził mnie zgrzyt automatycznej bramy garażowej. Nie mogłam potem zasnąć i płakałam. Gośposia uspokajała mnie sennym głosem: „No przecież wiesz, że mama pojechała ratować komuś życie”. Wtedy czułam się głupio, że chciałam, by matka została przy mnie. Wiedziałam, że pacjenci potrzebują jej bardziej. Tak zawsze mówiła Greta, nasza gosposia. Matka przygładziła dłonią lśniące włosy, jakby starała się uspokoić. Celnie ją ugodziłam. Przez moment odczuwałam satysfakcję. Ale matka szybko doszła do siebie. Ona nigdy nie ustępowała pola.

- No cóż, skłonności do uzalania się nad sobą na pewno nie odziedziczyłaś po mnie. Skąd mogłam wiedzieć, że jesteś emocjonalnie zaangażowana w ten przypadek? Zawsze mi mówisz, że czujesz się naukowcem. Dlatego tak cię potraktowałam. Wybacz, jeśli się pomyliłam. Siądź lepiej i przestań na mnie patrzeć z taką nienawiścią. Ktoś mógłby pomyśleć, że to ja strzelałam do tego dzieciaka.

Wysunęła krzesło spod stołu i klepnęła w oparcie. Usiadłam z wahaniem. Sama przycupnęła na brzegu blatu i założyła nogę na nogę.

- Wyraziłam się po prostu w potocznym języku, używanym przez laików. Chodzi o to, że mózg tego dziecka jest w większości martwy, należy już do przeszłości. Jeśli będzie się nadal sztucznie podtrzymywać przy życiu ciało, to stan ogólny organizmu pogorszy się z powodu odleżyn, a także infekcji płuc i układu moczowego. To dziecko nigdy nie obudzi się ze śpiączki.

Uniosła obie dłonie.

- Spytałaś mnie o opinię, więc ją masz. Ale myślę, że lekarze już dawno powiedzieli o tym ojcu, prawda?

- Owszem, ale myślałam...

- Gdybyś była lekarzem, nie musiałabyś się bawić w przypuszczenia. Wiedziałybyś.

Usiadłyśmy do herbaty. Nie pytajcie, jak to przeżyłam. Rozmawiałyśmy o niczym. Zapytałam zdawkowo o referat, który właśnie wygłosiła, i o datę jego publikacji. Zupełnie nie pamiętam, co odpowiedziała. Cały czas myślałam o Ozrenie i Kubusiu Puchatku.

Wciąż jeszcze przeżuwałam swoją gorzką pigułkę, gdy jechałam autobusem uniwersyteckim na drugi brzeg rzeki, by zobaczyć się z Razmusem Kanahą, naczelnym konserwatorem w Fogg, najstarszym muzeum sztuki należącym do Harvard University. Dobrze znałam Rażę jeszcze z czasów, gdy robiłam tam specjalizację. Szybko awansował i

wciąż był bardzo młody jak na szefa najstarszej tego typu placówki w Stanach. Do konserwatorki trafił przez chemię, tak jak ja, ale pozostał wierniejszy tej dziedzinie. Zyskał uznanie swoimi badaniami nad zachowaniem się węglowodanów i lipidów w środowisku morskim, które doprowadziły do opracowania nowych zasad postępowania z zabytkami wydobytymi z wraków. Wychował się na Hawajach i stąd być może brały się jego morskie zainteresowania.

W Fogg Art Museum działała skrupulatna ochrona, co było zresztą zupełnie zrozumiałe, bo mieściła się tam najcenniejsza w Stanach kolekcja impresjonistów i postimpresjonistów, a do tego kilka cudownych dzieł Picassa. Karta dla odwiedzających zawierała mikroprocesor pozwalający na precyzyjne śledzenie każdego kroku. Raz zszedł po mnie i osobiście podpisał moją kartę wstępu.

Należał do tych awangardowych istot ludzkich o nieokreślonej narodowości, zadziwiających mieszkańców, którymi - mam nadzieję - staniemy się w nowym tysiącleciu. Skórę o intensywniej barwie pekanowego orzecha odziedziczył po ojcu, który był po części Afroamerykaninem, a po części rdzennym Hawajczykiem. Włosy - proste i kruczoczarne - a także migdałowy wykrój oczu miał po babce Japonce, ale ich stalowobłękitny kolor po matce, szwedzkiej mistrzyni windsurfingu. Kiedy oboje byliśmy na studiach podyplomowych, zawojował moje serce, bo relacje z nim układały się zawsze tak, jak lubię - lekko, łatwo, zabawnie, bez zobowiązań. Gdy wybierał się gdzieś w długi rejs, by zbierać materiały do dysertacji, po powrocie mogliśmy wrócić do starego układu albo nie, w zależności od aktualnego nastroju. Nie było mowy o żadnych pretensjach, gdyby któreś zaangażowało się tymczasem w inny związek.

Po tych harvardzkich czasach nie widywaliśmy się często, ale pozostawaliśmy w kontakcie, co prawda dość luźnym. Kiedy się ożenił z pewną poetką, wysłałam im piękny dziewiętnastowieczny drzeworyt wyobrażający wraki statków. W zamian dostałam rodzinną fotografię ze ślubu. To było coś! Żona Rażę okazała się córką irańskiej Kurdyjki i amerykańskiego Pakistańczyka. Nie mogłam się doczekać zdjęcia dzieci - będą chyba wyglądać jak z reklamy Benettona.

Uścisnęliśmy się z pewnym zakłopotaniem - jak to w pracy, nie wiedząc, czy cmoknąć się raz, czy dwa razy. Zderzyliśmy się przy tym niezgrabnie czołami. Lepiej byłoby po prostu ucisnąć sobie dłonie. Przeszliśmy przez zalane światłem atrium i wspięliśmy się po schodach na górę, mijając wejścia do galerii. Przed ostatnią kondygnacją, gdzie pracowali

konserwatorzy, zamontowano metalową bramkę.

Centrum Konserwacji im. Strausa było dziwną placówką. Najnowsze urządzenia sąsiadowały tu z kolekcjami wyglądającymi jak rupiecie ze strychu, zebranymi przez założyciela Edwarda Forbesa. Na początku XIX wieku Forbes dużo podróżował po świecie, starając się gromadzić wszelkie pigmenty używane w sztuce. W oszklonych szafach umieszczono wszystko, co znalazł - od lapisu-lazuli i malachitów po autentyczne rzadkości, takie jak indyjska żółcień, otrzymywana z moczu krów karmionych wyłącznie liśćmi mangowca. Tego cudownego, trwałego cytrynowożółtego pigmentu już się nie produkuje, Brytyjczycy zakazali bowiem jego wyrobu w czasach swego rządu, uważając, że taka pasza jest zbyt uciążliwa dla bydła. W głębi długiej pracowni ktoś pracował nad torsem z brązu.

- Porównuje odlew zrobiony za życia rzeźbiarza z innym, młodszym odlewem, by znaleźć różnice w wykończeniu - wyjaśnił Raz. Na drugim końcu stołu stał spektrometr.

- A więc jaką masz do mnie sprawę? - spytał.

- Mam próbki, które pobrałam z poplamionego pergaminu. Założę się, że to wino...

Wyciągnęłam fotografię poplamionej stronicy. Na kremowym tle rozkwitała rdzawobrunatna plama. Zaznaczyłam na zdjęciu miejsca, skąd pobrałam próbki. Miałam nadzieję, że materiał jest wystarczający.

Wręczyłam Razowi plastikowe saszetki. Wziął zakrzywiony skalpel i za jego pomocą przeniósł substancję z torebki na tarczę z diamentowym pryzmatem pośrodku. Docisnął próbkę przezroczystym krążkiem, tak żeby mogły przez nią przechodzić promienie podczerwone. Wpatrywał się w okular urządzenia, by sprawdzić, czy próbka jest należycie oświetlona przez lampy w obrotowej karuzeli. W każdym innym laboratorium, także u mnie w Australii, do uzyskania kilkunastu zdjęć widm emisyjnych trzeba by wielu godzin. Każda cząsteczka, a nawet pierwiastek daje widmo emisyjne o specyficznej, sobie tylko właściwej barwie. Niektóre są błękitnawe, inne czerwone i tak dalej, a wszystkie układają się w prążki charakterystyczne jak odciski palców - dzięki analizie spektralnej można zidentyfikować poszczególne cząsteczki. Raz miał do tej pracy najnowocześniejszą zabawkę - w ciągu minuty mógł wyodrębnić dwieście widm emisyjnych. Wyniki pojawiały się na ekranie komputera. Długo wpatrywał się w wykresy.

- Dziwne... - powiedział w końcu.

- Co takiego?

- Wiesz, nie jestem pewien. Sprawdzę jeszcze raz drugą próbkę. Tym razem na ekranie pojawił się zupełnie inny obraz.

- Ha! - rzucił.

- Co masz na myśli? - spytałam zaaferowana.

-Chwilka...

Znow zmieniał próbkę. Postukał w klawiaturę. Wokół zielonej linii na ekranie pojawiły się jeszcze inne - żółte, czerwone, pomarańczowe i niebieskie.

- Ha! - rzucił znowu.

- Raz, jeśli nie powiesz mi zaraz, co tam znalazłeś, zarżnę cię natychmiast twoim własnym skalpelem!

- Problem w tym, że to, co widzę, nie ma większego sensu. Pobrałaś próbki z jakiegoś hebrajskiego manuskryptu, prawda? Mówiłaś, że to jakaś hagada?

- Owszem.

- Więc możemy przyjąć, że każde wino, jakie mogło zostać rozlane na tej książce, było koszerne...

- Z pewnością. W Paschę obowiązuje najściślejszy koszer... Odchylił się w fotelu i spojrzał mi w twarz.

- Znasz się na koszernym winie?

- Nie za bardzo. Na ogół jest słodkie i nie do picia.

- Nie zawsze. Robi się też świetne wina koszerne. Na Wzgórzach Golan i w innych miejscach...

- A skąd wiesz? Nie jesteś Żydem. A może jesteś?

Raz miał tak pomieszanych przodków, że wszystko było możliwe.

- Nie, nie jestem. Chociaż można powiedzieć, że mam nabożny stosunek do wina. Pamiętasz, spędziłem kiedyś pół roku w Izraelu, w Technionie, badając zabytki wyciągnięte z jakiegoś śródziemnomorskiego wraku... No więc zaprzyjaźniłem się wtedy z kobietą, której rodzina miała winnicę na Wzgórzach Golan. Cudowne miejsce. Spędzałem tam sporo czasu, zwłaszcza w okresie winobrania. No i mogę powiedzieć, że to szczęśliwa dla ciebie okoliczność...

- Bardzo się cieszę, że miło spędzałeś czas, ale powiedz mi wreszcie, co z tymi plamami...

- Przytrzymaj się stołu, to ci powiem... Otóż tu widać proteiny...

- No i co?

- Koszerne wino nie może zawierać protein. W tradycyjnym winiarstwie często używano białek jaj do strącania osadu, więc w zwykłym trunku można by się spodziewać protein. Ale wykorzystanie jakichkolwiek

produktów zwierzęcych przy wyrobie wina koszerne jest zakazane. Tradycyjnie zamiast białka kurzego Żydzi stosowali rodzaj delikatnej glinki...

Postukał znów w klawiaturę.

- No, a druga próbka wygląda dokładnie tak, jak należałoby się spodziewać...

- To znaczy jak? Mam rozumieć, że na jednej stronie rozlano wino dwóch różnych gatunków? Niezbyt prawdopodobne!

- Tego nie powiedziałem. Stwierdziłem tylko, że w jednym miejscu pojawiła się w winie jakaś domieszka...

Ponownie wcisnął klawisze. Ekran monitora rozjarzył się bogactwem różnobarwnych linii.

- Wszedłem do bazy danych wszystkich widm, z jakimi się tu zetknęliśmy. Chodzi o znalezienie analogicznego widma emisyjnego... I jest! Widzisz tę błękitną linię? Biegnie prawie równoległe do zielonej, wygenerowanej przez pierwszą próbkę. Wiem już, co zmieszało się w tym miejscu z winem, plamiąc pergamin...

- Co? Powiesz mi wreszcie?!

- Krew - odpowiedział spokojnie.

Rozdział 6

Plamy po winie

Wenecja, 1609

Introibo ad altare Dei

- msza łacińska

Srebrzyste dzwonki dźwięczały mu głowie tak boleśnie, jakby były w środku czaszki. Stawiając kielich na ołtarzu, rozlał trochę wina. Gdy kolanami dotknął posadzki, wsparł czoło na wykrochmalonym lnianym obrusie. Znieruchomiał na chwilę, pozwalając by przez tkaninę przeniknął do niego chłód marmurowego ołtarza. Kiedy się podniósł, zobaczył na płótnie wilgotny ślad swojego czoła.

Stare dewotki obecne na rannej mszy nie zauważyły, że wstając z klęczek zatoczył się lekko. Ich głowy, okryte czarnymi szalami, pochylone były zbyt nisko, by to dostrzec. Już dawno straciły jasność umysłu. On zaś próbował - Bóg jeden wie jak bardzo

- skupić myśli na świętym misterium mszy. Ale wciąż czuł słaby odór własnych wymiocin na rękawie sutanny. Zemdlilo go jeszcze przed świtem.

Czuł się wyschnięty na wiór. Słowa przesypywały mu się na języku jak popiół ze spalonego pergaminu. Jak te popioły, które spadały ciepłym deszczem po ostatnim paleniu ksiąg. Jasne drobiny osiadały mu wówczas na sutannie, a kiedy próbował je strzepnąć, zauważył, że na niektórych zachowały się wciąż czytelne słowa - niczym szare zjawy na popielatym tle. Ale zjawy szybko obracały się w proch i znikwały.

- Per ipsum - trzymał Ciało nad Krwią, czyniąc znak krzyża

- et cum ipso - znów to drzenie rąk! - et in ipso - Chleb Niebieski tańczył nad kielichem jak trzmiel - est tibi Deo Patri omnipotenti, in unitate Spiñtus Sancti, omnis honor et gloria...

Popędził przez Pater noster, Libera nos, Agnus Dei i modlitwę o pokój, aż do momentu, gdy mógł przechylić kielich i poczuć w ustach Krew Pańską - chłodną, kojącą, szlachetną w smaku - która zmyła z jego ciała gorycz, słabość i drzenie. Odwrócił się, by udzielić komunii ministrantowi.

Chłopiec przymknął oczy w błogim dziękczynieniu. Potem kilka kroków do barierki przed ołtarzem, by położyć białe hostie na językach paru starych jędz.

Po mszy, już w zakrystii, Giovanni Domenico Yistorini poczuł na sobie badawcze spojrzenie ministranta, gdy drżącymi dłońmi zdejmował humerał i rozwiązywał cingulum.

- Co się tak gapisz, Paolo? Ściągaj komżę i uciekaj. Widziałem na mszy twoją babcię. Zmykaj do niej. Niech wesprze się na twoim ramieniu.

- Jak sobie życzysz, ojciec - odparł chłopiec, jak zwykle grzecznie, aż do przesady. Nawet się uklonił. Yistorini dobrze wiedział, jak impertynencka może być taka grzeczność. Ale cóż miał zrobić - Paolo zachowywał się pozornie bez zarzutu, zarówno przy ołtarzu, jak w zakrystii. Ale kiedy się go dłużej obserwowowało, można było dostrzec pogardę w jego oczach.

Teraz też posłał księdzu jedno ze swoich drażniąco potulnych, a zarazem drwiących spojrzeń - i poszedł się przebrać. Zwinnymi i precyzyjnymi ruchami wyraźnie naigrawał się z nieporadności Yistoriniego. W końcu bez słowa opuścił zakrystię.

Zostawszy sam, Yistorini stworzył szafkę, gdzie przechowywano niekonsekwentne wino mszalne. Korek wyszedł z butelki lekko, z dwuznacznym mlaśnięciem. Chłodna flaszka pokryta była mgiełką oparu, więc podniósł ją ostrożnie obiema dłońmi i pociągnął spory łyk. Potem następny. Co za ulga!

Miał już zakorkować butelkę, ale pomyślał o obowiązkach, które go czekają tego ranka. Urząd inkwizytorski w Wenecji nie służył bynajmniej z wygody. Pomieszczenia, jakie doża przydzielił inkwizytorom, były

ponure, ciemne i nędznie umeblowane. Yistorini sądził, że doża dokucza im specjalnie, bo chce, aby wiedzieli, że jako słudzy Rzymu muszą zajmować poślednią pozycję w mieście, gdzie tylko on z Radą Dziesięciu podejmuje naprawdę ważne decyzje. Może minąć całe popołudnie, zanim da się znów zwilżyć gardło czymś zacnym. Wzniósł więc butlę raz jeszcze i wpuścił do gardła strumień aksamitnego napitku.

Kiedy zamknął za sobą drzwi kościoła i wyszedł na mleczone światło budzącego się dnia, poruszał się znacznie zwawiej, niemal dziarsko. Słońce wspięło się na tyle wysoko, by oświetlić wąską calle. Migotliwe odbłaski w wodach kanału srebrzyły kamienie płochliwymi zajęczkami. Z kampanili na piazza San Marco odezwał się dzwon Marangona o głosie głębszym i donośniejszym niż wszystkie inne weneckie dzwony. Jego bicie obwieszczało początek dnia pracy dla arsenalotti i otwarcie bram prowadzących do Gheta. Zaraz zazgrzytają żaluzje w sklepach na campiello przed kościołem.

Yistorini wziął głęboki oddech. Przeżył w Wenecji już trzydzieści lat, a wciąż nie mógł się nacieszyć tym światłem i powietrzem, zawsze obecnym, choć nienachalnym aromatem morza, wodorostów, pleśni i wilgotnych tynków. Miał zaledwie sześć lat, gdy go tu przywieziono. W sierocińcu zachęcano, by wyzbył się wszelkich wspomnień, obcego akcentu i manier. Zakonnicy przekonali go, że te pamiątki z przeszłości były w istocie czymś wstydliwym, a co gorsza znamionowały brak należytej wdzięczności za liczne błogosławieństwa, jakie spływały na niego w Wenecji. Nauczył się spychać na margines pamięci wspomnienia o zmarłych rodzicach i tych niewielu latach, jakie z nimi przeżył. Czasami jednak jakieś strzępy dawnych wydarzeń wydobywały się na powierzchnię. Zdarzało się to zwykle we śnie albo w chwilach zamroczenia. W takich momentach przeszłość ukazywała się w dumnym świetle i miała posmak pyłu niesionego gwałtownym wiatrem. Przechodząc przez most, minął tragarza dźwigającego mięso do kramu rzeźniczego; w dole, nad kanałem, pracowała praczka. Rozpoznał kilku swoich parafian. Pozdrawiał ich dobrym słowem albo życzliwym zapytaniem, zależnie od kondycji danej rodziny. Jakiś beznogi żebrak pełzł po ziemi, wspierając się na kikutach rąk. Wieki Boże! Yistorini pomodlił się w duchu za biedaka, od którego odwróciłby wzrok nawet doświadczony w sprawach ludzkiego nieszczęścia medyk. Położył monetę na podołku nieśczęsnego kadłubka, a potem, pokonawszy odrazę, dotknął skołtunionej głowy kaleki i pobłogosławił go. Żebrak odpowiedział zwierzęcym skowytem, mającym chyba wyrażać

wdzięczność.

Jako proboszcz starał się interesować skromnym życiem swych owieczek. Ale to chwalebne skądinąd zainteresowanie uważał za sprawę drugorzędną. Główne bowiem pole jego służby Kościołowi leżało gdzie indziej. Szczególne zdolności Yistorinie-go odkryli już braciszkanie w sierocińcu. Byli pod wrażeniem jego wyjątkowego daru do języków obcych, a także predylekcji do złożonych zagadnień teologicznych. Nauczyli go greki, aramejskiego, hebrajskiego i arabskiego. Był pojętym uczniem, a jego głód wiedzy zdawał się wówczas nienasycony. Teraz jednak życiem Yistoriniego rządziło raczej pragnienie, i to rozumiane całkiem dosłownie.

W 1589 roku, kiedy papież Sykstus V obłożył zakazem wszelkie publikacje żydowskie i saraceńskie zawierające jakiegokolwiek treści wymierzone w wiarę katolicką, od razu stało się jasne, że młody ksiądz Yistorini doskonale nadaje się na cenzora. Odtąd przez siedemnaście lat pracy w Świętym Oficjum czytał i opiniował innowiercze księgi. Jako człowiek uczony miał głęboko zakorzeniony szacunek do wszelkich książek. Ale cóż - musiał to uczucie powściągać, skoro jego zadanie polegało na eliminowaniu ich znacznej części. Czasem ulegał urokowi płynnej i zamasytej kaligrafii arabskiej. Innym razem znajdował niemałą przyjemność w obcowaniu z elegancką argumentacją uczonych Żydów. A jeśli zmuszony był skazywać takie książki na śmierć w płomieniach, odwracał wzrok od pożerającego pergamin ognia. Łatwiej mu było, gdy w grę wchodziła oczywista herezja - wtedy mógł spokojnie patrzeć, jak na stosie giną błędy ludzkiej myśli.

Teraz miał do czynienia z taką właśnie książką, żydowskiego autora. Musiał przygotować nakaz konfiskaty wszystkich egzemplarzy i przekazania ich do urzędu inkwizytorskiego, skąd powędrują na stos. Słowa tej książki, słowa bluźniercze i obrzydliwe, wciąż kłębiły mu się w głowie. Spisano je po hebrajsku, ale dla niego były równie zrozumiałe jak wyrazy łacińskie czy włoskie.

Cześć, jaką chrześcijanie oddają Jezusowi, to bałwochwalstwo znacznie gorsze od kultu złotego cielca, któremu oddawali się kiedyś Izraelici na pustyni. Chrześcijanie bluźnią bowiem, utrzymując, że coś świętego weszło w kobietę, wniknęło w to cuchnące miejsce, zalatujące kalem i uryną, z którego sączy się menstruacyjna krew, w miejsce, gdzie zbiera się męskie nasienie...

Ohyda. Plugastwo... Yistorini dziwił się czasami, że takie teksty wciąż można było znaleźć na papierze czy pergaminie, pomimo trwającej już

od stu lat usilnej pracy Inkwizycji. Żydów i Arabów torturowano, więziono, a nawet skazywano na śmierć za mniej skandaliczne słowa. Problem w tym, że w Wenecji było dużo warsztatów drukarskich. Za dużo. Oficjalnie Żydzi nie mieli prawa trudnić się tym zajęciem, ale w praktyce obchodzili zakaz, wykorzystując pazerność i brak skrupułów niektórych chrześcijan, gotowych za parę złotych cekinów firmować podejrzane przedsięwzięcia.

Nie każdemu człowiekowi, który chce drukować książki, powinno się na to pozwalać. Niektórzy kandydaci są ludźmi złej woli, inni po prostu nie znają się na drukarskim fachu. Będzie musiał omówić tę sprawę z Juda Arje. Sami Żydzi powinni lepiej pilnować swoich współwyznawców. W przeciwnym razie będzie się nimi musiało zająć Święte Oficjum, a lepiej, żeby Inkwizycja nie wnikała za bardzo w sprawy toczące się za murami Gheta. To zrozumiałe nawet dla ludzi znacznie mniej inteligentnych niż Juda. Czy był to czysty przypadek, czy też myśli Yistoriniego miały zdolność materializacji, dość że w pewnej chwili dostrzegł szkarłatną czapkę rabiego Judy, przemykającego przez tłum na wąskiej i krętej Frazzerii, gdzie kiedyś handlowano strzałami. Rabbi szedł pochylony, ze spuszczoną głową, jak zawsze gdy opuszczał Gheto. Yistorini podniósł już rękę, by go pozdrowić, ale zawahał się. Przez chwilę obserwował tego uczonego Żyda. Ileż drobnych upokorzeń trzeba było, żeby tak bardzo zgiąć plecy rabiego - ileż bezczelnych docinków ze strony gburowatych wyrostków, ileż głupich żartów, rzucanych przez ciemnych prostaków. Gdyby tylko ten zacny człowiek umiał przyjąć prawdę Chrystusową, wszystkim przykrościom położyłby natychmiastowy kres...

- Judo Arje! - zawołał w końcu ksiądz Yistorini.

Głowa rabiego obróciła się i znieruchomiła jak u jelenia wypatrującego myśliwych. Kiedy jednak dostrzegł Yistoriniego, czujny wyraz twarzy zmienił się w uśmiech szczerzej radości.

- Domenico Yistorini! Tak dawno nie widziałem księdza w mojej synagodze...

- Co robić, człowiek wciąż doświadcza swojej niedoskonałości... Brak mi ostatnio czasu, by nauczyć się od ciebie więcej... i poczuć się zawstydzonym twoją erudycją!

- Żartujesz sobie, ojciec, ze starego Żyda...

- Zaiste niepotrzebna skromność, rabbi Judo!

Rabbi był tak znany ze swych egzegez biblijnych, że w szabat nauczał w czterech synagogach, a i wielu chrześcijan, nawet zakonników, księży i szlachciców, chodziło do Gheta, by go posłuchać.

- Biskup Padwy, którego przyprowadziłem ostatnio na twoją naukę, przyznał, że nigdy jeszcze nie słyszał tak świetnej wykładni Księgi Hioba - powiedział Yistorini. Nie dodał, że parę tygodni później wysłuchał w katedrze padewskiej biskupiego kazania poświęconego tej samej księdze. I co usłyszał? Nic ponad to, co dane mu było usłyszeć w Wenecji z ust rabiego Judy. Yistorini nie miał wątpliwości, że wielu księży chadza do Gheta, by podkraść co nieco z owoców myśli rabiego.

- Żeby to ja potrafił tak przemówić do swojej trzódki - ciągnął ksiądz. - Próbuję zgłębić twoje erystyczne sekrety, aby lepiej przekazywać wiernym nauczanie naszej matki Kościoła, ale cóż, daleko mi do twojej biegłości - skończył z na poły szczerym, na poły fałszywym uśmiechem.

- Myśli człowiecze i umiejętność ich przekazywania pochodzą od Boga, więc jeśli moje słowa trafiają do ludzi, jest to Bożą zasługą - odparł sentencjonalnie rabbi.

Yistorini już miał się skrzywić, ale zapanował nad mięśniami twarzy.

Czyżby rabbi rzeczywiście wierzył w takie banały?

Juda dostrzegł, że z oblicza Yistoriniego zniknął uśmiech, więc zmienił ton:

- A co do sekretów, o których mówisz, szanowny ojcze, mam tylko jeden: jeśli spodziewają się po tobie czterdziestominutowego nauczania, powinieneś się streścić w trzydziestu minutach. A jeśli przewidziane jest nauczanie półgodzinne, należy poprześcić na dwudziestu minutach. Tyle lat jestem rabinem, a nie usłyszałem ani razu, by ktoś narzekał, że nauczałem za krótko.

Ksiądz uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Znów ze mnie kpisz, rabbi. Ale przejdźmy się razem przez chwilę, bo chciałbym omówić z tobą pewną sprawę...

Juda Arje wyprostował się, rozmawiając z Yistorinim, i ciesząc się ochroną wpływowego towarzysza, szedł śmiało z podniesioną głową. Spod szkarłatnego sukna czapki wysuwały się kasztanowe błyszczące loki, zmierzwione podobnie jak broda. Yistorini zazdrościł mu trochę powierzchowności - figury wysokiej, smukłej i kształtnej, oraz oliwkowej cery, która w niczym nie przypominała pergaminowej bladeści, tak częstej u ludzi uczonych. To jakże korzystne wrażenie mąciła jedynie cudaczna czapka.

- Judo, czemu nosisz na głowie coś takiego? Przecież wiesz, że lepiej wyglądałbyś w czarnym nakryciu głowy. Mógłbyś z powodzeniem się o nie postarać...

Szkarłatna czapka miała przypominać o krwi Jezusa, którą Żydzi wzięli na

siebie, domagając się Jego krzyżowej śmierci. Yistorini wiedział jednak dobrze, że wielu Żydów załatwiało sobie zwolnienie od tego hańbiącego stygmatu, wyróżniającego ich na ulicy.

- Wielce szanowny księżę Domenico - odparł Juda - do-brze wiem, że kiedy ma się możnych przyjaciół i pieniądze, można w Wenecji załatwić wszystko. Ale pieniędzy - jak wiesz - nie mam. Owszem, mam paru przyjaciół nie od parady, którzy mogą mi co nieco ułatwić. Rzekliby gdzie trzeba parę słów i mógłbym sobie paradować po mieście w czarnej czapce, przez nikogo niezaczepiany. Tylko że wówczas żyłbym innym życiem niż moi współwyznawcy. A ja nie chcę się od nich od-dalać. Owszem, jestem na tyle próżny, by nosić czapkę uszytą przez moją córkę z aksamitu i jedwabiu, ale nie mam zamiaru sprzeciwiać się prawom naszego miasta, bo przecież wartość człowieka nie zależy od tego, co ma na głowie. Czapka czerwo-na czy czarna - co za różnica? Ani jedna, ani druga nie stanowi o tym, co myślę.

- Dobrze powiedziane - pochwalił Yistorini. - Widzę, że masz w głowie porządek jak w benedyktyńskim ogrodzie.

- Cieszę się, że tak myślisz, ale nie chciałeś chyba mówić ze mną o czapkach?

Ksiądz uśmiechnął się. Choć nie przyznawał się do tego na-wet przed sobą, czuł nieraz, że z tym inteligentnym Żydem rozu-mie się lepiej niż z konfratrami.

- Rzeczywiście... Może przysiadźmy na chwilę. - Yistorini wskazał niski murek nad kanałem. Wyciągnął zza pazuchy tę obraźliwą żydowską książkę i otworzył w miejscu najbardziej skandalicznym. Juda Arje przeczytał, kołysząc się lekko, jakby modlił się w synagodze. Potem utkwiał wzrok w przeciwnym brzegu kanału, unikając spojrzenia Yistoriniego.

- No niewątpliwie, to podpada pod zakaz - powiedział ostroż-nym tonem, bez okazywania emocji. Yistorini już dawno zauwa-żył, że choć Juda, podobnie jak on sam, nie urodził się w Wenecji, bezbłędnie opanował tutejszy miękki i śpiewny dialekt, na doda-tek z akcentem typowym dla jego sestiere Cannaregio. Yistorini usiłował mówić jak rodowity weneccjanin, ale nigdy nie udało mu się do końca pozbyć akcentu z ojczystych stron.

- W tym fragmencie jest coś groźniejszego, niż się na pierw-szy rzut oka wydaje - stwierdził ksiądz. - Można go uznać za rozmyślną prowokację, która ściągnie na całe Ghetto gniew Świętego Oficjum. Powinieneś, przyjacielu, osobiście zrobić z tym porządek, zanim będziemy zmuszeni

zareagować... Powinniście sami zamknąć tę drukarnię... Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Juda Arje spojrział księdzu prosto w oczy.

- Myślę, że autorowi tych słów nie chodziło o prowokację. Chciał po prostu wyrazić swoje przekonania, swoją wiarę. Choć-ciaż faktycznie wyraził się nieco... nieestetycznie. Wasi teologowie wyczyniali najróżniejsze logiczne łamańce, by uporać się z tym problemem. Bo czymże są Narodziny z Dziewicy jeśli nie desperacką próbą, by zmierzyć się pojęciowo z kłopotliwie trywialną, ale dotkliwie rzeczywistą tajemnicą cielesności? My, Żydzi, mówimy o tych sprawach bardziej bezpośrednio, prościej...

Yistorini zaczerpnął powietrza, by zaprotestować, ale rabbi powstrzymał go uniesieniem dłoni.

- Nie chciałbym, przyjacielu, psuć tego pięknego poranka sporami teologicznymi. I ty, i ja nauczyliśmy się już chyba, że takie spory niewiele przynoszą dobrego. Nie kłóćmy się o to, kto z nas ma rację. Sądzę, że powinieneś nade wszystko spojrzeć realnie na pozycję swego urzędu względem władz Republiki Weneckiej. Z roku na rok spada liczba procesów, do których udać się doprowadzić tutejszej Inkwizycji. A i z tych większość jest umarzana z braku dowodów winy. Nie mówię, że się was nie obawiamy. Owszem, wciąż się was boimy, ale mniej niż dawniej. Wiesz, co nasi ludzie mówią o twoim urzędzie? Że wasz stary jad zwietrzał, a nowego nie umiecie już sporządzić.

Yistorini skubnął porost pokrywający kamień pod jego ręką. W tym, co mówił jego żydowski przyjaciel, było wiele prawdy - jak zawsze. Zmarły papież Grzegorz XIII wyraził niegdyś podobną opinię: „Jestem papieżem wszędzie z wyjątkiem Wene-cji”. Ksiądz czuł jednak, że teraz klimat się zmienił. Sykstus V nie miał wprawdzie dość sił, by zaatakować bezpośrednio dożę i Radę Dziesięciu, ale mógł skutecznie ugodzić weneckich Żydów. Nawet ranne i osłabione zwierzę potrafi ostatkiem sił zadać morderczy cios.

- Rabbi, mam nadzieję, a mówię z najszczerzego serca, że nie będziecie musieli się na nowo uczyć, co znaczą prawdziwe prześladowania. Na pewno ci z was, którzy są potomkami wygnańców z Hiszpanii, mają świadomość, co spotkało ich dziadów...

- Nie zapomnieliśmy, co nam uczyniono w Hiszpanii. Ale to było t a m, a nie t u. Hiszpańska Inkwizycja była koszmarem, z którego wielu z nas jeszcze się nie otrząsnęło. Ale Żydzi iberyj-sczy, Ponentini, to zaledwie jedna grupa naszej społeczności. Są wśród nas także Żydzi z Holandii,

Niemiec i Lewantu. Dlaczego mielibyśmy nie czuć się bezpiecznie w tym mieście, skoro każda wybitniejsza rodzina wenecka ma swojego żydowskiego confi-dante? Doża nie pozwala nawet urządzać przymusowych kazań dla Żydów, mających nas zachęcić do chrztu... Yistorini westchnął.

- Sam poradziłem inkwizytorowi, żeby nie organizował takich kazań. Powiedziałem mu, że nikogo w ten sposób nie nawróci, ale jedynie wznieci niechęć do Kościoła...

To była prawda, ale ksiądz nie wspomniał, że przymusowe kazania mogłyby wykazać niższość księży kaznodziejów wobec takich uczonych w Piśmie jak Juda Arje.

Rabbi wstał.

- Muszę już iść, obowiązki wzywają, ojcze. Ale coś ci powiem - wiesz dobrze, że twój Kościół miał zawsze odmienny pogląd na te sprawy, i to od pierwszego dnia, gdy uruchomiono prasy drukarskie. Kościół nie chce, by wasze Pismo Święte trafiło do rąk zwykłych wiernych. My traktujemy rzecz inaczej - dla nas drukowanie to awodat ha-kodesz, święta praca. Niektórzy rabini porównują nawet prasę do ołtarza. Druk nazywamy „pisanem na wiele piór” i uważamy za dzieło krzewienia Słowa Bożego, dzieło zainicjowane przez Mojżesza na górze Synaj. Tak więc, szanowny ojcze, niech każdy z nas zrobi, co do niego należy: idź i napisz rozkaz spalenia tej książki, bo tego wymaga od ciebie Kościół. Ja zaś zgodnie z moim sumieniem nie uczynię nic w sprawie drukarni, która wypuściła zakazaną książkę. Censum praevia czy censura repressiva - skutek jest identyczny. W każdym razie książka zostanie zniszczona. Lepiej, gdy zrobisz to sam, niż gdybyśmy mieli ci pomagać wbrew sobie.

Yistorini nie miał gotowej odpowiedzi na słowa rabiego, i to go zirytowało. Poczul tępe dudnienie w skroniach.

Pożegnali się chłodno. Juda Arje poszedł w swoją stronę, a ksiądz posiedział jeszcze chwilę nad kanałem. Oddaliwszy się z miejsca spotkania, rabbi poczul, że serce wali mu mocno w piersi. Czy nie mówił zbyt otwarcie? Przypadkowy przechodzień, który podsłuchałby ich rozmowę, mógłby się zdziwić, że ksiądz nie posłał rabina za tę zbytnią szczerość pod ołowiany dach. Ale przypadkowy przechodzień nie wiedziałby, że tych dwóch mężczyzn od dziesięciu lat łączy przyjaźń. W każdym razie przyjaźnili się na tyle, na ile pozwalały okoliczności. Czemu więc - pytał Juda sam siebie - serce biło mu tak mocno? Ledwie zniknął z oczu Yistoriniego, oparł się o jakiś mur, oddechając szybko i

płytko. Przy oddychaniu czuł ból. Takie dolegliwości dręczyły go już od lat. Pamiętał dobrze, jak kłuło go w piersi tego dnia, gdy po raz pierwszy zetknął się z księdzem Yistorinim w urzędzie inkwizytorskim. Juda Arje dużo wówczas ryzykował. Niewielu ludzi odwiedzało siedzibę Świętego Oficjum z własnej woli, ale on poprosił o wysłuchanie. Mówił ponad dwie godziny, gładką łaciną, starając się uzyskać choćby częściowe uchylene zakazu nałożonego na Talmud. To obszerne dzieło stanowiło esencję myśli żydowskiej w epoce wygnania. Odebranie go Żydom było ciężkim ciosem, narzuceniem intelektualnego postu, który groził śmiercią głodową. Co do Miszny, głównej części dzieła, szansę powodzenia były właściwie żadne. Juda Arje zdawał sobie z tego sprawę. Ale jeśli chodziło o drugą część Talmudu, Gemarę, sądził, że uda mu się coś wskórać. Gemara składała się bowiem z rabinicznych komentarzy, była zapisem dyskusji i sporów wokół szczegółowych kwestii Prawa żydowskiego. Juda przypuszczał nawet, że rozpowszechnienie tych tekstów będzie w istocie na rękę Kościołowi, bo przecież pokazują one, iż w wielu sprawach nawet wśród rabinów nie ma zgody. Czy zatem ów dowód wewnętrznych sporów w łonie judaizmu mógł okazać się niebezpieczny dla Kościoła katolickiego?

Ksiądz Yistorini stał wówczas przy samym krześle inkwizytora. Znał świetnie hebrajskie teksty, bo przejrzał, skonfiskował i zniszczył niejeden nakład Talmudu. Nie dał się więc nabrać na argumenty rabiego. Wiedział doskonale, że każdy nawet przeciętnie zdolny rabin może bez trudu zrekonstruować na podstawie Gemary zakazaną Misznę, by nauczać jej swoich uczniów. Inkwizytor dał się jednak wziąć na lep gładkiej wymowy Judy Arje i pozwolił Żydom, by zachowali egzemplarze Talmudu, które pozostawały w ich rękach - ale należycie okrojone.

Yistorini stracił wówczas okazję do słownej szermierki z rabim, ale Juda Arje zrobił na nim duże wrażenie wiedzą, odwagą i przebiegłością. Słuchanie tego Żyda jest jak obserwowanie alchemicznych sztuczek, przyznał w duchu. Widz wie, że uczestniczy w szachrajstwie, ale nie potrafi dostrzec, kiedy alchemik dodaje do swej beużytecznej mikstury prawdziwego złota.

Kiedy Juda Arje, oszołomiony nieco sukcesem, wychodził z komnaty inkwizytora, Yistorini zbliżył się do niego i szepnął:

- Judo Lwie, powinni cię nazywać Juda Szuałem...

Rabbi spojrział księdzu w oczy i zobaczył w nich nie tyle złość, ile dwuznaczne uczucia, jakimi pokonany szermierz dąrzy zwycięskiego przeciwnika. Gdy następnym razem zjawił się w Świętym Oficjum,

poprosił, by go zaanonsować Yistoriniemu jako „rabbiego Judę Lisa”. Ksiądz Yistorini rychło nauczył się cenić słowne potyczki z Juda w trzech językach. Więcej - polubił je. Prowadził bowiem samotnicze życie. W sierocińcu jego gminny akcent i niezbyt jaśna, ale raczej niechlubna przeszłość sprawiały, że wstydził się swoich kolegów. W seminarium natomiast jego zdolności i zainteresowania nie przysparzały mu bynajmniej przyjaciół.

Tymczasem z Juda Arje mógł fechtować na argumenty jak równy z równym. Doceniał to, że jego polemista nigdy nie marnował czasu na obronę ewidentnej herezji ani otwarte atakowanie instytucji Indeksu. Czasami Yistorini pozwalał się przekonać rabbiemu. Skłaniał się wtedy raczej ku usunięciu jakichś fragmentów niż zniszczeniu całego dzieła. Sięgał po pióro, by ratować zagrożoną książkę, wpisując na tytułowej stronie formułę chroniącą przed stosem.

Postać Judy zaintrygowała go tak bardzo, że przewyciężył zadawnione opory i przeszedł pewnego dnia przez most wiodący do Gheta. Kiedy studiował jeszcze w seminarium, wielu jego kolegów zaglądało tam regularnie. Dla niektórych zaczepianie i prowokowanie Żydów było ulubionym sportem, innymi powodował szczery zapał ewangelizacyjny. Kilku ryzykowało wiele, szukając zakazanych rozrywek. Yistorini uważał jednak samą ideę Gheta za odpychającą. Na myśl o dzielnicy wypełnionej samymi Żydami czuł się źle, jakby był nieczysty.

Pierwsi Żydzi, którzy osiedlili się w Wenecji, byli bankierami albo, jak kto woli, lichwiarzami. Przybyli z Niemiec. Potem zjawili się następni, ale wszyscy musieli trudnić się jednym z trzech zajęć: prowadzeniem lombardów, dzięki którym ubodzy weneccjanie mogli uzyskać drobne i stosunkowo tanie kredyty, handlem starzyzną lub handlem zagranicznym. Ta ostatnia grupa miała, wykorzystując kontakty w krajach Lewantu, sprzyjać eksportowej i importowej ekspansji Republiki Weneckiej. Żydom pozwolono się osiedlać wyłącznie na niewielkim zakopconym obszarze, zajmowanym kiedyś przez odlewnię żelaza, po włosku zwaną gheto. Z resztą miasta obszar ten połączony był tylko dwoma niewielkimi mostami, zamykanymi na noc.

Trzeba przyznać, że z biegiem lat wielu weneccjan przyzwyczaiło się do obecności Żydów. Wynajmowano ich jako muzykantów, zatrudniano jako medyków i doradców finansowych. Dla Żydów zaś Wenecja, gdzie respektowano ich prawo własności i otaczano opieką, stanowiła nową Ziemię Obiecaną, zwłaszcza w porównaniu z tym, jak odnoszono się do nich w Europie Zachodniej.

Chętnie więc tu przyjeżdżali. Najpierw Ponentini, wygnani przez katolickich królów Hiszpanii i Portugalii. Potem Tedeschi, którzy uniknęli pogromów w miastach niemieckich. Wreszcie wiecznie niespokojni Levantini, przybyli z Egiptu i Syrii. Gmina rozrosła się do dwóch tysięcy osób, a mieszkania trzeba było stawiać jedno na drugim, tak że jeden dom zajmowało sześć albo i siedem dużych rodzin. Ghetto stało się najgęściej zaludnioną dzielnicą Wenecji, z najwyższą, choć na ogół tandetną zabudową. Tutaj nikt nie silił się na kunsztowną kamieniarkę, jak w pałacach przy Canale Grandę. Kiedy Yistorini zapytał pierwszy raz o drogę do synagogi rabiego Judy Arje, zaprowadzono go do ponurej wysokiej kamienicy. Gdy wdrapał się na samą górę, okazało się, że dom modlitwy sąsiadował z gołębnikiem i kurnikiem.

Chociaż księdza przyciągnął potężny intelekt rabiego Judy, ich znajomość umocniła się, prawdę mówiąc, za sprawą pewnej słabości. Któregoś popołudnia Juda spacerował gdzieś pomiędzy Ghetem i kościołem Yistoriniego, starając się wybierać jak najustronniejsze callettos i rughettas, by uniknąć zaczepek, jakie mogły go spotkać na bardziej ruchliwych ulicach. Nagle natknął się na rzeźmieszkę, który obszukiwał leżącego człowieka. Udało mu się spłoszyć złodzieja, a w leżącym człowieku poznał księdza Domenica. Yistorini był pijany, z rozciętej głowy sączyła się krew. Sutannę miał obsikaną. Rabbi ryzykował, że nie zdąży wrócić do siebie przed zamknięciem bram na mostach. Mimo to zdobył gdzieś kawałek czystego płótna i opatrzył księdzu głowę. Potem pomógł mu wytrzeźwieć, dzięki czemu zaoszczędził parafianom gorszącego widoku pijanego proboszcza.

Kiedy ksiądz próbował dziękować Judzie, ten machnął ręką i przyznał, że też ma pewną słabość, którą szatan próbuje od czasu do czasu wykorzystać. Nie powiedział nic więcej. Ale wspomniana słabość nader często absorbowwała jego myśli, odwracając je od synagogi za dnia i od żony w nocy.

Tego dnia, gdy wsparł się o mur po rozmowie z księdzem, wiedział, że bóle w piersi nie są jedynie skutkiem przesadnej szczerości wobec Yistoriniego. Także zadanie, jakie miał do wypełnienia o poranku, trudne i niebezpieczne, nie było jedynym winowajcą jego cierpienia. Obie te sprawy łączyły się z czymś jeszcze - z nękającym głosem w jego głowie, głosem kusiciela, którego nie potrafił uciszyć. A przecież Bóg świadkiem, że starał się tak ułożyć swoje sprawy, by wyjechać z Wenecji na czas karnewału, który miał się zacząć za parę dni, że chciał się znaleźć z dala od grzechu. Owładnęła nim bowiem przemożna pokusa, by ukryć się za

maską, stać się na chwilę innym człowiekiem i robić rzeczy, które Żydom nie przystoją, których im czynić nie wolno. Rok temu udało mu się w tym okresie załatwić sobie posadę prywatnego nauczyciela poza miastem. Ale obchody weneckiego karnawału przedłużały się z roku na rok i coraz trudniej było znaleźć odpowiednie zajęcie na cały ten czas. Starał się o pracę prywatnego nauczyciela w Padwie oraz w zastępstwie chorego rabina o objęcie bimy w Ferrarze. Ale ani z jednego, ani z drugiego nic nie wyszło.

Tuż przed karnawałem żona Judy, która orientowała się w jego niebezpiecznej słabości, zaczęła przetrząsać rzeczy, szukając maki i peleryny, dzięki którym rabbi mógł się upodobnić do weneckich chrześcijan. W końcu znalazła wśród ubrań córki. Czym prędzej zaniosiła maskę i pelerynę do handlarza starzyzną. Juda podziękował jej za to, całując serdecznie w czoło. Przez dzień lub dwa czuł się lepiej, mając nadzieję, że pokusa się oddaliła. Ale rychło znów zaczął myśleć tylko o karnawale i możliwościach, jakie otwierał ten czas szaleństw i życia na opak.

Teraz również kusicielskie podszepty wślizgiwały się w jego myśli niczym węże, głuszając głos rozwagi i sumienia. Ruszył ku schodom prowadzącym na most Rialto. Tam kazano mu czekać. Nie lubił wystawać w ruchliwych miejscach w samym sercu miasta. Czuł na sobie ludzkie spojrzenia. Wielu przechodniów mijało go mrucząc niezbyt przyjazne epitety. Z ulgą dostrzegł gondoliera przybijającego zgrabnie do schodów przy nabrzeżu. Gondola pomalowana była na czarno, jak wymagało weneckie prawo. Miało to zapobiegać manifestowaniu bogactwa. Jedno-barwność wraz z legendarną dyskrecją gondolierów sprzyjała również kochankom urządzającym sobie sekretne schadzki - bo pomagała zachować anonimowość.

Juda Arje zaczął ostrożnie schodzić po śliskich kamiennych schodach. Wiedział, że Żyd wsiadający do gondoli nie jest częstym widokiem. Był zdenerwowany, a kołatanie serca wprawiało go w jeszcze większą niepewność. Rasowy weneccjanin wsiadający do gondoli złapałby za łokieć gondoliera, ale Juda nie był pewien, jak ten człowiek zareaguje na dotknięcie Żyda. Weneccjanie wierzyli bowiem, że taki gest może służyć czarnej magii. Ledwie postawił stopę w łodzi, gondolą zakołysała fala podniesiona przez mijający ich stateczek. Rabbi zachwiał się, przebierając w powietrzu rękoma niczym skrzydłami wiatraka, a zaraz potem wylądował twardo na siedzeniu. Na moście rozległy się śmiechy. Ktoś celnie splunął mu na czapkę.

- Diol - krzyknął gondolier i chwycił go pod pachy, sadzając na ławce, a potem rzucił w stronę mostu wiązkę przekleństw tak soczystych, że szydzące z rabiego wyrostki zapomniały języka w gębie. Juda zbeształ się w duchu za brak zaufania do gondoliarza. Zaiste nie powinien sądzić, że doña Reyna de Serena mogłaby zatrudnić kogoś, kto nienawidzi Żydów. Doña również siedziała w gondoli, tyle że skryta pod baldachimem zwanym/e/ze.

- Cóż za imponujące wejście - powiedziała z kpiącym uśmiechem. - Chociaż trudno to uznać za najbardziej dyskretny sposób wsiadania do gondoli. Ale zbliż się, proszę, i siądź koło mnie. - Gestem wskazała mu drugą ławkę pod baldachimem, wyścielaną jedwabnymi poduszkami. Z zewnątrz baldachim był czarny, jak chciało prawo weneckie. Za to od spodu mienił się złotą nicią, jakby kpiąc z surowych nakazów Republiki. Reyna de Serena przybyła tu przed dziesięcioma laty. Z Portugalii wyjechała jako Żydówka, a w Wenecji zjawiała się już jako chrześcijanka, i to bardzo oddana nowej wierze. Przybrała nowe imię, znamionujące wdzięczność wobec aktualnej ojczyzny. Jako chrześcijanka nie musiała osiąść w zatłoczonym do granic możliwości Ghecie. Zamieszkała we wspaniałym pałacu, tuż obok głównej mennicy. Niektórzy weneccy żartowali, że w jej domu znajdowało się więcej złota niż w sąsiedniej fabryce pieniędzy. Była bowiem dziedziczką jednej z największych fortun bankierskich w Europie. Jej rodzina od dawna prowadziła interesy na skalę międzynarodową, więc tylko część majątku padła łupem władców Hiszpanii i Portugalii. Co prawda od lat nie przyznawała się do starego nazwiska, nie wątpiono jednak, że wciąż miała dostęp do rodzinnych zasobów.

Serena nie wydawała swoich wielkich pieniędzy wyłącznie na zbytki i wystawne zabawy w gronie weneckiej śmietanki towarzyskiej. Była też - potajemnie - głównym źródłem funduszy dla prowadzonej przez Judę Arje instytucji dobroczynnej wspierającej najbardziej potrzebujących członków gminy żydowskiej z Gheta. Co więcej, Juda wiedział, że pomagała nie tylko Żydom weneckim, ale również biedakom wyznania mojżeszowego z wielu innych miast. Używała do tego sieci bankowej stworzonej przez rodzinę. Wiedział też, że oblicze Sereny jako gorliwej katoliczki było jedynie maską przypominającą karnawałowe przebranie.

- A więc powiedz mi, rabbi, jak mogę ci pomóc, żeby pomóc naszemu ludowi?

Juda Arje gardził sobą za to, co miał zamiar zrobić.

- Pani, skrzydła twojej hojności otoczyły już wiele naszych synów i córek,

by chronić ich przed niedolą, jaką niesie wygnanie. Jesteś źródłem, z którego pić mogą spragnieni, jesteś...

Reyna de Serena podniosła upierścienioną dłoń i pomachała, jakby przeganiała niemiły zapach.

- Dość już, rabbi. Powiedz mi, ile potrzebujesz...

Juda wymienił kwotę. Zaszło mu w gardle, jakby kłamstwo miało smak słonego popiołu. Obserwował jej twarz, piękną i poważną. Chwilę się nad czymś zastanawiała, a potem sięgnęła pod poduszki za plecami i wyciągnęła dwie pękate sakiewki.

Rabbi próbował zwilżyć wargi zeschniętym językiem. Odchrząknął z trudem.

- Pani, te rodziny będą błogosławić twoje imię. Gdybyś wiedziała, jak dotkliwą znoszą nędzę...

- Nie muszę wiedzieć nic ponad to, że są Żydami i potrzebują wsparcia, a ty uważasz, iż są wariami mojej pomocy. Powierzyłam ci, rabbi Judo, swoją tajemnicę, więc jakże mogłabym nie powierzyć tych paru cekinów. Kiedy Judo poczuł ciężar złota, zdumiał się, jak nieprecyzyjne jest pojęcie „parę”. Ale słowo „powierzyć” sprawiło, że znów poczuł ukłucie w sercu.

- A teraz powiedz mi, rabbi, co u ciebie - zagadnęła Reyna de Serena.

- Nic ważnego, pani...

- Chodzą słuchy, że przyjaźnisz się z cenzorem ze Świętego Oficjum...

- Przyjaźń to może nie najwłaściwsze słowo... - Przypomniała mu się niedawna szorstka wymiana zdań nad kanałem. - Ale owszem, znamy się, często dyskutujemy, i to grzecznie. Szczerze mówiąc, właśnie z nim rozmawiałem. Chce zamknąć oficynę drukarską Abrahama Pinela, którą firmują bracia Bernardotti...

- Taak? Może powinnam porozmawiać z Luciem de Bernardotti. Jestem pewna, że wolałby uniknąć tego zamieszania. Mógłby wydać własnym sumptem jakieś dzieło wychwalające papieża. Wtedy zamknięcie jego oficyny przez Inkwizycję byłoby bardzo... niepolityczne.

Juda Arje uśmiechnął się. Wygnanie, które łamało tak wielu ludzi, najwyraźniej służyło tej kobiecie. Nie tylko jej nie zaszkodziło, ale wręcz wzmocniło.

- A w czym mogę być pomocny, jeśli chodzi o moją znajomość z cenzorem? - zapytał.

- Mam coś takiego... - odparła, wyciągając spod poduszki niewielką oprawną w skórę książkę z pięknie wykutymi srebrnymi klamrami spinającymi okładkę. Podała ją rabbiemu.

- Jest bardzo stara - zauważył od razu.

- O tak, ma na pewno ponad sto lat. Można powiedzieć, że jest rozbitkiem ocalałym z katastrofy świata, którego już nie ma. Tak jak ja... Otwórz ją, proszę.

Juda odciągnął zaczepy klamer, podziwiając przy tym kunszt złotnika. Klamry miały postać pary skrzydeł. Po otwarciu - a mimo upływu lat wciąż otwierały się lekko - odsłaniały się ukryte pod skrzydłami róże. Arje poznał od razu, że to hagada, ale zdumiał się, bo takiej jeszcze nie widział. Te złocenia, głębokie barwy... Oglądał ilustracje strona za stroną. Był zachwycony, ale i trochę stropiony, bo żydowskie historie zilustrowano miniaturami jak chrześcijański modlitewnik.

- Kto wykonał tę książkę? Te miniatury? Reyna de Serena wzruszyła ramionami.

- Sama chciałabym wiedzieć. Dostałam ją od starego służącego mojej matki. To był dobry człowiek, wiekowy już w czasach, gdy byłam dzieckiem. Opowiadał mi różne historie. Straszne opowieści o złych żołnierzach, piratach, burzach morskich i zarazach. Uwielbiałam je jako dziecko, nie potrafiąc jeszcze odróżnić fantazji od wydarzeń rzeczywistych. Teraz wstyd mi, że tak go męczyłam o te opowieści, bo myślę, że były prawdziwymi historiami z jego życia. Mówił, że urodził się w tym samym miesiącu, kiedy Żydom nakazano opuścić Hiszpanię, i że jego matka niedługo potem zginęła w katastrofie statku, próbując znaleźć gdzie indziej spokojne miejsce do życia. W jakiś sposób dostał się pod opiekę mojej rodziny - podobnie jak wiele innych sierot. Jako młodzieniec pracował dla mojego dziadka, ale nie w banku, tylko pomagając portugalskim Żydom w opuszczaniu kraju. Oczywiście robił to po kryjomu. W każdym razie ta książka należała do niego, była jego najstarszą i najcenniejszą pamiątką. Umierając, zostawił ją mojej matce, a kiedy i ona zmarła, hagada trafiła w moje ręce. Troszczyć się o nią jak o skarb, bo jest naprawdę piękna i przypomina mi o tym starym dobrym człowieku, który tyle wycierpiał, podobnie zresztą jak inni nasi współbracia.

Potrzebuję teraz cenzora, żeby przejrzał książkę i zaświadczył, że nie ma w niej nic zdrożnego. Nie mogę jednak załatwić tego sama, a muszę wiedzieć z góry, że sprawa zakończy się pomyślnie. No i nikt nie może wiedzieć, że to moja własność, bo katolickie damy nie interesują się hagdami.

- Wielce szanowna pani, pozwól mi zatem wziąć na jakiś czas książkę, bym ją mógł przestudiować. Dobrze wiem, jakie sformułowania stanowią pogwałcenie praw chrześcijańskich. Muszę się przede wszystkim upewnić,

czy nie ma w niej żadnych ataków na Kościół katolicki. Potem zaniosę książkę księdzu Yistorinie-mu i poproszę o opinię w taki sposób, by zapewnić całej sprawie szczęśliwe rozwiązanie.

- Pewien jesteś, rabbi, że dopniesz swego? Byłabym zrozpaczona, gdyby książka, która przeszła przez tyle rąk i uniknęła tylu niebezpieczeństw, miała zniknąć w płomieniach.

- Czemu jednak tak ci, pani, zależy na parafce cenzora, skoro trzymasz hagadę w ukryciu? Z pewnością nikt nie ośmieli się grzebać w twoich osobistych rzeczach... Nikt w całej Wenecji nie ośmieli się....

- Rzecz w tym, że zamierzam opuścić Wenecję...

- Pani! Co mówisz!?

- ...i wtedy ktoś może zrewidować mój dobytek. Muszę się dobrze zabezpieczyć.

- Smutne to wieści... Będzie mi pani brak, co mówię: wszystkim weneckim Żydom będzie pani brakowało, nawet jeśli sami nie znają imienia swojej jakże hojnej dobrodziejki. Nie ma pani pojęcia, jak wiele niezasłużonej wdzięczności mnie spotyka, kiedy rozdzielam twoją szczerą jałmużnę...

Doña de Serena znów uniosła dłoń, zniecierpliwiona komplementami rabbiego Judy.

- Dobrze mi się tu żyło - przyznała. - Ale z biegiem lat nauczyłam się czegoś o sobie samej. Odkryłam, że nie potrafię dłużej żyć w kłamstwie.

- Chcesz się wyprzeć swojej konwersji? Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji? Wenecka Inkwizycja jest co prawda słaba, ale mimo wszystko...

- Nie martw się o mnie, rabbi. Wszystko już przygotowałam, nic mi nie grozi.

- A dokąd chcesz się, pani, udać? Gdzież jest to szczęśliwe miejsce, w którym człowiek może spokojnie żyć i prosperować jako Żyd?

- Niedaleko stąd. Wystarczy przepłynąć morze dzielące Italię od ziem pod władaniem Wysokiej Porty. Zresztą Republika Wenecka również na lądzie graniczy z posiadłościami tureckimi, mianowicie w Dalmacji.

Sułtani otomańscy od dawna chętnie nas przyjmują, ceniąc nasze umiejętności i zamożność. Kiedy byłam młodsza, nie miałam ochoty tam jechać, ale wiele się zmieniło. Tamtejsza społeczność żydowska się rozrosła. Mamy już żydowskich uczonych i hebrajskich poetów. Sam sułtan zaprosił mnie do swego państwa. Napisał nawet list do doży z prośbą, by zapewnił mi bezpieczny wyjazd z Republiki. Ale pewne ryzyko zawsze istnieje. Wielu okaże swoje zadowolenie, gdy dowiedzą się, że ich

podejrzenia były najzupełniej słuszne - istotnie, udałabym tylko chrześcijankę, żeby żyć jak wolny człowiek. Ale jeśli zostanę w Wenecji, będę wieść samotne życie do końca moich dni. Nie mogę poślubić chrześcijanina i ukrywać przed nim swojej żydowskiej duszy. A tam zdążę jeszcze wyjść za mąż i urodzić dziecko. Mógłbyś mnie odwiedzić i pobłogosławić je... Jest takie miasto Ragusa, niegdyś pod władzą wenecką... mówią, że bardzo piękne. Nie takie oczywiście jak Wenecja, to pewne, ale tam będę wreszcie mogła prowadzić uczciwe życie. Będę mogła wrócić do prawdziwego nazwiska... A teraz pomódl się za mnie, rabbi, bo chcę napełnić uszy muzyką hebrajskiej mowy...

Chwilę potem Juda Arje wysiadł z gondoli w ustronnym canaletto, z dala od wścibskich i niechętnych oczu przechodniów kłębiących się na moście Rialto. W kieszeni czuł ciężkie sakiewki dońi de Serena, za pazuchą miał jej książkę. Zamierzał iść prosto do domu. Szedł ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w uliczny bruk. Minał kram z maskami i innymi akcesoriami karnawałowymi, ale nie spojrzął nawet na wystawę. Na rogu jednak przystanął. Złoto w kieszeni nie pozwoliło mu iść dalej. Zwykle Juda brał swoją obsesję za to, czym była w istocie - za szatańską pokusę. Czasem jednak wmawiał sobie, że chodzi o coś innego. Czyż plemiona Izraela nie ciągnęły losów, by podzielić między siebie Ziemię Obiecaną? Czyż to nie drogą losowania wybrany został pierwszy król izraelski? Jak więc może pochodzić od szatana coś, co sankcjonowała Tora? Może to nie szatan kazał mu oszukać dońę de Serena? Może sama Opatrzność chciała, by zaryzykował wszystko, aby zdobyć jeszcze większe bogactwa dla swego ludu. Mógłby za te pieniądze podźwignąć całe Gheto. Choć serce tłuło mu niespokojnie w zbolątej piersi, Juda poczuł się podniecony myślą o wiekopomnym wyczynie. Zawrócił na pięcie i ruszył prosto do kramu.

Yistorini wstał od stołu, szukając jakiejś chustki, którą mógłby obetrzeć spocone czoło. Przepracował cały ranek nad przygotowaniem wniosku o konfiskatę heretyckiej książki. O tej porze roku nie powinno być tak gorąco. Pot miał kwaśny zapach i przypominał mu, że nie mył się porządnie od wielu dni. Od rozmowy z tym Żydem rozboleła go głowa, a teraz ból jeszcze się nasilił. W żołądku poczuł dojrzewający gniew. Powiedział sobie, że został obrażony, że rabbi nadużył jego przyjaźni. Nie chciał się przed sobą przyznać, że po prostu nie lubił przegrywać w słownych potyczkach. Bolał go brzuch. Poczuł, że musi iść do latryny. Ruszył przez korytarz w siedzibie Świętego Oficjum chwiejnym krokiem starego schorowanego człowieka.

Tu było przynajmniej chłodno. Wilgotne zagrzybione ściany napępniały go zwykle obrzydzeniem, ale tym razem poczuł ulgę, że wyrwał się ze swojej dusznej klatki. Za rogiem o mało nie wpadł na chłopaka niosącego mu na tacy skromny obiad, pranzo. Porwał z tacy serwetkę i otarł nią twarz.

- Zanieś to do refektarza - rzucił i oddał chłopakowi zapoconą serwetkę. Ten wykrzywił twarz w grymasie powściąganego obrzydzenia. Do diabła z nim, pomyślał Yistorini i ruszył dalej, w kierunku latryny. Do diabła z wami wszystkimi, szczeniaki. Mam dość tego waszego krzywienia się na wszystko. Już ten bezczelny Pa-olo złości mnie wystarczająco. Ale cóż mogę zrobić - pochodzi z zacnej rodziny... Gówniarz!

Uwolnił wnętrzności od ciężaru do cuchnącej dziury, ale ból kiszek niewiele od tego zelżał. Czyżby nabawił się wrzodów? Wszedł do refektarza i rozejrzał się za winem. Nie miał apetytu na cienką zupkę z chlebem. Kielich przy jego nakryciu napełniono ledwie do połowy. Zażądał więcej, ale chłopak ze złośliwym uśmiechem wyjaśnił, że kredens już zamknięty.

Wróciwszy do swej izdebki, Yistorini zabrał się do codziennego zajęcia - cenzurowania ksiązek. Nastrój miał jeszcze gorszy niż przed obiadem. Piórem umoczone w czarnym atramencie wykreślał starannie wszystkie hebrajskie wzmianki o chrześcijanach - ludziach nieobrzezanych, nienawidzących Żydów, „sprawujących dziwaczne rytuały”. Czyścił tak cenzurowany tekst aż do momentu, gdy zdanie o idolatrii odnosiło się już tylko do czasów starożytnych, bez żadnych najmniejszych nawet aluzji do Kościoła rzymskiego. Wykreślił też takie sformułowania jak „królestwo nikczemności”, a nawet słowa „Edom” i „rzymski”. Uczynił to na wszelki wypadek, by nie kojarzyły się komuś, broń Boże, z chrześcijaństwem. Usunął również określenie judaizmu jako jedynej prawdziwej wiary i wszelkie wzmianki o „Mesjaszu, który przyjdzie”. Nie podobały mu się także określenia „pobożny” i „świętobliwy”, jeśli odnosiły się do Żydów.

Kiedy Yistorini czuł się lepiej - a bywały takie dni, choć nieestety coraz rzadziej - obchodził się z cenzurowanymi tekstami delikatniej. Czasami nawet korygował niewłaściwe sformułowania zamiast je wykreślać. Na przykład do słowa „bałwochwalstwo” dawał przypis, że chodzi o „czcicieli gwiazd”, co usuwało podejrzenie, iż autorowi może chodzić o chrześcijan. Ale teraz bolała go głowa, a na języku czuł kwaśny nalot. Jego pióro pokrywało słowo za słowem grubymi czarnymi kreskami. Czasem dociskał je tak mocno, że dziurawił papier. Czuł się niedobrze, jakby był

chory. Odłożył cenzurowaną książkę. Było w niej tyle błędów, że nadawała się tylko na stos. Niechby to zobaczył ten arogancki osioł Juda Arje! Najlepiej byłoby wszystkie ich książki spalić. Byłby spokój. Poszedłby sobie do domu, a tam służący dałby mu coś do picia. Zamiótł stół ramieniem. Na ziemię spadło kilka tomów czekających na ocenę. To nic - i tak wszystkie pójdą na stos.

Juda Arje usiadł na łóżku powoli, żeby nie budzić żony. Światło księżycyca oświetlało łagodnie jej policzki i rozpuszczone włosy - za dnia zawsze skromnie związane, a teraz rozsypane na poduszce w bujnych czarno-srebrnych puklach. Jej włosy wciąż go zachwycaly. Ledwie powstrzymał się od ich dotknięcia. Za młodu kochali się gorąco i namiętnie, a on zanurzał w tych włosach dłonie, Ignąc do niej nagim ciałem.

Saraj wciąż była ponętną kobietą i nie mógł się jej oprzeć, gdy spojrzała na niego w pewien sposób. Czasami, kiedy myślał o Vi-storinim, zastanawiał się, jak ksiądz może się obywać bez ciepła kobiecego ciała w łóżku. Albo bez dzieci. Jak by to było, gdyby on, Juda Arje, nie mógł oglądać słodkich twarzy swoich dzieci, zmieniających się z roku na rok? Gdyby nie mógł obserwować, jak szukają właściwej drogi do dorosłości? Sądził, że wino, którym tak obficie raczył się jego przyjaciel, miało zagłuszyć emocjonalne potrzeby, dane przecież od Boga.

Nie żeby rabbi Juda lekceważył życie dyscyplinowane przez wiarę. Wręcz przeciwnie, dobrze rozumiał ascetyczne piękno takiej drogi. Cały czas pamiętał o sześciuset trzynastu przykazaniach zawartych w Torze. Nigdy nie mieszał produktów mlecznych z mięsem, powstrzymywał się od pracy w szabat, przestrzegał w stosunkach z żoną zasad małżeńskiej czystości.

Uważał to za najzupełniej naturalne. Okresowa abstynencja tylko zaostrzała apetyt i chwile ponownego zjednoczenia czyniła słodszyimi. Ale spędzić całe życie bez żony... Zdaniem Judy to nie było prawdziwie męskie życie.

Drzwi skrzypnęły przy zamykaniu. Poczekał chwilę na schodach, by sprawdzić, czy kogoś nie zbudził. Ale w przepelnionym domu nigdy nie panowała zupełna cisza, nawet o tak późnej porze. Za cienką ścianą rozkaszał się jakiś stary człowiek. Kiedyś buduje się tak wysoko, górne piętra muszą być z najcieńszych i najlżejszych elementów, tym bardziej że w Ghecie wyższe kondygnacje miały często większą powierzchnię niż dolne i zwieszały się nad wąskimi uliczkami. Piętro niżej zaczął płakać głodny nie-mowlak. A na górze odezwał się szalonym paniem kogut. Biedne ptaszysko straciło chyba poczucie czasu albo oślepiło, bo wkoło panowała noc czarna jak smoła. Powinno już trafić do garnka - pomyślał

Juda Arje, schodząc ostrożnie po skrzypiących schodach. Znalazłszy się na zewnątrz, podszedł do wąskiej szpary oddzielającej jego dom od sąsiedniej kamienicy i wyciągnął niewielki kamień, za którym ukryty był płócienny worek. Wydobył zawiniątko i wsunął kamień z powrotem na miejsce. Idąc dalej ulicą, wypatrywał najciemniejszego kąta, po czym przystanął i wyjął z worka zawartość. Po chwili ruszył dalej w kierunku bramy Gheta.

Czekał go najtrudniejszy etap nocnej wyprawy. Bramy zamknięto wiele godzin temu. Chrześcijanie, których zatrzymały w Ghecie interesy, mogli je bez trudu opuścić, dając strażnikom napiwek. Ale Żyd musiał się w takiej sytuacji wykazać mocnymi nerwami i przebiegłością. Juda Arje przystanął w mrocznym zaułku i czekał. Kasztanowe loki wysunęły się mu spod trójgraniastego kapelusza weneckiego mieszczanina. Wilgotne powietrze wciskało się nawet pod sztywną wełnianą pelerynę, godną szlachcica, która wraz z maską dopełniała przebrania. Napinał i rozluźniał mięśnie ramion, bo zaczynały drętwieć z zimna. Zaczął też przytupywać, ale cichutko. Jeszcze trochę, a dałby za wygraną i wrócił do domu. Nagle posłyszał coś, na co czekał. Podochocone głosy i tubalne śmiechy. Po chwili na placu pojawiła się wesoła banda chrześcijańskich młodzieńców. Korzystając z karnawałowego rozluźnienia obyczajów, wybrali się do Gheta, by zaznać zdrożnych przyjemności. Juda wiedział, że niektórzy Żydzi upadali tak nisko, że stręczyli rozpustnikom własne dzieci.

Młodzieńców było sześciu lub siedmiu. Chwiejnym krokiem zmierzali do bramy, pokrzykując zawczasu na strażników, żeby im otworzyli. Wszyscy mieli na sobie peleryny i maski z com-media delFarte. Judzie zadrzało serce. Miał tylko chwilę, by zadziałać i wmieszać się w tę grupkę z nadzieją, że ciemności i nietrzeźwość rozbawionych mężczyzn uchronią go przed zde-maskowaniem i kompromitacją. Dziesięć razy poprawił maskę na twarzy, sprawdzając, czy jest dobrze przywiązana. Wybrał bardzo popularny model - maskę dziobatego doktora od zaraży. Po całym mieście kręciły się tłumy mężczyzn w podobnych przebraniach. Już miał się wyłonić z najgęstszych ciemności na jaśniejszą przestrzeń placu, gdy ogarnęły go wątpliwości. To jednak zbyt wielkie ryzyko. Młodzi ludzie na pewno odkryją, że się do nich przyplątał. Powinien zawrócić i pójść tam, skąd przyszedł, a potem schować starannie tę cudaczną maskę. Ale zaraz potem pomyślał o świetle świec pełgającym po stołach złotych cekinów i o niezwykłej chwili, kiedy karta zostaje odwrócona i odsłania swą tajemnicę. Przełknął ślinę. Sama myśl o takiej chwili smakowała

niebiańsko, więc warto było zaryzykować.

Wyszedł z mroku i przyłączył się do gromadki młodzieńców. Tylko śmiało! - powiedział sobie. Jednemu z mężczyzn położył dłoń na ramieniu. Próbował się roześmiać, ale wyszedł z tego skrzekliwy falset.

- Wyświadcz mi drobną przysługę, młody panie. Nogi mi się trochę płaczą, bo za dużo wypilem, nie chcę zaś zwracać na siebie uwagi tych drabów przy bramie... W oczach młodzieńca, spoglądających przez sierpowate wycięcia w masce Arlekina, nie pojawił się nawet cień zdziwienia; były tępe jak u krowy.

- Dobra, wujciu, chwyć się mnie, jakoś się razem doczłapie-my - rzucił. Oddech miał tak przesiąknięty alkoholem, że mógłby się zająć od byle świecy.

Przechodząc pod oświetloną bramą Juda Arje bał się, że strażnicy usłyszą, jak głośno wali mu serce. Ale po chwili był już na moście. Jeszcze kilka schodów i znalazł się na „chrześcijańskim” brzegu kanału. Ledwie tam dotarł, porzucił swych przygodnych kompanów i zapadł w mrok.

Wsparłszy się czołem o chłodny kamienny mur, czekał, aż uspokoi mu się oddech. Trwało to dłuższą chwilę.

Gdy w końcu ruszył ulicą wzdłuż kanału, tłum wessał go w swój nurt. W czasie karnawału noc nie zsyłała weneccjanom spoczynku. O zmierzchu zapalały się niezliczone kandelabry i pochodnie, by zabawa mogła trwać w najlepsze. Na głównych arteriach miasta panował teraz tłok jeszcze większy niż w Ghecie za dnia. Do poprzebieranych szlachciców i mieszczan ciągnęli jak muchy do miodu kieszonkowcy i rozmaici oszuści, ale także kuglarze, akrobaci i niedźwiedznicy, dostarczający im rozrywki. Na krótki czas karnawału mieszały się z sobą wszystkie stany weneckiego społeczeństwa. Wysoki mężczyzna w długonosej masce Zanniego, mijający właśnie Judę, mógł być przebrany za sługę albo stróża, ale równie dobrze szlachcicem, nawet jednym z Dziesięciu. Wszystkich witano jednakowo: „Dobry wieczór, panie Masko”.

Juda Arje dotknął kapelusza, by pozdrowić wysokiego Zanniego, i znów wmieszał się w tłum, pozwalając nieść się z prądem w kierunku ridotto, domu gry, położonego nieopodal mostu. Wszedł tam jako jeden z wielu panów w maskach. Zbyt kornie urządzonej salon na piętrze, zwany komnatą westchnień, oświetlony był rześmiście, nawet zbyt jasno, bo brakowało litościwego cienia, w którym mogłyby się skryć zmarszczki na szyjach pań o twarzach schowanych pod maseczkami. Damy, wyciągnięte na sofach w niedbałych pozach, wdzięczyły się mniej lub bardziej nieprzyzwoicie do swych towarzyszy. Można tu było spotkać mężów z

utrzymankami i żony z ciccisbeos, „opiekunami”, a w istocie kochankami. Nie brakowało też prostytutek i rajfuerek, a także szpiclów. Wszystkich równały maski. Wszystkich z wyjątkiem „bankierów”. Mężczyźni ci, należący do arystokratycznej rodziny Barnabot, byli jedynymi weneccjanami, którym wolno było trzymać bank w ridotto. Ubrani w niemal identyczne długie czarne szaty i bujne białe peruki, stali za oddzielnym stołem w następnym salonie. Ich odkryte twarze sprawiały, że nikt nie mógł się pod nich podszyć. Oni firmowali całe przedsięwzięcie. Do dyspozycji graczy oddano kilkanaście stołów. Juda Arje obserwował, jak bankierzy tasują karty do basety i panfila. Kazał sobie podać wino i zaczął przechadzać się spokojnym krokiem po sali. Zwrócił uwagę na partię „trzynastki”, toczoną przez samotnego gracza z bankierem. Grali wysoko. Karty rozdawał raz bankier, raz gracz. Zmieniali się przy tej czynności parokrotnie. W końcu gracz zgarnął swoje cekiny do sakiewki i z uśmiechem wstał od stołu. Jego miejsce zajął Juda. Przyłączyło się jeszcze dwóch mężczyzn. Bankier stał pomiędzy wysokimi świecami i tasował karty, a gracze wyłożyli na stół swoje cekiny. Juda postawił skromnie jednego cekina. Pozostali stawiali więcej. Przeciwnikiem całej trójki był bankier. Gra była prosta. Ten, kto rozdawał karty, musiał po kolei wymienić nazwy całej ich trzynastki, od asa do króla. Jeśli udało mu się trafić choć raz i wymieniona karta odpowiadała rzuconej na stół, zgarniał pulę. Jeśli zaś doszedłszy do króla, nie wymienił prawidłowo wartości ani jednej z rozdanych kart, wówczas sam płacił, a karty rozdawał ten jego konkurent, który zyskał najwięcej. Głos bankiera podczas rozdawania był niski i beznamiętny.

- Uno. - Na stół spadła piątka pik. - Due. - Pojawiła się dziesiątka kier. - Trę. - I znów nie trafił, bo wyrzucił ósemkę pik. „Jeśli bankier będzie miał nadal takiego pecha, to mój cekin do-czeka się braciszka” - pomyślał Juda.

- Fante - rzucił bankier. Ale na stole pojawiła się siódemka karo, a nie walet.

- Rei - Ostatnia karta. Bankier znów się pomylił. To był as, nie król. Bankier sięgnął długimi białymi palcami do stosiku cekinów, które miał za sobą. Jednego położył przed Juda, cztery przed mężczyzną w masce lwa. A siedem - z lekkim ukłonem - przed mężczyzną w masce Brighelli. Teraz to właśnie on miał rozdawać karty. Juda odchylił nieco maskę, by obetrzeć czoło. Sięgnął do sakiewki dońi de Serena i dołożył dwa cekiny. Grał więc teraz za cztery. Wydawało mu się, że gracze obok przyjęli to z aprobatą.

- Uno - odezwał się człowiek w masce Brighelli głębokim dźwięcznym

głosem. Padła jednak dziewiątka trefl. - Due. - Pokazał się nie w porę walet. - Trę, quatro, cinque, sei ... fante, ca-vallo... - Brighella z coraz większym naciskiem wymieniał karty, ale jego słowa nie pokrywały się z tym, co spadało na stół. Juda Arje poczuł, że serce bije mu coraz szybciej. Jeszcze chwila i wygra cztery cekiny. Jeśli dalej będzie mu tak szło, w mig podwoi ciężar sakiewki dońi de Serena.

- Re! - krzyknął Brighella, ale na stół spadła siódemka trefl. Pechowiec nie miał więc innego wyjścia, jak sięgnąć po trzos i wypłacić wygrane pozostałym graczom. Oczy błysnęły mu w otworach bulwiastej maski. Nadeszła kolej Judy. Obserwował jak „lew”, Brighella i nobliwy Barnabot ustawiają swoje stosiki. Brighella, chcąc się odegrać, wyłożył na stół dwadzieścia cekinów. Barnabot był ostrożniejszy - zaryzykował tylko dwa. „Lew” położył cztery.

Spokojnymi precyzyjnymi ruchami potasował talię. Czuł raczej podniecenie niż lęk, choć na stole leżało dwadzieścia sześć cekinów.

- Uno! - wykrzyknął i jakby na zawołanie na stół spadł czerwony as karo. Juda Arje zgarnął ku sobie wygraną. Jako zwycięzca miał ponoć rozdawać. Gracze kolejny raz wyłożyli stawki. Brighella znów dwadzieścia, Barnabot dwa, a „lew” cztery cekiny.

- Uno! - zawołał wesoło Juda, lecz na stole pokazała się dziewiątka. - Due! Trę! Quattro... - Dopiero gdy doszedł do fante, strach przed przegraną ścisnął mu gardło. Ale właśnie w takich momentach lęk stawał się dla Judy jak szklanka chłodnej świeżej wody. Z radością powitał to uczucie, mroczną i mrozącą emocję związaną z ryzykiem. Im niebezpieczniejsza była ekwilibrystyka na skraju przepaści, tym intensywniejsze i bardziej odświeżające doznanie. Nigdy nie czuł się tak rześko jak wtedy, gdy balansował między triumfem i klęską.

- Caballo! - zawołał, lecz kartą wyrzuconą na stół był as karo. Ten sam as, który w poprzedniej rozgrywce dał mu zwycięstwo, teraz go zdradził. Miał już tylko jedną szansę.

- Re! - zawołał rzucając kolejną kartę. I uśmiechnęła się do niego twarz króla. Pozostali gracze kręcili głowami. Ten człowiek w masce dziobatego doktora ma niebywale szczęście. Raz wygrywa pierwszą kartą, raz ostatnią... Podejrzone.

Juda Arje patrzył, jak rubinowy pierścień bankiera mieni się niepokojąco w świetle świec. Barnabot powoli wyłożył dwa cekiny, potem zamyślił się przez chwilę i dorzucił jeszcze dwa. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że szczęście musi wreszcie opuścić człowieka w masce doktora.

Brighella łypał na bankiera szklistym spojrzeniem, kładąc na stole

czterdzieści cekinów. Tylko „lew” zaryzykował jak zwykle cztery. Taki miał widać zwyczaj.

Przez następną godzinę szczęście dopisywało Judzie nadzwyczajnie.

Podwoił z okładem zawartość pierwszej sakiewki dońi de Serena.

Człowiek w masce lwa odszedł od stołu i chwiejnym krokiem udał się do „komnaty westchnień”, by tam dojsć do siebie. Zastąpił go Pulcinella, dobrze już pijany. Grai brawurowo i głośno rozpaczał, gdy fortuna mu nie dopisała. Nobliwy Barnabot zachowywał arystokratyczny dystans, ale na jego twarzy malowało się napięcie. Brighella, który stracił do tej pory najwięcej, uczepił się kurczowo stołu, aż mu zbiełały knykcie. Wokół zgromadził się tłumek ciekawskich.

W końcu jednak stało się to, co stać się musiało: Juda Arje dobrnął do króla, nie wyrzuciwszy ani jednej właściwej karty. Pulcinella zapał z radości. Juda skłonił się i spłacił graczy: osiemdziesiąt cekinów dostał Brighella, dziesięć Pulcinella, a cztery Barnabot. Przekazał talię Brighelli i zaczął się zastanawiać, o jaką stawkę powinien teraz zagrać.

To była magiczna godzina. Czuł się tak lekko, jakby był jednym z barwnych balonów, które w karnawale unosiły się nad Wenecją. Pokażny stos wygranego złota mógł zdziałać niemało dla ubogich Żydów z Gheta. Teraz jednak rabiego ogarnęły wątpliwości. Może istotnie zwabił go tutaj szatan, ale Bóg dał mu wolność wyboru. W głowie odezwał się głos rozsądku. Powinien schować pieniądze i opuścić ridotto. Nakarmił już bestię, która w nim drzemała. Przeżył uniesienie, zakosztował ryzyka. Dość tego. Wyciągnął rękę, by zgarnąć złoto do sakiewki.

Ale niespodzianie poczuł na dłoni ciężar. To była ręka Brighelli. Oczy wyzierające spod maski były czarne, źrenice z wściekłości rozwarły się szeroko.

- Hola, miły panie... Żaden człowiek honoru nie odchodzi od stołu po pierwszym nieudanym rozdaniu - wysapał Brighella.

- Nooo peewnie - wybełkotał Pulcinella. - To nie uuucho-dzi... Przecież to nieee targowisko. Mniejsza o złoto... jest karnawał, trzeba się baawić... Tak nie zachowuje się szlaachcic... Ani żaaaden weneccjanin...

Juda zaczerwienił się pod maską. Czyżby coś podejrzewali? Pijany Pulcinella zachował jednak bystrość. Juda wyciągnął dłoń spod ręki Brighelli i położył na sercu. Wstał, cofnął się o krok i skłonił głęboko.

- Panowie wybaczą - zaczął swym miękkim i w stu procentach weneckim akcentem. - To był niezrozumiały odruch, chwila roztargnienia... sam nie wiem. Kontynuujmy, proszę...

Przez kolejną godzinę gra toczyła się zmiennymi torem. Wszyscy raz

wygrywali, raz przegrywali. Juda Arje uznał, że mi-nęło już dość czasu i znowu spróbował odejść od stołu. Ale kiedy chciał skończyć w dość korzystnym dla siebie momencie, Brighella znów go powstrzymał:

- Gdzie się pan tak śpieszy? Może na schadzkę? A może mu-sisz zdążyć na otwarcie bram? - dodał scenicznym szeptem. On wie - pomyślał Juda. Zaczął się pocić pod peleryną.

- Dołącz do nas z przyzwoitą stawką, doktorze! Zagrajmy na zgodę! Brighella sięgnął pod płaszcz, a potem położył na stole pełną sakiewkę. Juda trzęsącymi się dłońmi wypchnął na środek stołu wszystko, co do tej pory wygrał. Ogarnął go strach, że straci całe złoto, ale był to strach słodki i kuszący.

Teraz rozdawał Barnabot:

- Uno, due, tre...

Juda Arje wyżej podniósł głowę.

-Otto. Nove...

Zrobiło mu się duszno pod maską. Serce waliło jak młotem. Może znów wygra? Uniesienie i strach trzymały go w podwój-nym, jakże słodkim uścisku. Ale zaraz potem zatriumfowało przerażenie: bankier zawołał „Re\” - i na stół upadł król.

Barnabot wyciągnął rękę po stosy cekinów i zgarnął je wszystkie ku sobie. Potem skłonił się Brighelli.

- Teraz to co innego, możesz nas opuścić, jeśli tak bardzo znudziłeś się naszym towarzystwem...

Juda pokręcił głową. Teraz nie mógł wstać od stołu. Stra-cił nie tylko wszystko, co wygrał, ale i połowę pieniędzy dońi de Serena. Wcześniej przyrzekł sobie, że zaryzykuje tylko jedną sakiewkę - i oto leżała już przed nim na stole, pusta i sflacza-ła. Myślał, że połowę przeznaczy na hazard, połowę zaś rozda ubogim. Ale gdy położył dłoń na drugiej sakiewce, pełnej jesz-cze i ciężkiej, poczuł niezwykle ciepło. Był całkowicie pewien, że szczęście, które tak mu dopisywało na początku wieczoru, zaraz powróci, może z jeszcze większą siłą. To nie on, lecz ręka Opatrzności położyła na stole tę drugą sakiewkę. I wydobyła z trzосу całe złoto.

W pierwszej chwili nawet kamienna twarz Barnabota zdra-dziła zdumienie. Jego brwi uniosły się wysoko, aż do loków śnieżnobiałej peruki. Skłonił się leciutko w stronę Judy - i zaczął rozdawać karty.

Juda Arje miał ledwie kilka sekund, by posmakować słodko--bolesnego uniesienia. Kartą, która pozbawiła go całego złota, była skromna ósemka. Krągłe słowo „osiem” spłynęło z ust Bar-nabota i zmateriałizowało się

tym tajemniczym symbolem nie-skończoności, otchłani, która wessała duszę rabiego. Patrzył z niedowierzaniem, jak całe jego złoto dołącza do złotego kop-czyka wznoszącego się u boku bankiera. Podniósł dłoń, żądając pióra i papieru. Drżącą ręką wypisał weksel na kolejne sto ce-kinów. Barnabot ujął weksel w dwa palce, przyjrzał mu się, po czym w milczeniu pokręcił głową.

- Przecież sam widziałem, że grałeś pan z człowiekiem, który na słowo dostał kredyt na dziesięć tysięcy dukatów...

- Słowo weneccjanina liczy się zupełnie inaczej - od-parł chłodno Barnabot. - A jeśli potrzebujesz kredytu, zwróć się do któregoś z waszych żydowskich krwiopijców - dodał, upuszczając weksel Judy na podłogę. Przy sąsiednich stolikach zapadła niespodziewana cisza. Wszystkie twarze w maskach zwróciły się jak na komendę ku Judzie Arje. Niczym stado drapieżnych ptaków, które jednocze-śnie dostrzegły ofiarę.

- Żyd! - zapiał Pulcinella. - Do diaska! Od razu wiedziałem, że to nie weneccjanin.

Juda Arje zerwał się od stołu, przewracając kielich z winem, i wybiegł z salonu. W „konnacie westchnień” sprzedajna dziew-ka próbowała mu sięgnąć pod pelerynę.

- Co się tak złościysz? - zapytała głosem, który miał być uwo-dzicielski. - Każdy czasem przegrywa. Siądź przy mnie, zaraz poczujesz się lepiej... Wiesz, zawsze byłam ciekawa, jak to jest z obrzezanym...

Juda odepchnął ją i wybiegł po schodach na ulicę, dotknięty do żywego ścigającym go śmiechem prostytutki.

W mdłym świetle sanktuarium Juda Arje naciągnął tałes na głowę i nisko skłonił się przed Bogiem.

- Zgrzeszyłem... oszukałem i ukradłem... Łzy ściekały mu po policzkach, kiedy kiwając się w tył i przód recytował słowa modlitwy pokutnej:

- Postępowałem przewrotnie i nikczemnie, byłem zadufany w sobie; kłamałem i dawałem fałszywe świadectwo... wypra-wiałem bezceństwa i grzeszyłem na różne sposoby. Odwraca-łem się od Twoich przykazań i sądów, przez co stałem się złym człowiekiem. Cóż mam powiedzieć przed Tobą, który jesteś w Niebiesiech, cóż mam Ci wyznać, Najwyższy? Czyż nie wiesz o wszystkich rzeczach, ukrytych i jawnych? Czyż może być za-tem Twoją wolą, Panie Boże nasz i naszych przodków, wybaczyć mi moje niegodziwości i odpuścić mi moje grzechy...

Siadł na ławce, wyczerpany i z bolącym sercem. Bóg mógł mu wybaczyć grzech przeciw swoim przykazaniom, ale dobrze wiedział - bo sam tego nauczał - że grzechy popełnione prze-ciw bliźniemu są odpuszczane tylko

wtedy, gdy ten, kto został skrzywdzony, przebaczy swemu winowajcy. Pomyślał więc z rozpaczą, że będzie musiał się udać do dońi de Serena i wyznać jej wszystko. A potem przeżyć wielkie upokorzenie, gdy stanąwszy przed swoją kongregacją, będzie musiał przyznać, że swym karygodnym postępkim odebrał chleb głodnym i lekarstwa umierającym. I wreszcie - choć jest biedakiem - musi zwrócić sumę, którą sobie przywłaszczył. Nie obędzie się bez najsurowszej oszczędności. Trzeba będzie zastawić książki, a może nawet przenieść się z rodziną do jeszcze skromniejszego mieszkania. Tu w dwóch pokojach gnieździło się sześć osób. Ale pokoje były przynajmniej wysokie, a jeden miał okno. Juda Arje wiedział już o tańszej alternatywie - szochet* pokazał mu kiedyś ciemną jednoizbową kłitkę przy rzeźni, którą wynajmował za bardzo małe pieniądze. Juda nazwał ją w myślach „jaskinią Makpela”**, ale przyrzekł szochetowi, że wspomni o tym miejscu, jeśli ktoś z jego gminy będzie desperacko szukał dachu nad głową. W Ghecie deficyt mieszkań był bardzo dotkliwy, więc nawet nędzna nora mogła znaleźć najemcę, jeśli czynsz był naprawdę niski. Ale jak ośmieli się poprosić Saraj, by przeniosła się do tak podłego mieszkania? A jak pomieści się tam ich córka Ester, która pracuje w domu? Gdzie podzieje swoje materiały i przybory krawieckie? Jak będzie szyć w izbie bez okna? Zresztą to on sam był wszystkiemu winien, nie rodzina. Jakże więc mógł ich narażać na takie cierpienia?

Juda Arje przeciągnął dłońmi po twarzy. Cerę miał wymi-zerowaną i szarą. W jaśniejącym świetle poranka widać to było coraz wyraźniej. Wkrótce zjawi się tu minjan***. Musi się przygotować na ich przyjęcie. Zszedł do swojego mieszkania. Zapach smażonego tłuszczu powiedział mu od razu, że Saraj już wstała. Juda lubił jej chru piącą frittate, gorącą i złocistobrązową.

* Rzeźnik rytualny - przyp. tłum.

* * Pieczara, w której zostali pochowani m.in. Sara i Abraham - przyp. tłum.

*** Kworum dziesięciu dorosłych Żydów wymagane przy zbiorowych modłach - przyp. tłum.

Gdyby to był zwykły poranek, siadłby przy stole z trzema synami i ukochaną córką, słuchając jednym uchem ich paplaniny. Ale tego ranka zapach smażonej oliwy wydał mu się odrażający. Czuł się chory. Oparł się o poręcz krzesła. Saraj stała przy kuchni, odwrócona do męża

plecami. Włosy miała starannie spięte i schowane skromnie pod chustką, zawiązaną na karku.

- Dzień dobry - powiedziała Saraj. - Obudziłeś się chyba jeszcze przed kurami... - Odwróciła się, by rzucić okiem na Judę, i uśmiech na jej twarzy natychmiast zgasł. - Co to? Jak ty wyglądasz? Jesteś chyba chory, mój mężu...

- Saraj... - zaczął, ale nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Dwaj najstarsi synowie stali razem w kącie i odmawiali poranną modlitwę. Najmłodszy, który już się z tym uwinął, siedział z siostrą przy stole i pałaszował frittate. Juda nie mógł przy nich opowiedzieć o swoim pohańbieniu, choć zdawał sobie sprawę, że niedługo o jego upadku dowie się całe Gheto.

- To nic... - wykrztusił w końcu. - Nie mogłem zasnąć w nocy... -

Przynajmniej mówił prawdę.

- Musisz więc odpocząć, ale później. Powinieneś nabrać sił, by należycie powitać Szabatową Oblubienicę - powiedziała Saraj z uśmiechem.

Uprawianie miłości małżeńskiej w szabat było nakazem, a oni oboje z radością wypełniali to religijne przykazanie. Juda odpowiedział żonie bladym uśmiechem, po czym nalał wody do miski. Przemył twarz i zwilżył włosy. Zmienił kipę i poszedł znów na górę do swojej bóżnicy. Mimo wczesnej pory minjan już się zebrał. W dzisiejszych czasach, pomyślał Juda, zgromadzenie dziesięciu Żydów na modlitwę przychodzi aż nazbyt łatwo. Ostatni atak zarazy, od którego nie minął jeszcze rok, pochłonął bowiem tak wiele ofiar, że ponad dwudziestu osieroconych najstarszych synów przychodziło codziennie, aby odprawiać żałobę i modlić się za swoich zmarłych.

Podszedł do bimy. Na pulpicie leżała atlasowa kapa w kolorze błękitnym, barwie nocy. Juda pamiętał, że uszyła ją jego córka, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Brzegi obiegały równiutkie i gęste ściegi, choć sama kapa była już nieźle podniszczona, jak wszystkie niemal sprzęty w bóżnicy. Na rogach, gdzie Juda trzymał dłonie, stojąc na bimie, atlas był mocno wytarty. Ale rabbi się tym nie martwił, podobnie jak nie dbał o chwiejące się ławki czy skrzypiące deski w podłodze. Takie rzeczy świadczyły jedynie o żywotności bóżnicy, o tym, że ludzie przychodzili liczenie i często, próbując rozmawiać ze swoim Bogiem.

„Niech wyniesione i uświęcone będzie wielkie Imię Jego w świecie, który stworzył według swej woli...” Kadisz należał do ulubionych modlitw Judy Arje. Był bowiem modlitwą za zmarłych, która nie przypominała o śmierci, smutku i stracie, lecz mówiła o życiu, chwale i pokoju. Modlitwą,

która odwracała twarze od cmentarzy i kierowała wzrok ku niebu. „Niechaj cały Izrael, rabini, ich uczniowie, wszyscy uczniowie ich uczniów, niech oni, jako i wy, otrzymają pokój obfity, chwałę, łaskę, miłosierdzie, długie życie, dostatek pożywienia i zbawienie od Ojca, który jest w niebie. Powiedzcie: Amen”.

Po zakończeniu porannych modłów Juda Arje nie pozostał długo w bóżnicy. Wychodząc zamienił ledwie parę słów z członkami swojej kongregacji. Nie wrócił jednak do swojego mieszkania, bo obawiał się kochającego, ale przenikliwego spojrzenia żony. Wolał ją zostawić przy kuchni, gdzie spokojnie przygotowywała potrawy, które będą jeść tego wieczoru i w ciągu następnego dnia, bo w szabat nie wolno pracować. W chwili gdy wychodził na ulicę, Saraj zajęta była obieraniem cebuli. Skrupulatnie sprawdzała każdą łupinę, by się przekonać, czy gdzieś nie zakradł się choćby najdrobniejszy robaczek. Prawo żydowskie zakazywało bowiem spożywania robaków, nawet przypadkowo. Juda Arje udał się do handlarza starzyzną, któremu wiodło się na tyle dobrze, że w części swego domu urządził bibliotekę. Rabbi uczył obydwu jego synów, więc handlarz chętnie udostępniał mu biblioteczny pokój do spokojnej pracy. Znalazłszy się tam, ostrożnie odwinął płótno, w które zawinięta była hagada doñi de Serena. Jeśli miał do niej pójść z wyznaniem winy, nie chciał się zjawić z pustymi rękoma. Powinien przeczytać książkę uważnie, by się przekonać, czy można ją bezpiecznie przedstawić Świętemu Oficjum. Jeśli tak, zaraz zaniesie ją Yistoriniemu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, po szabacie mógłby zwrócić książkę doñi de Serena - i to z cenną parafą cenzora.

Otworzył srebrne klamry. Jakże błogosławionym miejscem musiała być Hiszpania, skoro tamtejszych Żydów stać było na takie książki! Czyżby żyli jak książęta? Chyba tak, skoro zatrudnili takich majstrów jak ten złotnik, nie mówiąc już o iluminatorze. A teraz ich potomkowie tułają się po świecie, szukając miejsca, gdzie mogliby spokojnie zasnąć. Kiedyś zapewne było takich książek więcej, ale uleciały z dymem stosów i zapomnienia.

Nie czas jednak na lamenty i próżne żale. Nie było sensu zastanawiać się nad tożsamością iluminatora - pewnie chrześcijanina, bo po co jakiś Żyd miałby się uczyć chrześcijańskiego malarstwa - czy też sofera, który spisał tekst tak pewną, a zarazem pełną gracji ręką.

O tych sprawach Juda mógł pomyśleć później. Teraz musiał się wdroić w sposób rozumowania Giovanniego Domenica Vistoriniego, łowcy nieprawomyślnych idei wężącego nieustannie za wszelkimi przejawami

herezji. Był to umysł podejrzliwy i za-pewne wrogi. Juda Arje miał jednak nadzieję, że Yistorini jako uczony będzie miał wzgląd na piękno i wiek hagady. Ale czyż jako cenzor nie kazał już spalić wielu pięknych ksiązek? Juda przerzucił więc karty z ilustracjami i pochylił się nad pierwszą stroną z hebrajskim tekstem: „Oto chleb nędzy, który jedli nasi ojcowie w kraju Egiptu...”. Zaczął czytać dobrze znaną historię w taki sposób, jakby ze-łtknął się z nią pierwszy raz.

Yistorini podniósł kielich do ust. Wino, które przyniósł mu ten Żyd, nie było złe. Nie pamiętał, czy pił już kiedyś koszerne trunki. Pociągnął jeszcze łyk. Wcale niezłe...

Odstawił kielich dopiero wtedy, gdy Żyd sięgnął po bukłak, by ponownie napęlnić szkło. Yistorini zauważył z radością, że bukłak był naprawdę spory, a kielich Żyda, ledwie napoczęty, jarzył się zachęcającym rubinem w promieniach popołudniowe-go słońca. Pomyślał, że powinien załatwić tę sprawę pozytywnie albo chociaż odwlec swoją decyzję, bo inaczej Żyd zaraz sobie pójdzie, zabierając swój bukłak.

- To twoja ksiązka, rabbi? Macie w Ghecie takich więcej, schowanych pod betami?

- Niestety nie. Drugiej takiej nie widziałem. Szczerze mó-wiąc, nie sądzę, by nawet wśród Żydów sefardyjskich przetrwało ich wiele.

- A więc do kogo ona należy?

Juda Arje oczekiwał tego pytania i bał się go. Nie mógł zdradzić dońi de Serena.

- Ona jest... ona jest moja - skłamał. Liczył, że stara już zna-jomość z księdzem-cenzorem, piękno ksiązki, a także zacny tru-nek zmniejszą podejrzliwość funkcjonariusza Świętego Oficjum.

- Twoja? - spytał Yistorini z uniesioną w niedowierzaniu brwią.

- Mam ją od pewnego handlarza... z Apulii. Ksiądz się roześmiał.

- Coś takiego... przecież zawsze się uskarżasz na swoje ubó-stwo... A stać cię na taki piękny kodeks?

Juda wpadł w popłoch. Mógł powiedzieć, że dostał haga-dę w podzięce za swoją religijną posługę, ale coś takiego było mało prawdopodobne. Bo i za co mógłby otrzymać równie cenny przedmiot? Wciąż myślał o swoim grzechu, więc niemal machi-nalnie rzucił:

- Ja ją... wygrałem. Wygrałem ksiązkę od kupca...

- Judo Arje! Zdziwiasz mnie. A w cóż to graliście o tak wy-soką stawkę? Rabbi oblał się rumieńcem. Rozmowa dryfowała w niebez-piecznym kierunku.

- Graliśmy... w szachy.

- Szachy? To raczej mało hazardowa gra...

- To zależy... Kupiec miał wysokie, zbyt wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach. Więc postanowił ze mną zagrać o tę książkę, choć prawdę mówiąc jedynie niezwykle zbieg okoliczności mógł mu zapewnić zwycięstwo. A więc w tym akurat wypadku chodziło o hazard, przynajmniej dla niego.

Ksiądz się roześmiał, tym razem szczerze.

- Słowa... - jak zgrabnie nimi obracasz. Wiem, że twój lud mocny jest w gębie. Trudno was przegadać. Kiedy nie widzę cię przez dłuższy czas, zapominam, jak biegły jesteś w słownej szermierce...

Yistorini pociągnął z kielicha słuszny łyk. Był coraz lepiej usposobiony do rabina. Czemu właściwie tak się zirytował podczas poprzedniego spotkania? O co poszło? Nie mógł sobie przypomnieć. Naprawdę szkoda, że będzie musiał swojego znajomego rozczarować.

- Osobiście cieszę się, że zyskałeś książkę w taki właśnie, dość lekki sposób. Bo, jak powiadają, z tym, co lekko przyszło, lekko się też pożegnać.

Juda Arje wyprostował się na krześle jak struna.

- Chcesz powiedzieć... To niemożliwe... Chcesz powiedzieć, że jej nie zwolnisz?

Ksiądz wyciągnął się nad stołem i położył dłoń na ramieniu Judy. Był to niezwykle gest, bo zwykle nie dotykał Żydów z własnej woli.

- Przykro mi, ale muszę potwierdzić, że właśnie tak. Rabbi zachnął się, strącając dłoń księdza, i zerwał się od stołu. Widać było, że dał się ponieść złości i zaskoczeniu.

- Ale na jakiej podstawie? Przeczytałem tę książkę od deski do deski, strona po stronie. Każdy psalm, każdą modlitwę, każdą pieśń. Nie znalazłem niczego, co byłoby sprzeczne z Indekssem.

- Owszem. Masz rację, rabbi. Ale tylko częściową. W tekście nie ma rzeczywiście nic zdrożnego - przyznał Yistorini głosem cichym i łagodnym.

- O cóż więc chodzi?

- Moje zastrzeżenia nie dotyczą tekstu. Tam, jak słusznie zauważyłeś, nie ma ani słowa, które byłoby wymierzone w Kościół... - Yistorini zamilkł na chwilę. - Ale... ale ciężka herezja kryje się, przykro mi to powiedzieć, w tych pięknych obrazkach.

Juda ukrył twarz w dłoniach. Nawet nie przyszło mu do głowy przyjrzeć się dokładniej miniaturom. Bardzo mu się podobały, to fakt, ale nie zastanawiał się dokładniej nad szczegółami. Znow siadł ciężko na

rzeźbionym krześle przy księżowskim stole.

- A w których dokładnie? - zapytał, a właściwie wyszeptał.

- Obawiam się, że chodzi o kilka - odparł Yistorini.

Sięgnął po kodeks, trąciwszy przy okazji kielich. Juda błyskawicznie wyciągnął rękę i w ostatniej chwili złapał naczynie. Potem, w daremnej, jak się wydawało, próbie udobruchania księ-dza, sięgnął szybko po bukłak i napełnił kielich Yistoriniego po sam brzeg.

- Nie trzeba długo szukać... - powiedział ksiądz, otwierając książkę na pierwszych miniaturach.

- Widzisz, rabbi? Artysta pokazuje historię Stworzenia. Od-dzielenie światła od ciemności. Bardzo to ładnie przedstawione, ostry kontrast między czernią i bielą. Ilustracja jest wyrazista i uczona zarazem. Żadnej herezji. I następna miniatura: „Duch Boży unosił się na powierzchni wód”. Pięknie - świetnie wykorzystany listek złota, symbolizujący niewypowiedzianą słowem obecność Boga. I znów nic heretyckiego. Ale następna miniatura i cztery kolejne... Spójrz, rabbi, sam i powiedz mi, co widzisz...

Juda Arje przyjrzał się ilustracjom i nagle go oświeciło. Jak mógł nie zauważyć? Ziemia, na której Wszechmogący stworzył rośliny i zwierzęta, na każdej z miniatur wyobrażona była jako kula. Nie była płaska, jak twierdziło wielu teologów. Ciekawe, że nieznanemu artyście namalował swoje miniatury przed stuleciem, gdy za podobne pomysły można było trafić na stos. Ale teraz ob-raz ziemi jako kuli nie skazywał jeszcze książki na potępienie. Niestety, malarz posunął się dalej: w górnym prawym rogu trzech miniatur umieścił jeszcze jedną tarczę złoconą, mającą bez wą-tpienia wyobrażać słońce. W sumie dawało to mocno podejrzany obraz świata.

Juda spojrzał na Yistoriniego.

- Myślisz, księże, że to sugeruje herezję heliocentryczną?

- Sugeruje? Rabbi, nie udawaj głupca, proszę. To jest otwarte opowiedzenie się za astronomami saraceńskimi, za Kopernikiem, którego dzieło jest na Indeksie, i padewczykiem Galileo, który niedługo stanie przed sądem Inkwizycji, by odpowiedzieć za swoje błędy*.

- Przecież te obrazki nie muszą być wcale odczytywane w taki sposób. Okręgi lub tarcze mogą mieć funkcję czysto dekoracyjną. Chyba że się w nich szuka jakichś ukrytych znaczeń...

- Autorka nagina tu nieco chronologię wydarzeń. Dzieło Kopernika O obrotach ciał niebieskich znalazło się na Indeksie ksiąg zakazanych do-piero w 1616 roku, zaraz po pierwszym procesie Galileusza.

Publikacja, konfiskata i zakaz upowszechniania Galileuszewego Dialogu o dwóch najważniejszych układach świata... nastąpiły dopiero w 1632 roku - przyp. tłum.

- Szukanie takich znaczeń to mój zawód - zauważył cierpko Yistorini i opróżnił kielich. Juda Arje nappełnił go zaraz ponownie. - I właśnie za sprawą Galileusza Kościół jest ostatnio bardzo czuły na tym punkcie.

- Don Yistorini, błagam cię... przez wzgląd na lata naszej znajomości proszę: oszczędź tę książkę. Wiem, że jesteś człowiekiem wykształconym, czułym na piękno... Spójrz, jaka jest wspólna...

- I tym bardziej należy ją spalić. Jej piękno mogłoby uwieść jakiegoś prostodusznego chrześcijanina i skłonić go do przyjęcia waszej godnej potępienia wiary...

Yistorini miał teraz doskonały humor. Rabin zdany był całkowicie na jego łaskę i niełaskę. Juda mówił niemal z płaczem. To skądinąd dziwne, bo ksiądz Domenico nigdy jeszcze nie widział, by aż tak bardzo zależało mu na jakiejś książce. Postanowił nagle, że mógłby sobie przedłużyć to przyjemne popołudnie. Wyciągnął rękę z pustym kielichem, jakby chciał przyjrzeć się szklanemu naczyniu.

- Chyba że... ale nie, nie powinienem występować z takimi pomysłami...

- Ojczy, proszę cię... - Juda Arje wychylił się ku księdzu. W oczach zajaśniały mu iskierki nadziei. Szybko podniósł bukłak i nappełnił kielich.

- Cóż, mógłbym ocenzurować książkę, usunąć tylko niektóre stronic... - Pociągnął palcem po welinowym pergaminie. - Choćdziłoby o jakieś cztery strony z ilustracjami. To niezbyt wiele, a zostałyby wszystkie najważniejsze obrazki dotyczące wyjścia z Egiptu. Ostatecznie to hagada, a więc opowieść o Exodusie...

- Cztery strony... - Juda wyobraził sobie ostrze rozcinające welin. Poczł ból w piersi, jakby nóż wbijał się w jego własne ciało.

- Mam zatem pewien pomysł - odezwał się Yistorini. - Powiedziałaś, że zdobyłaś książkę drogą hazardu, więc może sprawimy, że o jej przyszłości znów zadecyduje los? Jeśli wygrasz, usunę tylko cztery strony i ocalę książkę. Jeśli zaś przegrasz, cała hagada pójdzie z dymem.

- O jakiej grze myślisz? - wyszeptał Juda.

- Czy ja wiem... - Yistorini rozsiadł się wygodnie na krześle i pociągnął wina z kielicha. - Szachy raczej nie wchodzą w grę. Miałbyś wyraźną przewagę... Ograłbyś mnie niemiłosiernie jak tamtego handlarza... skąd on był?

- Z Apulii - przypomniał Juda.

- No właśnie, z Apulii. Nie mam chęci podzielić losu tego nieszczęśnika.

Karty... nie mam żadnych kart, kości też nie... O, już wiem! Zdajmy się na los, ale z myślą o tym konkretnym przypadku. Zapiszę słowa parafy cenzorskiej - Revisto per mi -na oddzielnych skrawkach pergaminu. Pomieszam je, a ty, rabbi, będziesz je wyciągał po kolei, ale na oślep. Jeśli dane słowo okaże się zgodne z porządkiem całej formuły, zapiszę je na książce. Jeśli nie, parafa nie zostanie przeze mnie skończona. Ty przegrasz, a książka trafi na stos.

- Ale to za trudne, będę miał zbyt małe szansę...

- Za trudne, powiadasz? Umówmy się zatem tak: jeśli prawidłowo wylosujesz pierwsze słowo, nie będzie ono uczestniczyło w drugim ciągnięciu. To chyba uczciwe rozwiązanie?

Juda Arje patrzył, jak ksiądz wypisuje słowa upragnionej parafy na skrawkach pergaminu i wrzuca do pustej szkatułki stojącej na stole. Serce podskoczyło mu w piersi, gdy zauważył coś, czego nie dostrzegł Yistorini, dobrze już pijany. Jeden ze skrawków pochodził z innego pergaminu niż dwa pozostałe, był nieco grubszy. Yistorini napisał na nim środkowe słowo per. Dzięki Bogu! - pomyślał Juda i pomodlił się, by Pan pokierował jego dłonią, gdy sięgnie do szkatułki. Bez trudu wyczuł kawałek grubszego pergaminu i odsunął na bok. Teraz jego szansę wynosiły jeden do jednego. W końcu się zdecydował. Wybrał skrawek i podał Yistoriniemu. Ksiądz nie zdradził wyrazem twarzy, czy wybór był słuszny. Odłożył pergamin na stół niezapisaną stroną do góry. Potem sięgnął po książkę i otworzył na ostatniej stronie hebrajskiego tekstu. Zanurzył pióro w kałamarzu i swoim pięknym charakterem pisma skreślił słowo revisto.

Juda Arje próbował nie okazywać radości. Książka była ocalała. Musiał jeszcze tylko odnaleźć grubszy kawałek pergaminu i gra zostanie zakończona. Sięgnął znów do szkatułki, dziękując w myślach Bogu.

Wręczył grubszy skrawek księdzu. Tym razem Yistorini nie zachował kamiennej twarzy. Usta wygiął w podkówkę. Z wyraźną złością dopisał dwa kolejne słowa: per mi. Potem spojrzał na promieniującą radością twarz Judy.

- No tak, wygrałeś. Ale parafa bez mojego podpisu i daty jest nic niewarta.

- Przecież się umówiliśmy! Dałeś mi, ojcze, słowo...

-Jak śmiesz! -Yistorini zerwał się gwałtownie, trącąc ciężki dębowy stół. Wino zakołysało się w kielichu. Był już na tym etapie upojenia, gdy złość góruje nad euforią. - Jak śmiesz domagać się ode mnie, bym dotrzymał słowa? Przyszedłeś do mnie z szytą grubymi nićmi bujdą o rzekomym wygraniu książki w szachy i masz jeszcze czelność żądać, bym potraktował cię poważnie, mało - bym potraktował cię specjalnie, bo

sugerujesz, że jesteŝmy przyjaciółmi. Dlatego liczysz na moją wspaniałomyślność. Skandal! Byłoby lepiej, gdyby statek, który przywiózł tu twoich pobratymców z Hiszpanii, nie dobił nigdy do suchego lądu. Wenecja daje wam bezpieczne schronienie, a wy nie potraficie się nawet trzymać tych paru reguł, jakich się od was wymaga. Piękne podziękowanie za goŝcinę. Nie ma co! Zakładacie sobie drukarnie wbrew prawu i rozpowszechniacie plugawe paszkwile na naszego Zbawiciela. A tobie, Judo Arje, Bóg dał inteligencję i wykształcenie nie po to, byś z zatwardziałym sercem odwracał się od Jego prawdy i łaski. Wynoś się! I powiedz prawdziwemu właścicielowi, że przegrałeś książkę w hazardowej grze. Tym sposobem nie będzie może zbyt rozpaczał, że wszystkie listki złota i srebra stopnieją w ogniu. Bo wy, Żydzi, kochacie swoje złoto. Wiem o tym dobrze!

- Domenico, błagam... zrobię, co zechcesz - wybełkotał rabbi urywanym głosem. Nie mógł złapać tchu.

- Wynoś się! Natychmiast! Bo i ciebie oskarżę o szerzenie herezji. Chcesz spędzić dziesięć lat na galerach, z nogami w kajdanach? A może wolisz ciemną celę pod ołowianym dachem? Wynoś się!

Juda padł na kolana i ucałował brzeg sutanny Yistoriniego.

- Zrób ze mną, co zechcesz, ale oszczędź książkę!

Ksiądz odepchnął go ze złością. Judo podniósł się z trudem i chwiejnym krokiem opuścił plebanię. Łkał i targał brodę, jakby był w żałobie.

Wszyscy przechodnie oglądali się za nim, myśląc, że oszalał. Czuł ich spojrzenia, ich niechęć. Zaczął biec. Nagle krew buchnęła z jego pękniętego serca. Pięciami uderzył się w pierś. Było to uderzenie śmiertelne.

Do czasu gdy nad ranem zjawił się służący z łuczywem, Yistorini zdążył już osuszyć bukłak koszernego wina. W pierwszej chwili wydawało mu się, że Judo Arje wraca, by znów skamlać o łaskę. Burknął więc coś opryskliwie. Dopiero po chwili poznał swego służącego i skinął, że dobrze, niech zapali ŝwiece na stole.

Gdy chłopak wyszedł, Yistorini przesunął hagadę w krąg ŝwiatła. I usłyszał wewnętrzny głos - głos, na którego słuchanie zwykle sobie nie pozwalał. Ale czasami w nocy, w snach albo kiedy wypił za duŝo...

Ten głos, ciemny pokój, palący wstyd, dojmujący strach. We wnęce na prawo od schodów figura Madonny. Ręka dziecka prowadzona przez inną, większą dłoń w taki sposób, by małe paluszki dotknęły wygładzonego drewna czubka Jej stopy. „Musisz tak robić. Zawsze.

Pamiętaj". A potem chmury piasku niesionego przez wiatr w opuszczonym

mieście. I te głosy: arabskie, berbe-ryjskie, w ladino? Nie mógł ich rozróżnić. I jeszcze jeden głos, mówiący w zabronionym języku. „Dajenu” - krzyknął. „Dosyc!”

Przeciagnął rozczapierzoną dłonią po siwiejących włosach, jakby chciał wyczesać z głowy wspomnienia i odrzucić je precz. Znał teraz, a może znał od zawsze prawdę o przeszłości, o której nie wolno mu było myśleć ani nawet śnić. Ujrzał znów rozbitą stopę Madonny i zwitek pergaminu, który z niej wypadł. Krzyknął przerażony. Coś go trzymało, próbował się wyrwać, ale przez łzy zobaczył to, co wtedy: hebrajskie słowa „Kochaj twego Pana, twego Boga całym sercem”. Ukryta mezusa. Widział potem te słowa zdeptane butami człowieka, który przyszedł aresztować jego rodziców i posłać ich na śmierć jako kryptożydów.

Była tam też nagada. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ukryta w sekretnej izbie, dokąd chodzili, by porozmawiać w zakazanym języku. Twarz matki, gdy zapalała świece... Twarz zryta zmarszczkami, surowa. Ale jej oczy były tak dobre, gdy na niego patrzyła. Jej głos, gdy wyśpiewywała błogosławieństwa nad świecami... Miękki, łagodny. Prawie szept.

Nie, to nieprawda! Nigdy tak nie było. Naczytał się hebrajskich ksiąg... Zawróciły mu w głowie... To tylko sny. Raczej koszmary. W każdym razie nie wspomnienia. Zaczął się modlić po łacinie, by przegnać głosy. Sięgnął po kielich. Ręka mu drżała. Trochę wina rozlało się na pergamin, ale on nawet nie zauważył.

- Credo in unum Deum... - uniósł kielich do ust i osuszył go do ostatniej kropli. - Et in unum Dominum Iesum Christum, Filium Dei unigenitum... Genitum, non factum... Et unam sanctam catholicam et apostolicam Ecclesiam... Confiteor unum baptismum in remissionem peccatorum... Policzki miał mokre od łez.

- Giovanni Domenico Yistorini. To ja! Giovanni. Domenico. Yistorini... Mruczał wciąż swoje nazwisko. Raz za razem. Na okrągło. Sięgnął znów po kielich. Pusty. Ręka zacisnęła się na delikatnym weneckim szkłe, które pękło, raniąc go w kciuk. Prawie tego nie poczuł, choć krew pociekła mu z palca, mieszając się z plamami wina, które już zdążyły niemal zaschnąć na pergaminie.

Zamknął hagadę gwałtownie, rozmazując świeże plamy. Spal ją, księżo Yistorini. Spal ją od razu. Nie czekaj na auto-da-fś. Przystąpię do ołtarza Bożego, ja, Giovanni Domenico Yistorini. Przystąpię, bo jestem Giovanni Domenico Yistor... Jestem... Kim jestem? Czy jestem Eliahu ha-Cohain? Nie, nigdy!

Nagle w zranionej dłoni znalazło się pióro. Przerzucał strony, aż znalazł to miejsce.

Podpisał się: Giovanni Dom. Yistorini. Tak - właśnie tym człowiekiem jestem w Roku Pańskim 1609.

Odrzucił pióro w kąt pokoju i oparł głowę o stół, a właściwie złożył na okładce hagady. Jego świat wirował jak szalony. A on płakał.

Rozdział 7

Hanna

Boston, wiosna 1996

- Najgorsze jest to - odezwał się Raz, sięgając do koszyka z ciepłymi papadamami - że nigdy się nie dowiemy, co naprawdę tam zaszło.

- No niestety... - odparłam, choć w rzeczywistości myślałam o czymś innym. Z okna restauracji na pierwszym piętrze gapiłam się na Harvard Square. Studenci opatuleni szalikami mijali obojętnie bezdomnych, którzy czyhali na zwykłych szlakach młodzieży uniwersyteckiej. Był środek kwietnia, ale temperatura znów spadła, dzięki czemu w załomach murów trzymały się uparcie resztki brudnego, ciężkiego śniegu. W ciepły wiosenny wieczór Harvard Square mógł się wydawać ośrodkiem wesołej imprezy, pełnym podniecającej energii i szpanu. Ale bywał też najpaskudniejszym miejscem na świecie, lodowatym wygwizdowem, gdzie w szaleńczym wyścigu szczurów dzieciaki marnują swoją młodość, zagryzając się wzajemnie w głupiej pogoni za karierą.

Po chwilowym podnieceniu wywołanym odkryciem plam krwi na hagadzie popadłam w przygnębienie. Hazard mnie męczy, a czułam się tak, jakbym grała w pokera z jakimś duchem mieszkającym wśród stronic tej książki. Czasami udawało mi się rzucić na stół karete, a nawet pokera, i wtedy krnąbrny duch wyjawiał nieco ze swych tajemnic. Ale na ogół wołał: „Sprawdzam!”, po czym okazywało się, że nic nie wskóram: ani kroku dalej.

Rasmus, niepomny mojej skłonności do zmiennych nastrojów, nie tracił rezonu:

- Krew jest potencjalnie bardzo ciekawa... Sugeruje jakiś dramat, a to się dobrze sprzedaje - powiedział, obracając w dłoni kieliszek z pinot.

Żona Rażę, Afsana, spędzała trzy noce w tygodniu w Pro-yidence, bo udało jej się dostać posadę wykładowcy poezji na Brown University.

Dlatego jedliśmy obiad sami i mogliśmy rozmawiać o pracy tak długo,

jak chcieliśmy. Tyle że byliśmy w stanie snuć jedynie domysły, co mnie irytowało.

- Nie wiem, jak możesz pić czerwone wino do indyjskiego jedzenia - powiedziałam, próbując zmienić temat. Pociągnęłam łyk piwa.

- To może być naprawdę fantastyczna historia - ciągnął nie-zrażony Raz. - Wiesz, namiętni Hiszpanie walczący o tę książkę z dobytymi szpadami, sztyletami i tak dalej...

- Bardziej prawdopodobne, że ktoś się skaleczył nożem przy krojeniu paschalnego udźca baraniego - wtrąciłam zrzędliwie.

- Nie ma co szukać zebry!

- Jakiej znów zebry? - zdziwił się Raz.

- Moja matka tak mówi. Jeśli szukasz zwierzęcia, które ma cztery nogi, długi pysk i je siano, zazwyczaj chodzi o konia, a nie o zebkę. Moja matka powtarza to swoim rezydentom, bo młodzi niedoświadczeni lekarze mają skłonność do diagnozowania jakichś rzadkich syndromów nawet wtedy, gdy objawy są całkiem zwyczajne.

- Dobra, dobra. Zebry są z pewnością rzadsze, ale za to bardziej interesujące - obruszył się Razmus i nalał sobie wina. Cóż, ta ha-gada nie była jego sprawą, nie czuł mojej frustracji. - Możesz, jak sądzę, zrobić test DNA. W ten sposób dowiesz się czegoś o pochodzeniu etnicznym człowieka, którego krew poplamiała pergamin.

- Niby można, ale nie w tym przypadku. Trzeba by uszkodzić pergamin, żeby uzyskać wystarczająco dużą próbkę. Nawet jeśli poprosiłabym o zgodę na coś takiego - czego i tak nie zrobię

- wątpię, bym ją dostała.

Odłamałam kawałek papadama - cienkiego chrupiącego plac-ka, podobnego trochę do macy. Do macy, którą trzymała tajemnicza czarnoskóra kobieta na ilustracji w hagadzie sarajewskiej. To kolejna tajemnica, której nie będę w stanie rozwikłać.

Raz nie przestawał dowcipkować:

- Byłoby najlepiej, gdybyś wsiadła do wehikułu czasu i zobaczyła na własne oczy, co się wtedy stało.

- Cha, cha... Bardzo śmieszne. Założę się, że usłyszałabym żonę wołającą na męża: „Spójrz, niezdaro, co zrobiłeś z naszą książką!”.

Raz wyszczerzył zęby, pokonany w końcu przez mój zły humor. On zawsze miał romantyczne ciągotki. Pewnie dlatego go pociągały go wraki statków. Tak myślę. Zjawił się kelner z garnuszkiem windalu. Skropiłam ryż piekielnie ostrym sosem, wzięłam do ust pełen widelec - i w oczach zakręciły mi się łzy. Uwielbiam to żarcie. W moich harwardzkich czasach

żyłam nim na okrągło. Ogień w ustach sprawił, że poczułam się jak u siebie w Sydney, w mojej ulubionej malajskiej restauracji. Jedzenie potrafi człowieka podnieść na duchu. Po kilku kęsach poczułam się lepiej.

- Masz rację, to by było rzeczywiście coś: znaleźć się w czaśach, gdy ta hagada była książką rodzinną, gdy służyła podczas sederowej wieczerzy, a nie leżała na wystawie, zamknięta w gablocie...

- Bo ja wiem... - rzucił Raz bez entuzjazmu. Odniósł się do windalu podejrzliwie. Wziął sobie tylko łyżkę, a resztę talerza wypełnił dałem. - W muzeum książka będzie nadal pełnić funkcję, do której została stworzona. Sporządzono ją z myślą o nauczaniu - i wciąż do tego służy. I ma nam do przekazania znacznie więcej niż samą tylko historię Exodusu.

- Co masz na myśli?

- No cóż, z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że wielokrotnie przechodziła przez takie same w gruncie rzeczy ludzkie katastrofy - i przetrwała. No bo pomyśl: na początku jest społeczeństwo, gdzie ludzie tolerują odmienność, jak w Hiszpanii z okresu convivencii. Wszyscy żyją po swojemu, ale w zgodzie. Społeczeństwo jest więc twórcze i zamożne. Potem jednak zjawiają się strach, nienawiść, demonizowanie obcych - no i kwitnące społeczeństwo rozpada się, degeneruje. Inkwizycja, nazizm, skrajny serbski nacjonalizm - niby różne zjawiska, ale ich natura jest w gruncie rzeczy identyczna i bardzo stara. A hagada była świadkiem wszystkich tych nieszczęść i upadków ludzkości.

- Proszę, proszę... Specjalista od chemii organicznej, a taki filozof! - Nigdy nie potrafiłam się powstrzymać od podobnych docinków.

Raz łypnął na mnie groźnym okiem, a potem wybuchnął śmiechem.

Wreszcie zapytał, o czym będę mówiła w Tatę. Wyjaśniłam, że wygłoszę referat o fizycznych właściwościach manuskryptów tureckich, które z racji dużych formatów łatwo się niszczą podczas czytania i przechowywania, a zadziwiająco mało konserwatorów wie, jak sobie z tym poradzić. Potem rozmowa zeszła na mojego nadzianego klienta oraz na wady i zalety wyzbywania się przez uczelnie cennych zabytków. Laboratorium Rażę wykonywało wszystkie ważne prace związane z zasobami muzealnymi Harvardu, dlatego miał jasno sprecyzowane poglądy na ten temat.

- Zupełnie inaczej jest, gdy manuskrypt spoczywa w bibliotece uniwersyteckiej, gdzie udostępnia się go naukowcom, a inaczej, gdy trafia w prywatne ręce i leży zamknięty w jakimś podziemnym skarbcu!

- Owszem - zgodziłam się. - Ale żebyś widział, jaki skarbiec ma w domu mój klient...

Facet mieszkał w jednej z tych olbrzymich starych rezydencji przy Brattle Street. Urządził tam w głębokich piwnicach skarbiec wypełniony prawdziwymi cudami. Razmus na co dzień miał kontakt z fantastycznymi dziełami, więc niełatwo go było zadziwić, ale i on zrobił wielkie oczy, gdy opowiedziałam - w ścisłej, ma się rozumieć, tajemnicy - o paru skarbach, które udało się zdobyć mojemu multimilionerowi.

Zaczęliśmy potem rozmawiać ogólnie o obyczajach muzealnych, by przejść ostatecznie do bardziej pikantnych spraw - miłości między regałami, czyli życia seksualnego bibliotekarzy. Przegadaliśmy o tym niemal całą resztę wieczoru. Kiedy w pewnej chwili zaczęłam się bawić solniczką, coś mi się przypomniało. W całym zamieszaniu ze śladami krwi nie przyjrzeliliśmy się kryształkom soli, które zebrałam z pergaminu. Powiedziałam Razowi, że jutro znów będę mu zawracała głowę, bo chcę sprawdzić, co o tych kryształkach powie komputerowa spektrometria.

- Nie ma sprawy - zgodził się od razu. - Jesteś u nas mile widziana.

Zawsze. Wiesz, że najchętniej zatrzymałbym cię w Strausie na stałe. Jest tu mnóstwo roboty akurat dla ciebie. Wystarczy po nią sięgnąć...

- Dzięki, stary, pochlebiasz mi, ale teraz muszę wracać do Sydney.

Myślę, że nasze beztroskie plotkowanie doprowadziło w jakiś sposób do tego, co się stało później. Wychodziliśmy już z restauracji, kiedy Raz położył mi rękę na biodrze. Odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w twarz.

- Raz, o co ci chodzi?

- Afsany tu nie ma - odparł - więc przypomniały mi się stare dobre czasy... Zerknęłam na jego dłoń. Ujęłam ją w dwa palce jak zdechłego zwierzaka i usunęłam ze swojego ciała.

- Raz, bo będę cię musiała przechrzcić...

-Jak?

- Będę cię nazywać nie Raz, tylko Rat!

- Daj spokój, Hanna. Od kiedy jesteś taka cnotliwa?

- Chyba już od dwóch lat. Od twojego ślubu.

- Wiesz, ja nie oczekuję po Afsanie, że będzie żyła w Providence jak mniszka, otoczona tymi jurnymi studenciakami wpa-trzonymi w nią jak w obrazek... Więc nie rozumiem...

Zakryłam uszy.

- Oszczędź mi, proszę, szczegółów waszej małżeńskiej umowy.

Odwróciłam się na pięcie i zbiegłam po schodach. Może rzeczywiście jestem pruderyjna, przynajmniej w pewnych sytuacjach. Ale cenię lojalność. Można robić co się chce, gdy jest się singlem - żyj i daj żyć

innym. Ale po co się bawić w małżeństwo, jeśli się go nie traktuje poważnie.

Po drodze do hotelu przeszliśmy parę przecznic w nie-zręcznym milczeniu i rozstaliśmy się, życząc sobie dobrej nocy. W pokoju poczułam się marnie - trochę poniżona i przygnębiona. Gdybym znalazła kogoś i pokochała dość mocno, by za niego wyjść, nie traktowałabym tych spraw tak lekko jak Raz.

W nocy przyśnił mi się Ozren. Byliśmy na parterze jego domu, w Słodkim Kąciku, tyle że stał tam piekarnik DeLonghi z mojego mieszkania w Bondi. Piekliśmy muffiny. Kiedy wyciągałam blachę, podszedł do mnie i pomógł mi, ale tak, że nasze ręce się zetknęły. Muffiny były doskonale wyrośnięte, gorące i pachnące. Same wyskakiwały z foremek. Ozren wziął jedną bułeczkę i podał mi do ust. Smakowała jakoś tak kremowo, delikatnie i intensywnie zarazem.

Czasami muffiny to tylko muffiny. Ale nie w snach.

Ze snu wyrwał mnie uparty dzwonek telefonu. Pomyślałam, że to recepcjonistka, u której zamawiałam budzenie. Obróciłam się na bok, podniosłam słuchawkę i odłożyłam z powrotem na widełki. Ale dwie minuty później telefon zadzwonił ponownie. Tym razem usiadłam na łóżku i zauważyłam, że na elektronicznym zegarze ściennym była druga trzydzieści. Co jest, do cholery?

- Słucham - burknęłam do słuchawki.

- Doktor Heath?

- Nooo...

- Tu doktor Max Friosole. Dzwonię z Mount Auburn Hospi-tal. Mamy tu doktor Sarę Heath...

Każdy inny człowiek pod słońcem zerwałby się po takim wstępie na nogi i wpadł w panikę. Ale ja wciąż nie obudziłam się do końca i wiadomość, że moja matka była w nocy w szpitalu, wydała mi się całkiem normalna.

- No i co z tego? - ziewnęłam.

- Jest ranna... Czy pani jest jej krewną? Nagle otrzeźwiałam. Zaczęłam po omacku szukać przełączni-ka światła. Wreszcie znalazłam.

- Co się stało? - wychrypiałam takim głosem, jakbym połknęła szczotkę do podłogi.

- Wypadek. Badanie na miejscu wskazuje na obrażenia płuc...

- Chwileczkę, niech się pan wyraża jaśniej!

- Myślałem, że pani, doktor Heath...

- Nie jestem doktorem medycyny. To moja matka jest leka-rzem.

- Aha, to przepraszam. No więc miała wypadek samocho-do-wy...

Pomyślałam najpierw o jej rękach. Bardzo dbała o ręce.

- A gdzie teraz jest? Mogę ją zobaczyć?

- No właśnie, myślę, że powinna pani tu przyjechać. Ona jest... to znaczy: nie bardzo chce współpracować. Podpisała oświadczenie, że nie życzy sobie pomocy lekarskiej, ale zaraz potem zemdląca. Ma pękniętą śledzionę, masywne hemoperitoneum, krwotok brzuszny... Właśnie przygotowujemy ją do operacji... Kiedy zjawiłam się roztrzęsiona w szpitalu, matkę przewieziono już na blok operacyjny. Doktor Frioso okazał się młodszym rezydentem z posępnym spojrzeniem podkrążonych z niewyspania oczu i poszarzałą cerą. Przez ten krótki czas, kiedy ja narzuciwszy coś na siebie złapałam taksówkę i przyjechałam do szpitala, musiał sobie poradzić z czyjąś raną postrzałową i atakiem serca, więc nie bardzo mógł sobie przypomnieć, kim jestem i po co przyjechałam. W końcu zajrzał do karty informacyjnej i powiedział, że matka była pasażerem samochodu prowadzonego przez osiemdziesięcioletnią kobietę. Auto uderzyło w barierkę przy Storow Drive. W wypadku nie uczestniczył żaden inny pojazd.

- Pani matka już złożyła zeznania, na miejscu wypadku.

- Jak to? Policja przesłuchuje ciężko rannych ludzi?

- Była wtedy przytomna. Robiła nawet sztuczne oddychanie drugiej ofierze... - Zajrzał znów do karty. - Pokłóciła się z ratownikiem, bo chciała intubować tę kobietę na miejscu, jeszcze przed przewiezieniem jej na oddział ratunkowy.

- A ta starsza pani... zna pan jej nazwisko?

- Zaraz... już mam: Delila Sharansky.

Nic mi to nie mówiło. Siadłam na twardym plastikowym krześle w kolorze jaskra. Wyglądało prawie nieprzyzwoicie na tle szaroburego szpitalnego wnętrza. Nie mogłam już nic zrobić. Pozostało jedynie czekać.

Kiedy ją zobaczyłam po operacji, wyglądała wprost strasznie. Na ramieniu miała wielkie krwawe wybroczyny, jeden policzek był cały pokaleczony i opuchnięty. Musiała nim uderzyć w bok karoserii. Była odurzona, ale poznała mnie od razu i zmusiła się nawet do krzywego uśmiechu.

Niewykluczone, że zdobyła się na najszczerzy uśmiech, jakim mnie kiedykolwiek obdarzyła. Dotknęłam jej mniej zmasakrowanej ręki.

- Widzę, że chirurg Heath nie składa broni - powiedziałam. Jęknęła słabo.

- Owszem, ale lekarze z tego szpitala niewiele mogą, nawet nie są w stanie zwalczyć infekcji... - Głos jej się załamał i wielka łza spłynęła po opuchniętym policzku. Nigdy, od trzydziestu lat nie widziałam mamy płaczącej. Uniosłam jej dłoń i pocałowałam. Też zaczęłam płakać.

Pozwolili mi zostać przy jej łóżku. Po kwadransie środki znieczulające znów odebrały jej świadomość. I dobrze, bo niepotrzebnie się denerwowałam. Nie mogłam zasnąć na tym cholernym szpitalnym fotelu, więc zaczęłam spacerować czekając, aż niebo pojaśnieje, i nasłuchując, jak zbiera się personel rannej zmiany i przygotowuje do kolejnych operacji. Ułożyłam sobie w myślach listę wszystkich rzeczy, które powinnam teraz zrobić. Najpierw trzeba zatelefonować do Tatę i odwołać wykład. Potem zadzwonić do sekretarki mamy, Janinę, żeby przekładała terminy spotkań, które mama miała umówione po powrocie do Sydney. Następnie na policję - żeby sprawdzić, czy mają jakieś wątpliwości natury prawnej. W Sydney będą to chcieli wiedzieć.

Na koniec byłam już tak nabuzowana chęcią działania, że poszłam szukać telefonu. W Londynie wciąż były godziny pracy, a w Sydney środek nocy, ale ktoś przecież musiał czuwać w dyżurce. Gdy wróciłam do pokoju mamy, nie spała. Musiała się czuć lepiej, bo odzyskała swój stary głos doktor Heath, ordynatora neurochirurgii. Ochrzaniała pielęgniarkę zakładającą jej cewnik.

- Myślałam, że sobie poszłaś - powiedziała do mnie.

- O, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo - zażartowałam nieźręcznie. - Zadzwoniłam do Janinę, żeby, no wiesz, powiadomić ją o wypadku. Jak się teraz czujesz?

- Do dupy. - Mama nigdy nie przeklinała. Czasami tylko wymykało jej się to słowo na cztery litery. Powszechnie i nader soczyste przekleństwa zwyczajnych Australijczyków były poniżej jej godności.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Załatw mi kompetentną pielęgniarkę.

Posłałam pielęgniarkę przy łóżku spojrzenie mające wyrazić moje ubolewanie z powodu nieuprzejmości matki, ale chyba niepotrzebnie, bo kobieta wzruszyła tylko ramionami i uniosła oczy do nieba. Szorstkość wobec pielęgniarek była typowa dla mamy, choć trzeba przyznać, że starała się z nią walczyć. Z powodzeniem zresztą, bo pielęgniarki z jej szpitala uwielbiały doktor Heath. Jedna z nich, która poszła na studia i została internistką, podsłuchiwała kiedyś przypadkiem naszą kłótnię w gabinecie. Byłam wtedy w wyjątkowo złym humorze, cięta jak osa. Chwilę później ta kobieta wzięła mnie na stronę i powiedziała, że chyba nie znam dobrze swojej mamy, skoro wygaduję takie straszne rzeczy. Podobno mama była jedynym chirurgiem naprawdę zachęcającym pielęgniarki do zadawania pytań i w ogóle podnoszenia kwalifikacji. „Większość chirurgów udaje, że nie słyszy pytań; traktują człowieka jak

powietrze. Z twoją mamą jest inaczej. Napisała mi rekomendację na studia wieczorowe i załatwiła wszystko co trzeba". Pamiętam, że potraktowałam tę internistkę dość cierpko, by nie powiedzieć grubiańsko. Powiedziałam jej, żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy czy coś takiego. Ale gdzieś w środku poczułam dumę. Niestety to, co wywoływało zachwyty w środowisku szpitalnym, dla mnie było źródłem utrapienia. Bo jeśli chodzi o medycynę, mama była wzorem wszelkich cnót, prawdziwą misjonarką. Tyle że ja rosłam przy niej na odszczenieca.

Kiedy zostałyśmy same, mama skinęła na mnie lekko.

- Wiesz, rzeczywiście możesz dla mnie coś zrobić... Weź długopis i zanotuj adres...

Zapisałam posłusznie nazwę jakiejś alei w Brookline.

- Chcę, żebyś tam pojechała...

- A po co?

- To jest dom Delili Sharansky. Wieczorem zasiądą tam, by odprawiać sziwę*... Wiesz, taki żydowski rytuał żałobny...

- Wiem, mamó, co to jest sziwa - przerwałam jej z niepożądanym rozdrażnieniem. - Studiowałam przecież biblijną hebrajszczyznę...

Właściwie zdziwiło mnie, skąd mama to wie. Zawsze ją podejrzewałam, że w głębi duszy była trochę antysemitką. Owszem, gdy chodziło o pacjentów, żadne uprzedzenia rasowe nie miały dla niej znaczenia. Ale kiedy oglądała wiadomości telewizyjne, rzucała nieraz epitety w rodzaju „te leniwe czarnuchy” albo „krwiożercze arabusy”. Na praktykę do swojej kliniki przyjmowała wielu zdolnych Żydów, ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zaprosiła kogoś z nich na kolację u nas w domu.

- Po co mam jechać do Sharanskich? Przecież oni mnie nie znają. Na pewno nie będą chcieli widzieć obcych w takich okolicznościach...

- Będą chcieli... - Poruszyła się na łóżku, krzywiąc twarz z bólem.

- A to czemu? Kim w ogóle była Delila Sharansky? Mama wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy.

- Wszystko i tak wyjdzie na jaw w śledztwie po tym cholernym wypadku...

- O czym ty właściwie mówisz? Otworzyła oczy i spojrzała wprost na mnie.

- Delila Sharansky była twoją babcią...

Stałam na schodach wysokiej kamienicy z czerwonej cegły. Tkwiłam tam przez dłuższą chwilę, nie mogąc się zdecydować, by zadzwonić do drzwi. To było w mojej ulubionej peryferyjnej części Brookline, tuż obok Alston,

gdzie budki z burritos ustępowały miejsca koszernym spożywczakom, a studenteria mieszała się z ortodoksyjnym żydostwem.

- Sziwa, hebr. „siedem” - pierwsze siedem dni ścisłej żałoby po pogrzebie bliskiego krewnego (przyp. tłum.).

Bardzo możliwe, że w ogóle nie odważyłabym się zadzwonić, ale na schodach pojawiła się kolejna grupa żałobników i zagarnęła mnie do środka. Za drzwiami przekrzykiwało się kilkanaście zupełnie nieznanymi mi osobom. Ktoś wręczył mi lufę wódki. Nie wiem dlaczego, ale inaczej wyobrażałam sobie sziwę. Widocznie tak przejawiała się ta bardziej rosyjska część duszy rosyjskich Żydów.

Wnętrze też nie wyglądało tak, jak można by się spodziewać po zwyczajnym mieszkaniu należącym do osiemdziesięcioletniej staruszki. Cała przestrzeń była otwarta i bardzo jasna dzięki białym ścianom i świetlnym panelom. Do tego krzesła w stylu Mięsa i reszta umeblowania w duchu Bauhausu.

Na jednej ze ścian w głębi wisiał wielki obraz. Kompozycje tego rodzaju zapierają widzowi dech w piersiach. Cudowny przestwór ognistego australijskiego nieba ograniczony jedynie od dołu wąskim pasem czerwonego pustynnego horyzontu, ledwie zasugerowanego paroma pociągnięciami pędzla. Takie proste, a takie mocne. Był to jeden z tych obrazów, który wyrobił swemu twórcy nazwisko we wczesnych latach sześćdziesiątych. W różnych poważnych muzeach jest wiele podobnych dzieł, które wydają się niemal synonimem australijskiej sztuki. Ale ten należał niewątpliwie do najlepszych; właściwie był najlepszy ze wszystkich, jakie dotąd widziałam. Mieliśmy podobny w naszym - to znaczy mamy i moim - domu w Bellevue Hill. Niewiele się zastanawiałam nad jego pochodzeniem. Przecież mama zdobyła parę wybitnych obrazów: Brett Whiteleya, Sidneya Nolana, Arthura Boyda. Same szychy z dużymi nazwiskami. Więc mógł być wśród nich także Aaron Sharansky. Czemu nie? Tego poranka rozmawiałam z mamą przez chwilę, ale szybko zauważyłam, że jest zmęczona. Poprosiłam pielęgniarkę, by dała jej coś na sen, a kiedy usnęła, poszłam do Widener Library, by dowiedzieć się czegoś o życiu Aarona Sharansky'ego. Urodził się w 1937 roku. Jego ojciec przeżył obóz koncentracyjny, a potem został profesorem rusycystyki na Boston University. W 1955 roku otrzymał propozycję zorganizowania wydziału filologii rosyjskiej na Uniwersytecie Nowej Południowej Walii - i wraz z rodziną przeniósł się do Australii. Aaron uczęszczał do szkoły

plastycznej we Wschodnim Sydney, a potem pracował na farmie gdzieś na Terytorium Północnym. Zaczął malować obrazy, które przyniosły mu sławę. Stał się enfant terrible australijskiej sztuki. Znany ze skandalizujących wypowiedzi. Bardzo zaangażowany w ochronę przyrody australijskiego interioru. Walczył z destrukcyjnym wpływem przemysłu wydobywczego... Pamiętam, że widziałam go kiedyś w telewizji, aresztowanego po jakiejś demonstracji w kopalni boksytu. Miał długie czarne włosy. Gliniarze się wtedy nie patyczkowali, takie czasy... Wlekli go za te włosy po piasku. Ale pamiętam też, że potem wybuchł wielki skandal: Sharansky odrzucił warunki zwolnienia za kaucją i przesiedział miesiąc w areszcie, razem z Aborygenami. Jak wyszedł, miał mnóstwo do powiedzenia o koszmarnych warunkach, w jakich więziono Aborygenów. Od tamtej chwili w pewnych kręgach traktowano go jak bohatera. No cóż, każdy czas ma swoje gwiazdy...

Wkrótce jednak, kiedy skończył dwadzieścia osiem lat, historia jego życia potoczyła się innym torem. Zaczął gorzej widzieć. Okazało się, że ma guza, który uciska nerw wzrokowy. Zaryzykował operację, by się go pozbyć, ale parę dni po zabiegu zmarł w wyniku „powikłań pooperacyjnych”. Nie mogłam jednak znaleźć nazwiska neurochirurga, który przeprowadził feralną operację. W tamtych czasach nie wolno było podawać w prasie nazwisk australijskich lekarzy - tak stanowiły zasady etyki zawodowej. Nie miałam pewności, ale podejrzewałam, że mama już wtedy - choć ledwie skończyła trzydziestkę - do tego stopnia wierzyła we własne siły, że mogła się podjąć najbardziej ryzykownego zabiegu. Jeśli tak było w istocie, postąpiła wbrew starej tradycji, zgodnie z którą chirurdzy nie operują swoich bliskich.

Bo Sara Heath i Aaron Sharansky byli kochankami. W chwili operacji ona była w czwartym miesiącu ciąży.

- Myślałaś, że nie kochałam twojego ojca?

Na jej twarzy malowało się bezdenne zdumienie, jakbym powiedziała właśnie, że w basenie pod łóżkiem siedzi hipopotam. Po południu wróciłam z biblioteki do szpitala. Wciąż była senna, a ja nie chciałam jej szarpać, żeby się obudziła. Kiedy w końcu otworzyła oczy, stałam nad nią z głową pełną pytań. Zaczęłyśmy rozmawiać: pytania, odpowiedzi, długie chwile ciszy. Była to najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyłyśmy nie kłócąc się.

- Czemu myślałam, że go nie kochałaś? To chyba jasne. Nigdy o nim nie wspominałaś. Nigdy i ani słowem. Kiedyś cię zapytałam, a ty się tylko skrzywiłaś i wzruszyłaś ramionami. - Wspomnienie o tym wciąż bolało. -

Czy wiesz, że potem przez długi czas sądziłam, że jestem owocem gwałtu lub czegoś takiego?

- Och, Hanno...

- I dlatego nie mogłaś na mnie patrzeć. Tak to sobie tłumaczyłam.

- Przecież to nieprawda!

- Myślałam... myślałam, że przypominam ci jakiegoś złego faceta i dlatego...

- Rzeczywiście, przypominałaś mi go. Jesteś do niego bardzo podobna, i to od urodzenia. Dołeczek w policzku, kształt głowy, oczy. Potem okazało się, że włosy też masz po nim. No i ten wyraz twarzy, kiedy jesteś skupiona... On miał identyczny, kiedy malował. Ale myślałam sobie tak: owszem, urodziła się bardzo podobna do ojca, lecz z czasem upodobni się do mnie, bo to ja będę ją wychowywać. Ty jednak nie stałaś się do mnie podobna. Zawsze interesowałaś się rzeczami, które i on uwielbiał. Nawet śmiech masz taki sam. I tak samo się złościł. Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzyłam, musiałam myśleć o nim. A potem, kiedy zaczęłaś dorastać i zniecierpliwiłaś mnie na całego - tak mi się przynajmniej zdawało - traktowałam to jako część kary, na którą zasłużyłam...

- Jakiej kary? O czym ty mówisz? Kary za co?

- Za to, że go zabiłam - odpowiedziała zduszonym głosem.

- Daj spokój, mamó. Sama ciągle mi powtarzasz, że bym nie dramatyzowała. Nikogo nie zabiłaś, po prostu straciłaś pacjenta czy jak wy to nazywacie...

- Oszalałaś? On nie był moim pacjentem. Czy mieszkając ze mną, nie nauczyłaś się niczego o regułach lekarskiego fachu? Jaki byłby ze mnie chirurg, gdybym zdecydowała się operować czło-wieka, w którym byłam bez pamięci zakochana? Oczywiście nie ja go operowałam. Zrobiłam tylko badania wstępne, postawiłam diagnozę. Narzekał, że niewyraźnie widzi, z rozmytymi konturami... Najwyraźniej miał guza, ale na szczęście wolno rosnącego, niezagrażającego życiu. Zaleciłam naświetlania, ale poprawy nie było. On sam zdecydował się na operację. Bardzo ryzykowną. No więc skierowałam go do Andersena...

Legendarny Andersen... Słyszałam o nim bez przerwy, odkąd pamiętam. Mama go formalnie czciła.

- A więc posłałaś go do najlepszego chirurga. Jak możesz się za to winić? Westchnęła.

- I tak tego nie zrozumiesz...

- Daj mi przynajmniej szansę.

- Miałaś już swoją szansę. Dawno temu...

Przymknęła oczy, a ja siedziałam przy niej, nie wiedząc, co robić. Nie mogłam uwierzyć, że znów wpadłyśmy w stare koleiny. Nie teraz - mówiłam sobie - kiedy muszę się dowiedzieć tylu rzeczy. Na dworze robiło się już ciemno, ale w głębokich trzewiach wielkiego szpitala świat zewnętrzny wydawał się nie istnieć, a ciszę rozpraszały jedynie pikania pagerów i szcęk wózków do przewożenia chorych. Zastanawiałam się, czy mama nie zapadła znów w farmakologiczny sen. Ale nagle się poruszyła i zaczęła mówić. Oczy miała nadal zamknięte.

- Wiesz, kiedy złożyłam podanie o rezydenturę na neurochirurgii, nie chcieli mnie przyjąć. Dwóch facetów z komisji powiedział mi wprost, że nie warto, bo zaraz wyjdę za męża, urodzę dzieci i nigdy nie podejmę praktyki...

Teraz jej głos był mocniejszy i twardszy. Jakby znów znalazła się twarzą w twarz z mężczyznami, którzy odmawiali jej wstępu na upragniony teren.

- Ale trzecim członkiem komisji był dziekan mojego wydziału. Wiedział, że byłam najlepsza z całego roku. I on mi powiedział: „Doktor Heath, chciałbym pani zadać jedno pytanie: czy wyobraża pani sobie choć jedno zajęcie, któremu mogłaby się pani poświęcić, gdyby nie została pani neurochirurgiem? Jeśli tak, to będę panią namawiał do wycofania wniosku”.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Nie wahałam się ani przez chwilę. Dla mnie nie liczyło się nic poza neurochirurgią. Nie zamierzałam wychodzić za męża. Nie chciałam dziecka. Nie miałam żadnych zwyczajnych kobiecych pragnień. Próbowałam ci to wyjaśnić, Hanno, jak cudownie jest zajmować się właśnie tym - najtrudniejszą i najważniejszą gałęzią chirurgii. Wiedzieć, że w twoich rękach, dosłownie, leży funkcjonowanie ludzkiego umysłu, osobowości człowieka, i że dzięki swoim umiejętnościom możesz ocalić nie tylko biologiczne życie pacjenta, ale i jego człowieczeństwo. Tu chodzi, można powiedzieć, o ratowanie duszy... No ale ty nigdy...

Westchnęła ponownie, a ja zaczęłam się niecierpliwie kręcić na krzeselku. Znów odzywała się w niej medyczna misjonarka. Wszystko to już słyszałam i wiedziałam, dokąd zmierza. Na pewno nie tam, dokąd bym chciała. Ale tym razem niespodziewanie zmieniła starą śpiewkę.

- Zaszłam w ciążę przez przypadek i byłam na siebie bardzo zła. Nie miałam najmniejszego zamiaru urodzić dziecka. Nigdy. Ale Aaron był bardzo poruszony perspektywą ojcostwa, więc uległam jego nastrojowi... Wiesz, pod wieloma względami zupełnie nie nadawaliśmy się na parę. On był radykałem, lewicowym obrazoburcą, a ja...

Jej dłonie nerwowo wygładzały prześcieradło na kocu, choć nie było tam najmniejszej nawet fałdki.

- Wiesz, dopóki go nie spotkałam, nie traciłam z własnej woli ani minuty na cokolwiek, co nie wiązało się z medycyną. Dopiero on otworzył mi oczy na politykę, przyrodę, sztukę. Nie bardzo wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, ale muszę przyznać, że między nami wydarzyło się właśnie coś takiego. Nigdy więcej nie przeżyłam nic podobnego. On po prostu wszedł do mojego gabinetu - i już wiedziałam...

W pokoju zjawiała się salowa z barowym wózkiem. Przywiozła herbatę. Mamie trzęsły się ręce, więc przytrzymałam jej kubek. Siorbnęła parę łyków, ale pokręciła głową.

- Amerykanie nie potrafią zrobić przyzwoitej herbaty - zauważyła.

Poprawiłam jej poduszki. Próbowwała się trochę ruszyć, ale zaraz syknęła z bólu.

- Może chcesz, żebym ich o coś poprosiła? - spytałam. Pokręciła głową.

- Już dość tego głupiego Jasia mi dali. - Wzięła głęboki oddech, zbierając siły. - Pierwszego dnia, kiedy wróciłam do domu, czekał na mnie jakiś obraz. Ten, który teraz wisi w jałdalni.

Gwizdnęłam z wrażenia. Obraz już wtedy był wart ze sto tysięcy. Ja dostawałam od swoich adoratorów najwyżej bukiety przywędłych kwiatów. Mama uśmiechnęła się, widząc moją reakcję.

- Rzeczywiście - przyznała - to była jasna deklaracja poważnych intencji. Do obrazu dołączony był bilecik. Wciąż go mam. Możesz zobaczyć, jeśli masz ochotę.

Schyliłam się do szpitalnej szafki i wyciągnęłam torebkę mamy.

- Portfel jest w przegródce zamykanej na ekspres. Tak, właśnie tutaj...

Wyjęłam portfel.

- Za moim prawem jazdy...

Liścik był krótki - ledwie dwie linijki zapisane malarskim węglem, dużymi zamaszystymi literami:

To, co robię, jest mną, a więc tu jestem...

Rozpoznałam słowa - cytata z Gerarda Manleya Hopkinsa. Poniżej Aaron dopisał:

Saro, jesteś jedyna. Pomóż mi w tym, po co przyszedłem

Wpatrywałam się w liścik, starając się wyobrazić sobie rękę, która go napisała. Rękę mojego ojca, której nigdy nie trzymałam.

- Zadzwoiłam do niego, by podziękować za obraz - ciągnęła mama. - Zaprosił mnie do swojej pracowni. A potem... potem spędzaliśmy już razem każdą wolną chwilę. Tyle że nie trwało to długo. Parę miesięcy.

Zastanawiam się często, czy gdyby nadal żył, sprawy układałyby się wciąż tak cudownie. Może w końcu znienawidziłby mnie, tak jak ty...

- Mamo, to nieprawda!

- Daj spokój, Hanno. Wiem swoje. I wiem, że nigdy mi nie darujesz, że zajmowałam się tobą tak mało, kiedy byłaś dzieckiem. A potem zrobiłaś się jak kaktus - nie dawałaś się dotknąć. Po powrocie do domu słyszałam nieraz, jak się śmiejesz z Gretą. Ale gdy pytałam, z czego żartujecie, robiłaś kamienną minę i rzucałaś: „A, takie nasze sprawy. Nie zrozumiesz”.

To prawda. Dokładnie tak postępowałam. Wymyśliłam sobie sposób, żeby ją ukarać. Teraz uniosłam dłonie w geście kapitulacji.

- No wiesz, to było tak dawno... - powiedziałam z bladym uśmiechem.

Pokiwała głową.

- Wszystko było dawno. Dawno temu.

- No i co z tą operacją? - zmieniłam temat.

- Kiedy załatwiałam sprawę z Andersenem, nie powiedziałam mu, co mnie łączy z Aaronem. Byłam już w ciąży, ale nikt postronny nic nie wiedział. Zadziwiające, jak wiele można ukryć pod białym kitem. W każdym razie Andersen zaproponował, bym mu asystowała. Normalnie skoczyłabym w ogień, żeby z takiej propozycji skorzystać, ale tym razem wyłgałam się pod jakimś błahym pretekstem. W przypadku takiej operacji trzeba dostać się do podstawy czaszki. Trzeba zdjąć sklepienie czaszki i... Urwała w pół słowa. Zdałam sobie sprawę, że mimowolnie zasłoniłam sobie uszy, by nie słuchać dalszych szczegółów. Posłała mi karcące spojrzenie. Opuściłam dłonie jak zrugany uczeń.

- W każdym razie wolałam nie asystować. Kręciłam się jednak po bloku operacyjnym i widziałam, jak Andersen wychodził z sali. Ściągnął rękawiczki i rozejrzał się wokół z takim wyrazem twarzy, jakby Aaron umarł mu na stole. Mało nie upadłam. Kiedy mnie zauważył, wyjaśnił: „Zgodnie z pani diagnozą to była meningioma. Niezłśliwa. Ale powłoki nerwu ocznego były mocno uciśnięte”.

Próbował je uwolnić od narośli, żeby krew mogła należycie dochodzić do komórek nerwowych, ale sprawy zaszły już za daleko. Z tego, co mi powiedział, wynikało jasno, że Aaron nie będzie widział. Nie miałam złudzeń - dla niego życie ociemniałe nie było życiem. No i nie obudził się już, by odkryć, że jest ślepy. Tej nocy miał krwotok. Andersen nie przewidział takiej ewentualności. Do czasu, gdy zabrali twojego ojca z powrotem na salę operacyjną, by usunąć skrzep...

Do pokoju weszła pielęgniarka. Przyjrzała się mamie badawczo. Bez

trudu zauważyła zdenerwowanie na jej twarzy.

- Myślę, że chora potrzebuje wypoczynku...

- Tak, tak. Idź już - odezwała się mama słabym głosem, jakby wymówienie paru słów było dla niej olbrzymim wysiłkiem. - Czas już, żebyś poszła do Sharanskich...

- Hanna Heath?

Odwrociłam się od obrazu na ścianie i zobaczyłam człowieka dziwnie podobnego do mnie, tyle że znacznie starszego.

- Jestem synem Delili. Jej drugim synem. Na imię mam Jonah.

Wyciągnęłam do niego rękę, ale on złapał mnie za ramiona i przycisnął do siebie. Zrobiło mi się strasznie głupio. Kiedy byłam małą dziewczynką, bardzo brakowało mi większej rodziny. Mama miała tylko mnie, ze swoimi rodzicami nie utrzymywała bliższych kontaktów. Jej tata zrobił spory majątek na ubezpieczeniach i jeszcze zanim się urodziłam, przeniósł się wraz z żoną do tenisowo-golfowego osiedla dla emerytów w Noosa. Widziałam go chyba tylko raz. Zmarł nagle na atak serca. Babcia dość szybko wyszła ponownie za mąż, za trenera tenisa. Mama tego nie zaakceptowała, więc się nie odwiedzałyśmy.

Aż tu nagle znalazłam się wśród obcych ludzi, którzy byli moimi krewnymi. Trójka kuzynów, ciotka... Do tego jeszcze jedna ciotka, która, jak się zdaje, pracowała w jakiejś firmie handlowej w Jałcie. No i był stryj Jonah, który przebudował ten dom dla Delili.

- Bardzo nam ulżyło, kiedyśmy się dowiedzieli, że twoja matka dochodzi do siebie - powiedział, zaczesując dłonią niesforny kosmyk czarnych włosów. Ze zdumieniem stwierdziłam, że i ja mam identyczny odruch. - Wszyscy powtarzaliśmy naszej mamie, żeby po osiemdziesiątce nie prowadziła już samochodu. Ale ona była uparta jak osioł...

Stryj Jonah wyjaśnił mi, że babcia Delila była od piętnastu lat wdową i przyzwyczała się robić wszystko sama.

- Dziesięć lat temu zapisała się na studia. Nie miała zwyczajowo pytać kogokolwiek o zdanie. - Po czym dodał: - Strasznie się martwiliśmy o twoją matkę. Jeśli moglibyśmy w czymś pomóc...

Zapewniłam go, że mama ma wystarczającą opiekę. Wieść o wypadku szybko rozniosła się wśród uczestników zjazdu neurochirurgów i wszyscy spieszyli z pomocą. Wątpię, czy w całym Bostonie znalazłby się pacjent otoczony większą troską.

- No cóż, nasza mama byłaby zadowolona, że przynajmniej za sprawą tej tragedii trafiłaś wreszcie do nas.

- Taak... Szkoda, że nie zostaliście w Australii. Jako dziecko tęskniłam za

rodziną...

- Mieszkaliśmy tam przez kilka lat, bo mama uznała, że po winieniem zdobyć wykształcenie. Ale w Stanach miałem lepsze perspektywy jako architekt. W Sydney studiowałem wieczorowo, a za dnia pracowałem w Urzędzie Architektury Nowej Południowej Walii. Zaprojektowałem toalety w zoo Taronga Park. Może miałaś okazję skorzystać? Jak na ubikacje prezentują się całkiem nieźle...

Uśmiechnął się dość kwaśno. Odstawił szklankę i spojrzał na mnie, jakby z wahaniem, czy powiedzieć coś jeszcze. Wreszcie odezwał się znowu:

- Powinnaś chyba wiedzieć... Mama błagała Sarę, żebyśmy cię mogli zobaczyć, żebyś się stała częścią rodziny. Ale ona zawsze mówiła „nie”. Upierała się, żebyśmy nie utrzymywali żadnych stosunków.

- Przecież sam powiedziałeś, że twoja matka nie pytała nikogo o zdanie. Więc czemu tak się przejmowała opinią mojej mamy?

- Myślę, że nie przyszło jej to łatwo. Wiedziała jednak, że wkrótce wrócimy do Stanów, i chyba nie chciała robić zamieszania w twoim życiu, a potem zniknąć na drugim końcu świata. Sądziła, że to nie w porządku. Ale dowiedziała się, do którego przedszkola chodzisz, i obserwowała, jak po południu odbiera cię gosposia. Martwiła się o ciebie. Mówiła, że wyglądasz na smutnego dzieciaka.

- Cóż, była widać bardzo spostrzegawcza - odparłam z trudem. Czułam się nieswojo, usta mi drżały. To było okrutne. Okrutne wobec Delili, która musiała tęsknić za wnuczką. Byłam przecież jedynym dzieckiem jej zmarłego syna. I okrutne wobec mnie. Mogłabym się stać innym człowiekiem, gdybym miała rodzinę.

- Czemu w takim razie utrzymywały kontakty ze sobą? Czemu były razem ostatniego wieczoru?

- Chodziło o jakieś kwestie prawne związane z fundacją imienia Aarona. Sara chciała rozkręcić fundację Sharansky'ego. Musiała mieć zgodę jego matki.

-Ach tak...

Mama była świetna w takich przedsięwzięciach. Zasiadała w zarządach wielu instytucji charytatywnych i naukowych. Zawsze na świeczniku. A ja nie rozumiałam jej wiecznej pogoni za zaszczytami.

- Aaron spisał przed operacją testament. Swoją majątek zapisał fundacji, którą miały zarządzać Delila i Sara. Może myślał, że w ten sposób jakoś je ze sobą zwiąże...

Tymczasem zjawiała się jakaś kobieta i Jonah wdał się z nią w rozmowę. Zabrałam się za oglądanie zdjęć ustawionych na książkowym regale. Kilka

fotografii w skromnych srebrnych ramkach. Na jednej widniała Delila jako młoda kobieta ubrana w sukienkę z białej organzy, z kołnierzykiem spiętym błyszczącą broszką. Miała ogromne ciemne oczy, powiększone jeszcze podnieceniem wywołanym uroczystą okazją. Zobaczyłam też zdjęcie Aarona w jego pracowni. Upačkany farbami wpatrywał się w płótno na sztalugach, jakby fotografa wcale tam nie było. Inne zdjęcia przedstawiały uroczystości rodzinne, chyba bar micwę... Jacyś obejmujący się, zadowoleni ludzie o roześmianych oczach. Jasny przekaz języka ciała: dobrze nam razem.

Wszyscy zdawali się bardzo ciepli - przez to obejmowanie się, namawianie do jedzenia i picia. Przyznam, że nie przywykłam do takich gestów. Z pewnym trudem próbowałam odnaleźć się w nowej rzeczywistości, jako w połowie rosyjska Żydówka. Jako ktoś, kto przez resztę życia będzie Hanną Sharansky.

Na szklanym stoliku obok stała butelka wódki. Ciągnęło mnie do niej. Nalewałam sobie szczerze. Ile razy? Straciłam rachubę. Podobał mi się narastający, a jednocześnie miękki gwar w głowie. Wszyscy opowiadali jakieś historie z życia babci Delili. Żona Jo-naha mówiła, jak to stryj skarżył się w początkach ich małżeństwa, że jej kulki z macy nie są takie jak u mamy.

- Próbowałam ubijać oddzielnie białka z jajek, a potem delikatnie dłonią łączyć wszystkie składniki, by uzyskać cudownie puszyste kulki, ale nic z tego, nigdy nie były zdaniem Jonaha równie dobre jak u teściowej. A pewnego dnia wrzuciłam wszystko do blendera. Po prostu. Wyszły piłki golfowe. Twarde jak diabli... I co na to Jonah? Był zachwycony: jak u mamy!

Tego rodzaju historii usłyszałam więcej. Delila nie była stereotypową żydowską matką ani babką. Syn Jonaha, facet trochę młodszy ode mnie, opowiadał, jak rodzice zostawili go po raz pierwszy na weekend, niby po opieką babki.

- Przywitała mnie w drzwiach i wręczyła dwa upieczone kurczaki w foliowej torbie. A potem powiedziała: „No to wracaj do domu i baw się dobrze z przyjaciółmi. Tylko nie wpędź siebie ani mnie w kłopoty”.

Czternastoletniemu chłopakowi w to graj!

Jonah i jego żona ukryli twarze w dłoniach.

- Gdybyśmy wiedzieli...

W końcu powiedziałam, że muszę już iść, że muszę zajrzeć jeszcze do mamy, choć wcale nie miałam zamiaru. Zataczałam się trochę, po części za sprawą wódki, ale tylko po części. Trudno jednego wieczoru przyswoić

sobie trzydzieści lat rodzinnej historii. Pogodzić się z utratą trzydziestu lat miłości.

Zanim wróciłam do hotelu, wszystkie splątane uczucia wobec matki, których doświadczyłam od chwili jej wypadku, zacisnęły się znów w znajomy zły węzeł. To za mało wiedzieć, że kiedyś i ona zdolna była do wielkiej miłości. Oczywiście, że cierpiała. Przecież straciła miłość swojego życia, niosąc brzemień nieustannego poczucia winy. Ja sama również nie byłam doskonała, bez dwóch zdań. Wredna szczeniara, wiecznie z muchami w nosie. Ale mimo wszystko to ona podejmowała decyzje, a ja musiałam za nie płacić.

Poszłam do łazienki i zwymiotowałam, co nie zdarzyło mi się od czasu, gdy byłam nastolatką, w każdym razie nie z przepicia. Położyłam się na łóżku z mokrym ręcznikiem na twarzy i próbowałam nie zauważać kołysania się ścian. Nie chciałam wpaść w alkoholową karuzelę. Kiedy poczułam ból głowy, stwierdziłam, że jednak nie powinnam odwoływać swojego wykładu w Tatę. Niech mamą opiekują się jej koledzy lekarze. Wiedziałam, że zajmą się nią jak trzeba. Przecież zawsze stawiała ten ich fach na pierwszym miejscu.

„Sam się zdecydował”. Głos w mojej głowie był jej głosem. „On naprawdę przedkładał pracę nad miłość”. Nie musiał ryzykować życia w tej niebezpiecznej operacji. Miał tak wiele: kołchanę, rodzinę. Dziecko w drodze. Ale nic z tego wszystkiego nie miało dla niego takiej wartości jak praca.

A więc dobrze. Do diabła z obojgiem. Niech będzie po ich niemu.

Miałam potwornego kaca, co nie jest miłe zwłaszcza wtedy, gdy trzeba spędzić siedem godzin w samolocie. Na szczęście dzięki mojemu miliardero wi siedziałam znów w pierwszej klasie. Stewardesa podała mi wędzonego łososia. Pomyślałam o nieszczęśnikach siedzących z tyłu, żujących papierowego kurczaka z gumiatym makaronem. Ale samolot to samolot - nawet w pierwszej klasie jedzenie jest głównie warte. Łososia przygotowano nawet niezłe, ale potem odgrzewano z półtorej godziny, więc wysechł na wiór. A ja potrzebowałam przede wszystkim wody. Czekaając, aż ktoś zabierze ode mnie tacę, bawiłam się małą plastikową solniczką. Parę ziarenek soli wypadło mi na dłoń. Po wypadku mamy nie miałam już głowy, by wrócić do laboratorium Rażą. Pewnie myślał, że się na niego obraziłam. Ale zrobił dla mnie analizę sam, w ramach przeprosin. I zostawił wiadomość w recepcji hotelu. Przeczytałam ją

jeszcze raz:

Miałaś rację: NaCl. Ale to sól morską, a nie kamienna. Ciekawe, jak uzyskiwano kosztowną sól w XV i XVI wieku? Może to nie sól kuchenna? Może raczej ślad morskiej przygody? Czy to pasuje do Wenecji i Hiszpanii? Przepraszam za ostatni wieczór. Daj mi znać, jak sprawy. Twój szczerowaty kumpel Raz.

Uśmiechnęłam się. Cały Raz! Znow szuka zebry. Obsesja na punkcie wraków nasunęła mu od razu myśl o morskiej katastrofie. Ale trzeba i tę ewentualność wziąć pod uwagę. A jaka sól jest kosztowna? Co właściwie czyni sól kosztowną? Nie miałam pojęcia. To był nowy trop do eksploracji. Może duch książki odsłoni mi jakąś nową tajemnicę? Pozwoliłam ziarenkom soli spaść na przywiedły, pożółkły na brzegach liść sałaty. Tysiące metrów pode mną przewalały się i załamywały w ciemnościach słone fale niewidocznego oceanu.

Rozdział 8

Morska woda

Tarragona 1492

Słowo JHWH jest szlachetne

Jak szlachetne są srebro i złoto.

Wyłoniwszy się, litery te całe były szlachetne,

W kształcie nienaganne, jaśniejące i połyskliwe

Cały Izrael widział, jak te litery,

Szybujące swobodnie w przestrzeni,

Odcisnęły się na kamiennych tablicach.

Zohar

Dawid ben Szouszan nie był człowiekiem nieuprzejmym ani nie lekceważył bliźnich. Po prostu błdził myślami gdzieś wyśoko. A żona strofowała go wciąż za takie drobiazgi jak nie-przywitanie się z jej siostrą na bazarze albo pominięcie jakiejś nadzwyczajnej okazji - na przykład gdy sprzedawcy makreli opuszczali do połowy cenę za towar.

Nie wiedział, jak to się stało, że zauważył tego młodzieńca. W odróżnieniu od innych przekupniów czy żebraków chłopak nie wrzeszczał wniebogłosy, by zwrócić na siebie uwagę, tylko siedział spokojnie, śledząc twarze mijających go ludzi. Może właśnie spokój wyróżniał go z ciżby. W całym zgiewku i bałaganie był oazą ciszy i skupienia. Ale niewykluczone,

że chodziło też o coś innego. Może najważniejszy był wąły promień zimowego słońca odbity od listka złota.

Młodzieniec siedział na skrawku ziemi tuż pod murami, na skraju rynku. O tej porze roku nie było tam przyjemnie, wilgotne i wietrzne miejsce nie przyciągało kupujących. Dlatego miejscowi kupcy zostawili je wędrownym handlarzom i uchodźcom z Andaluzji, którzy ciągnęli przez miasto. Wojny na południu wyrzucały z domu wielu życiowych rozbitków. Zanim tu dotarli, pozbywali się na ogół wszystkich wartościowszych rzeczy. Na miejscowym bazarze usiłowali więc sprzedać cokolwiek - stare rupiecie lub znoszone łachy. Ale ten młodzieniec rozwinął przed sobą kawałek skóry, a na nim rozłożył kilka małych barwnych pergaminów. Ben Szouszan zatrzymał się i przecisnął przez tłum, by lepiej przyjrzeć się temu, co chłopak miał na sprzedaż. Przykucnął, opierając się palcami dłoni o zimną ziemię. Przeczucie go nie myliło: obrazki były zdumiewające. Ben Szouszan nieraz oglądał iluminowane chrześcijańskie modlitewniki, ale czegoś takiego jeszcze nie widział. Wpatrywał się w miniatury, nie wierząc własnym oczom. To były dzieła kogoś dobrze obznajomionego z historiami midraszowymi, albo przynajmniej instruowanego przez prawdziwego znawcę.

- Czyja to robota? - zapytał.

Młodzieniec patrzył na niego nieporuszony. W jego brązowych oczach nie widać było zrozumienia. Ben Szouszan pomyślał, że chłopak nie zna miejscowego dialektu, więc zapytał ponownie - najpierw po arabsku, potem po hebrajsku. Ale oczy chłopaka pozostały obojętne.

- On jest głuchy i niemy - odezwał się jednoręki wieśniak oferujący na sprzedaż kilka drewnianych łyżek. - Spotkałem go po drodze. Miał czarnego sługę.

Ben Szouszan przyjrzał się młodzieńcowi dokładniej. Jego odzienie, choć przybrudzone, jak to w podróży, było pierwszorzędного gatunku.

- A kim on jest?

Wieśniak wzruszył ramionami.

- Ten sługa opowiedział mi jakąś bajkę - że to syn lekarza ostatniego emira. Ale słudzy uwielbiają takie bujdy. Kłamią jak z nut!

- Czy chłopak jest Żydem?

- Jest obrzezany, więc to nie chrześcijanin. Nie wygląda też na Maura...

- A gdzie się podział czarny sługa? Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tych obrazkach...

- Zwiął pewnej nocy, niedługo po tym, jak doszliśmy do wybrzeża w okolicy Alicante. Na pewno postanowił się przedostać do Ifriki*. Moja

żona nawet polubiła tego chłopaka - przynajmniej nie odszczekuje się jak inni. Jest też uczynny. Ale kiedy tu przybyliśmy, dałem mu do zrozumienia, że powinien coś sprzedać, by opłacić koszty podróży. Tylko że on miał przy sobie jedynie te obrazki. Są złożone prawdziwym złotem! Chcesz jeden?

- Chcę wszystkie - odparł ben Szouszan.

Miriam wcisnęła mięso w chleb tak mocno, że kromka pękła, a krople tłuszczu spadły na stół.

- To wszystko przez ciebie!

- Miriam...

Wiedział dobrze, że przyczyną złego humoru żony nie były plamy na stole. Jego córka Ruti podbiegła do matki i z płaczem uczepiła się jej spódnicy. Widział, jak ramiona dziewczyny drżały, gdy Miriam gderała w najlepsze. Ruti nie cierpiała podniesionych głosów. Dawid nazywał ją Wróbelkiem, bo była podobna do małego płochliwego ptaszka. Jak wróbelek szarobura, z ciemno-brązowymi oczami i bladą cerą. Często czuć ją było orzeszkami galasowymi, żywicą i siarczanem miedziowym, z którego ojciec wyrabiał swoje atramenty.

Biedny Wróbelek - pomyślał. Była miła i chętna do pracy, więc ukończywszy lat piętnaście mogła wyjść za jakiegoś przyjemnego chłopca i uciec przed niepowstrzymanym językiem matki sekutnicy. Ale brakowało jej zarówno majątku, jak i urody. Do ortodoksyjnych zaś rodzin, które nie zwracały aż takiej uwagi na te rzeczy, wejść nie mogła za sprawą brata skandalisty.

Miriam, twarda jak stare siodło, nie miała cierpliwości do bojaźliwej córki. Odepchnęła ją od siebie, chwyciła za ścierkę i z przesadną werwą zabrała się do wycierania stołu.

* Ifrikija - arabska nazwa wschodnich ziem berberyjskich, w przybliżeniu tereny obecnej Tunezji (przyp. tłum.).

- Sam wiesz, jak mało dostajesz zleceń, a wyrzucasz dwumiesięczny zarobek na jakieś obrazki. Rachela powiedziała, że nawet się nie targowałeś z tym chłopakiem...

Ta Rachela! Ona zawsze wiedziała wszystko o wszystkich, o najdrobniejszych sprawach całej gminy.

-Miriam...

- Jakbyśmy nie mieli dodatkowych wydatków przez ślub twojego bratanka!

- Miriam! - zaczął znów Dawid podnosząc głos, co nie było w jego zwyczaju. - Te „obrazki” są właśnie na ślub. Wiesz, że przygotowuję hagadę na Pesach dla syna Józefa i jego małżonki. Nie rozumiesz? Oprawię arkusze z obrazkami razem z tekstem i będziemy się mogli popisać nie byle jakim prezentem.

Miriam westchnęła i wcisnęła kosmyk pod lniany czepek.

- No chyba że tak...

Miriam wolała zwykle przeżuć orzeszek galasowy niż skapi-tulować w kłótni. Ale ta wiadomość sprawiła jej ulgę, jakby po-zbyła się za ciasnego buta. Już od dawna martwiła się bowiem kwestią prezentu. Trudno wykpić się byle czym z okazji ślubu najstarszego syna Don Józefa i córki rodziny Sanz. Obawiała się, że zwykła hagada własnej roboty będzie zbyt skromnym darem dla tak szacownych rodzin. Ale te obrazki, barwione złotem, lapis-lazuli i malachitem, prezentowały się naprawdę dobrze. Musiała to przyznać.

Dawid ben Szouszan nie dbał o pieniądze, a jeszcze mniej o prestiż. Fakt, że był najbiedniejszy w całej rodzinie Szouszan, nie martwił go wcale. Zależało mu natomiast bardzo na spo-koju w domu. Uśmierzenie gniewu żony sprawiło mu radość. Czuł też satysfakcję ze swego pomysłu, choć jeszcze dziesięć lat wcześniej posiadanie takich obrazków budziłoby w nim pewne wątpliwości natury moralnej, niezależnie od religijnej tematyki miniatur. Ale teraz był zadowolony, tym bardziej że jego brat, człowiek światowy, lubił uczyty i muzykę. Prawdę mówiąc, niewiele różnił się od chrześcijan, choć Dawid nigdy nie powiedziałby mu tego wprost. Czemu więc jego syn nie miałby posiadać książki nieustępującej przepychem najpiękniejszym psalterzom chrześcijan? Zresztą nawet wielki rabbi Duran za-wsze przestrzegał zasady, by nauczać jedynie z pięknych ksią-żek. Bo piękne książki - twierdził - umacniają ducha. Mówił: „Jedną z zalet naszego ludu jest to, że w każdym pokoleniu znajdują się ludzie bogaci i wpływowi, którzy dołożą starań, by powstawały piękne manuskrypty”. Dawid nie był co prawda ani bogaty, ani wpływowy, ale z pomocą Wszechmogącego te piękne obrazki trafiły do jego rąk - już wcześniej obdarzonych umiejętnością pięknego pisania. Czas, który przepracował jako sofer, skryba przepisujący święte teksty, nie przyniósł mu bogactw materialnych, za to ubogacił wewnątrz. Żona nie potrafiła tego zrozumieć, choć teraz, gdy z pogodną miną ścierała stół, Dawidowi wydawało się, że i ona rozumiała co nieco z jego pracy.

Tego dnia pracował od bladego świtu i gestem odprawił żonę, która chciała mu podać śniadanie. Ich domek był mały i trochę zapadnięty z

jednej strony, jak zresztą większość żydowskich domostw w mieście. Składał się z dwóch zaledwie izb, spiętrzonych jedna nad drugą. Dawid musiał więc pracować na zewnątrz nawet w chłodne dni zimowe. Od bramy na ulicę było może z dziesięć kroków, a przejście zajmowały kałdzie z moczącymi się w wodzie wapiennej skórąmi i ramy, na których skóry schły powoli na słońcu. Dawid miał też pod ręką stosik gotowego pergaminu. Przejrzał go teraz uważnie, wybierając arkusze zrobione ze skóry górskich owiec, pasujące do pergaminu, na których namalowano te piękne obrazki. Wykańczaniem pergaminu za pomocą pumeksu i sproszkowanej kredy zajmowała się Ruti. Wybrawszy odpowiednie arkusze, umył ręce w chłodnej wodzie przydomowej fontanny i zasiadł ciężko w swoim scriptionale. Kościanym stylusem starannie poliniował pergamin. Gdy arkusz był gotowy, przeciągnął chłodnymi dłońmi po twarzy.

Le-szem ketiwa hagada szel Pesach... - wyszeptał. Potem wziął do ręki indyjskie pióro i zanurzył w atramencie.

Ha lachma anja... Oto chleb nędzy, który jedli nasi ojcowie w kraju Egiptu. Każdy głodny niech wejdzie i je z nami...

Ben Szouszan poczuł ssanie w żołądku, jego brzuch protestował przeciw pozbawieniu go śniadania.

...Każdy biedak niech wejdzie i obchodzi z nami Pesach.

W tym roku biedaków było wyjątkowo dużo. Z powodu zażończych podatków narzuconych przez króla i królową, którzy musieli sfinansować swoje niekończące się wojny na południu. Szouszan próbował okiełznać rozbiegane myśli. Sofer powinien się skupić na świętych literach. Jego myśli nie powinny błądzić wokół przyziemnych spraw. Le-szem ketiwa hagada szel Pesach... - wyszeptał ponownie, próbując uspokoić umysł. Ręka postawiła literę szin - znak rozumu. Ale czy było coś rozumnego w tych ciągłych wojnach z Maurami? Czyż muzułmanie, żydzi i chrześcijanie nie sąsiadowali tu zgodnie od stuleci? Czy convivencia była czymś złym? Wszyscy dobrze się uzupełniali: chrześcijanie umieli walczyć, muzułmanie budować, a żydzi robić pieniądze.

W tym roku jesteśmy niewolnikami, w roku przyszłym będziemy w kraju Izraela...

Póki co trzeba przyznać, że w tym roku Don Seneor i Don Abravanel, niech ich imiona będą błogosławione, potrafili oczarować króla Ferdynanda złotem i zamknąć jego uszy przed złośliwymi plotkami zazdrosnych mieszczan. Obecnie jesteśmy niewolnikami... Ben Szouszan pomyślał o czarnym niewolniku, który służył podobno niememu

chłopakowi. Żałował bardzo, że nie udało mu się z nim porozmawiać i dowiedzieć czegoś więcej o historii cudownych miniatur. Gdy ręka sofera wędrowała od kałamarza do pergaminu, oczami wyobraźni widział pochyłą czarną postać ciągnącą wśród tumanów kurzu ku osadzie złożonej z paru domków skleconych z suszonych na słońcu cegieł, gdzie czekała rodzina, mająca już wędrowca za zmarłego. Zresztą nie ma co marzyć - ten nieszczęśnik był już zapewne martwy, o ile nie przykuto go do jakiejś galery.

Dawid pracował tak przez cały dzień aż do zmroku, walcząc z gonitwą myśli, która utrudniała mu precyzyjne i piękne pisanie. O zmierzchu poprosił swego Wróbelka o czystą koszulę i poszedł do mykwy. Miał nadzieję, że rytualna kąpiel oczyści mu umysł i pozwoli skupić się bez reszty na zbożnej pracy. Wrócił odświeżony i poprosił córkę o napełnienie lampy oliwnej, żeby mógł pracować do późna. Gdy Miriam poczuła zapalony knot, przybiegła zaraz i zaczęła biadać nad ceną oliwy. Ale Dawid ofuknął ją z niezwykłą u niego stanowczością, więc się wycofała mruczając coś po nosem.

Wkrótce potem na ciemniejącym niebie zapaliły się gwiazdy. Chłód i ciepłe światło lampy ukończyły umysł, a spod pióra zaczęły się wyłaniać litery lekkie, krągłe i zamaszyste. Dłoń płynęła nad pergaminem. Każda litera wyglądała płomiennie. Każda wydała się tańczyć. A potem wszystkie zlały się w wielki ogień, sławiący chwałę imienia Wszechmocnego. Potęga i słodycz tego imienia obezwładniły Dawida ben Szouszana.

Gdy Ruti znalazła go rano, leżał pod swoim scriptionale. Przymrozek pobielił mu brodę. Na pergaminie było więcej słów niż zwykły sofer mógł zapisać przez tydzień ciągłej pracy. A każda litera, każde słowo było doskonałe.

Ruti zaprowadziła ojca do łóżka, ale po południu uparł się, by wstać i wziąć się na nowo do pracy. Jego ręka znów była ręką zwyczajnego skryby, w głowie kłębiły mu się nieposłuszne myśli, lecz w sercu czuł wciąż mistyczne światło, które spłynęło na niego ostatniej nocy. Widział je oczyma duszy, czuł jego zniewalające ciepło - a pisanie szło mu lekko i precyzyjnie.

Czwartego dnia, kiedy zbliżał się do końca pracy, która normalnie zajęłaby parę tygodni, posłyszał lekkie pukanie do drzwi. Sapnął z irytacji, a Ruti, wyrwawszy się ze swej ptasiej bezgłośności, pofrunęła, by przekręcić skobel na bramie. Poznała kobietę stojącą u wejścia i natychmiast zaczęła poprawiać nerwowo chustkę na głowie. Odwróciła się do ojca, patrząc przerażonym wzrokiem.

Gdy kobieta weszła na podwórze, ben Szouszan odłożył pióro. Był wściekły. Jak ta, której imienia nigdy nie wymawiano w tym domu, śmiała zastukać do jego drzwi. Złość źle podziałała na jego pusty żołądek. Poczul ból. Ruti, przestraszona wyrazem jego twarzy, uciekła spod bramy do domu.

Kobieta przemówiła zmysłowym głosem wszetecznicy. Nie chcąc jej słuchać, ben Szouszan zaczął mrużyć po hebrajsku: „Usta tej kobiety zdają się spływać miodem, ale jej łono gorzkie jest jak piołun”. To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział do swego syna - tak, syna, krew z krwi, kość z kości! - zanim chłopak wyszedł przez tę bramę, by podążyć do baptysterium, a potem do ołtarza. Dwa lata minęły od tamtej chwili, ale pamięć o niej wciąż była żywa i paląca. A teraz ona pojawia się w jego domu; ona, która zadała mu tyle bólu, której imienia się w jego domu nie wymawia!

- Ja nie mam żadnego syna! - krzyknął, obrócił się do niej plecami i ruszył w ślad za Ruti ku drzwiom. Zrobił dwa kroki i zatrzymał się. Co ona mówi?

- W nocy przyszedł alguazil z kapitanem straży. Twój syn opierał się, więc go pobili, a kiedy krzyczał, wsadzili mu w usta metalowy knebel. Mało mu nie złamali szczęki...

Zaczęła płakać, jej głos nie wydawał się już tak zmysłowy.

- Zabrali go do Casa Santa. Pobiegłam za nimi błagając, by mi powiedzieli, o co go oskarżają. Ale oni odesłali mnie z niczym, grożąc jeszcze, że i mnie oskarżą o brukanie chrześcijańskiej krwi, bo będę miała dziecko z heretyckim marrano*. Nie jestem bohaterką, więc uciekłam. Nie mogłam znieść myśli, że moje dziecko mogłoby się urodzić w lochach Inkwizycji. Mój ojciec nie ma pieniędzy na łapówkę... - kiedy wypowiadała to kłamstwo, jej głos stał się na powrót przymilny, a zarazem cienki i pokorny jak u dziecka.

Dawid ben Szouszan spojrział na kobietę i jej nabrzmiały brzuch. Ogarnęła go mieszanina żalu i rozczenia. Oto miał przed sobą wnuka, który nie będzie Żydem. Zataczając się lekko, jakby wypił za dużo wina, przeszedł przez podwórze i zamknął bramę na ulicę.

* * *

Młody mężczyzna mówił z trudem. Kiedy wyciągano mu z ust metalową bańkę, wypadły cztery złamane zęby. Kąciki ust miał popękane, a gdy zaczął mówić, rany się otworzyły i po brodzie pociekła mu świeża krew, spadając na poplamioną koszulę. Chciał ją sobie obetrzeć, ale nie mógł z

powodu kajdan.

- Do czego mam się przyznać, ojczy, skoro nie wiem, o co mnie oskarżasz?

Przywlekli go tu w samej koszuli i teraz trzął się z zimna.

Po-mieszczenie w Casa Santa nie miało okien, na ścianach wisiały czarne zasłony. Jedyńm źródłem światła było sześć świec roz-stawionych po obu stronach obrazu Ukrzyżowanego. Stół także okryto czarną materią.

- Hiszpańskie i portugalskie określenie Żydów, którzy formalnie prze-szli na chrześcijaństwo, ale po kryjomu trzymali się dawnej religii - przyp. tłum. Twarzy inkwizytora nie było widać. Skrywała się w obszer-ny kapturze. Tylko jego blade dłonie, złożone pod niewidocz-ny podbródkiem, jaśniały w świetle świec.

- Reubenie ben Szouszan...

- Renato, ojczy, Renato! Na chrzcie dano mi imię Renato. Nazywam się Renato del Salvador.

- Reubenie ben Szouszan - powtórzył ksiądz, puszczając mimo uszu wyjaśnienia. - Przyznaj się lepiej dla dobra twej nie-śmiertelnej duszy... - zatrzymał się chwilę, a jego palce zaczęły bezgłośnie wybijać jakiś rytm na okrytym czernią stole - no i dla dobra twojego śmiertelnego ciała. Bo jeśli nie wyjawisz przede mną swoich grzechów dobrowolnie, i tak zrobisz to później, w mniej przyjemnych okolicznościach...

Renato poczuł, że gotuje mu się w kiszczkach. Przycisnął do brzucha skute ręce. Odchrząknął z trudem i powiedział chrapli-ym głosem:

- Nie wiem, co takiego uczyniłem w waszej imaginacji...

W kącie sali siedział skryba zapisujący każde słowo. Rena-to słyszał skrzypienie pióra. Przypomniał mu się dom rodzinny i chrobot pióra w ręku ojca. Ale ojciec zapisywał jedynie słowa chwały Pańskiej. Nie tak jak ten człowiek, którego zadaniem było notować rozpaczliwe wyznania i zapewnienia oskarżonych, każ-de ich westchnienie, każdy krzyk.

Spod kaptura dobiegło ciężkie westchnienie.

- Czemu to sobie robisz? Przyznaj się i będzie spokój. Wielu tak uczyniło i odeszło stąd. Czyż nie lepiej nosić przez rok czy dwa znak penitenta San Benito niż zakończyć życie na stosie?

Renato jęknął. Znał ostry odór auto-da-fe". Ostatni raz czuł go pewnego mglistego dnia, kiedy smród palonych ciał zawisł nisko nad miastem. Na stos posłano sześciu. Trzech w ostatniej chwili przyznało się do herezji, więc ich „miłosiernie" uduszono przed rozpaleniem ognia. Pozostałych spalono żywcem, a ich wrzaski wracały do niego w snach. Spod kaptura znów dobiegło zniecierpliwione westchnienie. Białe dłonie zatrzepotały. Z

cienia wyłonił się trzeci mężczyzna, w skórzanej masce.

- Woda - rzucił ksiądz*, a człowiek w masce skinął głową. Wówczas ksiądz wstał i wyszedł. Potężny mężczyzna chwycił Renata, ściągając mu koszulę z ramion. Reuben ben Szouszen spędził młodość na nauce, ślęcząc nad scriptionale, by kiedyś przejąć profesję po ojcu. Ale w ciągu dwóch lat, jakie minęły od chwili, gdy stał się katolikiem, codziennie pracował na powie-trzu, w sadzie albo winnicy ojca Rosy, a gdy tam nie było nic do roboty, tłoczył oliwę. Nigdy nie był specjalnie postawny, lecz te-raz ramiona miał muskularne i opalone. Jednak wobec tego osi-ka w masce czuł się słaby jak dziecko. Na jego piersi i ramionach już widniały siniaki od ciosów zadanych przez alguazila.

Siłacz pchnął go naprzód. Wyszli z czarnej izby i po scho-dach dotarli do izby tortur. Kiedy Renato zobaczył drabinę umo-cowaną przy dużym kamiennym zbiorniku, więzy zakrwawione po „badaniu” poprzednich więźniów i drewniane kołki, które miano mu wepchnąć w nozdrza, poczuł, że nie panuje nad swo-im ciałem. Izbę wypełnił smród.

* * *

Dawid ben Szouszan ubrał się starannie. Włożył najlepszą - co nie znaczy nową - tunikę i udrapował ją fantazyjnie. Ruti pochlipowała, cerując dziurę w jedynych pończochach ojca.

- Daj mi to, głupia dziewczyno - zażądała Miriam, zabiera-jąc córce robótkę. Ręce Ruti, zniszczone pracą przy pergaminach, nie były tak zręczne jak matczyne. Miriam szybko uporała się z cerowaniem, po którym nie było prawie śladu.

- Toca, czyli tortura wodna, podczas której siłą wlewano wodę w gar-dło ofiary - przyp. tłum.

- Trzeba się spieszyć - powiedziała i rzuciła pończochy mę-żowi. - Kto wie, co tam mogą zrobić mojemu chłopcu!

- Ty nie masz żadnego chłopca, kobieto - przywołał ją do po-rządku Dawid. - I nie zapominaj, że po naszym synu odprawili-śmy sziwę. Chcę tylko sprawdzić, co mogę zrobić dla tego obcego człowieka, który wpadł w kłopoty.

- Gadaj zdrów, głupcze - odparła Miriam. - Tylko przestań się już stroić i idź, gdzie masz iść. Proszę cię!

Dawid powędrował wąskimi alejkami do domu brata. Coś trzymało go za gardło. Nigdy wcześniej nie czuł tak dotkliwie swojej biedy. Każdy Żyd i converso wiedział dobrze, że hiszpań-ska Inkwizycja dbała równie gorliwie o czystość wiary, jak i stan królewskiej szkatuły. Na ogół

więźniów Casa Santa zwalniano za solidny okup. W zależności od tego, jak długo tam przebywali, wychodzili na własnych nogach - choć chwiejnym krokiem - lub wynoszono ich na noszach. Ale opuszczali więzienie. Tylko czy Józef zgodzi się wydać poważną sumę na wykupienie bratanka apostaty, którego własny ojciec uznał za zmarłego?

Dawid tak się zatopił w swoim wstydzie i żalu, że z początku nie zauważył zamieszania przed drzwiami domu brata. Józef miał się za wyrafinowanego światowca i dbał, by w jego domostwie panował spokój, a służba zachowywała się cicho i dyskretnie. Ale tego dnia na podwórzu panował zgielk. Zauważywszy to wreszcie, Dawid zaczął się szybko zastanawiać nad możliwą przyczyną takiego stanu rzeczy. Przecież wesele wypadło dopiero w przyszłym miesiącu...

Odźwierny rozpoznał Dawida i gestem zaprosił do środka. Dawid spostrzegł teraz, że ze stajni wyprowadzono najlepsze wałachy, a konie służby i pachołków siodłane są do drogi.

W tej chwili ukazał się Józef. Miał na sobie strój podróżny i pogrążony był w rozmowie ze szczupłym człowiekiem wyglądającym na starego wędrowca. Dopiero po chwili Dawid rozpoznał w nim sekretarza don Izaaka Abravanela. Józef był tak zajęty rozmową, że w pierwszej chwili nie zauważył brata stojącego wśród służby. Ale zaraz potem dostrzegł cichego, pochylonego Dawida - i twarz mu się wypogodziła. Józef ben Szouszan kochał i szanował swego młodszego pobożnego brata, choć pod względem pozycji społecznej dzieliło ich wiele. Starszy z braci wyciągnął więc ręce do młodszego i uścisnął go.

- Bracie, cóż cię do mnie sprowadza z tak grobową miną?

Dawid, który po drodze parokrotnie powtórzył sobie przygotowaną kwestię, nagle zapomniał języka w gębie. Brat był wyraźnie zaaferowany jakimiś pilnymi interesami, a na jego twarzy malowała się troska.

- Mój... to znaczy... pewna osoba doznała krzywdy, wpadła w tarapaty... - wyjąkał.

Na twarzy Józefa pojawił się przez krótką chwilę grymas zniecierpliwienia.

- Tarapaty grożą nam ze wszystkich stron - odparł. - Ale wejdź, proszę, do środka. Szykuję się do drogi. Przekąsimy coś naprędce, a ty powiesz mi, co mogę dla ciebie zrobić.

Dawid pomyślał potem, że ta „przekąska naprędce” byłaby w jego domu prawdziwą ucztą. Podano mięso świeże, a nie solone, do tego owoce, o które trudno było zimą, oraz ciasta.

Gdy wyznał wreszcie, co leżało mu na sercu, Józef pokręcił głową i

westchnął.

- W innych okolicznościach zapłaciłbym okup za twojego chłopaka. Ale dziś, wybac mi bracie, sędzę, że powinniśmy myśleć przede wszystkim o prawowiernych Żydach, a ci, którzy porzucili naszą wiarę, niech sami borykają się z konsekwencjami swojego wyboru. Teraz udaję się w największym pośpiechu do Grenady ze wszystkimi pieniędzmi, jakie udało mi się zabrać. Sekretarz don Abravanela - skłonił się w stronę wyraźnie zmęczono-mego mężczyzny, który wyciągnął się na poduszkach - przywiózł mi co koń wyskoczy bardzo niepokojące wieści. Król i królowa przygotowują edykt o wygnaniu Żydów. Dawid wstrzymał oddech.

- Tak, stało się to, czego obawialiśmy się od dawna. Królowie Katolicy uznali zdobycie Grenady za znak od Boga, że Hiszpania powinna stać się krajem czysto chrześcijańskim. Chcą podziękować Bogu deklaracją, że Hiszpania będzie państwem bez Żydów. Przygotowali plan po kryjomu, ale królowa wyjawiała go swemu staremu przyjacielowi don Seneorowi.

- Ale jak król i królowa mogli powziąć takie postanowienie? Przecież to za żydowskie pieniądze pokonali Maurów!

- Cóż, bracie, byliśmy dojną krową, a teraz, kiedy nasze wymiona wyschły, nadajemy się tylko na rzeź. Don Seneor i don Abravanel gotują się do złożenia ostatniej oferty - nazwijmy to szczerze ostatnią łapówką - by sprawdzić, czy są jeszcze szansę na odwołanie albo chociaż odroczenie królewskiego edyktu. Ale nie mają większej nadziei. Powtórz, proszę - skinął na zdrożonego wędrowca - co królowa odpowiedziała don Izaakowi.

Mężczyzna przeciągnął dłonią po twarzy.

- Mój pan powiedział królowej, że historia naszego ludu uczy, iż sam Bóg karze tych, którzy chcą zniszczyć Żydów. A ona na to, że to postanowienie nie jest wyrazem jej woli ani woli jej małżonka. Z woli Pana decyzja pojawiła się w sercu króla - powiedziała. A serce króla powolne jest Panu, idzie zawsze za Jego wolą...

- Król zaś - wtrącił Józef - obciąża królową. Ludzie z najbliższego otoczenia pary monarszej wiedzą dobrze, że królowa słucha w tych sprawach swego spowiednika, niech jego imię przepadnie na wieki.

- Ale cóż można zaoferować im nowego? Tyle już od nas dostali...

- Trzysta tysięcy dukatów! - rzucił Józef. Dawid skrył twarz w dłoniach.

- Tak, wiem, że to przerażająca suma. Olbrzymia. Jakie jednak mamy wyjście? - powiedział Józef i wziął brata za rękę.

- Rozumiesz więc, dlaczego nie mam na zbyciu żadnej wolnej gotówki?

Dawid pokiwał głową. Razem wyszli na dziedziniec pełen ludzi. Zbrojni

pachołkowie i służący siedzieli już na koniach. Dawid towarzyszył bratu aż do jego wierzchowca. Józef wspiął się na siodło, po czym pochylił się i szepnął bratu do ucha:

- Nie muszę ci chyba mówić, żebyś nikomu nie wspominał o tym, co ode mnie usłyszałeś. Gdyby wieści się rozniosły, wybuchłaby panika. A nie ma jeszcze powodu do łez i rozpacz. Może uda nam się sprawić, że ich królewskie mości znów spojrzą na nas łaskawszym okiem.

Koń Józefa, świeży i wypoczęty, niecierpliwie przebierał końskimi nogami. Józef ściągnął cugle i poklepał brata po ramieniu.

- Przykro mi, że tak się stało z twoim synem - zapewnił.

- Ja nie mam syna - odparł Dawid, ale jego wypowiedziane szeptem słowa utonęły w brzęku podków na kamiennych płytach podwórca. Bramę otwarto i kawalkada ruszyła w drogę.

Przez cztery dni Renato to mdlał, to odzyskiwał przytomność. Budził się z twarzą przyciśniętą do kamiennej posadzki ledwie przykrytej słomą przesiąkniętą uryną i przemieszana ze szczurzymi odchodami. Kiedy kasłał, na palcach zostawały ślady flegmy i krwi. Czuł się tak, jakby jego ciało rozpadało się od wewnątrz. Chciało mu się pić, ale przez długi czas nie był w stanie sięgnąć po dzban z wodą. Później, kiedy zdołał wziąć go w drżące dłonie i podnieść do ust, czuł podczas przełykania dotkliwy ból. W snach widział wciąż siebie przywiązanego do ustawionej pochyło drabiny, a kaskady wody wdzierały mu się do ust, wypełniając boleśnie brzuch.

Renato nie wiedział dotąd, że istnieje tak straszny ból. Po cichu, bo mówić nie mógł, modlił się o szybką śmierć. Ale miodlitwy pozostawały bez odpowiedzi. Budził się, widząc znów w ciemnościach jarzące się czerwono oczy szczurów. Piątego dnia obudził się już całkiem przytomny, a szóstego zdołał nawet usiąść i oprzeć się o ścianę. Teraz nie miał nic do roboty - tylko czekać i wspominać.

Zanim znów pojawił się inkwizytor, w rozwarte siłą usta zdążono mu wlać pięć dzbanów wody. Drabinę wyprostowano, bo krztusił się i charczał, wymiotując wodą. I wtedy Renato przekonał się wreszcie, jakie dowody przeciw niemu zebrano i do czego miał się przyznać. Właściwie dowód był jeden: długi pas skóry, coś na kształt książeczki złożonej w harmonijkę. Ksiądz trzymał go w dwóch palcach, jakby to była jakaś nieczystość. Na pergaminie widniało imię Boże, zapisane pewną ręką ojca.

- Wy, fałszywi conversos, jesteście jak martwe korzenie pasywnie rosnące na zdrowym ciele naszego Kościoła - stwierdził ksiądz. - Odprawiacie po

kryjomu swoje wstrętne modły i brukacie wia-rołomnością naszą świętą wspólnotę...

Renato nie był w stanie odpowiedzieć - ani się przyznać, ani zaprotestować. Na szyi miał lnianą opaskę, krępującą mu gardło. Potem znów pochyłono drabinę i wlano mu w trzewia kolejny dzban wody. Renato myślał, że wnętrzości wypłyną mu przez gardło. Kiedy odzyskał przytomność, był już w celi. Sam.

* * *

Szin. Pe. Kaf

Wylej swój gniew na narody, które cię nie znają...

Nie wiedząc, co dalej począć, Dawid ben Szouszan wrócił do swego scriptionale i do pracy nad Szefach chamatcha. Był już przy końcu hagady. Ale w jego głowie kłębiły się niespokojne myśli. Ręka mu drżała, litery wychodziły niezgrabne. Z głębi domu dochodziło gniewne gderanie Miriam, złorzeczącej jego bratu i niedającej spokoju biednemu Wróbelkowi, który próbował mimo wszystko udobruchać matkę. Dawid nic nie powiedział o misji brata ani o wiszącym nad nimi wszystkim niebezpieczeństwie. Jego myśli biegły od Reubena w domu niewoli do wszystkich hiszpańskich Żydów osaczonych przez nieprzyjaciół, a potem do biednego Wróbelka. Powinien znaleźć jej męża, i to szybko. Jeśli mieli wkroczyć na niepewną drogę wygnania, potrzebowała lepszej ochrony niż mógł dać jej ojciec. Zastanowił się na ewentualnymi kandydatami. Mohel Awram miał syna w odpowiednim wieku. Chłopak jąkał się trochę i był zezowaty, ale miał niezły charakter. Tylko czy Awram przyjmie do rodziny siostrę converso⁷. Szochet Mosze był silnym mężczyzną mającym silnych synów, nadających się na obrońców, ale byli krnąbrni i źle wychowani, a poza tym bardzo lubili - jak ich ojciec - pieniądze, których Dawid nie mógł im dać.

Dawidowi nie przyszło nawet do głowy spytać o zdanie Ruti. Gdyby to zrobił, byłby mocno zaskoczony jej reakcją. Nie zdawał sobie sprawy, że jego miłość do córki szła w parze z lekceważeniem. Uważał ją osobę dziecinną, obowiązkową i uczynną, ale niezbyt lotną. Dawid, jak wielu ludzi, mylił bezwiednie cichość ze słabością.

Tymczasem Ruti miała swoje sekretne życie, którego ojciec nawet nie podejrzewał. Od trzech lat z okładem studiowała Zo-har, Księgę blasku. Sama potajemnie zaczęła zgłębiać kabałę. Były to dla niej studia zakazane z racji młodego wieku i płci. Przyjęło się bowiem, że tylko czterdziestoletni mężczyźni mogli wkraczać na niebezpieczny obszar

mistycyzmu. Kobiety zaś nie miały tam wstępu w ogóle. Ale rodzina Szouszan wydała w swoim czasie paru wybitnych kabalistów, toteż Ruti od dziecka była świadoma roli i znaczenia Zoharu w duchowym życiu ojca. Kiedy w domu Dawida spotykało się wąskie grono zaufanych, by studiować mistyczną księgę, Ruti podsłuchiwała ich dyskusje, z całej siły starając się przy tym nie zasnąć.

Sekretne życie wiodła nie tylko dusza Ruti, ale i jej niezbyt ponętne ciało. Nie mogła się uczyć z ksiąg ojca, bo Dawid nigdy by na to nie pozwolił. Mogła jednak zaglądać do interesujących ją ksiąg w warsztacie introligatorskim, kiedy odnosiła do oprawy prace ojca.

Introligator Micha był młodym jeszcze, lecz przedwcześnie postarzałym mężczyzną o bladych policzkach i przerzedzonych włosach, który wzdrygał się nerwowo za każdym razem, gdy do warsztatu wchodziła jego żona. Była to kobieta flejtuchowata i chorowita. Wydawała się bardzo zmęczona wychowywaniem gromadki dzieci, które nieustannie trzymały się jej spódnicy, krzycząc przy tym wniebogłosy.

Ruti zauważyła, że introligator zaczął patrzeć na nią inaczej, od kiedy powiedziała mu, czego chce. Z początku próbowała mu wmówić, że to ojciec prosi o wypożyczenie ksiąg, ale Micha od razu przejrzał jej kłamstwo. W gminie wszyscy wiedzieli, że choć Dawid ben Szouszan był ubogi, bibliotekę miał nader bogatą. Introligator domyślił się więc, o co naprawdę chodzi Ruti. Miał świadomość, że dziewczyna chce pogwałcić poważny zakaz. Jeśli jednak gotowa jest złamać zasady obowiązujące w tej dziedzinie, to może i w innych sprawach da się ją namówić do grzechu. Pozwolił jej korzystać z ksiąg, ale w zamian ułożył ją na miękkich ścinkach skóry zaścielających podłogę pod stołem służącym mu za warsztat. Wdychała głęboki aromat delikatnych skór, a zręczne palce introligatora dotykały wstydliwych miejsc jej ciała. Na początku była przerażona tą transakcją. Zadrzała, gdy zadarł wysoko szorstką wełnę jej sukni i rozsunął sztywne uda. Ale jego dotyk był subtelny i wkrótce zaczął jej sprawiać przyjemność, której się nigdy wcześniej nie spodziewała. Kiedy wetknął twarz między jej nogi i zaczął ją lizać jak kot, doprowadził Ruti do fizycznej ekstazy, podobnej w dziwny sposób do duchowych rozkoszy, jakich doznawała czytając po kryjomu pożyczone książki.

Szybko doszła do wniosku, że te dwa rodzaje zakazanej przyjemności łączą się w jakiś sposób - skoro kobiecość, która w zasadzie powinna zamknąć Ruti dostęp do kabalistycznych studiów, właśnie je umożliwiła. Poznawszy moc rozkoszy, zrozumiała postępek swojego brata. Może mu

nawet wybaczyła. Zdradził rodzinę i wiarę, to fakt. Ale może gdyby ojciec nie był wobec Reubena tak surowy i wymagający, gdyby wprowadził go wcześniej w tajemnice i piękno Zoharu, brat nie zostałby odstępcą. Tymczasem Reuben wychowywał się wyłącznie na literach Prawa. Co dzień ślęczał nad scriptionale, wykonując najbardziej rutynową pracę, którą ojciec zawsze oceniał źle. Wciąż słyszała głos ojca, zawsze spokojny, nigdy podniesiony, lecz nieodmiennie krytyczny. „Pionowa kreska litery bet powinna być równa długości kresek górnej i dolnej. A u ciebie jest zbyt krótka, widzisz? W tym wierszu. Wymaż i przepisz jeszcze raz... Reuben, musisz już wiedzieć, że dolny lewy róg litery tet jest kanciasty, a prawy zaokrąglony. A u ciebie jest na odwrót. Przepisz jeszcze raz”. Wciąż „przepisz jeszcze raz”.

Ojciec nigdy nie otworzył przed Reubenem drzwi do wspólniałości, jakie kryły się w spisanych czarnym atramentem słowach. Jej zaś umysł był nimi rozpalony do czerwoności. Każda literka była poezją, modlitwą, bramą do Bożego blasku. W każdej literze kryła się jakaś tajemnica.

Czemu ojciec nie podzielił się tym bogactwem z własnym synem?

Kiedy myślała o literze bet, nie zastanawiała się nad dokładnymi proporcjami, lecz rozważała jej znaczenia - jako „dwójki”, domu, domu Boga na ziemi. „Zbudują mi świątynię i zamieszkać w nich”. W nich, a nie w niej. Zamieszka i w niej, w Ruti. Stanie się domem Bożym. Domem transcendencji. Jedna mała litera, a prowadzi do tak wielkiej radości.

Z czasem serce Ruti otworzyło się przed introligatorem, a ich związek stał się głębszy i silniejszy. Gdy Micha zasugerował, by wybrali sobie tajny znak, którym mogliby wyrażać chęć spotkania, zaproponowała właśnie literę bet. Znajdowała ją czasem na brzegu rachunku wystawionego ojcu za oprawę manuskryptu i wiedziała już, że żona Michy wyszła z domu. Tę samą literę stawiała Ruti na marginesie wskazówek, które jej ojciec przysyłał introligatorowi. Dawała w ten sposób znać, że może przyjść do warsztatu. Zastanawiała się, czy i Reuben dawał sekretne znaki swojej ukochanej. Może było to nacięcie na korze drzewa albo serwetka pozostawiona w umówionym miejscu, coś zrozumiałego dla Rosy, która jak większość chrześcijanek nie umiała czytać.

Reuben żył dla tych krótkich wieczornych chwil, kiedy mógł wreszcie opuścić scriptionale, by załatwiać ojcowskie sprawy na mieście. Ruti widziała, jak przestawał się wówczas garbić i stawał się ożywiony.

Zwłaszcza jedno polecenie wywoływało na jego twarzy szczególnie uśmiech. Kiedy wysyłano go po oliwę do ojca Rosy, wiedział dobrze, że spotka uroczą dziewczynę krzątającą się wokół oliwnych drzewek. Ruti

bez trudu odczytywała myśli brata, choć Reuben nigdy się jej nie zwierzał ze swych pożądlivych marzeń.

Później nastąpiła konwersja, a potem ślub i Reuben odsunął się od rodziny. Ruti spotykała go czasem na targowisku. Wiedziała, że powinna ignorować brata, ale jej serce nie było posłuszne nakazom. Dawała się nieść tłumowi w jego kierunku i w tłoku chwytala go za rękę. Na krótko jednak, bo nie chcąc się narażać na krytykę, odsuwała się od brata pośpiesznie.

Pewnego dnia dał jej znać, że chce się z nią spotkać na dłużej. Wymienił miejsce - Esplugiies, czyli wapienne jaskinie na południe od miasta. Jedna z pieczar, głęboka i mało widoczna z zewnątrz, stanowiła ich ulubioną kryjówkę, kiedy byli dziećmi. Później Reuben spotykał się tam z Rosą. Nie wiedział, że Ruti spędza w tym miejscu długie godziny na potajemnych studiach. Podczas pierwszego sekretnego spotkania oboje czuli skrępowanie. Ruti nie mogła się powstrzymać od wyrzutów, że okrył ich rodzinę hańbą. Wiedziała jednak, że w głębi duszy jej brat był do-brym człowiekiem. Większość ciepła, jakiego zaznała w dzieciństwie, pochodziła od niego, nie od kłótliviej matki i zatopionego we własnych myślach ojca. Wkrótce zaczęli się tam spotykać co tydzień. Któregoś wiosennego dnia powiedział jej, że Rosa spodziewa się dziecka. Mówiąc to, miał łzy w oczach.

- Wiesz, dopiero kiedy człowiek sam oczekuje dziecka, jest w stanie zrozumieć ojcowskie uczucia - wyszeptał. Ruti ujęła jego głowę i pogłaskała.

- Czy tata czasami wspomina o mnie? - spytał.

- Nie, nigdy - odpowiedziała najłagodniej jak umiała. - Ale sądzę, że nie ma godziny, żeby o tobie nie myślał...

Przesunęła dłonią po zbielałym nagim kamieniu. Przypomniał starą kość, wyschniętą i porowatą jak pumeks. Cóż - i z nich zostaną kiedyś jałowe kości. Kto wtedy będzie jeszcze pamiętać, że jej brat pozwolił księdzu polać sobie głowę wodą i wypowiedzieć parę łacińskich słów? Ruti czuła w jaskini obecność Boga. Jakie znaczenie miały krople wody i słowa modlitwy wyszeptane przez księdza?

Nagle wpadła na pewien pomysł. Chciała, żeby brat zapamiętał wspólne godziny spędzone z ojcem w obliczu Pana.

- Coś ci przyniosę - obiecała. I dotrzymała słowa tydzień później.

Dawid ben Szouszan patrzył zniecierpliwiony na córkę.

- Wróbelku, potrzebuję twojej pomocy. Zostaw już to szorowanie...

Ruti upuściła szczotkę do cebrzyka i podniosła się z klęczek. Kolana miała

poobcierane do krwi.

- Nie skończyłam jeszcze z podłogą, ojciec - powiedziała potulnie.

- Teraz to bez znaczenia. Mam dla ciebie pilną sprawę do załatwienia.

- Ale mama będzie się gniewać...

- Załatwię to z matką!

W zachowaniu ojca było coś dziwnego, czego wcześniej nie zauważyła. Spoglądał w kierunku bramy.

- Chcę, żebyś zaniósła to introliigatorowi. Otrzymał już ode mnie szczegółowe instrukcje, wie, co ma zrobić. Książka ma być oprawiona przed powrotem don Józefa. Ma wrócić na szabat. Biegnij zaraz, córko. Nie chcę dawać temu leniowi żadnego pretekstu do spóźnienia.

Ruti podeszła najpierw do studni. Szybko, ale starannie umyła i wytarła dłonie. Dopiero później wzięła pakunek owinięty w płótno. Ręce ojca, zwykle tak pewne, teraz lekko drżały. Gdy wyczuła owinięty w materiał metal, od razu się zorientowała, co jest w środku. Polerowała to srebro wiele razy, pilnując, by nie uszkodzić filigranu. Było jedyną drogocenną rzeczą w ich domu. Zrobiła wielkie oczy.

- Co się tak gapisz? To nie twoja sprawa - obruszył się Dawid.

- Przecież to ketuba mamy! - wykrzyknęła.

Ketuba była najpiękniejszą rzeczą, jaką Ruti widziała. Dawid spisał ją sam jako młody sofer, pragnąc, by każda litera była hołdem dla panny młodej, która - jak miał nadzieję - stanie się prawdziwą towarzyszką jego duszy. Gdy ojciec Dawida zobaczył dzieło, poczuł taką dumę z syna, że stracił aż nazbyt wiele czasu i pieniędzy, by zakupić stosowny futerał na ten piękny dokument.

- Ojciec, chyba nie chcesz go oddać introliigatorowi jako zapłatę!

- Skądże! - Dawid czuł wyrzuty sumienia i dlatego próbował przekonać samego siebie. - Moja nowa nagada musi mieć stosowną oprawę. A skąd mielibyśmy wziąć srebro? Introliigator znalazł jakiegoś złotnika spod Tarragony, który za swoją pracę nie weźmie ani grosza, bo chce się wkraść w łaski rodziny Sanz. Podobno czeka w warsztacie Michy!

Początkowo Dawid zamierzał sprzedać futerał na ketubę. Pieniądze przydałyby się na okup za syna. Ale było tam wypisane imię Boże, więc sprzedanie srebrnych ozdób chrześcijaninowi, który najpewniej przetopiłby je na monety, byłoby czynem hańbiącym, a może i grzesznym. Z drugiej strony w samym rdzeniu jego wiary tkwiła fundamentalna zasada, że ocalenie ludzkiego życia ważniejsze jest od wszelkich micwot, czyli przykazań. Później dostrzegł inne wyjście: mógł użyć srebra do ozdobienia ha-gady i w ten sposób świętość nie zostałaby

skalana. A piękny dar otworzy niewątpliwie serce i kiesę brata. Jak więc nie skorzystać z tego pomysłu? Dawid przekonywał sam siebie, że postąpił słusznie. Przynajmniej mógł się trzymać wątpliej nadziei. Jednak ku jego wielkiemu niezadowoleniu Ruti wciąż stała przed nim, trzymając pakunek w wyciągniętej ręce, jakby go chciała zwrócić ojcu.

- Przecież to niemożliwe, żeby mama się zgodziła na coś takiego. Boję się... boję, że będzie na mnie zła...

- Mój Wróbelku, sam wiem, że na pewno będzie zła. Bez dwóch zdań. Ale nie na ciebie. Wiem jednak dobrze, co robię, a ciebie ta sprawa nie dotyczy. A teraz pośpiesz się, bo ten wał-koń będzie się potem tłumaczyć, że spóźnił się z robotą, dlatego że za późno dostał surowiec.

Ojciec nie musiał się jednak martwić z tego powodu. Może i Micha miał swoje wady, ale nieobca mu była zawodowa duma. Zdawał sobie sprawę, że z tekstu i ilustracji dostarczonych przez ben Szouszana może powstać książka wyjątkowej urody. Dzieło podniosłoby jego reputację wśród najzamożniejszych członków gminy żydowskiej. Taka szansa nie trafia się co dzień. Odłożył więc na bok wszystkie inne zlecenia, by poświęcić się hagadzie Dawida ben Szouszana.

Sporządził piękną okładkę z najdelikatniejszej skóry, wytłaczanej w skomplikowane wzory. Pośrodku zostawił wolne miejsce.

Złotnik był jeszcze młodzieńcem, ledwie wyzwolonym na mistrza. Ale miał nie byle jaki talent. Wziął od Ruti paczkę, rozpakował i przyjrzał się futerałowi na ketubę.

- Piękna rzecz - przyznał. - Aż żal niszczyć. Ale obiecuję twojej matce, że zrobię z tego coś, co będzie godne jej poświęcenia.

Miał z sobą mały arkusz pergaminu, który rozłożył teraz na stole. Widniał na nim rysunek medalionu: skrzydło - herb rodziny Sanz - otoczone różami, znakiem rodowym Szouszanów. Miał też szkic dwu pięknych klamer, w których również splatały się pomysłowo skrzydła i róże.

- Będę pracował całą noc, jeśli to konieczne, by książka była gotowa na Erew Szabat*, zgodnie z życzeniem twojego ojca.

Zapakował starannie książkę oraz futerał na ketubę i wkrótce się pożegnał. Chciał dotrzeć do domu przed nocą, gdy bryganci wyruszają na poszukiwanie ofiar.

Ruti udawała, że przygląda się skórom na okładki. Na kawałku pergaminu leżącym na stole zobaczyła bowiem literę bet.

Introligator zamknął drzwi za złotnikiem. Odwrócił się i oblizał wargi. Poczula na plecach jego dłoń, pchającą ją do alkowy. Tu także czuć było woń skór. Odwróciła się i położyła dłonie na lędźwiach kochanka. Potem

ściągnęła z niego fartuch i zaczęła penetrować dłońmi ubranie. Wreszcie poczuła w ustach jego smak - ostry i słony.

Czuła ten smak jeszcze wtedy, gdy stała przed bramą swe-go domu. Była już spóźniona na kolację, ale bała się wejść do środka. Sądziła, że między rodzicami wybuchła awantura. Ale kiedy wreszcie zdobyła się na odwagę i weszła, przekonała się, że matka zrzędziła tylko jak zwykle, narzekając na życiową nie-poradność ojca. Nie było żadnej burzy z piorunami, a tylko zwy-czajne nudne żale. Ruti wpatrywała się w swój chleb, nie śmiejąc spojrzeć na ojca. Zastanawiała się, jakiego kłamstw użył, by spacyfikować matkę. Była tego bardzo ciekawa, ale cóż - są sprawy, o które można zapytać, i takie, które na zawsze muszą pozostać tajemnicą. Ruti dobrze o tym wiedziała. Gdy po raz trzeci wezwano Renata na przesłuchanie, był zbyt słaby, by iść o własnych siłach. Alguaziles wzięli go więc pod ramię i powlekli do ciemnego pokoju pokrytego kirem. Wreszcie usadzili na stołku. Renato poczuł zapach świec i smród własnego strachu.

- Reubenie ben Szouszan, czy przyznajesz się do posiadania rzeczy używanych przez żydów do modlitwy?

Próbował coś powiedzieć, ale z gardła wydobył mu się tylko szept. Chciał wyjaśnić, że nie modlił się jak żyd, co sugerowały filakterie. Porzucił hebrajskie modlitwy w dniu, kiedy opuścił dom ojca. Wprawdzie pokochał najpierw Rosę, a dopiero potem jej Kościół. Kapłan, który go ochrzcił, wyjaśnił mu jednak, że Je-zus często posługuje się ludźmi, a miłość do Rosy jest jedynie pierwszym i bladym przedsmakiem ogromnej słodyczy, jaką da mu Zbawienie. Musiał się mocno natrudzić, zanim uwierzył, że Jezus był rzeczywiście Mesjaszem, na którego czekali Żydzi. Spodobała mu się natomiast od razu wizja nieba, jaką przedsta-wił ksiądz. Ale chyba najbardziej podobało mu się to, że niemal zawsze będzie miał dostęp do ciała żony. Gdyby pozostał Żydem, musiałby zachowywać abstynencję przez niemal dwa tygodnie w każdym miesiącu.

Zachował filakterie nie dlatego, że tęsknił za judaizmem, tylko z tęsknoty za ojcem, którego kochał z całego serca. Go dzień po przebudzeniu i przed pójściem spać zakładał te pudełeczka z zapisanymi paskami skóry na czoło i lewe ramię - nie po to, by się modlić, lecz by pomyśleć przez chwilę o ojcu i uczuciu, z jakim Dawid pokrywał paski pergaminu cytatami z Pięcioksię-gu. Jednak dla Inkwizycji zwykła miłość do jakiegoś Żyda i jego pracy najwyraźniej była przestępstwem.

Pokiwał głową.

- Niech ten protokół świadczy, że Żyd Reuben ben Szou-szan przyznał się

do judaizowania... A teraz przyznaj się, że za pomocą tych przedmiotów sprowadzałeś na złą drogę własną żonę. Pewien informator zeznał, że widział was modlących się razem.

Renato poczuł nową falę strachu. Jego żona. Jego niewinna, nieorientująca się w niczym żona. Pokręcił głową z całą mocą, jaką mógł z siebie wykrzesać.

- Przyznaj się! Przyznaj, że nauczyłeś ją waszych nikczemnych modłów i zmuszałeś, by modliła się razem z tobą. Jest na to świadek!

- Nie! - wycharczał Renato. Wreszcie udało mu się wydobyć z siebie głos.

- To kłamstwo! Odmawialiśmy razem Pater noster i Ave Maria. Tylko to. Moja żona nie miała pojęcia, że przyniosłem do naszego domu żydowskie przedmioty.

- Czy miałeś z sobą te rzeczy, gdy udzielano wam sakramentu małżeństwa?

Renato pokręcił głową.

- Od jak dawna byłeś zatem judaizantem? Otworzył spękane usta i odparł cicho:

- Tylko przez miesiąc...

- Twierdzisz, że byłeś judaizantem tylko przez jeden miesiąc? Skinął głową.

- A kto ci dał te rzeczy?

Renato skrzywił się. Nie przewidział tego pytania.

- Kto ci je dostarczył? Podaj nazwisko!

Renato przytrzymał się stołka. Zakręciło mu się w głowie.

- Podaj nazwisko! Masz jeszcze jedną szansę!

Ksiądz dał znak i do więźnia zbliżył się osiłek w masce. Alguaziles chwycili Renata pod pachy i unieśli ze stołka. Powlekli go na dół mrocznymi schodami. Potem przywiązali do drabiny nad basenem. Kiedy usłyszał, jak wlewają wodę do dzbanów, jego ciałem zaczął wstrząsać szloch. A gdy za pomocą płóciennej opaski rozwarli mu przemocą usta, wycharczał jedno słowo: „Wróbelek”. Gdy alguazil miał zaareztować kogoś w dzielnicy chrześcijańskiej, robił to u schyłku nocy. Wtedy ofiary były najsłabsze, zupełnie zbite z tropu. Nie przychodziło im do głowy, by się bronić ani wzywać na pomoc sąsiadów, co mogło skomplikować sprawę. Na teren żydowskiej gminy Inkwizycja nie wysyłała swoich żołnierzy. Chodziło jej bowiem o wykorzenienie wszelkiej herezji spośród tych, którzy udawali, że przyjęli wiarę Chrystusową. Nie interesowała się natomiast ludźmi, którzy trwali przy swoich starych, błędnych wierzeniach. Zbrodnie Żydów, zadających się z chrześcijanami i

próbujących ich odwieść od prawdziwej religii, leżały w gestii władz świeckich, które posyłały własnych żołnierzy o dowolnych porach dnia i nocy.

Było już dobrze po południu, ale wciąż jasno, gdy spokój domu Dawida ben Szouszana zakłócony został głośnie i zupełnie niespodziewanym waleniem w bramę. W domu był tylko Dawid, bo Miriam poszła do mykwy, a Ruti do warsztatu introli-gatora, by się dowiedzieć, czy praca nad oprawą hagady dobiegła już końca.

Dawid zauważył z niezadowoleniem, że córka znów się spóźniła - jak zwykle zresztą, gdy załatwiała jakieś sprawy dla ojca.

Począł do bramy, wyrażając głośno swoją dezaprobatę. Ale kiedy otworzył i zobaczył, kto stoi na zewnątrz, natychmiast zamilkł. Cofnął się o krok.

Mężczyźni weszli na podwórko. Jeden splunął do studni. Drugi obrócił się powoli i rozmysłem, tak by czubek jego miecza przejechał po ławce, gdzie Dawid trzymał przybory pisarskie. Butelki z atramentem pospadały na ziemię.

- Gdzie jest Ruth ben Szouszan? - zapytał najwyższy ze zbrojnych. -

Dawaj ją nam tutaj!

- Ruti? - odparł z niedowierzaniem Dawid. - To musi być jakaś pomyłka.

Na pewno nie chodzi wam o moją córkę Ruti!

- Przyszliśmy po Ruth ben Szouszan. Gdzie ona jest? Gadaj zaraz!

Mężczyzna kopnął scriptionale wysokim butem.

- Kiedy... jej tu teraz nie ma - wyjąkał Dawid. Włosy zjeżyły mu się ze strachu. - Wyszła załatwić coś dla mnie. Ale czego właściwie chcecie od mojej małej Ruti?

W odpowiedzi otrzymał od żołnierza siarczysty policzek. Zachwiał się i upadł do tyłu. Chciał jęknąć z bólu, ale stracił oddech. Żołnierz pochylił się nad nim, stracił mu z głowy kipę i złapał za kosmyk siwych włosów.

- Gdzie ona poszła? - ryknął.

Dawid zapewnił płaczącym głosem, że nie wie:

- Moja żona też zleciła jej jakieś sprawunki na mieście, nie wiem dokładnie...

Nie zdążył skończyć zdania. Żołnierz znów pchnął go na ziemię, a potem kopnął w skroń.

Dawid poczuł ból i dzwonięcie w uchu. Ta strona głowy zaczęła go piec, a potem zwilgotniała. Krew...

Drugi kopniak ugodził go w szczękę. Zgrzytneły kości.

- Gdzie jest twoja córka?!

Nawet gdyby chciał odpowiedzieć, przez pękniętą szczękę nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Próbował unieść rękę, by osłonić głowę przed dalszymi ciosami, ale nie mógł. Lewa strona ciała była bezwładna. Leżał więc bezsilnie, a krew zalewała mózg, aż pociemniało mu przed oczami. Rosa del Salvador w ostatnich dniach nie sypiała dobrze. Wielki brzuch nie pozwalał na wygodne ułożenie ciała. Tej nocy paliła ją twarz, spoliczkowana wieczorem podczas kłótni z rozwścieczonym ojcem. W końcu zasnęła, ale wkrótce nawiedził ją okropny sen. Zresztą takie sny miewała już od dłuższego czasu. Teraz przyśnił jej się stary koń, zapamiętany z dzieciństwa. Był to czarny wałach z białą gwiazdką między oczami. Koń był już ślepy, ale wciąż chodził w kieracie, poruszając prasę do oliwy. Pewnego dnia upadł bez siły, a ojciec posłał po rzeźnika, który miał go zarznąć. Rosa pamiętała, jak rzeźnik wbił w łeb jej starego przyjaciela stalowy pręt - prosto w tę gwiazdkę między oczami. Zrobił to za pomocą jednego potężnego uderzenia młotem. Jako mała dziewczynka strasznie rozpaczała nad starym koniem. Ale we śnie koń nie chciał zdechnąć, tylko wierzgał i rżał z żelaznym bolcem w ociekającym krwią łbie.

Obudziła się zrana potem. Usiadła w ciemności i nasłuchiwała odgłosów dobiegających z jej rodzinnej masia. W tym chłopskim domu nigdy nie panowała zupełna cisza. Zawsze trzeszczały stare belki, chrapał ojciec opity winem, a wśród wielkich stągwi z ziarnem harcowały myszy. Dźwięki w ciemnościach uspokajały ją zazwyczaj, ale tej nocy było inaczej. Wymasowała sobie brzuch, bo takie koszmary mogły zwarzyć krew w dziecku. Zaczęła się bać, że urodzi jakiegoś potworka. Czemu zakochała się w Żydzie? Ojciec ostrzegał, żeby się miała na bacności.

„Nie ufaj mu - tłumaczył ojciec. - Mówi, że dla ciebie wyrzeknie się swojej wiary. Ale oni tego nigdy nie robią. W końcu będzie miał do ciebie żal, że się wychrzcił, i ta gorycz zatruje wam stare lata”.

Może i tak będzie, o ile dożyją oboje podeszłego wieku. Końcówka małżeństwa często bywa gorzka. Teraz jednak było mocno wątpliwe, czy doczeka z Renatem starości. Ojciec odmówił zapłaćcenia okupu, a bez tego szansę na pomyślny wynik sprawy były nikłe. Błagała go, by zapłacił za życie jej męża, ale w odpowiedzi wymierzył jej policzek, wypominając, że przez głupi upór w kwestii małżeństwa cała rodzina znalazła się w niebezpieczeństwie, bo ich wszystkich zaczęto podejrzewać o potajemne przejście na judaizm. Każdy zazdrosny sąsiad, który miał mniej szczęścia jako producent oliwy, każdy zawistnik, który obserwował piękne sady

starego del Salvadora, mógł na nich wszystkich donieść. W grę wchodził najbłahszy drobiazg - że matka nie podała na stół wie-przowiny, że ojciec zmienił koszulę w piątek, a Rosa trochę za wcześnie zapaliła świece w piątkowy wieczór. Ojciec codziennie zatruwał sobie wieczór, spisując listę ewentualnych donosicieli - konkurentów, handlarzy, z którymi miał zatargi, krewnych, wo-bec których nie był dość szczodry, kiedy znaleźli się w potrzebie. Potrafił zwymyślać żonę za to, że kiedyś, dawno temu, kupiła kosztowne mięso, bo było tańsze niż u chrześcijańskich rzeźników. W takich chwilach Rosa starała się schodzić ojcu z oczu. Kiedyś ją uderzył - miał do niej żal, że nie poroniła. Powiedział też, że ma jeszcze nadzieję, iż dziecko urodzi się martwe. W pewnej chwili zdesperowana Rosa także zaczęła tego pragnąć, ale szybko się opanowała.

Nie mogła zasnąć, więc narzuciła na siebie płaszcz i wymknę-ła się z domu. Potrzebowała świeżego powietrza. Ciężkie drzwi wejściowe skrzypnęły, gdy je otwierała. Powietrze było łagodne - zapach ciężkiej gliniastej gleby zapowiadał wiosnę. Nie wzięła ze sobą lampy. Drogę do gaju oliwnego znała na pamięć - cho-dziła nią prawie codziennie, od małego. Kochała te drzewa, ich sękatą siłę. Niektóre z nich przeżyły nawet uderzenia pioruna. Wyglądały potem jak martwe, ale z nadejściem kolejnej wiosny puszczały nowe pędy i nie poddawały się żadnym przeciwnościom losu. Powiedziała sobie, że powinna być jak te drzewa oliwne. Pogłaskała szorstką korę.

Była jeszcze w gaju, gdy drogą prowadzącą z miasta nad-jechali alguazil i kapitan straży. Skryta w cieniu drzew obser-wowała, jak w jej domu jedna po drugiej zapalają się lampy. Słyszała pełne przerażenia krzyki matki i głośnie protesty ojca, kiedy kapitan zaczął spisywać ich dobytek. Gdyby oskarżenia się potwierdziły, wszystko przepadłoby na rzecz Korony. Rzuci-ła się na ziemię, nagarniając na siebie zeschnięte liście. Obawiała się, że dzięki latarniom zdołają ją wypatrzeć między drzewami. Ale ojciec musiał przekonująco okłamać alguazila co do miejsca jej pobytu, bo wcale jej nie szukali. Patrzyła bezsilnie, jak zabie-rają rodziców. A potem zaczęła biec tym swoim dziwnym rozkołysanym krokiem ciężarnej kobiety. Biegła przez gaje oliwne i pola sąsia-dów. Nie mogła ich prosić o pomoc, bo nie miała pewności, czy to nie oni byli informatorami Inkwizycji. Za sąsiedzkimi polami teren podnosił się gwałtownie w kierunku Esplugiies. Tam mo-gła się ukryć w jaskini, gdzie kiedyś spotykała się po kryjomu z Renatem. Czemu za nim poszła? Czemu ściągnęła tę biedę na całą rodzinę? Dziecko uciskało jej przeponę, nie była w stanie złapać tchu. Na ostrym kamieniu skaleczyła stopę. Czowała zimno,

ale strach gnał ją w stronę jaskiń.

Kiedy dotarła do wejścia do pieczary, upadła na ziemię. Wtedy zabolą ją po raz pierwszy. Z początku myślała, że to wątroba zmęczona szybkim marszem. Ale bóle szybko się ponowiły. Nie było wątpliwości. Zaczęła płakać, ale nie z bólu, tylko z przerażenia - bo oto przychodziło na świat jej dziecko, dziecko którego nie chciała, dziecko, które mogło być potworkiem... A ona była całkiem sama. Znikąd pomocy.

Ruti i Micha byli razem w składziku, kiedy usłyszeli, że ktoś otwiera drzwi do warsztatu. Micha zaklął.

- Zostań tu, tylko siedź cicho! - rozkazał dziewczynie.

Zamknął drzwi i zawiązał fartuch. Uspokoił się i przybrał obojętny wyraz twarzy, by powitać klienta. Ale mina mu zrzedła, gdy okazało się, że do warsztatu wszedł nie klient, lecz żołnierz.

Ukończona hagada, wspaniała, pyszniąca się efektownym medalionem i błyszczącymi klamrami, leżała wciąż na kontuarze, gdzie Micha i Ruti podziwiali ją aż do chwili, gdy owładnęło nimi pożądanie.

Micha grzecznie powitał żołnierza i niepostrzeżenie wsunął książkę pod stertę pergaminu.

Żołnierza nie interesowały jednak żadne książki. Wziął ze stołu grubą igłę i zaczął wygrzebywać sobie brud spod paznokci.

- Ruth ben Szouszan... - wycedził żołnierz.

Micha przełknął ślinę, ale nic nie odpowiedział. Panika sprawiła, że twarz mu stężała, co żołnierz wziął za przejaw umysłowej ociężałości.

- Mów, tępą głowo! Twój sąsiad, handlarz win, powiedział nam, że tu wchodziła.

Nie było sensu zaprzeczać.

- Ta córka sofera? A tak... Była tu z polecenia ojca. Ale poszła sobie... miała sprawę do jakiegoś złotnika, zdaje się, że z Perello...

- Z Perello? Więc poszła tam?

Introligator zrobił głupią minę. Nie chciał zdradzić Ruti, ale też nie był człowiekiem odważnym. Jeśli okłamie władzę i sprawa się wyda... Ale jeśli znajdą Ruti w jego składziku, będzie źle.

- Ona... ona nie zwierza mi się ze swoich planów. Musi pan wiedzieć, szanowny panie oficerze, że niezamężne Żydówki nie rozmawiają z obcymi mężczyznami, chyba że chodzi o jakieś codzienne sprawy do załatwienia...

- A skąd mam wiedzieć, jakie zwyczaje mają te wasze flądry? - odparł żołnierz i skierował się ku wyjściu.

- A czy mogę spytać, panie oficerze, czemu taki dzielny wojak jak pan

interesuje się skromną córką sofera?

Młody żołdak, jak to bywa z mężczyznami w jego wieku, nie mógł się powstrzymać od okazania, jaki jest ważny i groźny. Odwrócił głowę i zaśmiał się złośliwie.

- Może ona i skromna, ale na pewno nie jest już córką sofera. Jej ojczulek jest w drodze do piekła, gdzie dołączy do swojej przeklętej rasy. A córka pójdzie rychło w ślad za nim. Jej brat zeznał, że namawiała go do judaizowania!

Miriam wróciła z mykwy gotowa przyjąć męża jak panna młoda. W ciągu ostatniego roku dostrzegła objawy, które zapowiadały, że już niedługo rytualne ablucje przestaną jej być potrzebne. Wiedziała, że będzie jej tego brakowało - napięcia przymusowej abstynencji i oczekiwania na ponowne zjednoczenie z mężem. Przez minione dziesięć dni, od pierwszego dnia okresu, Dawid i Miriam nie dotykali nawet swoich dłoni, zgodnie ze starodawnymi kanonami małżeńskiej czystości. A dziś wieczorem mieli się znów połączyć. Różniły ich co prawda charaktery, ale fizycznie świetnie sobie odpowiadali, a rozkosz, jaką sobie dawali, nie słabła z upływem lat.

Na zakrwawione ciało męża, rozciągnięte na kamiennych płytach podwórka, nie natknęła się niespodziewanie. Cała ulica słyszała podniesione, brutalne głosy żołdaków. Sąsiedzi od razu zrozumieli, co dzieje się w domu sofera, i gdy tylko żołnierze zniknęli z okolicy, pobiegli do domu Dawida ben Szouszana.

Kiedy Miriam ujrzała swój dom przygotowany do szywy, pomyślała od razu o Reubenie. Po jego chrzcie przesiedziała siedem dni, odprawiając żałobę po tym chłopaku, który przestał być jej synem. Ale teraz matczyne serce zadrżało na myśl, że syn naprawdę nie żyje. Widocznie ojciec porzucił dawną urazę i postanowił urządzić żałobę wedle żydowskiego obyczaju. Nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Sąsiedzi zaraz ujęli ją pod ręce. Stopniowo rozumiała, co się w istocie stało. Ciało Dawida zostało już obmyte i obleczone w białą koszulę. Teraz sąsiedzi owinęli je lnianym prześcierałem i ponieśli na cmentarz. Zbliżał się szabat, a prawo żydowskie nakazywało jak najszybszy pochówek.

Zaraz po pogrzebie męża Miriam zapaliła świecę. Chciała się oddać żałobie. Powodów do rozpaczycy miała aż nadto: mąż nie żył, syn został uwięziony w Casa Santa i pewnie skazą go na śmierć, a córka... Właśnie, gdzie ona się podziewała? Żołnierze byli tak grubiańscy, że zakłócili pogrzeb, rozpytujac żałobników na cmentarzu o Ruth ben Szouszan.

Miriam starała się myśleć jasno: jeśli chodzi o męża, nie da się już zrobić nic poza żałobą. Uwięzionemu synowi mogła pomóc jedynie modlitwą.

Ale z Ruti sprawy miały się inaczej. Mogło nie być jeszcze za późno.

Gdyby córkę udało się odszukać, a potem wyprawić z miasta...

Kiedy o tym rozmyślała, sąsiedzi rozstąpili się nagle, by zrobić miejsce dla przybyłego właśnie Józefa ben Szouszana. Józef był jeszcze w podróżnym stroju i oczy miał zaczerwienione od pyłu drogi.

- Służący opowiedzieli mi, co się stało, ledwie wróciłem do domu, więc nie zwlekałem ani chwili. Nieszczęścia spadają na nas jedno po drugim. Mój bracie Dawidzie! Gdybym wykupił twojego syna, jak mnie prosiłeś, nie doszłoby do tej tragedii!

Miriam odpowiedziała mu z lodowatą szorstkością, która zmroziła go i zaskoczyła.

- Gdybyś wykupił... Ale nie wykupiłeś i stało się, co się stało. Bóg cię osądzi. Ale teraz musisz ocalić naszą Rutę...

- Siostrze - przerwał jej Józef - pójdź ze mną do mojego domu. Zaopiekuję się tobą!

Puste słowa - pomyślała. - Puste, a może i bezczelne. Nie mogła opuścić domu w czasie sziwy. Józef wiedział o tym równie dobrze jak ona. Zresztą - choć była biedna, ani myślała opuszczać własnego domu i związanych z nim wspomnień, by żyć na łasce szwagra. Głos Miriam brzmiał prawie beznamytnie, gdy zaczęła wyliczać swe obiekcje.

- Siostrze - przerwał jej cichym głosem. - Niebawem wszyscy zostaniemy zmuszeni do opuszczenia naszych domów i naszych wspomnień. I wszyscy znajdziemy się na łasce obcych. Przykro mi, że nie mogę ci zaoferować naprawdę bezpiecznego miejsca w moim domu. Mogę ci jedynie służyć opieką na niepewnej drodze, jaka nas czeka.

Powoli i z wyraźnym bólem Józef opowiedział zebranym o wydarzeniach ostatnich tygodni. Po jego relacji mężowie i żony, którzy zazwyczaj nie dotykali się publicznie, padli sobie z płaczem w ramiona. Każdy, kto przechodził wówczas koło domu sofera, myślał sobie: owszem, Dawid ben Szouszan był dobrym i pobożnym człowiekiem, ale kto by się spodziewał, że jego śmierć wywoła aż taką rozpacz? Józef nie powiedział sąsiadom Miriam, prostym handlarzom ryb i gręplarzom wełny o wszystkich argumentach, prośbach i obietnicach, jakimi podczas czterotygodniowej batalii próbowało zmiękczyć serca królewskie. Zapewnił tylko, że przywódcy żydowscy zrobili wszystko, co w ich mocy. O sprawę żydowską walczył przede wszystkim rabbi Abraham Seneor, osiemdziesięcioletni starzec, wypróbowany przyjaciel królowej, który

brał kiedyś udział w sekretnych negocjacjach matrymonialnych z Ferdynandem. Pełnił stanowisko skarbnika królewskiej policji Santa Hermandad i poborcy podatkowego królestwa Kastylii. Seneor był człowiekiem tak bogatym i wpływowym, że podróżował w trzydzieści mułów. Podczas negocjacji z Królami Katolickimi wspierał go Izaak Abravanel, słynny znawca Tory i doradca finansowy dworu. Uzyskał tę godność w 1483 roku, a więc w tym samym czasie, gdy spowiednik królowej Tomas de Torquemada został mianowany Wielkim Inkwizytorem. Torquemada nalegał na wypędzenie Żydów z Hiszpanii. Nie był jednak w stanie przeforsować swego pomysłu, póki trwała rekonkwista, bo para królewska wciąż potrzebowała żydowskich pieniędzy na wojny z Maurami. Żydowscy kupcy zaopatrywali wojska królewskie, nie obawiając się nawet najtrudniejszych górskich terenów. Żydowscy tłumacze, znający biegle język arabski, umożliwiali prowadzenie rokowań z władcami muzułmańskimi. Ale wraz z upadkiem Grenady wojna się skończyła, nie było już muzułmańskich władców, a jeśli chodzi o ludzi wykształconych, znających się na językach i medycynie czy biegłych w rozmaitych rzemiosłach, to było ich pod dostatkiem wśród conversos. Od dnia, kiedy Królowie Katoliccy podpisali edykt o wygnaniu Żydów, do czasu, gdy kazali go wreszcie ogłosić, minęły cztery tygodnie. Przez cały miesiąc nakaz utrzymywano w najściślejszej tajemnicy, co pozwalało Seneorowi i Abravanelowi łudzić się, że para królewska może jeszcze zmienić zdanie pod wpływem ich argumentacji. Codziennie mobilizowali nowe sumy pieniędzy, by pozyskać stronników. W końcu Seneor i Abravanel ukłękli przed królem i królową w sali tronowej pałacu Alhambra. Łagodne światło spływające z osłoniętych alabastrowymi taflami okien znajdujących się za i ponad tronami uwydatniło zmęczone, zafrasowane twarze żydowskich negocjatorów. Po kolei przedstawiali swoje racje.

„Miej na nas wzgląd, królu - prosił Abravanel. - Nie traktuj swych sług tak surowo. Czemu chcesz to uczynić swoim wiernym poddanym? Już lepiej odbierz nam całe złoto i srebro, wszystko, co jest w posiadaniu domu Izraela - ale pozwól zostać w twoim królestwie". Potem Abravanel złożył swą ofertę: trzysta tysięcy dukatów. Ferdynand i Izabela spojrzeli po sobie; wyglądało, że się wahają.

Wtem otworzyły się cicho drzwi. Torquemada, który wszystko słyszał, wkroczył do sali tronowej. W wyciągniętej dłoni trzymał duży złoty krucyfiks.

- Wspomnijcie Chrystusa Ukrzyżowanego, którego Judasz Iskariota

sprzedał za trzydzieści srebrników! - wezwał podnieścionym głosem. - Czy wasze Królewskie Mości chcą Go sprzedać ponownie? Proszę, oto jest! - Postawił krucyfiks na stole przed tronami.

- Weźcie go i przehandlujcie, jeśli taka wasza wola! Obrócił się na pięcie i wyszedł, nie czekając nawet na królewskie pozwolenie.

Abrahan zerknął na swojego starego przyjaciela Seneora i ujrzał na jego twarzy wyraz klęski. Później, już po audiencji, zauważył: „Tak jak żmija traci rozum na głos fletu zaklinacza węży, tak serce króla twardnieje na głos tego łajdaka inkwizytora”.

Introligator Micha pojawił się na szwie jako ostatni z bliższych znajomych Dawida ben Szouszana. Specjalnie poczekał, aż zbliżająca się godzina szabatu skłoni sąsiadów do odejścia. Chciał porozmawiać z Miriam na osobności.

Plan zadziałał. Miriam, która pomimo szczerych zaprosin szwagra nie chciała pójść do jego domu, została sama, nie licząc jednej służącej, przysłanej przez Józefa. Nie była zadowolona, gdy służąca zaanonsowała Michę. Chciała się bowiem zastanowić w spokoju nad przyszłością. Jak miała opuścić dzielnicę żydowską? Przecież to był jedyny świat, jaki знаła. Tu się urodziła. Tu żyli i umarli jej rodzice. Ich kości, a teraz także kości męża spoczywają na tutejszym cmentarzu. Jak można zostawić bez opieki groby najbliższych? W dodatku na łasce chrześcijan! Kiedy Żydzi stąd odejdą, ich cmentarz zostanie na pewno rozparcelowany. Zmarli nie zazną spokoju. A co się stanie ze starcami i ludźmi chorymi, którzy nie mają już siły, by podróżować? Co będzie z kobietami mającymi właśnie rodzić? Pomyślała o żonie swojego potępionego syna. Przynajmniej ona będzie bezpieczna. Będzie mogła urodzić we własnym domu, pod opieką rodziny. Da życie wnukowi lub wnuczce, których Miriam nigdy nie zobaczy. Łzy ciekły jej po policzkach, ale musiała się opanować, skoro zjawił się ten osioł introligator.

Micha złożył zwyczajowe kondolencje, a potem przysunął się do Miriam bliżej, niż nakazywały dobre obyczaje.

- Twoja córka... - wyszeptał jej do ucha, a Miriam zmartwiła, obawiając się nowego ciosu. Micha szybko opowiedział jej o wizycie żołnierza. W innych okolicznościach zastanowiłoby ją od razu, co Ruti robiła w składziku introligatora, skoro miała tylko zapytać, czy ojciec może już odebrać hagadę. Ale smutek i niepokój do tego stopnia zawładnęły jej umysłem, że chciała tylko wiedzieć, co jeszcze Micha ma do powiedzenia. -/Co znaczy „odeszła”? Jak młoda dziewczyna może odejść sama, drogą wiodącą na południe, i to przed samym szabatem. Cóż to za pomysły?

- Twoja córka powiedziała, że zna miejsce, gdzie zdąży się bezpiecznie ukryć jeszcze przed szabatem. Potem przyśle ci jakąś wiadomość. Dałem jej chleb i bukłak z wodą. Powiedziała, że w tym sekretnym miejscu jest żywność.

Powiedziawszy już wszystko, co miał do powiedzenia, Micha pożegnał się i pospieszył wąskimi uliczkami dzielnicy żydowskiej do własnego domu. Miriam tak się zaniepokoiła losem córki - jakież to bowiem sekretne miejsce może znać Ruti? - że zapomniała spytać Michę o hagę.

Sprawy zaś miały się tak, że introligator oddał hagę Ruti na jej stanowcze żądanie. Wracając zastanawiał się, czy postąpił słusznie. Dotarł do drzwi swojego domostwa dokładnie w chwili, gdy ogłaszano początek szabatu. Przenikliwe dźwięki baraniego rogu, szofaru, mieszały się już z płaczem jego dzieci. Zamknął za sobą drzwi, zostawiając na zewnątrz myśli o dziewczynie i jej kłopotach. Miał dość własnych trosk.

Ruti, dochodząc do znanej jaskini, posłyszała cichy płacz, jakby kwilenie. Mimo ciemności pewna była, że nie pomyliła drogi. Tyle razy chodziła tu po nocy, wymknąwszy się z pokoju, w którym spali rodzice, by spędzić parę godzin na tajemnych studiach. Ale te zupełnie niespodziewane dźwięki sprawiły, że zatrzymała się na stromej ścieżce, strącając małą lawinę drobnych kamyczków.

Kwilenie nagle ucichło.

- Kto tu jest? - odezwał się słaby głosik. - Na rany Zbawicielu, pomóżcie mi!

Ruti z trudem rozpoznała głos Rosy. Odwodnienie sprawiło, że język jej zdrętwiał, a strach i ból wyczerpały zupełnie. Od dwudziestu godzin cierpiała w samotności. Ruti wdrapała się do jaskini; pocieszając Rosę, szukała lampy i krzesiwa, które schowała w załomku skały.

Światło wydobyło z ciemności opuszczoną i wycieńczoną postać. Rosa siedziała z kolanami przy piersi, oparta o ścianę jaskini. Miała na sobie zakrwawioną koszulę nocną. Spękanymi ustami prosiła o wodę. Ruti sięgnęła zaraz po bukłak i dała jej pić. Rosa łapczywie przyssała się do bukłaka i po chwili zachłyśnięła się. Zaczęła wymiotować. Znow złapały ją skurcze.

Ruti próbowała zapanować nad własnym przerażeniem. Miała bardzo słabe pojęcie o tym, jak rodzą się dzieci. Matka niewiele jej mówiła o sprawach cielesnych, uważając, że córka ma jeszcze czas, a na bardziej szczegółowe wyjaśnienia przyjdzie pora po zaręczynach. Dzielnica żydowska była przeludniona, domy tłoczyły się jeden przy drugim, więc nieraz słyszała krzyki rodzących i wiedziała, że to bolesny i często

niebezpieczny moment w życiu kobiety. Ale nie sądziła, że taki krwawy. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby otrzeć Rosie twarz, ale pod ręką miała tylko kawałek surowego płótna, w którym trzymała ser. Był to jej zapas na czas nocnych lektur. Gdy uniosła płótno do twarzy bratowej, Rosą znów wstrząsnęły torsje. Ale tym razem nie miała już czym wymiotować.

Noc ciągnęła się bez końca. Wreszcie przyszły ciągle bóle. Rosa krzyczała wniebogłoso, w końcu przez jej zdarte gardło wydobywał się jedynie ochrypły jęk. Ruti mogła tylko obcierać jej spocone czoło i przytrzymywać ramiona, gdy ciałem rodzącej targały spazmy. Czy to dziecko nigdy się nie urodzi? Nie bardzo miała ochotę widzieć, co dzieje się między nogami Rosy, ale gdy znów rozległy się głośne krzyki, uklękła przed tą kobietą, którą pokochał tak mocno jej brat. Myśl o Reubenie, o tym, że może właśnie umiera w więzieniu, dodała Ruti odwagi. Delikatnie rozchyliła kolana Rosy i spojrzała z mieszaniną zgrozy i panicznego lęku. Na zewnątrz przebijała się już mała główka. Przy kolejnym skurczu Ruti pokonała strach i dotknęła główki, starając się jej pomóc w wyjściu na świat. Ale Rosa była zbyt słaba, by przec. Mijały minuty, niemal cała godzina, a nie było żadnego postępu. Trzy istoty znalazły się w pułapce - dziecko tkwiło w łonie matki, Rosa w niemocy, a Ruti w przerażeniu. Zbliżyła się na kolanach do umęczonej twarzy Rosy.

- Wiem, że jesteś zmęczona. Wiem, że cierpisz... ale masz tylko jedno wyjście: jeśli nie zaczniesz przec, umrzesz w tej jaskini.

Rosa zaskomlała i z trudem podniosła rękę, jakby chciała ją uderzyć. Lecz słowa Ruti poruszyły ją i dodały sił. Gdy nadszedł następny skurcz, zdobyła się na ostatni wysiłek. Ruti zauważyła efekt i pomogła wydostać się główce, a potem ramionkom. Nagle dziecko znalazło się w jej rękach. To był chłopiec. Ale ta walka o przyjscie na świat okazała się dla niego zbyt długa. Małe rączki i nóżki opadały bezwładnie, nie słyhać było żadnego płaczu. Ruti z nieskrywanym obrzydzeniem odcięła chłopcu pępowinę małym nożykiem, który nosiła przy pasku, i owinęła dziecko w skrawek materiału, oderwany z własnej peleryny.

- Czy... czy on jest martwy? - wyszeptała Rosa.

- Na to wygląda...

- To dobrze - stwierdziła Rosa.

Ruti powstała z klęczek i przeniosła dziecko w głąb jaskini. Bolały ją kolana, pościerane na kamieniach, ale nie dlatego miała łzy w oczach. Jak matka mogła się cieszyć ze śmierci swego dziecka?

- Pomóż mi! - krzyknęła niespodziewanie Rosa. - Coś tam jeszcze jest. To

potwór! Wychodzi!

Ruti podbiegła do niej. Spojrzała na połyskliwą, kleistą masę i wstrząsnął nią dreszcz. Ale zaraz przypomniała sobie kotkę, która urodziła kocięta w kącie podwórka. Po porodzie wyszło z niej łożysko. Co za głupia przesądna chrześcijańska dziewczucha - pomyślała, dając upust swej złości, ale i zazdrości. Gdyby nie widok umęczonej twarzy, uderzyłaby bratową.
- Wychowałaś się w gospodarstwie, a nigdy nie widziałaś łożyska?
Ruti była tak wściekła, że nie mogła dalej rozmawiać z Rosą. Bez słowa podzieliła mizerne zapasy żywności, jakimi dysponowała. Połowę położyła przy bratowej.

- Skoro tak mało się przejęłaś swoim synem, to chyba nie zrobi ci wielkiej różnicy, jeśli pochowam go po żydowsku? - odezwała się po dłuższej chwili. - Zabiorę jego ciało i złożę w ziemi, kiedy o zmierzchu skończy się szabat.

Rosa westchnęła:

- Skoro nie był ochrzczony, to rzeczywiście niewielka różnica...

Ruti zawinęła resztę swojego jedzenia w strzępy peleryny. Do drugiego tobołka schowała niewielki pakunek zawinięty w skórę. Oba zawiniątka przewiesiła sobie przez ramię i schyliła się po dziecko. Poruszyło się w jej ramionach. Ruti przyjrzała się uważniej i zobaczyła oczy brata - ciepłe, dobre, błyszczące. Nie powiedziała nic Rosie, która zasypiała już zwinięta w kłębek pod ścianą. Wyszła szybko z jaskini. A kiedy znalazła się na ścieżce, ruszyła biegiem, najszybciej jak mogła, bojąc się, że płacz chłopca zdradzi jej tajemnicę.

W niedzielę, zaraz po południowych dzwonach, w całej Hiszpanii odezwały się fanfary królewskich heroldów. Poddani gromadzili się na rynkach, by wysłuchać woli króla Aragonii i królowej Kastylii.

Ruti, ubrana na chrześcijańską modłę, w źle dopasowany strój, który zwędziła ze skrzyni stojącej w sypialni Rosy, przeciśkała się przez tłum na rynku rybackiej miejsciny, aż znalazła się dość blisko herolda, by słyszeć dokładnie jego słowa. Był to długi tekst wyliczający rozmaite podłości Żydów i stwierdzający, że wszystkie podejmowane do tej pory środki, mające chronić lud chrześcijański przed żydowskim zepsuciem, okazały się dalece niewystarczające.

„Rozkazujemy zatem, by (...) wszyscy Żydzi i Żydówki, niezależnie od wieku, którzy żyją, zamieszkują lub przebywają w naszych królestwach i dominiach, do końca lipca tego roku 1492 opuścili nasze królestwa i nie wazyli się do nich wracać na stałe ani na czas krótszy pod karą śmierci". Żydzi mieli zostawić swoje złoto, srebro i szlachetne kamienie. Musieli

przed wyjazdem uregulować zobowiązania, nie mogli natomiast ścigać pieniędzy od swoich dłużników. Ruti stała w ciepłym wiosennym słońcu i czuła się tak, jakby ziemia rozwierała się jej pod stopami. Ludzie wokół wiwatowali, wysławiając imiona Ferdynanda i Izabeli. Jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna.

W miasteczku nie było żadnych Żydów i właśnie dlatego Ruti zdecydowała się tu przywędrować, wzięwszy najpierw co się dało z opustoszałego domu Salvadorów. Nie uważała tego za kradzież, bo wszystko, co zabrała, miało w taki czy inny sposób służyć ich wnukowi. Na miejscu znalazła mamkę dla dziecka i opowiedziała jej jakąś niesamowitą historię o siostrze, która zaginęła w czasie morskiej podróży. Na szczęście kobiecina była mało rozgarnięta i wzięła historyjkę za dobrą monetę.

Kiedy tłum zaczął się rozchodzić, wykrzykując i wyśpiewując antyżydowskie hasła, Ruti przeszła na zacienioną stronę rynku i przysiadła na stopniach fontanny. Każda droga, jaką mogła teraz podążać, wiodła w ciemność. Powrót do domu, do matki, oznaczałby oddanie się w ręce Inkwizycji. Udawanie chrześcijanki też było na dłuższą metę niemożliwe. Tę głupią chłopkę mogła nabrać na byle co, ale wcześniej czy później coś ją zdradzi. A przyjęcie chrztu - do czego namawiali wszystkich Żydów Królowie Katolicy - nie wchodziło w grę.

Długo siedziała przy fontannie. Każdy, kto przyjrzałby się dokładniej tej niezbyt foremnej dziewczynie, zauważyłby, że kołysze się delikatnie w przód i w tył, jakby prosiła Boga o przewodnictwo. Ale Ruti nigdy nie była dziewczyną, na którą ludzie zwracaliby uwagę.

W końcu, gdy promienie zachodzącego słońca zabarwiły kamienie na pomarańczowo, wstała. Ściągnęła okrycie głowy noszone przez chrześcijanki i wyrzuciła do fontanny. Z węzełka, który leżał obok, wydobyla swój szal i wierzchnią suknię z żółtym guzem, świadczącym o wyznawaniu wiary mojżeszowej. Przechodząc przez plac wśród obserwujących ją chrześcijan nie spuściła skromnie oczu, lecz śmiało odpierała niechętnie spojrzenia. I tak dotarła do domku na nabrzeżu, gdzie czekała mamka z dzieckiem.

Gdy słońce zaszło i ciemności skryły ją przed wzrokiem ciekawskich, Ruth ben Szouszan weszła do morza z dzieckiem przy piersi. Kiedy woda sięgnęła jej do pasa, odwinęła dziecko z pieluszek, zarzucając je sobie na ramię. Brązowe oczy chłopca popatrywały na Ruti, a małe piąstki, uwolnione z więzów, były w powietrzu.

- Przykro mi, mój mały - powiedziała cicho i zanurzyła chłopca w ciemnej

wodzie.

Fale obmyły go ze wszystkich stron. Ruti trzymała niemowlę za ramiona. Gdyby poluźniła uchwyt, woda zabrałaby je natychmiast.

Spojrzała na małą postać znów walczącą o przeżycie. Twarz miała zaciętą, choć mokrą od łez. Dzieciak pluskał się dzielnie. Cofająca się fala o mało go nie wyrwała, więc Ruti chwyciła mocniej obie rączki. Gdy wyciągnęła chłopca, krople morskiej wody okryły jego nagą, błyszczącą skórę deszczem świetlików. Uniosła go ku gwiazdom. W głowie słyszała szum głośniejszy od morza. Wykrzyczała pod wiatr słowa skierowane w imieniu dziecka, które trzymała na rękach: Szema Israel, Adonaj Elohejnu, Adonaj echad.

Potem zdjęła z ramienia pieluszki i ponownie owinęła dziecko. W całej Aragonii zmuszano teraz Żydów, by przyjęli chrzest pod groźbą wygnania. A buntownicza Ruti zrobiła z poganina żyda. Ponieważ jego matka nie była Żydówką, to rytualne zanurzenie było konieczne. I dokonało się. Ale nawet teraz, kiedy na moment zawładnęły nią emocje, Ruti nie zapomniała o biegnącym czasie: wiedziała, że w ósmym dniu po narodzeniu trzeba chłopca obrzezać, więc musiała znaleźć kogoś, kto by się tego podjął. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, ceremonia odbędzie się już w ich nowym kraju. Tego samego dnia nada dziecku imię.

Zawróciła do brzegu, przyciskając niemowlaka do piersi. Pamiętała, że ma z sobą także książkę, zawiniętą starannie w skórę. Specjalnie podciągnęła na plecach tłumok z hagadą, by nie dosięgły jej fale. Mimo to parę kropel dostało się do środka. Gdy wsiąkły w pergamin, pozostały po nich słone ślady, które miały przetrwać pięćset lat.

Rankiem Ruti zaczęła się rozglądać za jakimś statkiem. Po drodze zamierzała opłacić srebrnym medalionem, który zdarła z okładki. Nie zastanawiała się, gdzie zejść na ląd - jeśli w ogóle zejść. Cel podróży pozostawiła Bożej opatrności.

Tego wieczoru chciała jeszcze pójść na grób ojca, odmówić kadysz i przedstawić zmarłemu żydowskiego wnuka, który zanieśie jego imię hen, za morze - tam, gdzie z woli Boga zejdzie na ląd.

Rozdział 9

Hanna

Londyn, wiosna 1996

Uwielbiam Tatę. Naprawdę. Chociaż trzeba przyznać, że tutejsza

kolekcja sztuki australijskiej jest raczej skromna. Nie mają ani jednego Arthura Boyda, co zawsze mnie trochę wkurza. Oczywiście poszłam prosto do Sharansky'ego. Czulałam taki przymus. Wiedziałam, że w Tate mają jakieś jego płótno, ale nie mogłam go sobie przypomnieć. Kiedy je odnalazłam, zrozumiałam dlaczego: nie wbija się szczególnie w pamięć. To wczesny obraz niewielkich rozmiarów, nierzucający się w oczy. Daleko mu do siły wyrazu późniejszych dzieł. No cóż - pomyślałam - tak działa Tate: jeśli już mają kupić coś australijskiego, to za małe pieniądze. Ale mimo wszystko to jego obraz. Stałam przed nim i mówiłam sobie: widzisz, to namalował twój ojciec.

Dlaczego mi nie powiedziała? Przynajmniej mogłabym doraźnie ze świadomością tej prawdy. A to wiele by dla mnie znaczyło. Mogłabym przyglądać się pięknu, jakie zamknął w swych dziełach. Mogłabym czuć dumę ze swojego ojca, a nie tłamsić w sobie poczucie zażenowania, kiedy się zastanawiałam, kim on właściwie mógł być. Wpatrując się w obraz, przetarłam oczy rękawem swetra. Ale nic to nie dało, po chwili znów zwilgotniały. Wokół pojawiła się wycieczka angielskich uczennic w blezerach i spódniczkach w kratę. Nie mogłam się dłużej powstrzymać - zaczęłam łkać. Coś takiego przydarzyło mi się pierwszy raz w życiu. Przeraziłam się, a to jeszcze pogorszyło sprawę. Wybuchnęłam głośnym i kłopotliwym szlochem. Oparłam się o ścianę, próbując odzyskać kontrolę. Bez rezultatu. Wyszłam bocznymi schodami, zostawiając mokre plamy na posadzce. Łkałam dalej, trzęsły mi się ramiona. Angole obchodzili mnie szerokim łukiem, jakbym była radioaktywna.

Po chwili podszedł do mnie jeden ze strażników i spytał, czy nie jestem aby chora i czy nie potrzebuję pomocy. Pokręciłam głową i wciągnęłam głęboko powietrze, by powstrzymać płacz. Ale i to nie podziałało. Strażnik położył mi dłoń na ramieniu.

- Ktoś zmarł? - zapytał szeptem, bardzo uprzejmym tonem. Miał silny lokalny akcent. Może z Yorkshire. Kiwnęłam głową.

- Ojciec.

- No tak... to trudna sprawa...

Po chwili podał mi ramię i poprowadził z powrotem w kierunku wystawy. Rozejrzałam się, usiłując znaleźć drogę do wyjścia. Ale zamiast tego trafiłam do sali z obrazami Francisa Bacona. Zatrzymałam się przed płótnem, które zawsze podobało mi się najbardziej. Nie należy do najbardziej znanych dzieł Bacona i nie zawsze jest wystawione. Widać na nim idącego dokądś mężczyznę, pochylonego na wietrze, a na pierwszym planie czarny pies kręci się za własnym ogonem. Jest w tym coś

zło-wieszczego i niewinnego zarazem. Bacon świetnie uchwycił psią mentalność, więcej - obnażył ją. Ale tego dnia, gdy oglądałam obraz załzawionymi oczyma, to nie pies przykuł moją uwagę. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w sylwetkę odchodzącego faceta.

Kiedy nazajutrz obudziłam się w hotelowym pokoju w Blo-omsbury, było mi lekko na duszy. Zawsze podchodziłam sceptycznie do ludzi, którzy twierdzili, że najlepszym sposobem na wszystkie kłopoty jest dobrze się wypłakać. Ale rzeczywiście poczułam się znacznie lepiej. Postanowiłam skupić się na konferencji. Zapowiadało się parę sensownych wystąpień. Trzeba było tylko puścić mimo uszu różne kąśliwe uwagi, jakimi darzono się chętnie w tym zamkniętym środowisku. Angielski świat sztuki przyciąga jak magnes rozmaitych drugich synów zubożałych lordów i panie o nazwiskach w rodzaju Anabelle Jakośtam-Cośtam, poubierane w czarne legginsy i wściekłopomarańczowe kaszmirowe swetry, a do tego pachnące jak mokre labradory. Kiedy jestem wśród nich, wydaje mi się, że nagle przeskoczyłam do wczesnego średniowiecza, gdzie używa się słów, których nikt nie stosuje w żadnym żywym języku, takich jak „bożycze” czy „drużynnik”. W Stanach jest odwrotnie. Pomimo najszczerzych wysiłków muszę się bardzo pilnować, by nie wpaść w coś, co oni nazywają „lingwistyczną akomodacją”. Amerykanizuję na potęgę. Myślę, że mój opór wobec brytyjskiej angielszczyzny bierze się stąd, że posługiwała się nią moja matka, tradycyjny angielski kojarzył mi się więc z jej snobizmem. Kiedy byłam mała, zwracała mi ciągle uwagę: „Hanno, te twoje samogłoski! Brzmiały tak, jakby przejechała po nich ciężarówka. Ktoś, kto cię posłucha, pomyśli zapewne, że posyłam cię do jakiejś ochronki na zachodnim przedmieściu, a nie do najdroższego przedszkola w Double Bay”.

Żeby uciec od chwiejnego nastroju, w który pozwoliłam sobie wpaść, postanowiłam skupić się na pisaniu eseju do katalogu poświęconego hagadzie sarajewskiej. Nie miałam zresztą wyjścia, bo przez te wszystkie bostońskie perypetie zaniedbałam pracę, a zbliżał się ostateczny termin oddania go do druku. Za-przyjaźniona dziennikarka Maryanne, która wybrała się z wizytą do rodziny - gdzieś do krainy Oz czy w inne takie miejsce - za-proponowała mi pobyt w swoim domu w Hampstead, więc zaraz po konferencji zaszłam się tam na parę dni. To był fantastyczny drewniany dom, stojący obok zapuszczonego cmentarza. Rosło przy nim mnóstwo błękitnych pruszników, a z ogrodowego muru zwieszały się kaskadami pnące róże. Stary, skrzypiący budynek miał proporcje jak dla hobbita - z niskimi drzwiami i falistymi sufitami, o które łatwo było rozbić

głowę. Maryanne była niska, w odróżnieniu ode mnie. Biada każdemu, kto miał ponad metr osiemdziesiąt, bo taka była wysokość kuchni. Osoby wyższe musiały chodzić po domu z nieustannie schyloną głową, jak jakieś gnomy.

Pomyślałam, że powinnam zadzwonić do Ozrena i powiedzieć mu, jak stoję z pracą nad esejem, ale kiedy dodzwoniłam się do muzeum, bibliotekarz zbył mnie szorstkim: „Nie ma go teraz”.

- A kiedy może być?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Może będzie pojutrze, a może i nie...

Spróbowałam zadzwonić do niego do domu, ale nikt nie odpowiadał.

Dobrze mi się pisało w gabinecie Maryanne, małym pokoiku na poddaszu. Miałam mnóstwo światła i wspaniały widok na Londyn. W tych rzadkich chwilach, kiedy nie padało i nie było za dużo smogu, widziało się nawet zarysy South Downs.

Byłam dość spokojna o swój esej. Co prawda nie donosiłam w nim o jakichś sensacyjnych odkryciach - o których zresztą zawsze marzyłam - ale czułam, że spostrzeżenia dotyczące skrzydełka niepylaka i brakujących klamer otwierają nowe pola badawcze. Pozostawała jeszcze kwestia białego - może siwego - włosa, wydobytego przeze mnie z oprawy. Swego czasu spytałam o to Amalie Sutter. Powiedziała, że w muzeum jest wielu zoologów, którzy mogliby mi pomóc, ale „tak naprawdę to na włosach znajdują się policjanci”. Uważała, że powinnam się udać do laboratorium kryminalistycznego. Przeczytałam aż za wiele powieści P.D. Jamesa, postanowiłam poczekać z tym do wizyty w Londynie. Zawsze lubiłam, gdy fikcja literacka przenikała się z rzeczywistością.

Szczęście mi dopisało, bo Maryanne miała dobry kontakt w Metropolitan Police. Współpracowała z „London Review of Books” i pisała dużo o Salmanie Rushdii zaraz po tym, jak irańscy ajatollahowie wydali na niego wyrok śmierci. Należała do niewielu ludzi, którym ufał na tyle, by się z nimi regularnie spotykać w ciężkich dla niego latach. Niejako przy okazji Maryanne poznała jednego z policjantów odkomenderowanych do ochrony pisarza. Spotkałam go kiedyś na przyjęciu u Maryanne. Biedak musiał się przez cały czas schylać, bo miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Wyglądał na przystojnego faceta, choć z konieczności niewiele wstawał od stołu. Był tak uprzejmy, że załatwił mi wejście do laboratorium w Metropolitan Police. Maryanne ostrzegła mnie jednak: „Wiesz, to jest niezgodne z przepisami. Powinnaś zachować dyskrecję. Na szczęście pewna policyjna laborantka zainteresowała się tą historią i chce zrobić dla ciebie badania poza godzinami pracy”.

Byłam bardzo ciekawa, czy Ozren miał okazję podążyc śladami niepylaka i sprawdzić, w której z górskich wsi przechowywano hagadę podczas wojny. Gdyby miał jakieś nowe wiadomości, włączyłabym je do mojego tekstu. Tego rodzaju artykuły są zazwyczaj suche jak pieprz. Bardzo techniczne, tak jak raport tego Francuza, który badał hagadę w Wiedniu. Podają liczbę składek i kartek w każdej składce, opisują stan nici, liczbę dziurek i tak dalej. Ja chciałam napisać trochę inaczej. Dać jakieś wyobrażenie o ludziach tej książki, o różnych dłoniach, które ją sporządziły, używały jej i chroniły. Chciałam, żeby to była historia wciągająca, nawet sensacyjna. Dlatego wciąż poprowiałam i redagowałam od nowa fragmenty dotyczące tła historycznego, przeplatając nimi partie typowo techniczne. Próbowałam pokazać, na czym polegała convivencia, epoka poezji tworzonej i recytowanej letnimi nocami w przepięknych, kunsztownie urządzonych ogrodach, epoka, kiedy mówiący po arabsku Żydzi mieszały się z muzułmańskimi i chrześcijańskimi sąsiadami. Chociaż nie znałam losów sofera ani iluminatora, którzy stworzyli hagadę, próbowałam dać jakieś wyobrażenie o tych ludziach, wyjaśniając arkana ich rzemiosła i sytuację społeczną. Potem spróbowałam zbudować pewne napięcie wokół dramatycznych wydarzeń związanych z działaniem hiszpańskiej Inkwizycji i edyktem o wygnaniu Żydów. To miała być naprawdę mocna historia.

W trakcie pisania zadzwoniłam do miejscowego rabina i spytałam o sól - co jest wyróżnikiem jej koszerności.

- Zdziwiłaby się pani, wiedząc, jak wiele osób mnie o to pyta - odpowiedział zmęczonym głosem. - Ogólnie rzecz biorąc, o koszerności nie przesądzają cechy samej soli tylko jej przydatność: czy dobrze nadaje się do przygotowania koszernego mięsa, czyli do usunięcia wszelkich śladów krwi, bo Żydzi, którzy przestrzegają koszeru, nie spożywają krwi.

- Z tego co pan mówi, wynika, że każda gruboziarnista sól, o dużych kryształach, może być koszerna... Nie ma więc znaczenia, czy to sól kamienna, czy odparowana z wody morskiej?

- Właśnie. Nie powinna też zawierać żadnych domieszek, na przykład dekstrozy, której dodaje się przy jodowaniu soli. To może być pewien problem w czasie Paschy, bo dekstrozę uzyskuje się ze zbóż, pszenicy na przykład...

Nie chciałam go dłużej męczyć, więc nie spytałam, dlaczego pszenica nie jest koszerna w czasie Paschy. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo byłam pewna, że w soli pobranej z hagady nie było dekstrozy.

Wykorzystałam jednak fakt, że plamy na pergaminie zawierały sól morską,

jako punkt wyjścia do opisu morskiej podróży hagady, podróży związanej zapewne z wygnaniem. Sięgnęłam nawet do paru tekstów z epoki, opisujących te straszne wymuszone rejsy.

Dotarłam w swoich dywagacjach aż do Wenecji, do tamtejszego Gheta, do cenzurowania książek, zwłaszcza żydowskich, do sieci handlowej i kulturowej wiążącej Żydów z Italią z żydowskimi społecznościami po drugiej stronie Adriatyku. Wspomniałam o przypuszczeniu, że książka mogła trafić do Bośni dzięki wykształconemu we Włoszech kantorowi nazwiskiem Kohen. Tak się zatopiłam w pisaniu - czasem gdy człowiek zaszyje się w jakiejś mysiej dziurze, reszta świata przestaje dla niego istnieć - że mało nie podskoczyłam do sufitu, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Przez okno zauważyłam, że pod domem zaparkował jakiś do-stawczak. Zeszłam więc, łudząc się, że to przesyłka dla Maryan-ne wytrąciła mnie z twórczego skupienia. Ale kurier miał kopertę dla mnie. Podpisałam odbiór i otworzyłam paczuszkę. W środku był list - ekspres - który nadszedł via Boston. Znaleźli mnie na drugim końcu świata.

Zaintrygowana rozerwałam kopertę. W środku był jakiś am-brotyp, a do tego epistoła spisana zamaszystym pismem - od Frau Zweig. Na zdjęciu widniała para w sztywnych pozach: ona się-działa, on stał obok z dłonią na jej ramieniu. Ktoś - Frau Zweig, jak się domyślałam - zaznaczył kółkiem głowę kobiety zwróconej do obiektywu półprofilem. Strzałka wskazywała na jej ucho.

List Frau Zweig nie miał żadnego wstępu, żadnych powitalnych uprzejmości. To było coś w rodzaju cynku:

„Sprawdź to! Czy ta kobieta nie ma w uszach twoich zaginionych klamer? Pamiętasz, co Martell napisał o skrzydłach? Oka-zało się, że Mittl zmarł z powodu zatrucia arszenikiem wkrótce po tym, jak pracował nad hagadą. Miał trypra (w owych czasach miała go co najmniej połowa wiedeńczyków), a mąż tej pani, doktor Franz Hirschfeldt, był specjalistą od chorób wenerycznych. Zdołałam się tego wszystkiego dowiedzieć, bo Hirschfeldta oskarżono o zamordowanie Mittla. Uniewinniono go - bo starał się tylko pomóc facetowi - ale sprawa była swego czasu głośna i ostatnio wypłynęła ponownie na fali badań nad austriackim antysemityzmem. Jak dostaniesz ten list, zadzwoń do mnie”.

Oczywiście zaraz sięgnęłam po telefon.

- Już myślałam, że nigdy nie zadzwonisz. Wiedziałam, że Australijczycy to luzaki, ale żeby do tego stopnia...

Wyjaśniłam, że list dotarł do mnie bardzo okreśną drogą i że otrzymałam

go przed chwilą.

- Jeśli tylko znajdziemy tę drugą część, te róże... Wierz mi, że wciąż prowadzę łowy. To jest znacznie zabawniejsze od wszystkiego, czym się do tej pory zajmowałam...

Spojrzałam na zegarek i zdałam sobie sprawę, że jeśli zaraz nie skończę rozmowy, spóźnię się na spotkanie w Scotland Yardzie. Wylewnie, choć pośpiesznie podziękowałam Frau Zweig. Zakładając żakiet, szukałam jednocześnie numeru, pod którym mogłabym zamówić taksówkę. Na podróż metrem było już za późno. Czekaając na taksówkę, próbowałam się dodzwonić do Ozrena. Chciałam mu przekazać wieści o klamrach i pochwalić się przy okazji, jak dobrze mi się pisze. Ale facet z muzealnej biblioteki był równie mało uprzejmy jak poprzednio: „Nie ma go. Proszę zadzwonić kiedy indziej”.

Zamówiłam jakąś kolorową taksówkę, bo tradycyjne londyńskie czarne taksówki zrobiły się horrendalnie drogie. Jadąc z Heathrow zauważyłam, że licznik nabił równowartość stu dolarów australijskich, choć nie wyjechaliśmy jeszcze z Hammersmith. Wezwane przeze mnie auto okazało się zdezelowanym vanem, ale kierowca wyglądał wspaniale - musiał pochodzić z Karaibów i miał imponujące dredy. Wnętrze samochodu zalatywało gandzią. Kiedy mu powiedziałam, gdzie chcę jechać, zasunął mi taką gadkę:

- To ty jesteś z tego Babilonu?

- Słucham?

- Pytam, czy jesteś psem?

- A, pytasz, czy jestem gliną? Nie, no coś ty... mam tylko interes do jednego gliniarza.

Zatrzymaliśmy się parę przecznic przed właściwym adresem.

- Mają tam tresowane psy - wyjaśnił szofer - mogą coś wywęszyć.

Rozpadało się znowu, ale nie narzekałam, bo zapłaciłam dziesięć funciaków zamiast sześćdziesięciu, które musiałabym wybulić za czarną taksówkę. Londyński deszcz nie przypomina sydneyjskiego. U nas w Australii pada rzadko, a jeśli już, to leje

- ulice zamieniają się w rwące potoki. W Londynie mży na okrągło, ale deszcz jest tak drobny, że nie warto wyjmować parasolki. Wygrałam niejednego drinka, zakładając się z londyńczykami, które miasto ma wyższy średni poziom opadów.

Jakaś kobieta wyglądała już na mnie przy głównym wejściu. Ledwie weszłam po schodach, zapytała:

- Doktor Heath?

Skinęłam głowę. To była tweedowa matrona koło sześćdziesiątki, zbudowana solidnie jak wiejski wychodek. Wyglądała raczej na stereotypową strażniczkę więzienną niż kobietę naukowca. Uścisnęła mi mocno dłoń i obróciła mnie zwrócić z powrotem do wyjścia.

- Jestem Clarissa Montague-Morgan...

Kolejna Jakość-Cość, chociaż bez tego pretensjonalnego mizdrzenia się, no i pachniała chemikaliami, a nie psem.

- Strasznie mi przykro, że nie mogę pani zaprosić do środka - powiedziała, jakbym była do niej zaproszona na herbatkę.

- Ale wie pani, tajemnica służbowa, ochrona dowodów i tak dalej.

Uzyskanie karty gościa jest bardzo trudne, zwłaszcza jeśli nie zostało się wezwany w konkretnej sprawie...

Szczerze mówiąc, byłam rozczarowana, bo chciałam zobaczyć, jak to się robi. Nie ukrywałam tego przed Clarissą Montague-Morgan.

- No cóż, mogę pani opowiedzieć. Przestało już padać, a ja mam kwadrans przerwy.

Wyszliśmy na ulicę. W pobliżu był mały bar kanapkowy, pusty o tej porze. Zamówiliśmy herbatę. W Londynie nawet w skromnych lokalach można dostać przyzwoitą herbatę w dzbanku. Nie to co w Stanach, gdzie nawet drogie restauracje serwują powszechnie herbatę na smyczy.

Ledwie podano nam herbatę - gorącą i bardzo mocną - Clarissa zaczęła opowiadać, jak się przeprowadza badanie włosów. Mówiła krótkimi, jasnymi i bardzo precyzyjnymi zdaniami. Nie chciałabym, żeby zeznawała jako świadek oskarżenia, gdybym stanęła kiedyś przed sądem.

- Przystępując do badania kryminalistycznego, powinniśmy na początku sprawdzić, czy włos jest ludzki, czy też zwierzęcy. To bardzo łatwo rozstrzygnąć. Sprawdza się najpierw zewnętrzną warstwę włosa, jego naskórek. Łuski naskórka włosów ludzkich da się łatwo rozpoznać - są raczej gładkie. Natomiast u zwierząt wyglądają bardzo różnie - niektóre są płatkowate, inne igłowate. W tych rzadkich przypadkach, gdy nie można zidentyfikować naskórka, można zbadać medullę, rdzeń włosa. U zwierząt komórki medulli są bardzo regularne, u człowieka amorficzne. Inaczej ma się również sprawa z pigmentami - we włosach zwierzęcych skupione są w korze, warstwie środkowej, ale bliżej medulli. U człowieka występują przy naskórku. Ma pani ze sobą ten włos do zbadania?

Wręczyłam jej torebkę z włosem. Założyła okulary i podniosła ją do światła.

- Szkoda... - powiedziała.

-Nie rozumiem...

- Nie ma cebulki. A ona dostarcza mnóstwa informacji. No i można z niej pobrać DNA, więc pod tym względem ma pani pecha. Lepiej dysponować włosem z cebulką, który wypadł w naturalny sposób. Ten włos został ścięty... Kiedy wrócę do laboratorium, sprawdzę, co da się z niego wyczytać.

- Czy zdarzyło się pani rozwiązać jakąś zagadkę kryminalną dzięki badaniu włosa?

- O tak, wiele razy. Najłatwiej jest wtedy, gdy znajdziemy włos podejrzanego na ciele ofiary. Wystarczy porównać DNA. Ale ja lubię bardziej zawiłane przypadki. Był taki gość, który udusił swoją byłą żonę. Po rozpadzie małżeństwa przeprowadził się do Szkocji, a ona mieszkała dalej w Londynie. Facet bardzo starannie budował swoje alibi. Twierdził, że cały krytyczny dzień spędził w domu swoich rodziców w Kencie. Oficer śledczy zauważył, że jego rodzice mieli małego jazgotliwego pieska, pekińczyka. Włosy tego psa odpowiadały włosom znalezionym na ubraniu ofiary. Oczywiście nie był to jeszcze rozstrzygający dowód, ale zwrócił uwagę śledczego. Podczas przeszukania domu podejrzanego w Glasgow zauważono, że jedna z grządek w ogródku została świeżo przekopana. Sprawdziliśmy i okazało się, że zakopano tam worek z ubraniem. Było to ubranie, które miał na sobie podejrzan w dniu morderstwa - i na nim także znaleziono włosy pekińczyka.

Clarissa spojrzała na zegarek i powiedziała, że musi już wracać do pracy.

- Przyjrę się temu włosowi wieczorem. Niech pani zadzwoni do mnie do domu koło dziewiątej. Tu jest mój numer. Powiem pani, czego się dowiedziałam.

Do Hampstead wróciłam metrem, bo nigdzie mi się nie spieszyło. Znalazłszy się znów w domu Maryanne, podgrzałam sobie zupę i poszłam do gabinetu, by czytelować artykuł. Postanowiłam sprawdzić, czy Ozren jest już w domu.

Ktoś natychmiast podniósł słuchawkę. Jakiś męski głos - ale nie Ozrena - odezwał się cicho:

- Molim!

- Przepraszam, nie mówię po bośniacku. Czy zastałam Ozrena?

Mężczyzna po drugiej stronie bez trudu przeszedł na angielski, ale mówił nadal tak cicho, że ledwie go mogłam zrozumieć.

- Tak, Ozren tu jest, ale nie może podejść do telefonu. W ogóle nie rozmawia przez telefon. A z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Hanna Heath. Jestem koleżanką Ozrena, to jest...

współpracowałam z nim niedawno.

- Ach tak... To może ktoś inny z biblioteki muzealnej mógłby pani pomóc... Bo co do Ozrena, to moment nie jest dobry. Mój przyjaciel nie myśli teraz o swojej pracy.

- A co się właściwie stało? Coś z Aliją?

W słuchawce usłyszałam długie westchnienie.

- Tak, przykro mi to mówić, ale tak. Dwa dni temu mój przyjaciel miał telefon ze szpitala, że chłopiec dostał wysokiej gorączki. To była sepsa. Zmarł dziś rano. Wkrótce go pochowamy.

Zatkało mnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Arabowie mówią w takich razach: „Niech wszystkie smutki będą już za tobą”. Ale nie miałam pojęcia, jak składają kondolencje muzułmanie w Bośni.

- A z Ozrenem wszystko OK? To znaczy... Znów mnie zgasił.

Najwidoczniej w Sarajewie nie mają zbyt dużo czasu dla sentymentalnych cudzoziemców.

- On jest ojcem, który stracił jedyne syna. Więc nie jest OK. Ale jeśli pani myśli, że zamierza się z tego powodu rzucić do Miljacki, to nie, nie wydaje mi się.

Czułam się przygnębiona, ale ten nieskrywany sarkazm przemienił moje przygnębienie w gniew:

- Proszę pana, nie ma potrzeby mówić do mnie tym tonem. Chciałam tylko...

- Panno Heath... to znaczy doktor Heath, bo ten drugi specjalista od książek powiedział mi, że ma pani doktorat... powinienem o tym pamiętać... Zatem - przykro mi, że wyraziłem się niewłaściwie, ale wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni, no i zajęci przygotowaniami do pogrzebu, a pani kolega jest tu od dłuższego czasu, więc...

- Jaki znów kolega? - tym razem ja mu przerwałam.

- No ten izraelski, doktor Jomtow...

- On jest u was?

- Myślałem, że pani wie... Jest tutaj. Może poprosić go do telefonu?

Mówił, że współpracujecie, że razem zajmujecie się hagadą...

- No tak... w pewnym sensie - wymamrotałam. Może Ami-taj rzeczywiście zostawił mi wiadomość o swoim wyjeździe do Sarajewa, a ktoś z Sydney zapomniał ją przekazać. Może - ale nie bardzo w to wierzyłam. Jego obecność w Sarajewie zbiła mnie z tropu. Co on tam robił? Co robił u Ozrena? Było jednak jasne, że z faceta przy telefonie niczego więcej nie wydobędę. Kiedy zaczęłam mówić, jak bardzo współczuję Ozrenowi, usłyszałam trzask odkładanej słuchawki.

Pomyślałam, żeby polecieć z Londynu do Sarajewa. Zadzwo- niłam do biura podróży, by zarezerwować bilet. Powiedziałam sobie, że robię to, by sprawdzić Amitaja - bo nie nadaję się na chusteczkę do obcierania oczu. Nawet jeśli są to oczy zbolalego ojca.

Ledwie skończyłam rozmowę w sprawie biletu, zadzwonił telefon.

- Doktor Heath? Tu Clarissa Montague-Morgan z pionu śled- czego Metropolitan Police...

- Dobry wieczór. Właśnie miałam do pani dzwonić... Ciekawe, skąd miała mój numer. Ode mnie go nie dostała. Ale widać jeśli pracuje się w Scotland Yardzie, takie informacje są łatwo dostępne.

- Nie ma sprawy. Znalazłam coś ciekawego i chciałam się tym z panią podzielić. Otóż to jest włos kota, nie ma żadnych wątpliwości. Łuski naskórka są bardzo typowe. Ale jest w tym coś dziwnego...

- Co takiego?

- Otóż na naskórku znajdują się ślady jakiejś substancji, któ- re w żółtym świetle wyglądają na resztki farby. Przypominają barwniki używane przez kobiety do farbowania albo rozjaśniania włosów. A pewnie zgodzi się pani ze mną, że koty nie mają na ogół w zwyczaju farbować sobie sierści...

Rozdział 10

Biały włos

Sewilla, 1480

Z moich oczu sączy się smutek i zostawia ślady na wodzie...

Abid bin al-Abras

Nie czuć tu słońca. Choć minęły lata, wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić. U nas w domu żyliśmy w jasnym świetle. Od gorąca piekła się żółta ziemia i schły na wiór strzechy domów. Tutaj kamień i glazura są zawsze chłodne, nawet w południe. Słońce traktuje się jak wroga. Musi sobie szukać drogi przez gęste kraty i witraże, barwiąc je szmaragdem i rubinem.

W takim świetle ciężko mi się pracuje. Muszę ciągle przesuwać pergamin, gonić za uciekającym promieniem światła, a przez to nie mogę się porządnie skupić. Odkładam pędzel, rozprostowuję ręce. Chłopiec obok mnie bez pytania wstaje i idzie po dziewczynę od sorbetu. Jest nowa w domu Netaniela ha-Lewie-go. Ciekawe, jak się tu dostała. Może tak jak ja stanowi prezent od wdzięcznego pacjenta. Jeśli tak, pacjent musiał być naprawdę zadowolony, skoro zdecydował się na tak hojny dar. Jest świetną służącą. Po płytkach podłogi przesuwa się bezszelestnie, jakby ślizgała się po jedwabiu. Kiwam głową, a ona na klęczkach nalewa mi kubek rdzawoczerwonego napoju. „To z granatów” - wyjaśnia. Mówi z dziwnym akcentem. Ma zielone oczy w morskim odcieniu, ale jej cera świadczy, że pochodzi z południa. Kiedy się pochyla, w rozcięciu pod szyją ukazuje się złocistobrązowa skóra w kolorze dojrzałej brzoskwini. Sorbet jest bardzo dobry. Czuć w nim cierpkość świeżych owoców.

- Niech będą błogosławione twoje ręce - mówię, kiedy ona podnosi się z klęczek.

- Niech błogosławieństwa dla ciebie będą obfite niczym deszcz - mruczy w odpowiedzi. Potem widzę, że zerka na moją pracę - i robi wielkie oczy. Jej usta zaczynają drżeć; chyba się modli, choć przez ten obcy akcent nie jestem w stanie nic zrozumieć. Może to modlitwa w języku, którego nie znam? Spoglądam na swój malunek. Istotnie - postać doktora wyszła mi bardzo dobrze. Nawija na palec kosmyk brody. Robi tak zawsze, gdy coś go zainteresuje. Podobieństwo było doskonałe: doktor jak żywy. Nic dziwnego, że dziewczyna tak się zdumiała. Pamiętam własne zdziwienie, gdy Human pokazał mi realizm malowideł, które tak oburzały ikonoklastów. Ale i Human byłby zaskoczony, gdyby zobaczył, co ja teraz robię - ja, dziecko pobożnego muzulmana, służące u Żyda. Nie przypuszczał, że taki los mi gotuje. Ale cóż, do wszystkiego można przywyknąć. Z początku bardzo mnie trapiło, że mój pan jest Żydem. Ale teraz wstydzę się już tylko swojego niewolnictwa. I to właśnie ten Żyd nauczył mnie tak myśleć.

Moja czternasta wiosna przyniosła katastrofę. Jako rozpierzczonemu dziecku możnego ojca nie powstało mi nigdy w głowie, że mogą mnie sprzedać w niewolę. Zanim handlarze niewolników przyprowadzili mnie do Humana, obwieziono mnie po wszystkich chyba dzielnicach rzemieślniczych znanego świata. Zakładali mi worek na głowę, żeby uniemożliwić ucieczkę, ale dźwięki i zapachy mówiły, gdzie jestem. Pamiętam smród kadzi garbarskich, słodką woń trawy esparto, z której wyrabia się espa-dryle, brzęk metalu zdradzający płatnerzy, tępy stukot

warsztatów tkackich.

Wreszcie zaprowadzili mnie do manufaktury, gdzie wytwarzano książki. Strażnik zdjął mi z głowy jutowy worek i moim oczom ukazała się pracownia kaligrafów. Mieściła się na piętrze i była bardzo jasna.

Pracownia miniaturzystów znajdowała się niżej. Gdy strażnik prowadził mnie wśród siedzących skrybów, żaden nie podniósł nawet głowy, by na mnie spojrzeć. Ludzie zatrudnieni w pracowni Humana wiedzieli dobrze, że wymaga się od nich całkowitego skupienia, a wszelkie błędy są surowo karane.

W pokoju właściciela na skraju jedwabnego dywanu drzemała para kotów. Human przegonił je ruchem ręki i kazał mi uklęknąć w tym miejscu.

Powiedział coś ostro do strażnika, a ten przeciął brudny powróż, który krępował mi ręce. Human obejrzał bacznie moje dłonie, zwracając uwagę na miejsca, gdzie sznur poprzecinał mi skórę. Fuknął na strażnika, każąc mu odejść. Potem odezwał się do mnie:

- A więc twierdzisz, że jesteś mussawirem... - jego głos przeszedł stopniowo w szept, przypominający szuranie pędzla po suchym papierze.

- Maluję od dziecka...

- Czyli jak długo? - zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się z rozbawienia.

- Przed końcem ramadanu skończę piętnaście lat.

- Naprawdę?

Wyciągnął rękę i przeciągnął palcem po mojej gładkiej twarzy, bez cienia zarostu. Moja twarz skrzywiła się mimowolnie w grymasie niechęci, a on uniósł raptownie dłoń, jakby chciał mnie uderzyć. Ale zaraz potem opuścił ją i sięgnął do kieszeni sukni. Nic nie mówił, tylko patrzył na mnie, aż zrobiło mi się gorąco na twarzy. Byłoby dobrze przerwać to kłopotliwe milczenie, ale jak?

- Rośliny... najlepiej wychodzą mi rysunki roślin...

Wyciągnął znów rękę. Między kciukiem i palcem wskazującym trzymał woreczek z haftowanego jedwabiu. Wyjął z niego podłużne ziarenko ryżu - taką odmianę cenią w Persji. Podał mi je i zapytał:

- Powiedz, co tu widzisz.

- Usta rozdziawiły mi się ze zdumienia. Na ziarenku wymalowano mecz polo. Jeden jeździec galopował na koniu, wychylając się ku bramce, a inny trzymał w pogotowiu kij. Można było policzyć wstążki w końskiej grzywie i poczuć niemal fakturę brokatowego kubraka jeźdźca. Jakby to wszystko było nie dość zadziwiające, widniał tam także napis:

Jedno ziarno oddaje sens stu zbiorów,

W jednym sercu zawarty jest cały świat.

Human zabrał niezwykle ziarenko i położył mi na dłoni drugiej, całkiem zwyczajne.

- Skoro jesteś taki biegły w malowaniu roślin, to przedstaw tu ogród. Namaluj kwiaty i liście w taki sposób, bym się przekonał o twoich zdolnościach. Masz na to dwa dni. Zajmij miejsce wśród innych. Odwrócił się i uniósł pędzel. Natychmiast pojawił się jakiś chłopiec z czarką szkarłatu płomiennego jak ogień.

Nie będzie chyba dla nikogo zaskoczeniem, gdy powiem, że egzamin skończył się fiaskiem. Przed uwięzieniem całe dni upływały mi na rysowaniu roślin, znanych mojemu ojcu z leczniczych właściwości. Dzięki takim rysunkom uzdrowiciele mogli korzystać z jego wiedzy, nawet jeśli przebywali bardzo daleko, w obcych krainach, gdzie potrzebne rośliny nosiły inne nazwy. Uważałem więc, że moja praca jest nie tylko ciekawa, ale i bardzo pożyteczna. Rozpierała mnie duma, że ojciec mi ją powierzył. Widocznie cenił moje zdolności.

Mój ojciec, Ibrahim al-Tarek, był już starym człowiekiem. W naszym domu znajdowało się wiele dzieci, więc nie mogłem się spodziewać, że wyróżni mnie jakoś szczególnie spośród licz nego potomstwa.

Muhammad, najstarszy z moich sześciu braci, był w takim wieku, że wyglądał raczej na ojca rodziny. W rzeczy samej - jego syn, starszy ode mnie o dwa lata, przez pewien czas był moim głównym dręczycielem, utrapieniem mojego dzieciństwa.

Ojciec był mężczyzną wysokim, choć nieco przygarbionym, i przystojnym, mimo że twarz miał pooraną zmarszczkami. Po wieczornych modłach przychodził na dziedziniec domu i siadał na matach rozłożonych pod tamaryszkiem. Wysłuchiwał raportu kobiet z codziennych zajęć i chwalił ich krzątanie. Wypytywał też o nas, dzieci - jak się sprawujemy i tak dalej. Kiedy moja matka jeszcze żyła, najdłużej gawędził właśnie z nią. Trudno mi było zrozumieć do końca ich rozmowy, ale fakt, że ją wyróżniał, napełniał mnie dumą. Kiedy przychodził, dzieci ściszały głosy i nawet jeśli nie zaprzestawały zabaw, to zachowywały się znacznie spokojniej. Czasami jednak dokazywały dalej, a wówczas ojciec chwycił jedno z nas i sadzał szczęśliwca na macie obok siebie. Zdarzało się, że podczas zabawy w chowanego pozwalał któremuś z nas skryć się w obfitych fałdach swej sukni - i śmiał się razem z nami, gdy ktoś odnalazł tę kryjówkę.

Jego pokoje - skromna izba, w której sypiał, biblioteka zwałona zwojami i kodeksami, pracownia wypełniona retortami i zlewkami -

pozostawały poza naszym zasięgiem. Mnie też nigdy nie przyszłoby do głowy tam wejść, gdyby nie moja jaszczurka. Pewnego dnia uciekła mi z kieszeni i czmychnęła gdzieś do pokojów ojca. Pamiętam dobrze ten dzień. Matka nie żyła już od prawie roku. Inne kobiety z naszego domu były dla mnie dobre, zwłaszcza żona Muhammada z wieku podobna do mamy, ale mimo jej starań moje siedmioletnie serce zżerała tęsknota. Jak zapłacić pustkę po jej stracie? Jaszczurka choć trochę w tym pomagała. Zwierzątko ukryło się pod drzwiami biblioteki ojca. Moja dłoń zamknęła się na jego błyszczącej, jakby lakierowanej skórze. Można było wyczuć mocne bicie małego serduszka. Nagle wymknęło mi się z ręki i zniknęło za drzwiami biblioteki. Ojciec chyba gdzieś wyszedł, więc po krótkim wahaniu moja ręka pchnęła drzwi do zakazanego pomieszczenia.

Ojciec lubił porządek, ale jeśli chodzi o książki, preferował raczej nieład. Miał bowiem specyficzną metodę pracy. Pod jedną ścianą leżały zwoje, poukładane ciasno jeden koło drugiego. Cały ten stos sięgał sufitu i wyglądał z wierzchu jak plaster miodu. Leżały jednak w pewnym porządku, a ojciec miał go w głowie, dzięki czemu bez trudu znajdował potrzebny zwój i rozkładał na pulpicie, przyciskając zwinięte końce łokciami. Mógł tak stać bardzo długo, aż wreszcie unosił ręce i zwój sam się zwijał. Odkładał go na podłogę i podchodził do drugiej ściany, gdzie we wnęce spoczywało sto kilkadziesiąt oprawionych tomów. Przekartkowawszy dany tom, kładł go na pulpicie, notował potrzebny fragment - i książka zaraz lądowała na podłodze. Krążył tak po wielekroć, zostawiając gdzie popadnie wykorzystane dzieła. Pod koniec dnia równie wiele tekstów leżało na podłodze co po ścianami.

Trzeba przyznać, że jaszczurka nie mogła sobie znaleźć lepszej kryjówki. Więc szperam pod ścianą między porozrzucanymi tomami i zwojami, wchodzę na czworakach pod ławkę, gdzie papierów było szczególnie dużo, aż nagle dostrzegam ojcowskie stopy w sandałach. Przerażenie. Może ojciec wszedł tylko na chwilę po jakiś zwój i zaraz sobie pójdzie. Może mnie nie zauważy.

Ale stało się inaczej. Trzymał w ręku jakąś połyskliwie zieloną roślinę. Położył ją na podłodze i rozpoczął swój biblioteczny rytuał. Minęło pół godziny, godzina. Ręce i nogi całkiem mi zdrętwiały, rozboleły plecy - ale poruszyć się przecież nie mogę. Kiedy ojciec pracował, z pulpitu sypały się kartki z zapiskami. Ale nie tylko - tym razem obok mnie spadło pióro, sięgam więc po nie, bo bardzo mi się nudzi. Lubię oglądać pióra, lubię obserwować, jak ze stosiny wyrastają promienie, tworząc wzór równie regularny i celowy jak mozaika w pokoju, gdzie ojciec i starsi bracia

przyjmowali gości.

Zaczynam rysować liść leżącej obok mnie rośliny. Pióro, dobrane umaczane w atramencie, jest świetnie zatemperowane, mogę więc uchwycić całą delikatną budowę liścia. Pióro w końcu wysycha, więc sięgam po kałamarz zostawiony przez ojca beztrąsko na podłodze... Pewnie ten ruch ściąga na mnie jego spojrzenie. Łapie mnie za kark i wyciąga spod ławki. Serce wali mi jak oszalałe. Stoję przed ojcem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie chcę patrzeć na gniew, który z pewnością zagościł na jego kochanej twarzy. Wy-mawia moje imię miękko i bez urazy.

- Przecież wiesz, że nie wolno ci tu wchodzić... Drżącym głosem opowiadam mu o jaszczurce:

- ...jeszcze ją zje jakiś kot...

Ojciec bierze mnie za rękę i klepie lekko po ramieniu.

- Cóż robić, jaszczurce pisany jest jej los, jak każdemu z nas... Ale co to? - z zaciekawieniem spogląda na moją drugą dłoń, w której trzymam wciąż kartkę z rysunkiem. Bierze ode mnie arkusz i przygląda mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę. A potem wypycha mnie delikatnie z biblioteki.

Wieczorem na dziedzińcu staram się ze wszystkich sił zejść ojcu z oczu, mając nadzieję, że zapomni o mojej przewinie. Nie doczekawszy się kary do końca dnia, myślę, że mi się upiekło.

Nazajutrz rano, po porannej modlitwie, ojciec woła mnie do siebie. W żołądku czuję nieznośny, mdlący ciężar. A więc kara mnie nie minie - myślę. Ale ku swojemu zaskoczeniu dostaję piękne pióro, kałamarz i stary zwój, tylko w małej części pokryty pismem.

- Trzeba dużo ćwiczyć, żeby dobrze rysować. Twoje zdolności, jeśli będą rozwijane, mogą mi się bardzo przydać.

Zabieram się zatem ostro do pracy. Każdego ranka po lekcji kaligrafii, gdy kopiowaliśmy cytaty ze świętego Koranu - bo ojciec bardzo dbał, by każde z jego dzieci umiało dobrze pisać - nie marnuję czasu, jak inni, na gry i zabawy, nie biorę się do domowych obowiązków, lecz sięgam po pergaminowy zwój i rysuję, póki mi ręka nie zdrętwieje. Słowa ojca zapadły mi w serce; bardzo chcę mu pomagać. Skończywszy lat dwanaście, radzę już sobie całkiem dobrze. Od tego czasu niemal codziennie pracuje u jego boku, pomagając mu stworzyć książkę, która stanie się cenną pomocą dla lekarzy w kilkunastu krajach.

Późnym popołudniem pierwszego dnia spędzonego w pracowni Humana zdawało mi się, że te wszystkie słodkie lata i nauki z nich płynące

odpłynęły bezpowrotnie. Zmierzchało, a moja drżąca ręka nie potrafiła zrobić ani jednej dobrej kreski. Ogarnęło mnie skrajne przygnębienie, poczucie braku jakiegokolwiek wartości. Łzy zakręciły mi się w zmęczonych oczach, a od głośnego szlochu obudził się człowiek śpiący na sąsiedniej macie. Zorientowawszy się w sytuacji, pocieszył mnie dość wątpliwym argumentem:

- Ciesz się, że nie posłali cię do introligatorni. Tam czeladnicy muszą się nauczyć wyrobu złotych nici tak cienkich, by przeszły przez dziurkę w ziarnku maku.

- Ale Human nie będzie mnie trzymał, jeśli okażę się niezdolny do tej pracy. A przecież nic innego nie potrafię!

Wśród nieszczęśników sprzedanych w niewolę nie brakowało cudzoziemskich chłopców w moim wieku przykutych do wiosł na galerach, wydobywających kamień w spalonych słońcem kamieniołomach albo ryjących w skale w ciemnych kopalniach.

- Nie ty pierwszy nie zdałeś egzaminu, wierzaj mi. Human i tak znajdzie ci jakieś zajęcie.

Tak się też stało. Właściciel pracowni ledwie spojrzał na mój koślawy malunek na ziarnku ryżu. Przydzielił mnie do pracowników zajmujących się gruntowaniem pergaminu. Byli to malarze i kaligrafowie, którym popsuł się wzrok albo zaczęły drżeć ręce. Całe dni upływały mi w towarzystwie zgorzkniałych ludzi, wcierających w pergamin macicę perłową, aż arkusz stawał się zupełnie gładki. Była to strasznie żmudna robota. Po paru dniach zaczęła mi schodzić skóra z palców, a pędzel wypadał z obolałych dłoni. Trzeba było wygnać z głowy wspomnienia o domu i o tym, jak go opuściliśmy, a żony mojego ojca pisały z radości, gdy nasza karawana ruszała w pielgrzymkę do Mekki przy akompaniamencie bębnów i cymbałów. Nie wolno mi było wspominać ostatniego spojrzenia ojca. Ale nie dało się wyrzucić z pamięci jego postaci, siwych włosów poplamionych krwią i bąbelków zakrwawionej śliny, które pojawiły się na jego ustach, gdy po raz ostatni wypowiadał słowa modlitwy. Ani jego przerażonych oczu, kiedy ten Berber zaciskał na mojej szyi ramię grube jak kołnar drzewa. Udało mi się na chwilę oswobodzić, by wykrzyknąć za ojca słowa, których on nie miał już siły wypowiedzieć: „Bóg jest największy, nie ma Boga nad Boga!”. Wtedy spadł na mnie cios, który powalił na kolana, ale nie zamknął mi ust: „W Bogu pokładam ufność!”.

A potem dosięgnął mnie jeszcze jeden cios, znacznie mocniejszy. Kiedy wróciła przytomność, w ustach pojawił się smak żelaza. Rzucono mnie na

wóz, twarzą do dołu, obok rzeczy zrabowanych z naszej karawany. Ruszyliśmy gdzieś na północ. Udało mi się odwrócić głowę i przez szpary w burcie wozu ukazał mi się po raz ostatni ojciec - leżał w strzępach odzieży targanych gorącym pustynnym wiatrem. Strzępy materii były niebieskie, a nad nimi migotały już połyskliwą czernią skrzydła pierwszego sępa.

Gruntowanie pergaminu zajęło mi trzy miesiące. Teraz, kiedy myślę o tamtych dniach bez strachu, że przyjdzie mi spędzić na tej mozolnej pracy resztę życia, muszę przyznać, że nie był to czas stracony. Można się było sporo nauczyć, zwłaszcza od Farisa. Pochodził, jak ja, zza morza, z Ifriki. Ale w odróżnieniu ode mnie wywędrował stamtąd dobrowolnie, by uprawiać swoją sztukę w tej mizernej reszcie, która pozostała z potężnego niegdys państwa al-Andalus. W odróżnieniu od innych byłych mistrzów nie chełpił się wciąż niegdyśiejszymi umiejętnościami. Nie gderał bez przerwy i nie krytykował wszystkich wokół. Oczy Farisa były zaćmione jak zimowe niebo. Zaczął tracić wzrok jeszcze w młodości. Zaciekawilo mnie, czemu nie udał się do jednego z wielkich lekarzy, praktykujących w mieście. Są przecież sposoby, by przywrócić niektórym ślepcom wzrok. Ojciec pokazał mi kiedyś serię obrazków, na których wyobrażono taki zabieg. Oczywiście do przeprowadzenia operacji potrzebny był nie lada mistrz. Ale czasami się udawało.

- Przeszedłem taką operację - odparł Faris. - Nawet dwukrotnie.

Przeprowadził ją osobisty lekarz emira. Ale jak widzisz - bez skutku.

- Bóg spuścił na niego ciemność i nie pozwolił, by ponownie przejrzał!

Musi odpokutować za swoje bezbożne malowidła - wtrącił się do rozmowy stary Hakim, były kaligraf, które chełpił się, że dwadzieścia razy przepisał Koran, a święte słowa zapadły mu głęboko w serce. Może i naprawdę zapadły mu w serce, ale go nie zmiękczyły. Jedyne dobre słowa, jakie wychodziły z jego zmijowatych ust, były fragmentami modlitwy. Poza tym wciąż wylewał z siebie jad. Teraz podniósł się ze swojej maty i wyciągnął palec w kierunku Farisa.

- Chciałeś być twórcą, bawiłeś się w Boga i Bóg cię za to ukarał!

Brała mnie chęć, by zaprotestować, ale Faris pokręcił głową.

- Daj spokój, przemawiają przez niego ignorancja i przesąd. Co innego wychwalać pędzlem piękno Bożego stworzenia, a co innego z Nim konkurować.

Stary Hakim nie dawał za wygraną:

- Ci, co tworzą wizerunki istot ludzkich, to najgorsi grzesznicy! Czy jesteś aż tak zadufany w sobie, by wątpić w słowa Proroka?

- Pokój niech będzie z nim - odparł szybko Faris. - Ani mi się śni wątpić w jego słowa. - Westchnął głęboko. Pewnie nie pierwszy raz musiał prowadzić taką dysputę. - Wątpię natomiast w tych, co bezpodstawnie powołują się na autorytet Proroka. Koran, który nigdy się nie myli, milczy o tych sprawach!

- Nieprawda! - rzucił z wściekłością Hakim. - Czyż Koran nie używa słowa sawwara*, by opisać, jak Bóg formuje człowieka z grudki mułu? Zatem Bóg to mussawir. A ty też uważasz się za mussawira, udajesz Tego, który stworzył nas wszystkich...

- Dosyć! - teraz z kolei Faris podniósł głos. - Czemu nie powiesz temu chłopcu, dlaczego ty tu jesteś? Ręce ci nie drżą, a wzrok masz sokoli. Skazali cię na tę podłą robotę, bo niszczyłeś dzieła malarzy!

- O tak, ukarano mnie, bom wypełniał przykazania Boże! - wykrzyknął Hakim. - Pozbawiałem głów te ohydne, bezwstydnego wizerunki, by ocalić duszę emira! - zarechotał dziko.

Farisa poniosły nerwy. Trząsł się cały, na czoło wystąpił mu pot, którego krople spadały na zagruntowany gładki pergamin, niszcząc wysiłek całego poranka. Strząsnął swoją dłoń ze swego ramienia. Odrzucił w kąt kawałek muszli perłopława, wstał gwałtownie i odepchnął starego Hakima.

Dwa dni później Human posłał po mnie. Po drodze wpadły mi w oczy rzeczy budzące obawę: jasne bryłki lapisu-lazuli ciekające, aż ktoś zmieli je na niebieski pigment, i połyskujące odbitym światłem płatki srebra. W zasłoniętej od przeciągów wnęce jakiś starzec wybierał z kupki motyli skrzydeł drobniutkie kolorowe błonki.

Human kazał mi uklęknąć w tym samym miejscu co poprzednio - na skraju dywanu. Na ramieniu siedział mu jeden z jego kotów. Human zdjął go i przytulił do twarzy, a potem zupełnie nieoczekiwanie podał mi zwierzaka.

- Weź go - powiedział. - Lubisz koty, prawda?

Nie pozostawało mi nic innego, jak skinąć głową i wziąć zwierzę. Moje palce, zniszczone i stwardniałe, zatopiły się w miękkiej sierści. Kot wydawał się duży, ale w istocie był drobny, tylko .). otulony bujnym futrem. Human dobył ostry nóż i wyciągnął go w moją stronę.

Sawwara (arab.) - „zawrzeć, nadać kształt" (przyp. tłum.)

Miauknął najpierw - jakoś tak po dziecięcemu - a potem zwinął się w kłębek na moim podolku.

Cóż to? Chyba nie chciał śmierci tego kotka? Moja twarz musiała

zdraǳać rozterkę, bo zmarszczki wokół oczu Humana pogłębiły się na moment.

- A jak myślisz, skąd bierzemy to delikatne włosie do najlepszych pędzelków? - spytał kpiąco. - Koty są na tyle uprzejme, że dzielą się z nami swoją sierścią.

Wziął na kolana drugiego kota, a kiedy ten zwinął się w kłębek, ściał mu nie więcej niż pięć czy sześć włosów z podgardla.

Tymczasem kot na moich kolanach przeciągał się i wiercił. Ściągnął mi przy tym rękaw koszuli aż do łokcia.

- Twoja skóra... - powiedział cicho Human, wpatrując się uważnie. Położył mi dłoń na przegubie i nie pozwolił opuścić rękawa. Nadal wpatrywał się we mnie jak w przedmiot. W ten sam sposób mój ojciec przyglądał się różnym wrzodom, zapominając o ludziach, którzy zostali nimi dotknięci. Po jakimś czasie znów przemówił, choć raczej do siebie niż do mnie:

- To kolor błękitnego dymu... nie, raczej kolor dojrzewającej śliwki, jeszcze z dymnym nalotem... Było mi głupio.

- Siedz cicho! - rozkazał. - Muszę uchwycić ten kolor.

Trzeba więc było siedzieć bez ruchu aż do zmierzchu. Gdy się ściemniło, odprawił mnie szorstko. Po co właściwie mnie wezwał?

Nazajutrz Human wręczył mi nowe pędzle, które kazał sporządzić z kocich włosów. Miały różną wielkość i grubość. W paru był tylko jeden włos - służyły do malowania najdelikatniejszych kresek. Dał mi też kawałek zagruntowanego gładkiego pergaminu.

- Namaluj portret - powiedział. - Możesz sobie wybrać dowolnego modela z mojej pracowni.

Przyszedł mi na myśl chłopak, który pomagał złotnikom. Wydawało mi się, że jego gładka twarz o migdałowych oczach najlepiej odpowiada obrazowi idealnego młodzieńca, jaki pojawiał się w wielu pięknych książkach. Ale Human ledwie rzucił okiem na portret. Wstał i dał mi znak, by pójść za nim.

Prywatne pokoje właściciela znajdowały się niedaleko pracowni, z którą łączyły się sklepionym korytarzem. Weszliśmy do obszernej komnaty, wysłanej dywanem i poduszkami zdobionymi brokatem. W rogu stało kilka niewielkich skrzyń na książki. Human uklęknął przy najpiękniejszej i uniósł rzeźbione wieko. Wyciągnął ze środka niewielką książkę i rozłożył z wielką ostrożnością na pulpicie do czytania.

- To jest dzieło mojego mistrza, perły tego świata, prawdziwego maulany* delikatnego pędzla. Otworzył książkę.

Ilustracje wręcz migotały światłem i ruchem. Coś niebywalego. W

jednym niewielkim obrazku malarz potrafił zawrzeć świat pełen najprawdziwszego życia. Podpis wykonano w języku perskim, niezrozumiałym dla mnie, ale ilustracja była tak wymowna, że komentarz stawał się zbędny.

Scena przedstawiała książęce wesele. Uczestniczyło w nim ze sto postaci, a każda była inna. Próżno by szukać nawet dwóch identycznych turbanów - wszystkie wyróżniały się oryginalną tkaniną i specyficznym sposobem wiązania. Podobnie z szatami - każda miała odmienny fason, kolorystykę i hafty. Patrząc na postaci kręcące się wokół pana młodego, niemal słyszało się szelest jedwabiu i łopotanie adamaszku. Zgodnie ze zwyczajem malarze ujmowali twarze ludzkie z profilu albo z przodu, ale ten mistrz nie przejmował się żadnymi konwencjami. Wiele osób pokazał z półprofilu, niektóre z uniesioną brodą, inne pochylone w ukłonie.

* Maulana (arab.) - „nasz mistrz” - przyp. tłum.

Jednego mężczyznę namalował odwróconego plecami do widza, tak że widać mu było tył ucha. Ale najbardziej zdumiewało to, że każda twarz była inna, jak w życiu. A w oczach dawało się niemal czytać myśli namalowanych ludzi. Niektóre postacie promieniały dumą z zaproszenia na tak świetną uroczystość. Inne zdawały się nieco zgorzone ostentacyjnym przepychem. Ktoś zerkał na księcia z jawną niechęcią. Jeszcze inny wykrzywił twarz w lekkim grymasie, jakby cisnęły go nowe buty.

- Widzisz, co potrafi prawdziwy mistrz? - odezwał się w końcu Human. Trudno było oderwać wzrok od obrazka.

- Wydaje mi się... Wydaje mi się, że te postacie żyją własnym życiem, że są bardzo cielesne. Mogłyby wyjść z obrazka i stanąć koło nas...

- Właśnie! - stwierdził Human. - A teraz wyjaśnię ci, dlaczego ta książka należy teraz do mnie, a nie do księcia, dla którego została sporządzona. Przewrócił kartkę. Następny obrazek był równie efektowny, co sugestywny. Ukazywał pochód weselników odprowadzających pana młodego do domu panny młodej. Ale mój zachwyt szybko zmienił się w konsternację, bo na szyi każdej przedstawionej postaci widniała krwistoczerwona kreska.

- Ci, co to zrobili, zwą siebie ikonoklastami albo obrazoburcami. Uważają, że wypełniają wolę Bożą.

Zamknął książkę, nie mogąc patrzeć na ten akt barbarzyństwa.

- Czerwone kreski miały symbolizować poderżnięte gardła. Chodziło im o

to, by symbolicznie pozbawić życia namalowane postacie, aby dłużej nie współzawodniczyły z Bożym stworzeniem. Pięć lat temu banda takich fanatyków opanowała tę pracownię i zniszczyła wiele pięknych dzieł. Dlatego teraz nie malujemy żadnych portretów. Ale mimo wszystko chciałbym sprawdzić twoją rękę. Bo widzisz, ja cenię podobieństwo, realizm w malarstwie... Rozumiesz mnie?

Zależało mi bardzo, by nie oblać drugiego egzaminu. Twarze wszystkich ludzi pracujących dla Humana były mi dobrze znane, ale która z nich najlepiej nadawała się na model do portretu? Najbardziej charakterystyczne i najmocniejsze w wyrazie było oblicze starego człowieka wydobywającego barwy z motyli skrzydełek. Poza tym ten staruszek pracował w wielkim skupieniu, prawie się nie poruszając, co ułatwiało malowanie.

Malowanie zajęło trzy dni. Chodziło mi o to, by bardzo uważnie przyjrzeć się modelowi - i zrobić to tak, jak w przypadku malowanych przeze mnie kiedyś roślin. A więc bez nawiązywania do znanych mi wcześniej wzorców. To była próba spojrzenia na modela jak na kompozycję jasnych i ciemnych plam, kształtów wyraźnych i rozmytych. W mojej głowie powstała siatka dzieląca twarz na pola o różnych właściwościach i znaczeniu.

Ale nim udało mi się namalować coś, co miało w sobie choć trochę życia, wiele arkuszy papieru musiało powędrować do kosza. Wreszcie Human wziął portret z moich drżących dłoni. Nic nie powiedział i wyraz jego twarzy się nie zmienił, ale nie odrzucił malowidła. Przyjrzał mi się uważnie i tak jak przy pierwszym spotkaniu wziął mnie pod brodę.

- Widzisz, otwiera się przed tobą zupełnie niespodziewana szansa, z której mam nadzieję, potrafisz skorzystać... Otóż emir potrzebuje mussawira do swojego haremu. Taka osoba musi być oczywiście eunuchem, więc lepiej, jeśli będzie chłopcem, który, tak jak ty, nie osiągnął jeszcze wieku męskiego...

Co takiego?! W głowie mi zawirowało i szum stłumił dalsze słowa Humana:

- To oznacza życie w luksusie, a kto wie, jakie wpływy zdołasz osiągnąć... tutaj twoja przyszłość jest niepewna... o takiej karierze marzyłoby wielu malarzy wcale nie gorszych od ciebie...

Zrobiło mi się słabo. Moja dłoń wyciągnęła się machinalnie ku brzegowi stołu Humana... Niestety ten rozpaczliwy gest sprawił tylko, że wywróciły się czarki z farbami. Niebieska fala chlusiła na podłogę. Nieprzyjemne przebudzenie przyszło na dywanie w prywatnym pokoju

Humana.

- Wydaje mi się, że nie będziemy musieli fatygować rzezaka. Jak to dobrze, że tak nas nabrałaś... - powiedział.

Czułam suchość w gardle. Próbowалаm coś powiedzieć, ale nie mogłam. Human podał mi kielich. W środku było wino. Wypięłam jednym haustem.

- Spokojnie, dziecko. Muzułmańskie córki Ifriki nie piją tak łapczywie. Zwłaszcza wina. A może i co do swego wyznania nas okłamałaś?

- Nie ma Boga nad Boga, a Mahomet jest jego prorokiem - wyszeptałam.

- Aż do dzisiaj nie miałam wina w ustach. Wypięłam, bo... bo czytałam, że dodaje odwagi.

- Odwagi ci chyba nie brakuje. Trzeba jej mieć sporo, by żyć wśród nas w takim oszustwie. Jak się tu dostałaś w chłopięcej dzellabie?

Human dobrze wiedział, że zostałam sprzedana do pracy przez Bana Marina, który porwał mnie z karawany pielgrzymów.

- Mój ojciec chciał, żebym się przebrała zaraz po wyjeździe z naszego miasta - odparłam. - Uważał, że będzie mi wygodniej pokonać pustynię jadąc wierzchem u jego boku niż spędzić cały czas w zasłoniętym palankinie. Mówił też, że w chłopięcym przebraniu będę bezpieczniejsza - i dalsze moje losy potwierdziły, że miał rację. Aż do dzisiaj...

Mówiąc to, poczułam, że wspomnienia znów chwyają mnie za gardło.

Zakręciło mi się w głowie. Human położył mi dłonie na ramionach i popchnął łagodnie na poduszki. Popatrzył uważnie i pokręcił głową.

- Zawsze uważałem się za człowieka spostrzegawczego. A teraz, gdy znam prawdę, nie mogę się nadziwić, gdzie ja miałem oczy. Chyba się starzeję.

Jeszcze raz przesunął dłonią po mojej twarzy, ale teraz jego dotknięcie było delikatne jak mgiełka. Koszulę miałam rozpiętą. Bez trudu mógł zauważyć moje piersi. Sięgnął po nie.

Znacznie później, kiedy potrafiłam już o tym pomyśleć bez zbytecznych emocji, pocieszałam się myślą, że mogłam zostać zgwałcona wcześniej i w znacznie gorszych okolicznościach. Prawdę mówiąc, spodziewałam się tego od chwili, gdy ujrzałam tych berberyjskich jeźdźców na szczycie wydmy. Złote ręce Humana nie zostawiły żadnych śladów przemocy.

Kiedy się broniłam i wyrywałam, przygwoździł mnie zrezygnowanym chwytem, nie raniąc ani nie sprawiając ostrzejszego bólu. Nawet gdy wszedł we mnie, zrobił to w miarę łagodnie. Szok był większy od bólu. Teraz sądzę, że w istocie cierpiałam mniej niż wiele pańien młodych w noc poślubną. Ale kiedy pozwolił mi w końcu wstać i poczułam tę wilgoć

na udach, upadłam znowu na kolana - i zwymiotowałam na jego piękny dywan. Human westchnął wówczas głęboko i wyszedł bez słowa. Gdy zostałam sama, płakałam przez dłuższy czas, rozpamiętując długą listę swoich życiowych niepowodzeń - od śmierci matki przez tragiczną śmierć ojca aż do chwili, gdy znalazłam się w niewoli. A teraz zostałam obrabowana w nowy, najbardziej dotkliwy sposób. Przez chwilę pocieszałam się myślą, że ojciec nie doczekał mojej hańby. Ale potem doszłam do wniosku, że umierając wiedział, co mnie czeka w niewoli. Eunuch, którego przysłał Human, był bardzo młody. Jego widok przypomniiał mi, że istnieli ludzie jeszcze bardziej pokrzywdzeni przez los niż ja. Był Persem i nie mówił po arabsku. Human wziął to pewnie pod uwagę, przysyłając właśnie jego. Eunuch dyskretnie zwinął i wyniósł zanieczyszczony dywan i wrócił ze srebrnym dzbanem. Po chwili przyciągnął też balię wypełnioną ciepłą wodą różaną. Gestem dał mi do zrozumienia, że pomoże mi w kąpieli, ale odprawiłam go stanowczo. Sama myśl, że ktoś miałby mnie znów dotykać, budziła we mnie wstręt. Eunuch przyniósł mi suknię, bym się mogła przebrać, i zabrał moje stare rzeczy. Trzymał je w wyciągniętych rękach, jakby śmierdziały. Może i tak było.

Tej nocy nie mogłam spać. Dopiero kiedy niebo zaczęło jaśnieć, zdałam sobie sprawę, że Human nie wróci - i poczułam wielką ulgę. Zapadłam wreszcie w niespokojny sen, wypełniony dziwnymi widzeniami. Śniło mi się, że jestem w domu i słucham, jak mama nuci przy swoim warsztacie tkackim. Ale kiedy pociągnęłam ją za rąbek sukni, by zwrócić na siebie uwagę, odwróciła ku mnie twarz nie ze zwykłym cierpliwym uśmiechem, lecz z jakimś trupim grymasem. Jej martwe, obojętne oczy prześzywały mnie, jakbym w ogóle nie istniała.

Ten sam perski chłopak obudził mnie rano, przynosząc nowe ubranie. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Czy zostanę oda-liską, skoro już wcześniej Human chciał mnie posłać do haremu? Ale przyniesione ubranie było zupełnie zwyczajne. Muszę przyznać, że prosta suknia z różowego jedwabiu pasowała do mojej karnacji. Był też szal z tunezyjskiego szyfonu w odcieniu ciemniejszego różu, który złożyłam we dwoje, by zakryć nim włosy. Dostałam również czarny haik* z najcieńszej wełny merynosów, którym mogłam się okryć od stóp do głów.

Ubrałam się i siadłam na dywanie, czując, że znów ogarnia mnie rozpacz. Już miałam się rozpłakać, gdy usłyszałam głos Hu-mana. Stał na zewnątrz, prosząc, bym mu pozwoliła wejść. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Poprosił jeszcze raz, nieco głośniejszym głosem. Ale i tym

razem nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

* Marokańskie określenie jedwabnego, bawełnianego lub wełnianego okrycia całej postaci kobiecej; odpowiednik perskiego czadom - przyp. tłum.

- Przygotuj się! - powiedział głośno i po chwili odciągnął zasłonę w drzwiach.

Ogarnął mnie paniczny lęk. Odsunęłam się w głąb pokoju.

- Uspokój się. Pewnie nie zobaczymy się więcej. Jeśli będziesz miała jakieś problemy związane z pracą, sprawami technicznymi czy materiałami, pisz do mnie. O ile pamiętam, umiesz pisać... czy tak? Przysyłaj mi też od czasu do czasu próbki swoich prac. Jeśli trzeba, udzielę ci rad w miarę możliwości. Prześlę ci je listownie. Co prawda daleko ci do mistrzostwa, ale zajmiesz stanowisko, które należy się najlepszym. Bez względu na to, co do mnie czujesz, nie umniejszaj umiejętności moich ani swoich. Nasze dzieła przetrwają po nas. Pamiętaj o tym. To znacznie ważniejsze od jakichś... osobistych uczuć czy uprzedzeń.

Chlipnęłam sobie mimowolnie. Human skrzywił się i powiedział chłodnym tonem:

- Czy myślisz, że jesteś jedyną kobietą, która trafiła tu związana i poniżona? Sama żona emira przekroczyła bramę tego miasta w łańcuchach, prowadzona przed koniem człowieka, który został jej mężem. Nie musiał mi o tym opowiadać. Skandal z piękną branką emira był tematem niezliczonych plotek, opowiadanych chętnie przez zgorzkniałych zawistników, którzy gruntowali pergaminy. Słuchałam ich opowieści, bo dotyczyły pośrednio pewnych aspektów mojego własnego losu. Wydawało się, że każdy miał coś do powiedzenia na temat żony emira.

W początkach swego panowania emir z wielkim rozgłosem odmówił zapłacenia zwyczajowej daniny Kastylijczykom. „Królewskie mennice produkuje tylko miecze” - oświadczył. Zaczęły się utarczki i wzajemne najazdy. W trakcie jednego z wypadów emir zdobył chrześcijańskie miasteczko, z którego uprowadził córkę miejscowego poborcy podatków. Nikt z muzułmanów nie miał mu tego za złe. Sam prorok Mahomet brał sobie za żony chrześcijanki i żydówki z podbitych ziem. Branki trafiały do haremów, a wzięte gwałtem kobiety stawały się nieraz legalnymi żonami. Szokujące było co innego - wywyższenie nowej branki ponad pierwszą

żonę emira, sewilską szlachciankę, matkę dzie-dzica. Kobieta wypędzono z pałacu do domu za murami miasta, gdzie - jak powiadano - zaciekle intrygowała, przeciągając na swoją stronę Abu Siradża, znanego z religijnej żarliwości. Konflikt rychło wykroczył poza mury haremu, a nawet miasta. Po-wiadano, że chce na nim skorzystać królestwo Kastylii. Po chwili zjawił się perski eunuch z dwoma pucharami sorbetu. Human dał znak, bym wzięła jeden.

- Emir wydał mi stosowne rozkazy, a ja chcę, żeby obyło się bez żadnych nieporozumień. Jak wiesz, emir często wyprawia się z miasta, by walczyć z niewiernymi. Wyznał mi, że podczas takich wypraw brak mu widoku małżonki, chce więc mieć przy sobie jak najwierniejsze wizerunki, które mogłyby złagodzić tęsknotę. Portrety, które namalujesz, będą oglądane jedynie przez emira i tylko podczas jego nieobecności w mieście. Nie będą zatem narażone na ataki ikonoklastów. Nikt też nie oskarży cię o odstępstwo od nakazów wiary.

Przez większą część tego wyvodu wpatrywałam się w swoje ręce zaciśnięte wokół pucharu, bo nie mogłam znieść widoku twarzy Humana. Ale teraz raptownie podniosłam wzrok, on zaś odpowiedział mi spojrzeniem, jakby zachęcając, bym się ode-zwała. Zobaczywszy jednak, że nadal milczę, podał mi haik.

- Załóż to teraz. Czas już, bym zabrał cię do pałacu.

Matka nauczyła mnie chodzić w okryciu tak, jakbym płynęła nad ziemią, ale po tylu miesiącach udawania chłopca zapomniałam tej sztuki. Kiedy szliśmy zatłoczonymi uliczkami medyny, potknęłam się parę razy. Kupcy przed karawanserajem wyglądali w swych letnich szatach jak barwna łąka, pełna kwiatów. Niektórzy mieli na sobie perskie pasiaste lny. Ifrikijczycy paradowali w dzellabach barwy szafranu i indygo. Tu i ówdzie widziało się Żydów w żółtych spodniach i obowiązkowych turbanach. W oślepiającym słońcu dotarliśmy wreszcie do pałacu. Jego ściany były niegdyś, przed stuleciem, białe, ale zabawiły się od żelazistej ziemi, nabierając ciepłego odcienia marzanny. Zerkałam ciekawie niezastłoniętym oknem i dostrzegłam inskrypcje wyryte na wielkiej sklepionej bramie. Było ich mnóstwo, ale wszystkie o identycznej treści: „Tylko Bóg jest zwycięzcą”. Przekroczyłam olbrzymie drewniane wrota pałacu, zdając sobie sprawę, że mogę już stąd nigdy nie wyjść. Jakaś staruszka o twarzy spękanej jak koryto wyschniętej rzeki wprowadziła mnie do ko-biecej części pałacu.

- Więc to jest ta al-Mora? - spytała staruszka. A zatem w swoim nowym życiu nie będę miała nawet imienia. Będę tylko „Mau-ryjka”.

- Tak - potwierdził Human. - Niech wam służy dobrze.

Oddał mnie jak zwykle narzędzie. Powiedział co prawda „do widzenia”, ale nie odpowiedziałam ani słowem. Ledwie staruszka zamknęła za nim drzwi, poczułam przemożną chęć ucieczki. Gotowa byłam chwycić się jego dłoni i błagać, by zabrał mnie z pałacu, którego mury wydały mi się nagle więzieniem.

Od czasu gdy dostałam się do niewoli, mój umysł podatny był na wszelkie strachy. Można powiedzieć, że karmił się lękiem. Wciąż myślałam o grożących mi cierpieniach i poniżeniach. Starucha zdjęła ze mnie haik i oddała go ślicznemu chłopczykowi, siedmio- lub ośmioletniemu, który trzymał się jej boku. Dała mi znak, żebym zdjęła również sandały. Na podłodze czekały już na mnie haftowane pantofle. Potem skinęła dłonią, bym poszła za nią. Ruszyliśmy przez komnaty, których wspaniałości nie oddadzą nawet słowa poetów.

Z początku miałam wrażenie, że ściany się poruszają, a sufity zniżają ku mnie. Mimowolnie wyciągnęłam rękę nad głowę i zamknęłam oszołomione oczy. Kiedy je otworzyłam, starałam się utrzymać wzrok na jakimś wyrazistym elemencie wystroju, choćby na płytkach pokrytych niebieskozieloną, brązową, czarna i liliową glazurą, ułożonych tak zmyślnie, że przypominały sztuczne ognie wybuchające na dolnych częściach ścian. Odzyśkawszy równowagę, mogłam się przyjrzeć sufitom, a właściwie obszernym kopułom, z których zwieszały się kaskady stiukowych sopli.

Szliśmy przez niekończące się komnaty, piękne i na różne sposoby zdobione. Co pewien czas do staruszki podbiegała na palcach jakaś służąca, by zamienić parę słów i obrzucić mnie ciekawskim spojrzeniem. W miękkich pantoflach przemierzałyśmy bezszelestnie labirynty smukłych kolumnad i mijałyśmy długie baseny, gdzie w nieruchomej wodzie odbijały się niezliczone inskrypcje ze ścian i sufitów.

W końcu zaczęłyśmy się wspinać po kamiennych schodach do górnej części pałacu. Im wyżej, tym schody były węższe. Kiedy dotarłyśmy na miejsce, staruszka dysząc ciężko oparła się o ścianę i pomiędzy fałdów sukni wyciągnęła duży mosiężny klucz. Otworzyła drzwi i weszłyśmy do środka. Był to okrągły pokój o białych ścianach, pozbawionych prawie dekoracji, z wyjątkiem pięknie rzeźbionych i malowanych kamiennych łuków nad parą okien umiejscowionych wysoko na drugim końcu.

Wyposażenie też było skromne: mały dywanik modlitewny bardzo pięknej perskiej roboty, niewielka otomana z poduszkami, niski stoliczek wyłożony macicą perłową, półka na książki, rzeźbiony kufer z drewna

sandałowego. Podeszłam do okna. Żeby wyjrzeć na zewnątrz, musiałam stanąć na palcach. Ale widok był bardzo przyjemny: na dole rozciągał się ogród pełen drzew owocowych. Rozpoznałam figowce, brzoskwinie, migdałowce, pigwy i wiśnie. Drzewa rosły tak gęsto i miały tyle owoców, że nie widać było ziemi.

- Odpowiada ci? - odezwała się wreszcie stara kobieta. Głos miała skrzeczący, jak to bywa na starość, ale uprzejmy. - Powiedziano mi o twoim zadaniu, więc pomyślałam, że ten pokój pozwoli ci na spokojną pracę. Stoi pusty od czasu, gdy prawowita żona emira opuściła pałac.

- Tak, ten pokój jest bardzo dobry - zapewniłam.

- Przyślę ci dziewczynę z czymś orzeźwiającym. Powiedz jej, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Da się tu spełnić większość twoich życzeń. Odwróciła się na pięcie, zmierzając do wyjścia. Zatrzymałam ją jednak, nie mogąc opanować ciekawości.

- Powiedz mi proszę, jeśli wolno o tym mówić, dlaczego kobięca część pałacu jest prawie pusta?

Staruszka westchnęła i przyłożyła dłoń do skroni.

- Mogę usiąść? - spytała i nie czekając na odpowiedź klapnęła na otomanę. - Chyba od niedawna jesteś w mieście... Zjawiała się w trudnym czasie. Emir myśli tylko o dwóch rzeczach - o wojnie z Kastylią i o tej nowej dziewczynie, która nosi teraz imię Nura. - Oczy staruszki, tkwiące głęboko w pomarszczonej twarzy, przyglądały mi się badawczo. - W swoim szaleństwie oddalił pierwszą żonę, kuzynkę Sahar, wraz z całym jej dworem. Emu1 nie ufa nikomu. Wie, że jego żona to intrygantka. Oddalił też konkubiny i dał je swoim ulubionym oficerom, żeby nie stały się narzędziem w rękach Sahar i jej syna Abu Abd Allaha, który chce pomścić zniewagi, jakich doznała matka.

Nura przybyła tu oczywiście bez niczego, jedynie w porwanej sukni, w której przygnano ją do pałacu. Dostała parę służących -mnie i kilka nieobytych dziewczyn z jakichś dzikich plemion...

Zdumiało mnie, że staruszka mówiła tak otwarcie. Pod ścianą stał wciąż chłopiec w turbanie. Starowina zauważyła mój niepokój.

- Nie przejmuj się nim. To brat Nury. Mieli go oddać do zabawy starym rozpustnikom, ale przez wzgląd na siostrę emir zabronił go dotykać.

Teraz uczę go na pazia.

Westchnęła znowu, ale w jej oczach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Myślisz, że jestem cyniczna? Może, ale kiedy widzi się tych wielkich panów zięjących pożądaniem jak psy, człowiek nabiera dystansu. Byłam

konkubina dziadka obecnego emira. Stary cap zalatywał już trupem, kiedy wziął mnie do swojego łoża. A tego - skinęła w stronę sali tronowej - karmiłam własną piersią. Znam go od urodzenia. Wyrósł z tego szczeniaka krwawy tyran. Wymordował wszystkich rywali do tronu. A teraz, kiedy ma już władzę, wystawia na niebezpieczeństwo całe miasto, bo świerzbi go między nogami!

Machnęła ręką i zamilkła na chwilę. Potem dodała:

- Pewnie wprawiłam cię w zakłopotanie. Nie miej mi za złe mojego ostrego języka. Na starość człowiekowi nie chce się już owijać w bawełnę. Jest jak jest - i już! Sama się przekonasz. Jutro przyjmie cię nowa żona emira. Przyślę dziewczynę, żeby cię do niej zaprowadziła.

Chciałam jej podziękować za szczerość, ale uświadomiłam sobie, że nie wiem, jak się do niej zwrócić.

- Przepraszam, a jak ci na imię? Staruszka zachichotała.

- Pytasz o moje imię? Mam tyle imion, że sama nie wiem, które ci podać. W zamierzchłych czasach, kiedy stary emir był jeszcze na siłach, by się ze mną zabawiać co noc, nazywałam się Muna. Potem dla silnego syna, którego urodziłam, byłam Umm Harb. Ale syn zginął od miecza na rozkaz swojego mlecznego brata. Teraz nie bardzo chcą wymawiać to imię - staje im w gardle - więc nazywają mnie po prostu Kebira.

Czyli „stara”. Tak jak ja byłam tylko Mauryjką. Nie byłyśmy osobami. Raczej zwierzętami domowymi. Przez moment ujrzałam swoją własną przyszłość w tym wspaniałym więzieniu, kiedy po latach nędznej służby będę już stara, zniszczona - i bezimienna. Myśl ta odmalowała się widać na mojej twarzy, bo Kebira podeśzła do mnie i objęła kościstym ramieniem.

- Bądź ostrożna, córko - szepnęła i wyszła cicho z pokoju. Za nią jak cień podążył chłopiec. Obudził mnie rano delikatny zapach róż, który przybrał na sile, gdy słońce rozgrzało grube mury pałacu. Ten zapach do dziś kojarzy mi się z rozpaczą. Wstałam z otomany, umyłam się, ubrałam, odmówiłam modlitwę - i zaczęłam czekać. Jedna dziewczyna przyniosła mi ciepłej wody do mycia, inna zjawiała się z tacą, na której przyniosła sok z moreli, parujący chleb, talerz kremowego jogurtu i kilka fig. Zjadłam ile mogłam i czekałam dalej. Bałam się wyjść z pokoju, bo wezwanie od emiry mogło przyjść w każdej chwili.

Ale minęła pora modlitwy południowej, a potem wieczornej - i nic.

Przygnębiona położyłam się spać. Nazajutrz też mnie nie wezwano.

Dopiero na trzeci dzień zjawiała się Kebira z nieodłącznym paziem.

Staruszka tym razem nie dowcipkowała. Była wyraźnie poruszona.

- Emir postradał rozum - zaczęła szeptem, choć w opustoszałym pałacu mało było chyba chętnych do podsłuchiwania. - Ujeżdżał tę swoją emirę przez całą noc i skończył dopiero po modlitwie porannej, kiedy musiał iść na spotkanie z dostojnikami. Załatwił z nimi co trzeba, a potem kazał im zostać i udać się wraz z nim na dziedziniec, na jakieś „piękne przedstawienie”, jak się wyraził. I co się okazało? - szept Kebiry przeszedł w syk. - Tym „przedstawieniem” miało być oglądanie jego żony biorącej kąpiel.

- Na miłość Boską! - wykrzyknęłam. Oglądanie przez mężczyznę cudzej nieosłoniętej żony było czymś skrajnie nieprzyzwoitym, zniewagą, której nie puszcza się płazem. Ale celowe wystawianie ciała żony na widok innych mężczyzn wprost nie mieściło się w głowie. Co za hańba! - Który muzułmanin mógłby się zdecydować na coś takiego?

- Zapytaj lepiej, jaki mężczyzna mógłby wpaść na taki pomysł. Tylko urodzony prostak i cham! Dostojnicy byli przerażeni. Sądzieli, że pokaz stanie się dla emira pretekstem, by ich zgładzić. A co do emiry... Sama się przekonasz, jaka jest. Emir już wie, że przybyłaś do pałacu. Chce, żebyś namalowała ją razem z nim, jak figlują w łóżu. Jutro rano, po modlitwie porannej.

- Ależ to niemożliwe! - zaprotestowałam.

- Niemożliwe czy możliwe, masz to zrobić i tyle. Był wściekły, że do tej pory nikt im nie zrobił takiego portretu. A teraz idź za mną.

Za drzwiami czekał już piękny paż z pudełkiem farb, przysłanym przez Humana.

Kiedy dotarłyśmy do komnat emiry, Kebira zapukała do drzwi i powiedziała głośno:

- Przeprowadziłam ją.

Otworzyła nam służąca, która umknęła od drzwi tak prędko, że mało mnie nie potrafiła. Połowę twarzy miała zaczerwienioną, jakby ktoś ją przed chwilą spoliczkował. Kebira popchnęła mnie do środka, a za mną wśliznął się chłopiec z farbami.

Zdałam sobie sprawę, że Kebira nie weszła do środka. Przeraziłam się. Najwidoczniej nie miała zamiaru mnie przedstawić ani w jakikolwiek sposób ułatwić pierwszego spotkania z emira. Dosłyszałam tylko, jak zamykają się za mną drzwi.

Emira stała do mnie tyłem. Była wysoką kobietą w suto haftowanej szacie, spływającej ciężko z ramion aż do ziemi. Włosy - jeszcze wilgotne po kąpieli - opadały jej luźno na plecy. Dziwił mnie ich kolor - bo nie były w jednym odcieniu, lecz w wielu: matowe złoto mieszało się z ciepłą

lśniącą umbrą, spod której wyglądały pasemka czerwone jak języki ognia. Wciąż się denerwowałam, ale już myślałam, jak je namalować. Nagle się odwróciła i widok jej twarzy sprawił, że zapomniałam o włosach.

Jej spojrzenie miało niezwykłą barwę: ciemnego, miodowego złota.

Musiała niedawno płakać, o czym świadczyły czerwone obwódki wokół pięknych oczu i różowe plamki na twarzy. Ale teraz już nie płakała. Na jej twarzy malował się nie smutek, lecz gniew. Trzymała się prosto, jakby przywiązana do żelaznego pręta. Ale mimo to, a może właśnie dlatego, że królewska postawa wiele ją kosztowała, nie potrafiła opanować lekkiego drżenia.

Przywitałam ją, nie wiedząc, czy nie będzie wymagała jakiegoś głębszego ukłonu albo padnięcia przed nią plackiem. Nic nie odpowiedziała, ale przyjrzała mi się uważnie, a potem machnęła pogardliwie dłonią.

- Wiesz, co masz robić. Bierz się zatem do pracy.

- Ale może usiądziesz, ya emirat To zajmie trochę czasu...

- Będę stać! - powiedziała i w jej oczach nagle pojawiły się ogniki.

No i rzeczywiście stała przez całe popołudnie. Pod jej spojrzeniem ręce mi drżały, kiedy otwierałam pudełko z farbami i przygotowywałam materiały. Najwyższym wysiłkiem woli przegnałam z głowy wszelkie niepotrzebne myśli i zabrałam się do studiowania mojego modelu.

Nie muszę opisywać jej piękności, bo zrobili to za mnie liczni poeci.

Pracowałam bez wytchnienia, a ona nie poruszała się i nie odwracała ode mnie oczu. Kiedy muezin wezwał do modlitwy - bo jego nawoływania przedostawały się do wnętrza pałacu, choć bardzo stłumione - spytałam, czy nie chciałaby sobie zrobić przerwy, ale ona wstrząsnęła tylko swoją bujną grzywą. W końcu, gdy musiałam już pracować przy lampach, zdałam sobie sprawę, że uchwyciłam podobieństwo. Detale mogłam wykończyć w swoim pokoju. W każdym razie, jeśli emir chciał mieć wierny wizerunek swej żony - jej pięknej twarzy i królewskiej sylwetki - mogłam mu go dać.

Podniosłam się, by pokazać jej swoją pracę, a ona spojrzała na portret z gniewnym i wyniosłym wyrazem twarzy. Ale dostrzegłam w jej oczach także króciutki przeblysłk triumfu. Stała wciąż w milczeniu, kiedy zbierałam swoje przybory. Poruszyła się dopiero, gdy przybył młody paź.

- Pedro - zawołała brata. Pochyliła się nad nim i czule ucałowała. Ale zaraz potem odwróciła się do nas plecami, nie racząc zauważyć naszego wyjścia. Po odmówieniu spóźnionej modlitwy i spożyciu kolacji przyjrzałam się świeżym okiem mojemu pergaminowi. Dopiero teraz

zrozumiałam, czemu upierała się przy takiej pozie. Chciała pokazać, że pomimo gwałtu zadanego jej przez emira jest wciąż dumna i niepokorna. Władca miał więc zabierać z sobą obraz niezdojbytej królowej, wyniosłej skały, której nie da się skruszyć. Studiując portret, zdałam sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy - że w jej wizerunku nie było nawet śladu łez czy drżenia, które sama widziałam przed rozpoczęciem pracy. Zrozumiałam, że nie chce pokazywać takich rzeczy emirowi, a ja jej w tym pomagałam. Pracowałam do późna, by zakończyć swój pierwszy dzień służby u nowego pana. Na krótko przed poranną modlitwą do drzwi zastukała Kebira. Pokazałam jej portret, nie dbając o reakcję, bo byłam strasznie zmęczona. Ale wiedziałam, że nie oszczędzi mi swej opinii.

- Anioły nie odwiedzają domu, gdzie jest pies albo taki wizerunek. Czyż nie tak mówi Prorok? Ale jeśli emir chce rozgniewać Boga, znalazł w tobie dobre narzędzie. Chociaż nie jestem pewna, czy życzył sobie aż tak wiernego wizerunku.

Uśmiechnęła się złośliwie i poszła sobie. Byłam tak zmęczona, że nie zastanawiałam się, czy jej słowa były komplementem, czy też krytyką. Nie czekając na wezwanie muezina odmówiłam modlitwę, a potem rzuciłam się na otomanę i zapadłam w długi, głęboki sen.

Przez następne tygodnie miewałam czasem wrażenie, że jeszcze się na dobre nie obudziłam. Myślałam, że czekają mnie następne wezwania na pokoje emiry, że będę tworzyła dalsze portrety, staranniejsze niż za pierwszym razem skomponowane i wykonane. Ale dni mijały, a nikt mnie nie wzywał.

Emir wyprawił się znów z pałacu, tym razem na oblężenie pewnej chrześcijańskiej twierdzy, która górując nad okolicą zagrozała drogom zaopatrzenia miasta. Przez pierwsze tygodnie jego nieobecności starałam się poznać mój nowy świat, zwiedzając wszelkie zakątki kobiecej części pałacu i rysując wszystko, co zobaczyłam: mozaiki, fontanny, rzeźbione inskrypcje. Zabijałam więc czas w dość ciekawy i przyjemny sposób, ale mimo to wiele godzin upływało mi beczynn timer, bez zajęcia i towarzystwa.

Kiedy błąkałam się bez celu z jednej pięknej komnaty do drugiej, brakowało mi pożytecznej i naprawdę interesującej pracy, jaką wykonywałam kiedyś u boku ojca. Wzdychałam nawet za czasami, gdy musiałam mozolnie gruntować pergamin w pracowni Humana. Bo wtedy miałam przynajmniej dość zajęć, by nie wpaść w pułapkę trującej beczynności. Czasami spędzałam cały dzień w pokoju, wdychając aromat róż, a wieczorami kładłam się spać zmęczona nie wiadomo czym.

Po wielu tygodniach takiego życia posłałam dziewczynę od sorbetu, by poszukała Kebiry. Błagałam staruszkę, by poprosiła emirę o zgodę na dalsze portretowanie. Spotkałam się jednak z grzeczną odmową.

- Więc może mogłabym namalować ciebie albo młodego pa-za? - spytałam. Pewnego dnia Pedro zobaczył, że rysuję, i przyglądał mi się długo w zupełnie niedzielnym skupieniu. Ale Kebira nie chciała mi pozować i chłopcu też nie pozwoliła.

- Jeśli emir chce grzeszyć, każąc ci malować wizerunki swojej żony, to jego sprawa. Ale ja nie mam zamiaru uczestniczyć w takich bezceństwach.

Nie powiedziała tego ze złością - lecz stanowczo. Zdziwiłam się, że jej wiara była wciąż tak silna, choć przeżyła w pałacu tyle krzywd i poniżeń, nie mówiąc już o wszelkiego rodzaju wszeteczeństwach. Byłam ciekawa, jak czuje się teraz, na służbie u rayah*.

Roześmiała się lekko, kiedy o to spytałam.

* Niższa klasa społeczeństwa muzułmańskiego, płacąca podatki.

Obejmowała głównie chrześcijan i żydów - przyp. tłum.

- Dla świata ona nie jest rayah. Emir ogłosił, że przyjęła islam, chwała niech będzie Wszechmocnemu. Ale ja wiem, że to nieprawda. Słuchałam jej modłów - wzywała Jezusa i świętego Jakuba. Choć żaden z nich chyba jej nie dosłyszał... - zachichotała i wyszła z mojego pokoju.

Tej nocy dużo myślałam o religiach wyznawanych przez niewiernych. Zastanawiałam się, czemu chrześcijanie i żydzi byli tak zatwardziali, że nie chcieli przyjąć nauki Proroka. Ciekawiło mnie, jakie zwyczaje z rodzinnego domu zachowała emira - i czy bardzo jej brakowało rytuałów znanych z dzieciństwa.

Płatki róż zdążyły już opaść, nim emir powrócił do pałacu. Przyjechał nocą, by nikt nie zobaczył, że jest ranny. Kiedy nazi jutrz przyszła po mnie Kebira, powiedziała, że został najpewniej trafiony strzałą zanurzoną w jakimś świństwie, bo rana na po-wiece ropyje i cuchnie. A jednak nie czekając, aż ktoś go opatrzy, a nawet nie zrzuciwszy z siebie bitewnego stroju, poszedł wprost do Nury. Mówiąc to, Kebira skrzywiła się z obrzydzeniem, jakby wciąż czuła smród.

Wezwanie do emiry przyjąłam z radością, zadowolona, że wreszcie będę miała co robić. Jakże byłam głupia! Zdałam sobie z tego sprawę, ledwie ją zobaczyłam. Twarz emiry zdawała się płonąć z gniewu. Włosy miała starannie uczesane i przybrane klejnotami, ale ubrana była jedynie w

niedbale narzucony haik.

Służąca, która przyniosła mi pudło z farbami, czmychnęła zaraz z nisko opuszczoną głową, nie chcąc się narażać na wściekłe spojrzenie swojej pani. Po chwili haik opadł z ciała Nury. Była całkiem naga.

Odwrociłam wzrok, mocno zawstydzona.

- Zgodnie z wolą mojego pana masz mnie dziś namalować nagą. Bierz się do roboty! - syknęła jak wąż.

Uklękałam i sięgnęłam po pióro. Ale nie potrafiłam go utrzymać go w dłoni, bo cała drżałam, a na sercu czułam ciężki kamień. Przez głowę przebiegały mi słowa Koranu: „Powiedz wierzącym kobietom, żeby spuszczały skromnie swoje spojrzenia i strzegły swojej czystości”*. Jak mogłam namalować wizerunek nagiej kobiety? To by znańczyło zhańbić emirę.

- Bierz się do roboty! - powtórzyła głośniej.

- Nie - szepnęłam

- Nie? - syknęła.

-Nie.

- Co to ma znaczyć, bezczelna czarna dziewucho?

- Nie - powiedziałam jeszcze raz łamiącym się głosem. - Nie mogę tego zrobić. Wiem, co znaczy być zgwałconą. Nie możesz ode mnie wymagać, bym pomagała twojemu gwałcicielowi...

Podeszła do mnie i wzięła ciężkie wieko od mojego pudła z farbami. Nie podniosłam nawet ręki, by się osłonić przed ciosem. Czekałam, aż roztrzaska wieko na mojej głowie. Ale ona cisnęła nim o posadzkę tak mocno, że poszło w drzazgi. Potem złapała garnuszek ze szkarłatem i rzuciła nim o ścianę. Farba rozprysnęła się po płytkach i zaczęła spływać na podłogę. Emira z szaleństwem w oczach rozglądała się za kolejnym obiektem swej wściekłości. Wstałam i złapałam ją za nadgarstki. Była znacznie wyższa i silniejsza ode mnie, ale kiedy jej dotknęłam, nagle się uspokoiła i położyła głowę na moim ramieniu. Podniosłam haik i okryłam jej ciało. Potem objęłam ją i zaprowadziłam na otomanę, na której wyplakaliśmy nasze żale.

* * *

Od tego poranka spędzaliśmy razem dni i noce, a ja namalowałam wiele pięknych portretów Nury. Malowałam dla niej - i dla siebie, bo praca sprawiała mi wielką przyjemność. Namalowałam też obraz, który emir mógł sobie zabrać pod mury obleganego miasta: była tam leżąca postać kobieca z twarzą odwróconą od widza. Lubieżna kompozycja ud i piersi

nie miała wiele wspólnego z prawdziwą Nura, ale powiedziano mi, że temu głupcowi obraz się spodobał.

Usłyszałam w ciemnościach jej głos:

- Krzyczałaś przez sen...

Położyła mi na piersi smukłą dłoń o długich palcach.

- Serce tak ci bije...

- Śnił mi się ojciec - przyznałam. - Szarpał go sęp... Nie, nie mogę o tym mówić...

Przygarnęła mnie i zaczęła nucić głosem, który przypomniał mi głos mamy.

Inna noc. Budzę się i obracam w jej stronę. Światło księżyca lśni w otwartych oczach, wpatrzonych w mrok. Dotykam jej lekko, a ona odwraca się do mnie. Widzę, że ma oczy pełne łez. To dlatego tak lśnią.

Powoli zaczyna mówić:

Jej ojca nabili na żelazny pacholek do wiązania koni. Żył jeszcze, gdy na jego oczach zabili matkę. Musiała słuchać jęków i krzyków umierającego ojca, gdy wraz z siostrą i bratem siedziała w schowku pod podłogą domu. A potem podłożyli ogień. Wybiegła, ciągnąc za rękę brata. Poślizgnęła się na krwi matki. Siostra pognęła dalej, brat przystanął i pomógł jej wstać. Widziała, jak jakiś jeździec złapał siostrę i wciągnął na grzbiet konia. Nigdy się nie dowiedziała, dokąd ją uprowadził.

Próbowała uciekać z bratem, ale w zamieszaniu wpadli wprost pod kopyta wielkiego bojowego rumaka.

- Myślałam, że nas rozniesie na podkowach, ale jeździec go powściągnął. Zobaczyłam oczy pod przyłbicą. Odpiął płaszcz i zarzucił na mnie. W ten sposób pozostali rycerze zorientowali się, że ich wódz mnie wybrał. Ktoś chciał oderwać od niej brata, a wówczas ona zaczęła błagać emira, by uratował chłopca.

- Zgodził się, a ja z kolei udałam - Boże, wybacz - że pożądam tego brutala. Do dzisiaj zbiera mi się na mdłości, gdy go widzę. A kiedy jest we mnie, potrafię tylko myśleć o męczarniach ojca, nadzianego na pał...

Położyłam dłoń na jej ustach.

- Wystarczy - szepnęłam i pogłaskałam ją najdelikatniej jak umiałam. W ciemnościach nie widziałam własnej ręki, jedynie cień na jej bladej skórze. Chciałam, by mój dotyk był lekki jak ten cień. Po chwili sięgnęła po moją dłoń i pocałowała ją.

- Po tym, jak... po tym, jak z nim... nigdy nie myślałam, że ludzki dotyk może mi jeszcze sprawić przyjemność.

Odwróciła się i uniosła na łokciu, wpatrując się we mnie. W tym

momencie pozwoliłam sobie zapomnieć, że jestem niewolnicą. To był błąd. Widzę to teraz wyraźnie.

Mnie więcej po miesiącu zaczęły do nas zewsząd dochodzić plotki o jakichś nagłych naradach i zażartych sporach. Nieprzyjaciel przełamał okrążenie wojsk emira i odzyskał panowanie nad wzgórzem. Nasi żołnierze zostali zepchnięci na równinę i próbowali dość nieporadnie zachować kontrolę nad główną drogą, która pozwalała zaopatrywać miasto. Nie mogli się cofnąć ani o krok, zwłaszcza teraz, bo utrata tej drogi przed zniwami oznaczałaby dla nas głodną zimę.

Znów malowałam emirę spoczywającą na otomanie. Twarz miała spokojną, choć wciąż smutną. Bawiła się perłą na szyi.

- Myślę, że masz szczęście - powiedziała w pewnej chwili. - Coś umiesz, możesz się do czegoś przydać zwycięzcy, kiedy miasto padnie.

Upuściłam pędzel. Na jasnej glazurze pojawiła się smuga szkarłatu.

- Nie bądź taka zaskoczona. Te mury są grube, ale nawet najgrubsze nie oprą się zdradzie.

- Masz jakieś podstawy, by tak mówić? - zapytałam przerażona.

Roześmiała się.

- No pewnie. Syn emira, Abu Abd Allah, wciąż kręci się po pałacu, a liczba jego stronników rośnie wraz z kolejnymi niepowodzeniami ojca.

Jak już wspomniałam, Nura była wysoką kobietą. Mogła z łatwością sięgnąć do wysokiego parapetu okiennego. Wstała teraz i wspięła się na palce, by zerwać gałązkę pnącej róży, zaglądając do okna. Na gałązce były już owoce. Kiedy Nura wyciągnęła w górę rękę, zauważyłam wyraźnie krągłość jej brzucha. Widać i ona miała wydać owoc. Nic mi jednak o tym nie wspomniała, więc i ja zachowałam milczenie. Może to dziecko napełniało ją takim samym wstrętem jak akt jego poczęcia?

Odwróciła się do mnie. W dłoniach trzymała lśniące różane owoce.

- Nie jestem pewna, czy na wiosnę zobaczę znów, jak te róże zakwitają - powiedziała głosem, który nie był wcale smutny ani wylękniony.

Zwyczajnie stwierdziła fakt. Ja natomiast musiałam zrobić bardzo wystraszoną minę, bo wzięła mnie w ramiona. - Cóż, nie jesteśmy w stanie przewidzieć przyszłości, a tym bardziej jej zmienić - szepnęła. - Najlepiej nie mieć złudzeń i cieszyć się chwilą.

Próbowałam posłuchać jej rady. I miałam takie godziny, a nawet dni, kiedy lęk gdzieś odpływał. Jeszcze niedawno obawiałam się, że przyjdzie mi się zestarzeć w tym pałacu. A teraz to było wszystko, na co mogłam mieć nadzieję.

Noce robiły się coraz chłodniejsze. Nad ranem obudziłam się z zimna, cała

drząc. Byłam sama w łóżku. Nura klęczała przy oknie i modliła się w języku, którego nie rozumiałam. To nie był arabski. W dłoniach trzymała małą książeczkę.

- Nura?

Wzdrygnęła się i zrobiła ruch, jakby chciała ją ukryć. Odwróciła się do mnie z poważną miną.

- Nie nazywaj mnie tak! To imię przypomina mi smród emira.

- Więc jak cię nazywać?

- Wcześniej miałam na imię Izabela. Tak mnie ochrzczili...

- Izabela... - powtórzyłam, smakując nieznanym dźwiękiem. Wyciągnęłam ramiona. Podeszła do mnie. Zapytałam, czy mogłabym zobaczyć tę książeczkę, bo gdy ją zamykała, mignęły kolory. Razem obejrzałyśmy mały, piękny tomik, pełen sugestywnych ilustracji. Nie chodziło w nich o dosłowne kopiowanie natury ani też o tworzenie emblematycznych przedstawień. Lokowały się gdzieś pośrodku. Święci i aniołowie na kolejnych obrazkach byli bardzo podobni, ale rozmaite detale - stoły, łąny zbóż, psy

- wyglądały jak z życia wzięte.

- To się nazywa Księga godzin - powiedziała. - Tak jak wy muzułmanie macie specjalne modlitwy o świcie czy o zachodzie słońca, u chrześcijan jest podobnie - są modlitwy poranne, wieczorne i inne, po to by cały dzień upływał wiernemu na chwale i w chwale Boga.

- Ci malarze byli bardzo zdolni - zauważyłam. - A możesz mi przeczytać, co tu napisano?

- Nie, nie umiem czytać po łacinie. Ale większość tekstów znam na pamięć, a obrazki pomagają mi w modlitwie. Dostałam tę książeczkę od naszego doktora, co było bardzo miłe z jego strony.

- Chodzi ci o Netaniela ha-Lewiego? Ale przecież to Żyd

- zdziwiłam się.

- Oczywiście, on jest Żydem, i to pobożnym. Ale szanuje wszystkie wiary, a ludzie rozmaitych wyznań szukają jego pomocy w chorobie. Inaczej nie mógłby pracować dla emira. Tę książeczkę dostał od rodziny pewnego chrześcijańskiego pacjenta.

- Ale czy to nie jest aby niebezpieczne? Skoro on wie, że modlisz się do Boga chrześcijan...

- Ufam mu - odparła zdecydowanie. - Jest jedynym człowiekiem, któremu naprawdę ufam. Oprócz ciebie, oczywiście...

Dotknęła lekko mojego policzka. Uśmiechnęła się jednym ze swoich rzadkich promiennych uśmiechów. Oparłam głowę na jej ramieniu, mając

nadzieję, że poczuję choć resztki tego krótko-trwałego ciepła.

* * *

To byli jeźdźcy. Przedostali się przez wyłom w murach i wjechali na mirtowy dziedziniec. Na kamiennych płytach zadźwięczały podkowy. Słysząc było szczepek metalu i krzyki.

Trzymała swoją chłodną dłoń na moim rozpalonym ramieniu.

- Krzyczałaś przez sen - szepnęła. - Znów śnił ci się ojciec?

- Nie. Tym razem nie.

Przez chwile leżałyśmy po ciemku w milczeniu.

- Chyba wiem, co ci się śniło - odezwała się w końcu. - Ja też nie mogę się opędzić od tych myśli. Nie powinnyśmy dłużej milczeć. Trzeba coś zaplanować. Myślałam o najlepszym wyjściu...

-Allahu akbar... mruknęłam. - Co ma być, to będzie. Odwróciła się i złapała mnie za rękę.

- Nie! - odparła stanowczym tonem. - Nie potrafię poddać się wyrokom Bożym bez walki. Muszę coś zrobić, żeby się ratować, by ratować mojego brata... i to dziecko, które noszę w sobie. - Położyła dłonie na brzuchu. Wreszcie się przyznała. - Muszę się jakoś zabezpieczyć. Jeśli miasto padnie, Abu Abd Allah mnie zabije. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Będzie się chciał zawczasu pozbyć mojego dziecka. I wykorzysta chaos, jaki zapanuje, gdy obce wojska będą zdobywać miasto.

Wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

- Gdyby nie Pedro... Wiesz, niedaleko naszego domu jest klasztor.

Zakonnice były dla mnie bardzo dobre. Zazdrościłam im. Są zamknięte razem. Nikt nie zmusza ich do przedwczesnego małżeństwa, do rodzenia jednego dziecka za drugim aż do chwili, gdy gorączka połogowa albo krwotok położą życiu kres. Zawsze chciałam się do nich przyłączyć...

Chciałam poślubić Chrystusa, a tymczasem... - Objęła swój brzuch, jakby chciała go osłonić.

- Myślę, że siostry przyjęłyby nas mimo wszystko. Byłybyśmy tam bezpieczne, bo one cieszą się posłuchem wśród Kastylijczyków.

Usiadłam i patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Nie chciałam spędzić reszty życia w kolejnym więzieniu - i to wśród niewiernych. Jak mogła coś takiego proponować?

- Nie pozwoliłyby nam być razem. W każdym razie nie tak jak teraz - powiedziałam.

- Wiem. Ale mogłybyśmy się widywać. No i zostałybyśmy przy życiu...

Ale jakie by to było życie? W kłamstwie, w wierze, której wcale nie wyznaję. Musiałabym czcić jakieś idole. Musiałabym zrezygnować z prawdziwej modlitwy, z mojej sztuki, z ludzkiego dotyku. Powiedziałam jednak tylko:

- Ale nie przyjęłyby twojego brata.

- Wiem. Dla Pedra nie byłoby tam miejsca.

Gdy emir dowiedział się, że jego żona jest brzemienna, natychmiast posłał do niej doktora. Znałam jego nazwisko jeszcze z Ifrikkii. Netaniel ha-Lewi słynął nie tylko jako znakomity lekarz, ale i świetny poeta, tworzący w najpiękniejszej arabszczyźnie. Nie sądziłam, że żyd może być mistrzem naszej poezji, języka świętego Koranu. Ale w al-Andalus, gdzie żydzi i chrześcijanie pracowali obok siebie, takie rzeczy nie budziły zdziwienia. Przyjrzałam się jego paru wierszom mocno sceptycznym okiem, ale po chwili to oko wypełniło się łzami wzruszenia i zachwytu. Ha-

-Lewi służył pałacowi radą nie tylko w sprawach medycznych. Zdaniem Kebiry, gdyby nie mądrość doktora i jego umiejętność temperowania zmiennych nastrojów emira, nasz władca już dawno pożegnałby się z tronem.

Kończyłam właśnie portret Pedra, gdy zjawił się doktor. Emira poprosiła mnie niedawno, bym dała jej odpocząć od pozowania. Myślę, że nie bardzo akceptowała zmiany w swoim wyglądzie. Ja jednak uważałam, że jej zaokrąglona twarz i ciężkie piersi prezentowały się bardzo pięknie. Ale ona uparła się, by dać jej spokój. Któregoś dnia zrzuciła daktylę z tacy z polerowanego srebra i postawiła ją przy ścianie.

- Namaluj mi swój portret - powiedziała ze śmiechem. Mówiła jednak serio i pomimo moich oporów zmusiła mnie do tej pracy. Pierwszy efekt nie bardzo jej się spodobał.

- Musisz spojrzeć na siebie łaskawszym okiem. Chcę takiego portretu, jaki sama bym namalowała, gdybym miała twoje zdolności.

Wpatrzyłam się zatem w swoją twarz, starając się nie dostrzeżać śladów trosk i cierpień. Namalowałam dziewczynę z Ifrikkii, jaką byłam kiedyś - hołubioną i kochaną córkę, która nie wiedziała, czym jest prawdziwy strach i wygnanie, która nie była niewolnicą. Portret spodobał się Nurze.

- Ta dziewczyna mi się podoba. Nazwę ją Muna al-Amira, „pożądanie emiry”. Co ty na to?

Próbowałam się uśmiechnąć i udać, że czuję się zaszczycona. Za oknem pokazały się chmury. Poczulałam nagle chłód. Nie wiedziałam wówczas dlaczego. Ale potem zrozumiałam ten odruch. Kebira powiedziała mi - jeszcze pierwszego dnia, który teraz wydawał mi się odległy, choć w

istocie wcale nie był - że Muna to było niegdyś jej imię. A łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wiedziałam o tym, ale nie chciałam się przyznać nawet przed sobą, że tak się też może stać w moim przypadku.

Zwykle wychodziłam, gdy zjawiał się doktor, ale tego dnia ha-Lewi dał mi gestem znać, bym została i nie przerywała sobie pracy. Rzucił okiem na portret Pedra i wyraził uznanie. Spytał mnie, gdzie uczyłam się fachu. Odpowiedziałam, że w pracowni Humana, a on bardzo się zdziwił z uwagi na moją płęć. Nie wchodząc w szczegóły, wyjaśniłam, że trafiłam tam w męskim przebraniu. Nie drażył dalej tej kwestii, ale wciąż zastanawiał się nad moją pracą.

- Nie, to nie jest dzieło zwykłego rzemiosła. Widzę w nim coś więcej... Nie jest sztuczne, wyrozumowane ani konwencjonalne... Powiedziałbym, że bardziej szczerze...

Wtedy opowiedziałam mu o ojcu i o dumie, z jaką ilustrowałam jego medyczne teksty.

- A zatem znam twoje prace - powiedział zaskoczony. - Bardzo mi się podobają... Zielniki Ibrahima al-Tareka nie mają sobie równych! - Obląłam się rumieńcem. - A co się teraz dzieje z twoim ojcem? Jak trafiłaś w to miejsce?

Pokrótkie wszystko mu opowiedziałam. Pochylił głowę, gdy zrelacjonowałam smutny koniec ojca, którego ciała nawet nie pogrzebano, tylko pozostawiono sępom na pożarcie.

Przyłożył dłoń do czoła i wymruczał jakąś modlitwę.

- To był bardzo wielki człowiek. Jego praca ocaliła wiele istnień ludzkich. Opłakuję jego przedwczesną śmierć. '

Obrzucił mnie badawczym wzrokiem lekarza, a przy tym pełnym współczucia. Zrozumiałam, czemu pacjenci tak za nim przepadają.

- Ale spotkało go też dużo szczęścia, skoro doczekał się tak zdolnego dziecka, pomagającego mu w pracy. Ja sam mam tylko jedno dziecko i on... - nie dokończył zdania. - No cóż, szkoda, że nie mam kogoś równie utalentowanego jak ty do pomocy...

Wtedy odezwała się emira. Jej słowa zmroziły mi krew w żyłach.

- W takim razie możesz ją sobie wziąć, doktorze. Al-Mo-ra będzie moją podzięką dla ciebie za troskliwość, jaką mnie otoczyłeś. Możesz ją sobie zabrać choćby dziś, jeśli sobie życzysz.

Spojrzałam na Nurę palącym spojrzeniem, ale jej twarz była bardzo

chłodna. Pozbywała się mnie jak starej znoszonej sukni.

- Idź do pokoju i zabierz swoje rzeczy - powiedziała. - Możesz wziąć farby i pozłotę. Chcę, żeby doktor miał z ciebie jak najwięcej pożytku. A potem dodała:

- Poślę ci też, doktorze, mojego brata Pedra. Może jej asystować przy pracy. Niech się uczy, bo jak słusznie powiedziałaś, ta dziewczyna jest bardzo utalentowana.

Odwróciła się do mnie i rzuciła bez najmniejszej emocji w głosie:

- Ucz go dobrze. Takie jest moje życzenie.

A więc to tak! Byłam tylko narzędziem, rzeczą, która do czegoś się przydała, a kiedy nie jest już potrzebna, można ją oddać w inne ręce. Teraz miałam być niańką jej brata. Odwróciła się do mnie plecami, słuchając wylewnych podziękowań doktora za „tak hojny dar”. Doktor znany był ze współczucia wobec pacjentów. Ale czy potrafił też współczuć niewolnicy? Nie byłam tego taka pewna.

Stałam, a oni rozprawiali o mnie tak, jakby mnie nie widzieli. Emira traktowała mnie niczym powietrze. A na koniec machnęła na mnie takim gestem, jak gdyby odpędzała uprzykrzoną muchę.

- Idź już! - powiedziała. - Zwalniam cię. Nie mogłam się ruszyć.

- No idź już - powtórzyła. - Jeśli ci życie miłe.

Myślała, że ratuje mi życie. I swemu ukochanemu bratu. Ukartowała to wszystko, zaplanowała w bezsenne noce. Ale kiedy? Od jak dawna wiedziała, że tak to się skończy? W każdym razie nie spytała mnie o zdanie. Wiedziała, że trzymając się tego Żyda, przetrwany nawet obalenie obecnego emira, ponieważ Abd Allah również chętnie korzystał z umiejętności lekarskich oraz rad ha-Lewiego. Drżącymi rękami zebrałam swoje rzeczy. Gdy wzięłam portret Pedra, podeszła do mnie szybkim krokiem i odebrała mi go.

- Zatrzymam to. I nie zapomnij zostawić mi także portretu Muni - powiedziała, a w jej oczach zaszklily się łzy.

Chciałam powiedzieć: „Nie w ten sposób”, chciałam powiedzieć: „Daj mi jeszcze parę dni i nocy” - ale ona odwróciła się napięcie. Znałam jej siłę woli, wiedziałam, że już się do mnie nie odwróci.

Tak oto trafiłam do tego domu. Żyję i pracuję w nim już od dwóch lat. Możliwe, że Nura miała rację, odprawiając mnie z pałacu, ale w głębi serca wciąż czuję do niej urazę. To, czego się tak obawiała, nadeszło w istocie: kiedy rana emira okazała się zatruta, Abd Allah skorzystał z okazji, by przejąć tron. Nura była dobrze przygotowana na taki obrót rzeczy i udała się prosto pod opiekuńcze skrzydła zakonnic. W stosownym czasie

urodziła zdrową córkę, która nie budziła żadnych obaw Adb Allaha. Zresztą nie zanosilo się na to, by jego panowanie potrwało na tyle długo, żeby musiał się martwić kwestią sukcesji. Na karku czuł już oddech Kastylijczyków. W domu doktora nie czyni się na razie żadnych przygotowań do opuszczenia miasta. Ha-Lewi zdaje się sądzić, że jest niezastąpiony. Nie jestem jednak taka pewna, czy Kastylijczycy istotnie docenią jego wiedzę.

Ja sama nie mam specjalnych powodów do narzekania. Nie nazywają mnie już al-Mora. Kiedy zamieszkałam w rezydencji doktora, zapytał mnie, jak mam na imię, gdyż chciał mnie przedstawić żonie. Odpowiedziałam, że nazywają mnie al-Mora, ale on pokręcił głową.

- Nie, chodzi mi o imię nadane ci przez ojca.

- Zahra - odparłam i zdałam sobie sprawę, że ostatni raz usłyszałam je z ust ojca, gdy ostrzegał mnie przed jeźdźcami na horyzoncie. - Zahra bint Ibrahim al-Tarek - dodałam.

Doktor przywrócił mi nie tylko nazwisko. Praca, którą dla niego wykonuję, jest poważna i poprzez nią wciąż czuję związek z moim ojcem. Każdy rysunek rośliny, każdy diagram dedykuję pamięci ojca, który cieszy się teraz chwałą Allaha. Doktor ha-Lewi jest co prawda bardzo pobożnym Żydem, ale szanuje moją wiarę i pozwala mi bez problemów wypełniać muzułmańskie obowiązki religijne. Kiedy zobaczył, że biję pokłony na gołej podłodze jego biblioteki, przysłał mi dywanik modlitewny jeszcze piękniejszy niż ten, który miałam w pałacu. Jego żona jest również bardzo miła i zarządza liczną służbą łagodnie, choć stanowczo, wnosząc do domu spokój i pogodę.

Wiosną, przy pełni księżyca, zaproszono mnie do stołu, przy którym rodzina ha-Lewi obchodziła jedno ze swych świąt. Zaproszenie mocno mnie zaskoczyło, ale przyjełam je z szacunku dla doktora, choć nie piłam wina, pełniącego ważną rolę w świątecznej uczcie. Przy stole mówiono po hebrajsku, więc nic nie rozumiałam, ale doktor nie szczędził wysiłku, by mi wyjaśnić znaczenie tego, co zostało powiedziane i zrobione. To bardzo podniosłe święto, sprawowane na pamiątkę uwolnienia Hebrajczyków z niewoli i cierpień w kraju Micrajim.

W pewnej chwili doktor wyznał mi, że czuje wielki smutek, gdyż zgodnie z tradycją ojciec powinien nauczyć syna odprawiania rytuału i zapoznać ze wszystkimi opowieściami przytaczanymi podczas uczy. Tymczasem jego jedyny syn Benjamin jest głuchoniemy.

Benjamin lubi spędzać czas z Pedrem, który stał się faktycznie jego giermkim, a moim uczniem pozostał tylko z nazwy. Ale dobrze się stało,

bo miał dzięki temu stałe zajęcie, a mnie nie za bardzo się przydawał. Myślę, że Pedro pokochał tego kalekiego chłopaka, co pomagało mu wypełnić pustkę po stracie siostry. Ja również próbowałam choć trochę zastąpić mu Nurę, ale nie miałam złudzeń co do rezultatów.

Zaczęłam po kryjomu malować cykl obrazków ukazujących historie opowiadane przez doktora przy świątecznym stole. Malowałam je z myślą o Beniaminie. Doktor miał wiele książek traktujących o jego religii, ale nie było tam żadnych obrazków ułatwiających zrozumienie modlitw.

Wyglądało na to, że Żydzi podchodzili do wizerunków ludzi z równą po-dejrzliwością jak muzułmanie. Wtedy przypominałam sobie modlitewnik Izabeli. Pomyślałam, że podobne obrazki pomogłyby pogrążonemu w ciszy Beniaminowi w zrozumieniu jego wiary. Nie sądzę, by takie malunki mogły urazić doktora albo jego Boga.

Od czasu do czasu pytam doktora i jego żonę, jak wyobrażają sobie jakieś wydarzenie. Następnie próbuję je przedstawić na obrazkach w taki sposób, by chłopiec mógł wszystko zrozumieć. Uderzyło mnie, jak niewiele żydowska wizja stworzenia świata odbiega od właściwej wersji, zawartej w naszym świętym Kora-nie.

Namalowałam już, jak Bóg oddzielił światłość od ciemności, jak stworzył ziemię i wody. Ziemię narysowałam w taki sposób, jakby była kulą. Mój ojciec utrzymywał, że tak właśnie jest. Nie-dawno rozmawiałam o tym z doktorem. Powiedział, że trudno o takich rzeczach rozstrzygać jednoznacznie, ale przyznał, że muzułmańscy astronomowie górują wiedzą nad wszystkimi in-nymi. Dodał, że jeśli miałby wybierać między opinią muzułmań-skiego astronoma i dogmatem katolickiego księdza, nie poparłby tego ostatniego. Ale pomijając wszystkie zawilości, ja po prostu lubię rysować od cyrkla. Lubię krzywizny. Są harmonijne i cie-kawe. Chciałabym, żeby moje obrazki cieszyły oko, żeby Benia-min oglądał je z przyjemnością. Dlatego wypełniłam rajski ogród zwierzętami znanymi mi z dzieciństwa - cętkowanymi lampar-tami, grzywiastymi lwami i tak dalej. Mam nadzieję, że mu się spodobają.

A zatem wykorzystuję resztki znakomitych farb Humana do wykonania prezentu dla tego Żyda. Ciekawa jestem, jak go przyj-mie. Wkrótce będę musiała kogoś posłać na rynek, bo farby się kończą. Na szczęście obrazki, które wykonuję dla doktora, nie wymagają zbyt kownych barwników, takich jak szafran, lapis--lazuli czy złoto. Być może ostatni raz w życiu korzystam więc w pracy z takich luksusów. Jako pamiątkę po Humanie mam też parę pędzelków z kociego włosia. Niestety i one szybko się zuży-wają. Czasami, kiedy pytam doktora o jego wiarę, daję się porwać

opowieściom o losach jego hardego ludu „o twardym karku”, tak często i mocno karconego przez Boga. Namalowałam historie o potopie i Noem, o Locie i jego żonie obróconej w słup soli. Staralam się bardzo, by pokazać wszystkie elementy opowieści poznanych przy świątecznym stole, nawet te najstraszniejsze. To niełatwe, bo jak na przykład pokazać, czemu król krainy Mi-crajim ustąpił w końcu Mojżeszowi? Jak przedstawić zgrozę tej opowieści, tych plag, masowej śmierci pierworodnych? Chciałam, by Benjamin pojął, że wszystkie dzieci na moim obrazku są martwe - ale początkowo wyglądały raczej tak, jakby spały. Wczoraj przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Przypomnieli mi się ikonokłasci i krwiste kreski, którymi symbolicznie zamordowali postacie namalowane na pergaminie. A zatem nad ustami wszystkich śpiących dzieci narysowałam czarne obłoczki, które miały reprezentować ciemną siłę anioła śmierci. Czy Benjamin to zrozumie?

Chcę z moich obrazków zrobić prezent doktorowi. Wręcę go przy okazji kolejnych obchodów wiosennego święta. To już niedługo. Ostatni rok szybko minął. Teraz maluję ucztę świąteczną. Doktor siedzi za stołem, obok Benjamin, dalej żona doktora, pięknie ubrana, i jej siostry, które dzielą jego dom.

Przyszło mi do głowy, by dodać jeszcze własną postać. Zużywając resztkę pigmentu, namalowałam więc siebie w szafranowej sukni, bo to mój ulubiony kolor. Z tego obrazka jestem bardzo zadowolona, bardziej niż z pozostałych. Pomyślałam, że powinienam się pod nim podpisać imieniem przywróconym mi przez doktora. Użyłam do tego jednego z kocich pędzelków, ostatniego, w którym osadzono pojedynczy włos. Na obrazku pokazałam siebie, jak słucham doktora opowiadającego o zbuntowanym Mojżesz - czyli Musie, jak go zwą muzulmanie - który wyprowadził swój lud z domu niewoli. A kto mnie wyprowadzi z niewoli? Mam teraz przyzwoitą pracę i wygodny dom. Ale wciąż brakuje mi wolności - i mojego kraju. Bo ten kraj nie stał się moją ojczyzną. Więc tęsknię wciąż za wolnością i rodzinną ziemią. Dwoma rzeczami, które Bóg dał Żydom za pośrednictwem Mojżesza.

Wyobraziłam sobie, że dochodzę do morza, a ono rozstępuje się przede mną. I widzę drogę wiodącą do domu.

Rozdział 11

Hanna

Sarajewo, wiosna 1996

Tym razem na sarajewskim lotnisku nie czekała na mnie obsta-wa z ONZ - a to z tej prostej przyczyny, że nikogo nie uprzedzi-łam o swoim przyjeździe.

Kiedy wylądowaliśmy, był już wieczór, bo tranzytowy lot przez Wiedeń miał dwie i pół godziny opóźnienia. Czułam się dość dziwnie. Dopiero co byłam na lotnisku w Wiedniu, które jest w gruncie rzeczy jedną wielką galerią handlową, a teraz roz-glądałam się po pustawym i wciąż jeszcze zmilitaryzowanym terminalu sarajewskim. Z lotniska zabrała mnie taksówka. Jecha-liśmy nienaturalnie ciemnymi ulicami. Do tej pory zreperowano tylko nieliczne lampy, co miało swoje dobre strony, bo w wylud-nionych i zdewastowanych dzielnicach koło portu lotniczego nie było specjalnie co eksponować. Chociaż czułam się pewniej niż za pierwszym razem, odetchnęłam z ulgą, gdy dotarłam do hote-lu i zamknęłam za sobą drzwi pokoju. Na klucz.

Rano zadzwoniłam do Hamisha Sajjana z biura ONZ i spy-tałam, czy mogłabym rzucić okiem na nową salę wystawową w muzeum. Oficjalna ceremonia otwarcia miała się odbyć na-zajutrz, ale Sajjan powiedział, że dyrektor na pewno się zgodzi, żebym obejrzała salę przed tłumem dygnitarzy.

Szeroki bulwar, znany wcześniej jako aleja Snajperów, przy którym mieściło się muzeum, poddano właśnie szybkiej i byle jakiej renowacji w stylu potiomkinowskim. Wywieziono hałdy gruzu, załatano najgłębsze leje po wybuchach. Znów kursował tramwaj, nadając ulicy pozór normalności. Weszłam po znajomych schodach i zostałam zaproszona na obowiązkową kawę po turecku. Był tam też Hamish Sajjan, cały rozpromieniony. Wresz-cie ONZ może zrobić coś dobrego dla Bośni. Po wymianie uprzej-mości Sajjan wraz z dyrektorem zaprowadzili mnie do nowej sali wystawowej, strzeżonej przez dwóch ludzi. Dyrektor wystukał kod i rygle odskoczyły z cichym szczęknięciem.

Sala była przepiękna. Oświetlenie znakomite: równomierne i nie za jaskrawe. Aparatura kontrolna rejestrowała temperaturę i wilgotność. Zerknęłam na wyświetlacz: osiemnaście stopni Cel-sjusza, plus minus jeden. Znakomicie. Wilgotność pięćdziesiąt trzy procent. Tak właśnie powinno być. Ściany pachniały świe-żym tynkiem. Pomyślałam, że samo to wnętrze powinno przy-ciągać do muzeum sarajewczyków mieszkających wciąż wśród ruin.

Środek sali zajmowała specjalna gablota. W środku spoczywa-ła hagada, przykryta szklaną piramidą, zabezpieczającą zarówno przed kurzem, jak i

ludzkimi dłońmi. Na ścianach umieszczono eksponaty tworzące kontekst dla hagady - prawosławne ikony, islamskie inskrypcje, katolickie psalterze. Obeszłam powoli całą salę. Dobór eksponatów towarzyszących był znakomity, bardzo przemyślany. Czulałam w tej pracy rękę Ozrena. Każdy eksponat miał coś wspólnego z hagadą - surowiec albo stylistykę. Chodziło o pokazanie, w jaki sposób różne kultury przenikały się i wzajemnie wzbogacały. Teza była jasna, ale ukazana bez propagandowej nachalności.

Na koniec podeszłam do hagady. Gablotę wykonano po mistrzowski z drewna orzechowego o świetnie dobranych słojach. Książka leżała otwarta na ilustracji wyobrażającej stworzenie świata. W następnych dniach miało eksponować kolejne miniatury, wedle ścisłego harmonogramu. Chodziło o to, by żadna strona nie była zbyt długo wystawiona na światło.

Pochyliłam się nad gablotą, myśląc o artyście, który to namalował, o tym, jak zanurzał pędzelek w szafranowej farbie. Ten koci włos, zidentyfikowany przez Clarissę Montague-Morgan, obcięty równo z obu stron i zabarwiony żółtym pigmentem, musiał pochodzić z pędzla malarza. Hiszpańskie pędzle z tamtych czasów robiono najczęściej z sierści wiewiórczej lub gronostajowej. Natomiast miniaturzyści perscy preferowali pędzelki z sierści tamtejszych długowłosych kotów. Włoski wycinano z podgardla dwumiesięcznych kociaków, specjalnie w tym celu hodowanych. W ten sposób powstawał irański pędzelek, choć nazwa ta odnosiła się raczej do stylu niż konkretnego przyboru malarskiego. Ale miniatury w hagadzie nie były w perskim stylu. Dlaczego więc miniaturzysta pracujący w Hiszpanii dla żydowskiego klienta i czerpiący z chrześcijańskich wzorów używał perskiego pędzla? Odkrycie Clarissy miało istotny wpływ na treść mojego artykułu, bo dało mi pretekst do snucia rozważań, jak w epoce convivencii wędrowały myśli i wynalazki, jak funkcjonowały szlaki łączące hiszpańskich uczonych i artystów z ich kolegami po fachu z Bagdadu, Kairu i Isfahanu.

Stałam tak i rozmyślałam, czy w tym przypadku wędrowcem był tylko pędzelek, czy też sam artysta. Wyobraziłam sobie poruszenie, jakie zapanowało w hiszpańskiej pracowni, kiedy ktoś po raz pierwszy użył tam perskiego pędzelka i poczuł, jak niebywale miękko przesuwa się biały koci włos po starannie zagruntowanym pergaminie.

Właśnie - pergamin...

Zmrużyłam oczy, a potem pochyliłam się nad gablotą jeszcze bardziej, nie wierząc temu, co zobaczyłam. Wydało mi się, że podłoga zakółsała się pod stopami.

Wyprostowałam się i odwróciłam do Sajjana. Jego szeroki uśmiech przemienił się w groteskowy grymas, kiedy dostrzegł wyraz mojej twarzy, bladej teraz jak świeży gips. Próbowałam opanować głos:

- Gdzie jest doktor Karaman? Muszę się z nim zobaczyć!
- Coś nie w porządku? Ta gablota, może temperatura...
- Nie, wszystko w porządku, w każdym razie sala jest OK. Nie chciałam robić publicznej sensacji. Staralam się zachować spokój.
- Chcę się widzieć z doktorem Karamanem w sprawie mojego artykułu. Chodzi... o pewne poprawki.
- Ależ katalog jest już w wydrukowany!
- Wszystko jedno. Muszę z nim pomówić...
- Chyba jest w bibliotece. Mam po niego posłać?
- Nie, dziękuję. Znam drogę.

Wyszliśmy, a nowe drzwi zamknęły się za nami z cichym kliknięciem. Sajjan zaczął tłumaczyć jakieś bardzo kwieciste słowa pożegnania, wypowiedane przez dyrektora. Słuchałam jednym uchem. Ledwie się opanowałam, by nie ruszyć do biblioteki biegiem. Wreszcie pchnęłam ciężkie dębowe drzwi i wpadłam do środka, a potem skręciłam w wąskie przejście między regałami. Mało nie przewróciłam bibliotekarki porządkującej książki. Ozren był w swoim gabinecie. Rozmawiał z jakimś mężczyzną odwróconym do mnie plecami.

Wpadłam bez pukania. Ozren wstał, zaskoczony moim wtargnięciem. Twarz miał szarą i wymizerowaną. Pod oczami ciemne podkówki. Przecież zaledwie dwa dni temu pochował syna. Zrobiło mi się go żal. Spróbowałam go objąć.

Jego ciało było zupełnie sztywne. Wywinął się z uścisku i cofnął o krok.

- Ozren, tak mi przykro z powodu Alii. Przepraszam, że wpadłam niespodziewanie...
- Hello, doctor Heath - przerwał mi bardzo oficjalnym tonem.
- Hallo, Hannah - usłyszałam drugi głos. Mężczyzna przy biurku podniósł się. To przecież Werner!
- Werner, nie wiedziałam, że tu jesteś... Ale Bogu dzięki, bo jest sprawa... Werner Heinrich, mój nauczyciel i największy w branży spec od falsyfikatów, zorientuje się natychmiast, o co mi chodzi.
- Przyjechałem tu, Uebchen, bo nie mogłem przepuścić ju-trzejszej ceremonii. Nic mi nie mówiłaś, że również wybierasz się do Sarajewa. Bardzo się cieszę! Zapowiada się miła uroczystość.
- Jeśli szybko czegoś nie zrobimy, żadnej uroczystości nie będzie! Ktoś ukradł hagadę. Myślę, że to Amitaj, bo tylko on...

- Hanno, uspokój się! - Werner ujął mnie za rękę. - Powiedz, o co chodzi...

- To jakiś nonsens - odezwał się Ozren. - Hagada jest zamknięta w gablocie. Sam ją tam włożyłem.

- Ozren, to jest podróba. Fantastycznie zrobiona, ale podróba. Zoksydowane srebro, plamy, rozmyte pigmenty... Robota pierwsza klasa. Perfekcyjny falsyfikat, z jednym wyjątkiem. Nie mogli podrobić materiału, który od trzech stuleci nie jest już dostępny. Musiałam na chwilę zamilknąć, wziąć oddech. Werner klepał mnie po rękę, jakbym była rozhisteryzowanym dzieckiem. Ozren zrobił się błądy jak ściana.

- O czym ty mówisz?

- O pergaminie! Wtedy robili go w Hiszpanii ze skóry owcy Ovis aries Aragonosa omata, która wyginęła pod koniec XV wieku. A tu jest pergamin ze skóry innej owcy. Widać to po porach, ich rozkładzie, wielkości i tak dalej.

- I co, doszłaś do tego wniosku po obejrzeniu jednej strony? - zapytał Ozren.

- Tak. Wiem, co mówię. - Wzięłam głęboki oddech. - Oczywiście niełatwo to zauważyć, ale jeśli się spędziło tyle godzin na porównywaniu starych pergaminów... Dla mnie sprawa jest oczywista. Werner, ty zauważysz od razu!

Twarz Wenera wyrażała najwyższą konsternację.

- A gdzie jest teraz Amitaj? - zapytałam. - Jeśli wyjechał już za granicę, to wdepnęliśmy w głębokie g...

- Daj spokój, Hanno - miękki głos Wenera miał tym razem ostrzejszy ton. Nie brał mnie widać poważnie. Dla niego wciąż byłam studentką z antypodów, która musi się jeszcze wiele nauczyć. Cała moja nadzieja w Ozrenie.

- Doktor Jomtow jest wciąż w Sarajewie. Podczas jutrzejszej ceremonii będzie reprezentował społeczność żydowską. Ale on nie miał dostępu do hagady. Od twojego wyjazdu aż do wczoraj książka była cały czas zamknięta w skarbcu banku centralnego, zamknięta w skrzynce zrobionej według twoich wskazówek i zabezpieczonej przez mnie w twojej obecności. Osobiście złamałem pieczęcie i przełożyłem hagadę do gabloty. W tym czasie nikt się do niej nie zbliżał - zadbali o to strażnicy. Gablota jest zaś świetnie zabezpieczona, a w sali zainstalowano czujniki wykrywające każdy ruch. Poza tym znajduje się tam kamera przemysłowa, no i cały czas siedzi strażnik. Więc nie rób z siebie idiotki. Podłożenie falsyfikatu jest niemożliwe.

- Ja robię z siebie idiotkę? Czy ty jesteś ślepy, Ozren? Izrael-czycy chcieli tej książki od dawna, musiałeś przecież słyszeć te wszystkie plotki z czasów wojny. Amitaj to były komandos. Nie wiedziałeś?

Werner potrząsnął srebrną grzywą.

- Nie miałem pojęcia... - wydukał Ozren, ale w jego oczach nie pojawiła się żadna emocja.

Nie potrafiłam zrozumieć jego bierności. Chciałam nim po-trząsnąć, obudzić go. Może nie wyszedł jeszcze z szoku po śmier-ci Alii? I wtedy przypomniałam sobie, jak dzwoniłam do niego z Londynu.

- A co Amitaj robił w twoim mieszkaniu tamtego dnia?

- Hanno - odparł lodowatym tonem - ryzykowałem życiem, by ocalić tę książkę. Jeśli sugerujesz... Werner uniósł rękę.

- Jestem pewien, że doktor Heath niczego nie sugeruje. Naj-lepiej będzie, jeśli sprawdzimy, jak się rzeczy mają – powiedział niby spokojnym, ale jednak drżącym głosem. To, co powiedzia-łam o Amitaju, najwyraźniej go poruszyło.

- Chodźmy, moja droga. Pokaż nam, co cię tak zaniepokoiło.

Werner wstał i ruszył niepewnym krokiem. Podałam mu rękę. Zaczęłam się o niego martwić. Kiedy zobaczy falsyfikat, może się poczuć naprawdę źle.

Ozren wstał zza biurka i poprowadził nas przez sale wysta-wowe, gdzie wciąż pracowali szklarze wprawiający szyby w po-wybijane okna zasłonięte plastikiem.

Porozmawiał chwilę ze strażnikami i wstukał swój kod.

- Możemy zabrać stąd hagadę? - spytałam.

- Trzeba by wyłączyć cały system alarmowy. Pokaż nam naj-pierw, o co chodzi.

Pokazałam.

Werner pochylił się nad gablotą. Przez parę minut wpatry-wał się w miejsce, które mu wskazałam. W końcu się wyprosto-wał.

- Na szczęście mogę się z tobą nie zgodzić, Ldebchen. Pory wyglądają dokładnie tak samo jak w wielu zabytkach z tego okre-su, które badałem. To jest ten sam rodzaj pergaminu. Ale żeby się upewnić, możemy porównać strony z dokumentacją fotograficz-ną, którą sama zrobiłaś.

- Kiedy ja wysłałam negatywy do Amitaja. Wykorzystał je, by dokonać fałszerstwa. Nie rozumiecie? A potem zastąpił orygi-nał tym... czymś. Powinniście zawiadomić policję, straż granicz-ną i ONZ...

- Hanno, pewien jestem, że się mylisz - odparł Werner. - My-śle, że powinnaś być ostrożniejsza, rzucając takie oskarżenia na szanowanych

kolegów...

Głos Wenera był cichy i łagodny. A więc wciąż traktował mnie jak histeryczne dziecko. Położył mi dłoń na ramieniu.

- Znam Amitaja Jomtowa od ponad trzydziestu lat. Jego reputacja jest nieskazitelna. Przecież wiesz... - Teraz Werner zwrócił się do Ozrena: - Ale może lepiej będzie dla spokoju doktor Heath, jeśli wyłączymy alarm i przeprowadzimy dokładne badanie?

Ozren kiwnął głową.

- Tak, oczywiście. Możemy to zrobić. Nawet powinniśmy. Ale muszę zawiadomić dyrektora. System jest tak zaprogramowany, że do włączenia go potrzeba nas obu.

Następna godzina była najtrudniejsza i najbardziej męcząca w mojej karierze zawodowej. Werner, Ozren i ja przeglądaliśmy hagadę strona za stroną. Wszędzie tam, gdzie ja uważałam, że coś jest nie w porządku, oni nie dostrzegali nic podejrzanego. Oczywiście posłali zaraz po faksymile, które - zgodnie z moimi oczekiwaniem - pasowało doskonale do badanej przez nas książki. Werner cały czas uważał, że wszystko jest OK, a w zderzeniu z jego opinią moje zdanie niewiele się liczyło. Ozren, który, jak powiedział, ryzykował życie dla tej książki, nieugięcie twierdził, że sforsowanie systemu zabezpieczeń jest niemożliwe. W końcu i mnie zaczął podgryzać robak wątpliwości. Na czole poczułam gorące kropelki potu. Może to tylko stres, który towarzyszył mi w ostatnich dniach - przez ten wypadek mamy i nagłe odkrycie, kto był moim ojcem. A do tego śmierć Alii... No i było coś jeszcze. Kiedy spoglądałam na Ozrena, na przygnębienie w jego oczach i zmęczoną twarz, czułam coś dziwnego. Coś, czego dotąd nie znałam, ale przecież wiedziałam, co to jest.

Wiedziałam, że do Sarajewa wróciłam ze względu na niego, a nie przez tę książkę. Bo za nim tęskniłam. Bardzo. Rozpaczliwie. Mówią, że miłość jest ślepa. Zaczynałam w to wierzyć.

Kończąc przeglądanie hagady, Ozren i Werner zwrócili się do mnie z pytaniem:

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Ja? Chcę, żebyście załatwili nakaz rewizji. Niech przeszukają wszystkie zakamarki bagażu Amitaja. I żebyście zawiadomili straż graniczną, bo może przekazał już oryginał jakiemuś współpracownikowi.

- Hanno - odezwał się Ozren. - Jeśli to zrobimy, wywołamy międzynarodowy skandal. Będzie to ponadto świadczyło, że zarówno doktor Heinrich, w którego kompetencje trudno wątpić, jak i ja jesteśmy oszustami, a co najmniej dyletantami. W dzisiejszej napiętej sytuacji

znajdą się ludzie, którzy w to uwierzą, nawet jeśli nie będzie po temu żadnych podstaw. Co więcej, wzbudisz wątpliwości wobec wszelkich artefaktów, które miałyby świadczyć o naszej wielokulturowości i pomóc w jej zachowaniu. Poza tym wyjdiesz na idiotkę i zrujnujesz sobie karierę zawodową. Jeśli jesteś całkowicie pewna, że znasz się na rzeczy lepiej niż Werner Heinrich, to proszę - poinformuj ONZ. Ale muzeum nie będzie cię wspierać... - zawiesił głos, a potem zadał mi decydujący cios: -1 ja cię nie wesprę.

Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Patrzyłam tylko to na jednego, to na drugiego, potem na książkę. Dotknęłam jej oprawy. Opuszkami palców szukałam miejsca, gdzie próbowałam zreperować zniszczoną skórę. Wyczułam to mikroskopijne wybrzuszenie w miejscu podklejenia. Wstałam i wyszłam z pokoju.

Rozdział 12

Lola

Jerozolima, 2002

Przyznam w moim domu i w obrębie moich murów miejsce i dam im imię lepsze niż mają synowie i córki.

Księga Izajasza 56,5

Jestem już starą kobietą i poranki są dla mnie trudne. Ostatnio budzę się wcześniej. Myślę, że to z zimna, od którego zaczyna mnie rwać w kościach. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak tu bywa chłodno w zimie. Może nie tak mroźno jak w górach koło Sarajewa, ale jednak bardzo chłodno. Moje mieszkanie było przed 1948 rokiem częścią arabskiego domu i stare kamienie ciągną chłód każdą rysą, każdą szczeliną. A ja nie mogę sobie pozwolić na dużo opału. Ale może budzę się za wcześniej po prostu dlatego, że obawiam się spać zbyt długo. Wiem, że pewnego dnia - i to niezbyt odległego - zimno z tych kamieni przeniknie do mojego ciała, leżącego na wąskim łóżku.

Ale nie ma co rozpaczać. Nażyłam się już dość. Więcej, niż mi się należało. Nikt, kto urodził się w tym czasie i miejscu co ja, nie powinien się skarżyć, że śmierć przyjdzie do niego naturalnym biegiem rzeczy. Mam emeryturę, ale niewielką, więc muszę wciąż pracować parę godzin w tygodniu, zwłaszcza w szabat. Wtedy najłatwiej o parę groszy, jeśli się nie jest specjalnie religijnym. Ortodoksi nie chcą wówczas nic robić, a ludzie z rodzinami wyjeżdżają z miasta. Przed laty musiałam konkurować o pracę w szabat z Arabami, ale od czasu intifady, kiedy wprowadzili te wszystkie godziny policyjne i kontrole, Arabowie wiecznie się spóźniają i

nikt nie chce ich zatrudniać. Żal mi ich. Przykro, że muszą tak cierpieć. Jednak pracy, którą mam teraz, oni też by nie chcieli. W ogóle niewielu ludzi interesowałoby takie zajęcie. Co do mnie, śmierć już mnie nie rusza. Fotografie kobiet stojących nad dołami, które staną się ich grobami, abażury z ludzkiej skóry - takie rzeczy już mnie nie biorą.

Czyszczę gabloty, wycieram kurze i myślę o tych kobietach. Powinno się o nich myśleć. Pamiętać o nich. Ale nie o takich, jakimi są na zdjęciach - nagich i przerażonych - tylko o takich, jakimi były wcześniej, w normalnym życiu, przy normalnych zajęciach.

Myślę też o człowieku, z którego skóry zrobiono abażur. To pierwsza rzecz, jaką się widzi, wchodząc do muzeum. Obserwuję zwiedzających - niektórzy wychodzą, gdy tylko się dowiadują, co to właściwie jest. Nie są w stanie nic więcej oglądać. Ja natomiast mam wobec tego eksponatu cieplejsze uczucia. To mogłaby być przecież skóra mojej matki. Albo moja - gdyby sprawy potoczyły się nieco inaczej.

Sprzątanie tych pomieszczeń przynosi mi pewien zaszczyt. Mogę powiedzieć, że choć jestem stara i ruszam się powoli, swoją pracę wykonuję perfekcyjnie. Kiedy kończę, we wnętrzach nie ma drobin kurzu, żadnego odcisku ludzkich palców. Przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić.

Przychodziłam tu, jeszcze zanim dostałam tę pracę. Nie do samego muzeum, lecz do ogrodu, bo Serif i Stela Kamalowie mają swoją tablicę w Ogrodzie Sprawiedliwych, gdzie upamiętniono nie-Żydów, którzy ryzykowali wiele, by ocalić takich jak ja.

Ostatni raz widziałam ich tamtego letniego wieczoru w górach pod Sarajewem. Byłam wówczas tak zaaferowana, że się nawet porządnie z nimi nie pożegnałam, nie podziękowałam za wszystko. Człowiek, do którego mnie zawieźli, był oficerem ustaszów. Po kryjomu ożenił się z Żydówką i dlatego kiedy tylko mógł, pomagał takim ludziom jak ja. Załatwił mi wszystko, co trzeba. Z dobrymi papierami wyjechałam na południe, gdzie bezpiecznie doczekałam końca wojny we włoskiej strefie okupacyjnej.

Potem, kiedy do władzy doszedł Tito, po raz pierwszy i ostatni w życiu stałam się kimś ważnym. Przez parę miesięcy byliśmy wielkimi socjalistycznymi bohaterami, młodymi partyzantami z gór. Oczywiście nie wolno nam było nawet pisać, że zostaliśmy zdradzeni i wydani na śmierć.

Dostałam pracę w nowej armii jugosłowiańskiej, a konkretnie w domu dla inwalidów wojennych w Splicie. Tam spotkałam Branka, naszego

dawnego dowódcę, który zostawił nas na łaskę losu. Dostał postrzał w biodro i brzuch. Wyglądał fatalnie. Ledwo chodził i wciąż zapadał na jakieś infekcje.

No i wyszłam za niego. Nie pytajcie, dlaczego. Byłam głupią dziewczyną. Ale tak już bywa: jeśli nie ma się nikogo, jeśli nikt cię nie pamięta, to bliski staje się każdy, z kim ma się wspólne wspomnienia. Nawet ktoś taki jak Branko.

Na długo przed pierwszą rocznicą ślubu zdałam sobie sprawę, że zrobiłam błąd. Rany zwichrowały mu męskość, a on miał pretensje do mnie. Musiałam robić różne dziwne rzeczy, żeby go zadowolić. Nie jestem pruderyjna, naprawdę się starałam, ale byłam jeszcze taka młoda i niewinna... Więc z trudem zdobywałam się na to, czego chciał. Gdyby chociaż był trochę bardziej czuły, może byłoby mi łatwiej, ale niestety... Kiedy przeczytałam w gazecie, że Serif Kamal ma być sądzony za kolaborację z nazistami, powiedziałam mężowi, że pojedę do Sarajewa i wystąpię jako świadek obrony. Pamiętam, jak na mnie wtedy spojrział. Uniósł się w fotelu stojącym przy oknie. Mieliśmy własny pokój w baraku dla małżeństw, bo ja pracowałam dla wojska, a on był inwalidą wojennym. Wytrzeszczył na mnie oczy i zaczął walić w podłogę laską. Było lato, bardzo gorąco. Z okna mieliśmy widok na port.

- Nie! - warknął.

- Co to znaczy „nie”?

- Nie pojedziesz do Sarajewa. Jesteś żołnierzem armii jugosłowiańskiej, tak samo jak ja. Nie niszczonej reputacji, nie sprzeciwiaj się woli partii. Jeśli uznali, że należy temu człowiekowi postawić zarzuty, widać mieli swoje powody. Tacy jak ty nie są od kwestionowania linii partii!

- Ale effendi Kamal nie był żadnym kolaborantem! Nienawidził nazistów. Ocalił mnie po tym, jak ty wypiąłeś się na nas wszystkich! Gdyby nie ryzykował życiem, nie doczekałabym końca wojny.

Branko wrzasnął na mnie. Miał silny głos i używał go zawsze, gdy ośmielałam się z nim nie zgadzać, nawet w przypadku jakiegoś drobiazgu, takiego jak pastowanie butów. Nasz barak miał cienkie ściany, a on wiedział, że nie cierpię, jak sąsiedzi słyszą awantury. Dlatego zwykle poddawałam się od razu, byle tylko przestał się wydzierać. Ale tym razem było inaczej. Powiedziała mu, że i tak postąpię zgodnie ze swoim sumieniem. Pieklił się i obrzucał mnie wyzwiskami, a w końcu cisnął we mnie laską. Ledwie chodził, ale rzut miał celny. Metalowa końcówka ugodziła mnie w szczękę.

Koniec końców sprawił, że znalazłam się pod ścisłą kuratelą. Bezpieka

wciąż mnie śledziła. Nie wiem, co im naopowiadał, że mnie tak pilnowali. W każdym razie zatrzymał mnie w Splicie. Nie było sposobu, bym się wymknęła do Sarajewa.

W tych dniach już nie płakałam. Przez lata wojny wypłakałam się za wszystkie czasy. I zaraz po wojnie, kiedy dowiedziałam się o losach moich rodziców, siostrzyczki i ciotki. Słabe serce ciotki nie wytrzymało podróży ciężarówką do obozu przejściowego Kruscia. Dora umarła tam dwa miesiące później z niedożywienia. Mama przetrwała niemal do końca wojny, ale w ostatniej chwili wywieźli ją do Auschwitz. Kiedy się o tym dowiedziałam, wypłakałam resztki łez. Tak mi się przynajmniej zdawało, bo w tym tygodniu, kiedy toczył się proces Kamala, znów zaczęłam płakać. Płakałam nad Serifem, którego mieli powiesić albo rozstrzelać, nad Stelą, która miała zostać sama ze swym synkiem. I nad sobą. Nad swoim upokorzeniem przez brutala, którego poślubiłam. Branko umarł w 1951 roku na infekcję układu pokarmowego. Nie płakałam po nim.

Dowiedziałam się, że Tito pozwala Żydom emigrować do Izraela, więc postanowiłam opuścić kraj, w którym nic mnie już nie trzymało, i zacząć wszystko od nowa. Myślę, że gdzieś w głębi duszy miałam nadzieję na odnalezienie Mordechaja, mojego dawnego idola z Młodych Strażników. Bo ja wciąż byłam młoda. Wciąż byłam głupią dziewczyną.

No i znalazłam Mordechaja, ale na cmentarzu wojskowym na górze Herzla. Zginął w 1948 roku. Był dowódcą jednostki Nachal*, gdzie walczył razem z chłopcami i dziewczętami z kibuców. Poległ na drodze do Jerozolimy.

Musiałam więc sama ułożyć sobie nowe życie - i nie było to życie złe. Tyle że ciężkie. Dużo pracy, mało pieniędzy. Ale nie było najgorzej. Nigdy już nie wyszłam za mąż, choć przez pewien czas miałam kochanka. Postawnego i roześmianego kierowcę ciężarówki. Przyjechał z Polski i mieszkał w kibucu na pustyni Negew. Poznaliśmy się na targu. Coś kupowałam na jego stoisku, a on zaczął ze mnie żartować. Mój hebrajski był jeszcze słaby. Droczył się ze mną tak długo, że w końcu doprowadził mnie do śmiechu. Zaczęliśmy się spotykać za każdym jego przyjazdem do miasta. Karmił mnie daktylami i pomarańczami. Popołudniami leżeliśmy razem przy otwartym oknie. Nasza skóra pachniała olejkiem pomarańczowym, a pocałunki były słodkie od dojrzałych, lepkich daktyli.

Wyszłabym za niego, gdyby mnie poprosił. Ale on już miał żonę. W Polsce. Wywieźli ją z warszawskiego getta. Mówił, że nie zdołał ustalić, co się z nią stało. Nie wiedział, czy żyje. Może to był jedynie wykręt.

Może nie chciał za mocno się wiązać.

*Organizacja „Walczących Pionierów”, utworzona przez Ben Gu-riona i skupiająca młodych kibucników. Jej zadaniem była obrona kraju, a także wspólna praca w nowo tworzonych gospodarstwach kolektywnych - przyp. tłum.

Nie wiem, jak to z nim było. Miałam wrażenie, że czuł się winny, bo przeżył. Ale podobało mi się, że pielęgnował pamięć o swojej żonie. Niestety, po jakimś czasie do miasta zaczęto wysyłać innych szoferów i spotykaliśmy się coraz rzadziej, aż w końcu znajomość się urwała. Szkoda. Wciąż wspominam te nasze popołudnia.

Nie mam zbyt wielu przyjaciół. Mój hebrajski do dzisiaj nie jest najlepszy. Nie stanowi to wielkiego problemu. Ludzie tutaj przywykli do dziwnej wymowy i koślawej gramatyki, bo każdy jest imigrantem. Ale nie znajduję czasem hebrajskich słów, by wyrazić wszystko, co mi leży na sercu.

Z czasem przywykłam do gorącego i suchego lata, do pól bawełny, białych skał i kamienistych nieużytków, gdzie nic nie rośnie. Oczywiście wzgórze jerozolimskie to nie bośniackie góry, ale czasami i tu spada śnieg, a wtedy wyobrażam sobie, że jestem w Sarajewie. Lubię też wybrać się do arabskiej dzielnicy i wstąpić do kawiarni - choć wielu moich znajomych uważa takie wyprawy za szaleństwo. Ale cóż - tam pachnie jak u nas w domu.

Podczas wojny w Jugosławii pojawiło się tu trochę Bośniaków. Izrael przyjął pewną liczbę uchodźców - byli wśród nich Żydzi, ale większość stanowili muzułmanie. Mogłam więc wreszcie porozmawiać w swoim własnym języku. To było cudowne. Zaczęłam pracować jako wolontariuszka w ośrodku dla imigrantów. Pomagałam im w wypełnianiu różnych formularzy - bo ten kraj kocha biurokrację - tłumaczyłam rozkłady jazdy, posyłałam dzieci do lekarza. Jeden z uchodźców zostawił kiedyś starą sara-jewską gazetę, z której całkiem przypadkiem dowiedziałam się, że effendi Kamal zmarł niedawno. Przeczytałam jego nekrolog.

Kamień spadł mi z serca. Przez lata żyłam w przekonaniu, że go stracono, bo we wszystkich procesach o kolaborację zapadały wyroki śmierci. Ale w nekrologu napisano wyraźnie, że „zmarł po długiej chorobie” i że był kiedyś kustoszem w bibliotece Muzeum Narodowego. Więc musiało chodzić o tego Serifa Kamala, którego znałam. Poczulałam się tak, jakby to mnie uchylono wyrok. Zyskałam kolejną szansę, by zrobić, co do mnie

należało - zaświadczyć o jego zasługach. Przez dwie noce spisałam starannie swoją historię i wszystko, co Kamal dla mnie zrobił. Posłałam to świadectwo do Yad Yashem, Muzeum Holokaustu. Nie upłynęło wiele czasu i otrzymałam list od Steli. Mieszkała teraz z synem w Paryżu, bo jej sarajewskie mieszkanie zostało zniszczone przez pocisk z serbskiego moździerza. Pisała, że była z synem na bardzo miłej uroczystości w ambasadzie izraelskiej w Paryżu. Uroczystość zorganizowano dla uczczenia pamięci jej męża. Pisała też, że teraz już wie, dlaczego nie mogłam im pomóc po wojnie. I cieszy się, że mam się dobrze. Podziękowała mi za zaświadczenie przed światem, że jej mąż był wielkim przyjacielem Żydów w czasach, gdy mieli niewielu prawdziwych przyjaciół.

Od kiedy w muzealnym ogrodzie umieszczono tabliczkę ku czci Kamalów, przychodziłam tam częściej. Było mi lżej na sercu. Wyrываłam chwasty spod cyprysów, usuwałam zwiędłe kwiaty. Któregoś dnia zobaczył to jakiś pracownik muzealny i spytał, czy nie chciałabym zostać sprzątaczką.

W szabat jest tu bardzo cicho. Ktoś mógłby powiedzieć, że cicho jak w grobie. Ale mnie to nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, nie cierpię hałasu, jaki robi moja froterka do podłóg. Najbardziej lubię wędrować po salach ze ścierką do wycierania kurzu. Najwięcej czasu zajmuje mi biblioteka. Pewien bibliotekarz powiedział mi, że zgromadzono tam sto tysięcy książek i ponad sześćdziesiąt milionów stron dokumentów. Wychodzi po jakieś dziesięć stron na zmarłego. To coś w rodzaju papierowego pomnika dla ludzi, którzy nie mają nagrobków.

Kiedy się pomyśli o tym mnóstwie książek, rzecz, która mnie się przytrafiła, zakrawa na cud. Może to i był cud. Tak sędzę. Oczywiście odkurzam półki od ponad roku. Co tydzień zdejmuję książki z jednej sekcji, żeby powycierać pod spodem, a potem odkurzam wszystkie tomy z wierzchu i odstawiam na miejsce. Nauczyła mnie tego Stela, gdy odkurzałam bibliotekę w mieszkaniu Kamalów. Zostało mi to w pamięci. Zapamiętałam też niektóre książki z muzeum.

Tego dnia weszłam do biblioteki i odnalazłam dział, który odkurzyłam w poprzednim tygodniu. Potem zaczęłam zdejmować z półek książki w następnej sekcji. Były na ogół stare, więc obchodziłam się z nimi szczególnie ostrożnie. Wtedy w moich rękach znalazł się ten tomik.

Przyjrzałam się mu. Otworzyłam. I nagle znalazłam się znów w Sarajewie, w gabinecie effendi Kamala. Usłyszałam drżący głos Steli. Najwyraźniej się czegoś bała, czegoś, co wiązało się z tą książką. A potem przypomniały mi się słowa effendi Kamala: „Najlepszym miejscem do ukrycia książki

jest biblioteka".

Nie wiedziałam, co począć. Ostatecznie miejsce książki jest na półce. Ale wydało mi się dziwne, że taki słynny i stary manuskrypt stał sobie tak po prostu między innymi tomami. To właśnie im powiedziałam, kiedy mnie wzięli na spytki. Oni - to znaczy główny bibliotekarz, dyrektor muzeum i jeszcze taki jeden facet, który wyglądał na żołnierza, ale wiedział chyba wszystko o tej książce i o Serifie Kamalu też. Byłam zdenerwowana, bo chyba mi nie wierzyli, że znalazłam tę książkę przez przypadek. Nie wierzyli, że takie przypadki się zdarzają. A ja się tak zdenerwowałam, że zamiast pele, co znaczy „cud”, powiedziałam siman, czyli „znak”.

Ale w końcu ten człowiek, który wyglądał na żołnierza, zrozumiał mnie. Uśmiechnął się przyjaźnie. A potem zwrócił się do pozostałych:

- Czemu nie, kinderlach! Cała historia tej książki, jej przetrwanie do dziś, to jedno wielkie pasmo cudów. Czemu więc nie miałby się zdarzyć kolejny? Znajdowałam się u wylotu jaskini o jakieś sześćset metrów nad dnem doliny. Do najbliższej linii telefonicznej było daleko że hej albo jeszcze dalej. Ale i tu mnie znaleźli.

Wiadomość przyniósł mi aborygeński chłopak. Była bardzo dziwna i nie wiedziałam, jak na nią zareagować. Chłopak lubił żarty, więc z początku pomyślałam, że to jakiś dowcip.

- Nie, pszepani. Tym razem nie zalewam. To był jakiś dupek z Canberry. Ważniacha! Wydzwaniał cały dzień. My mu tłumaczymy, że pani nie ma od tygodnia, że pani siedzi w buszu, ale on cały czas wydzwaniał, nawet po tym jak Butcher go opieprzył...

Butcher był wujkiem chłopaka. Zarządzał farmą hodowlaną Jabiru Station, gdzie mieszkaliśmy, gdy nie pracowaliśmy w terenie.

- Powiedział, czego chce?

Chłopiec przechylił głowę w geście, który mógł znaczyć „nie wiem” albo „wiem, ale nie mogę powiedzieć”.

- Niech pani lepiej wraca, pszepani, bo Butcher i mnie opieprzył...

Wynurzyłam się z jaskini i zmrużyłam oczy. Przed sobą miałam rozżarzoną kulę słońca. Daleko w dole młode pędy perzu okrywały równinę mgiełką świeżej zieleni. Gdzieniegdzie połyskiwały srebrem kałuże po wczorajszej ulewie. Wkraczaliśmy w gunumeleng - jedną z sześciu aborygeńskich pór roku. Bia-li dostrzegali tu tylko dwie - deszczową i suchą. Gunumeleng przynosił pierwsze burze. Za miesiąc cała równina znajdzie się pod wodą. Tutejsze „drogi”, które w rzeczywistości były jedynie pasmami porożędzanych kolein, staną się zupełnie nieprzejezdne. Miałam nadzieję, że przed nadejściem naprawdę

wielkich deszczów uda nam się skończyć dokumentację tego zespołu jaskiń i zakonserwować je w choćby minimalnym stopniu. Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, była dwupółgodzinna jazda samochodem po morderczych bezdrożach tylko po to, by porozmawiać z jakimś palantem z Canberry. Ale Butcher nie dałby temu chłopakowi swojej ukochanej toyoty i nie kazałby do mnie jechać, gdyby sprawa nie była naprawdę ważna.

- No dobrze, Lofty. Jedź przodem i powiedz wujowi, że ja i Jim będziemy około piątej. Musimy jeszcze skończyć z tym silikonem, a potem pojedziemy za tobą.

Chłopak skinął głową i pomknął w dół. Był chudy i niski jak na swoje szesnaście lat. Ale po skałach biegał ze dwadzieścia razy szybciej niż ja. Wróciłam do jaskini, gdzie czekał archeolog Jim Bardayal.

- Przynajmniej wyśpimy się dziś jak ludzie. W normalnych łóżkach - stwierdził, podając mi pojemnik z silikonem.

- Coś takiego! W Sydney nie możesz się doczekać, kiedy wyjedziesz na to zadupie. A jak tu już jesteś, jedna deszczowa noc i trochę upału za dnia sprawiają, że zaczynasz marzyć o wygodnym łóżeczku. Ładny z ciebie „syn buszu”...

Jim skrzywił się w kwaśnym uśmiechu.

- Głupie gadanie białasów - rzucił.

Wczorajsza burza rzeczywiście była ostra. Od piorunów zapalały się białe poskręcane drzewa gumowe, a wściekły wiatr o mało nie porwał nam namiotów w bazie.

- Tutaj deszcz nie pada, tylko leje, jakby nastąpił potop - zauważył.

Trudno się było z nim nie zgodzić. Zresztą nie miałam ochoty na kłótnię.

Mało jest rzeczy tchnących takim spokojem jak tutejsze majestatyczne zachody słońca. Niestety, zmrok był swoistym gongiem obiadowym dla milionów moskitów, a my stanowiliśmy danie główne. Na samą myśl zaczynało mnie swędzić na całym ciele. Pociągnęłam po ścianie grubą krechę silikonu, tworzącą coś w rodzaju małego okapu. Chodziło o to, by skanalizować wodę spływającą po ścianach jaskini i ochronić przed wilgocią nietrwałe ochrowe malowidła. A w tej części zbocza znajdowały się niebywałe dzieła sztuki - piękne, pełne wigoru wizerunki gibkich myśliwych. Mirarrowie, plemię Jima, wierzyli, że autorami malowideł były duchy. Drugie zaś plemię Jima - czyli archeologiczna sitwa - ustaliło, że najstarsze z tych wyobrażeń powstały trzydzieści tysięcy lat temu. Przez kolejne stulecia wtajemniczeni i szanowani członkowie plemienia odnawiali ceremonialnie malowidła w razie potrzeby. Ale gdy przyszli

biali, tubylcy zaczęli opuszczać stopniowo swoje jaskinie, by pracować dla balanda - białych osadników - na fermach lub w miastach. Teraz tym, co pozostało z malowideł ich przodków, mieliśmy się zająć my.

Nie myślałam, że będę pracować przy takich zabytkach. Ale Sarajewo zburzyło we mnie zaufanie do samej siebie. Częścią duszy wierzyłam, że jednak Ozren i Heinrich się mylili, ale większa część mojego „ja” - ten tchórz, którego miałam za skórą - pograżyła się w toksycznym morzu zwątpienia. Wróciłam do domu upokorzona, niepewna swojego profesjonalizmu. Przez miesiąc kręciłam się po pracowni, odrzucając wszystkie choć trochę ambitniejsze propozycje. Jeśli w Sarajewie popełniłam taki błąd, jakim prawem miałabym wydawać opinie o czymkolwiek?

Później zadzwonił do mnie Jonah Sharansky. Miał dwie sprawy. Po pierwsze, Delila zostawiła mi pokaźny spadek. Po drugie, rodzina chciała, bym przejęła po matce jej miejsce w fundacji Aarona. Zarząd już przegłosował decyzję. Czułam, że powinnam się na jakiś czas pożegnać z pracą konserwatorską, więc postanowiłam, że za odziedziczone pieniądze wybiorę się w podróż i przyjrzę działalności fundacji - może się na coś przydam. Matka początkowo czuła się urażona, więc było mi głupio. Myślałam, że traktuje tę fundację jak ostatnią nić łączącą ją z Aaronem. Mogłam więc sobie wyobrazić, jak bolesna była dla niej decyzja rodziny. Wróciła do Sydney parę tygodni po mnie. Po wyjściu z bo-stońskiego szpitala wybrała się na rekonwalescencję do jakiegoś szpanerskiego spa w Kalifornii.

- Chcę wyglądać jak człowiek, kiedy wrócę do Sydney - wyjaśniła mi przez telefon. - Bo te szpitalne sępy zaraz zaczną krążyć.

Rzeczywiście na lotnisku wyglądała zachwycająco, w znakomitej formie. Ale kiedy odwiozłam ją do domu, zauważyłam głębokie bruzdy wokół ust i podkrążone oczy. Trzymała się nadzwyczajną siłą woli.

- Nie musisz przecież od razu wracać do pracy - powiedziałam. -

Upewnij się, czy jesteś już gotowa.

Usiadła na łóżku, pozwalając, bym rozpakowała jej walizki. Zrzuciła z nóg szpilki od Manolo Blahnika czy innego Jimmy'ego Choo - nie miałam pojęcia, dlaczego katowała się takimi butami - i wyciągnęła się wygodnie na poduszkach.

- W grafiku na pojutrze mam ośmionerwowy guz. Wiesz, co to znaczy? Skąd masz wiedzieć... To coś takiego jak wydobycie kawałków mokrej chusteczki higienicznej z miski tofu.

- Mamo, proszę... - zrobiło mi się niedobrze. - Chyba już nigdy nie tknę

tofu!

- Na miłość boską! Przestań choć na chwilę myśleć tylko o sobie.

Chciałam ci tylko wytłumaczyć sprawę w taki sposób, żebyś zrozumiała.

(Kochana stara mama nie mogła się nigdy powstrzymać, by nie zrobić ze mnie idiotki). To ciężka, wielogodzinna operacja. Ale sama jej się

podjęłam, bo chcę pokazać tym sępom, że jeszcze się ruszam... -

Przymknęła oczy. - Wiesz, zdrzemnę się trochę. Zostaw te walizki. Możesz już sobie pójść... Poradzę sobie. Mam przecież gosposię...

Parę dni później dowiedziała się od Sharanskich, że chcą, bym ją zastąpiła w zarządzie fundacji. Wezwała mnie do Belle-vue Hill. Kiedy

przyjechałam, siedziała na werandzie, z otwartą butelką Hill of Grace na stole. W przypadku mamy jakoś wina jest wprost proporcjonalna do rangi sprawy, o jakiej chce pomóc. Wiedziałam więc, że czeka mnie trudna rozmowa.

Już w Bostonie powiedziała mi, że życzy sobie, bym zachowała w tajemnicy tożsamość mojego ojca. Pomyślałam wtedy, że jej odbiło. Co kogo obchodzi, z kim spała przed tylu laty? Ale ona poprosiła, bym wzięła pod uwagę jej sytuację. I dobrze ją przeżyła. Tak też zrobiłam.

Myślałam o tym także w chwili, gdy wypłynęła sprawa fundacji.

- Jeśli wejdiesz do zarządu, pociągnie to za sobą wiele problemów...

Światło słoneczne sączyło się przez kwitnące tibuchiny, nabierając fiołkowego odcienia. Opadające kwiaty uroczynów pachniały korzennie. Sączyłam świetne wino i milczałam.

- Powstanie bardzo kłopotliwa sytuacja. Dla mnie. Ten wypadek dość już namieszał mi w życiu - i osłabił moją pozycję w szpitalu. Wielu ludzi nigdy się nie pogodziło z faktem, że zostałam ordynatorem. Muszę teraz pracować dwa razy ciężiej, żeby stało się jasne, że nie mam zamiaru odpuścić. To nie jest dobry moment na inne sprawy... - zawiesiła głos.

- No rozumiem, ale mogę się na coś przydać fundacji. Mam pewne kwalifikacje...

- Kwalifikacje? A jakie ty możesz mieć kwalifikacje, kochanie? Mam na myśli to, że nie masz żadnego doświadczenia w zarządzaniu organizacjami typu non-profit, nie zauważyłam zresztą, żebyś była szczególnym orłem w dziedzinie inwestowania...

Poprawiłam okulary. Pociągnęłam łyk wina i pozwoliłam smakowi rozejść się po ustach. Postanowiłam, że nie dam się zagonić w ślepy róg.

- Chodzi mi o kwalifikacje w dziedzinie sztuki, mamó. Mogłabym pomóc w jakimś programie konserwatorskim.

- Wystarczy, Hanno, że zmarnowałaś tyle lat na zabawy z klejem i

paskami papieru. No, ale książki miały przynajmniej coś wspólnego z kulturą. A teraz chcesz ratować jakieś bezsensowne gryzmoły dzikusów! Spojrzałam na nią. Pewnie szczeka mi opadła.

- Nie rozumiem, jak Aaron Sharansky mógł kochać kogoś takiego jak ty... Nie musiałam długo czekać na ripostę. To była taka chwila, gdy ktoś wylewa z siebie wszystkie żale i toksyczne myśli, a potem stawia przed tobą kielich wypełniony tą trucizną i każe wypić. Jak zwykle usłyszałam, że byłam dla niej zawsze straszącym rozczarowaniem, egocentrycznym bachorem, uważającym, że powinna poświęcać więcej uwagi moim podrapanym kolanom niż chorym w stanie krytycznym. Byłam nieznośnym dziećciem, a kiedy podrosłam, stałam się rozwydrzoną, wstrętną dziećciem. Uczepiłam się desperacko Sharanskich, bo jestem tak pochłonięta pielęgnowaniem szczeniackich resentymentów, że nie potrafię sama ukształtować własnej dojrzałej świadomości. No i wreszcie znajomy wyrzut: nie skorzystałam z możliwości zdobycia poważnego zawodu i marnuję życie na głupstwa oraz włóczenie się po świecie. Ale kiedy się z kimś walczy przez całe życie, wie się, jakie są słabe punkty przeciwnika. Sięgnęłam więc po broń, o której wiedziałam, że zada skuteczny i bolesny cios.

- I na co ci był ten twój wielki profesjonalizm, ta twoja medyczna wiedza, skoro nie potrafiłaś nawet ocalić mężczyzny, którego kochałaś? Trafiłam ją. Postanowiłam pójść za ciosem:

- Tak właśnie było. I teraz ja muszę za to płacić całym życiem. Bez ojca, nawet bez jego nazwiska - a wszystko dlatego, że ty, wielka specjalistka, spieprzyłaś najważniejszą sprawę!

- Hanno, nie wiesz, o czym mówisz!

- Czyżby? Poleciałaś mu swojego wszechmogącego Anderseña, a on spieprzył operację. Sama zrobiłabyś to lepiej. Taka niby jesteś mocna, a kiedy powinnaś naprawdę zaufać swoim siłom, po prostu skrewiłaś...

- Zamknij się! Nie masz pojęcia...

- Mogłaś go uratować, prawda? Ty byś nie zawaliła sprawy krwotoku, gdyby był twoim pacjentem.

- Niczego nie zawaliłam. Wtedy też...

Byłam tak zaperzona, że potrzebowałam paru sekund, by zrozumieć, co właściwie powiedziała.

- Co takiego?

- Oczywiście. Dyżurowałam przy nim całą noc. Wiedziałam, że dostał krwotoku. I pozwoliłam, by wszystko potoczyło się naturalnym rytmem. Wiedziałam, że nie chciałby się obudzić jako ślepiec...

Zatkało mnie. Przez parę minut nie mogłam wydusić z siebie żadnego dźwięku. Potem się odezwałam, ale nie pamiętam już dokładnie swoich słów. W każdym razie na końcu oświadczyłam, że zamierzam zmienić nazwisko. Chcę się nazywać Sharansky.

Nie widujemy się od tamtej pory. Ozren co do jednego miał rację: są historie, które nie mogą się skończyć happy endem.

Zostając sama, obawiałam się poczucia opuszczenia i zagu-bienia. Bałam się, że stracę w życiu jasny kurs¹, że zacznę dry-fować. Ale nie było tak źle. Jeśli czułam jakąś pustkę, to nie większą niż zawsze. Ona nigdy mnie nie rozumiała, nie mogła pojąć, czemu takie, a nie inne rzeczy są dla mnie ważne, czemu kocham to, a nie co innego.

Wyjazd z Sydney dobrze mi zrobił. Warto czasami uwolnić się od znanego otoczenia. To odświeża i oczyszcza. Projekty Fundacji Sharansky'ego ulokowane były w miejscach, o których ledwie słyszałam, takich jak Oenepelli czy Burrap, gdzie koncerny wydobywcze zamierzały obrócić wspaniałe krajobrazy i stanowiska starożytnej kultury w gigantyczne dziury w ziemi. Fundacja zajmowała się badaniem tych terenów, a kiedy były jakieś podstawy prawne, pomagała aborygeńskim właścicielom gruntów składać pozwy sądowe przeciw kompaniom górni-czym.

Gdy znalazłam się pośród krajobrazów, które malował mój ojciec, szybko zdałam sobie sprawę, jak bardzo kocham swój kraj - i jak mało go znam.

Tyle lat spędziłam na studiowaniu sztuki różnych narodów, z których wywodzili się przyjezdni Australij-czycy, a prawie w ogóle nie znałam dziedzictwa rdzennej lud-ności kontynentu. Wkuwałam klasyczną arabszczyznę i biblijny hebrajski, a nie potrafiłam porządnie wymówić nazw choćby pięciu z pięciuset języków, którymi mówili Aborygeni.

Musiałam więc zmienić swój życiowy azymut i stałam się pionierem nowej specjalności - desperackiej konserwacji zagrożonej sztuki.

Po-święciłam się dokumentowaniu i ratowaniu aborygeńskiej sztuki naskalnej, czując na plecach oddech przemysłu wydobywczego, któremu zależało jedynie na rudach uranu czy boksycie.

To była ciężka praca fizyczna. Musiałam docierać w odległe miejsca, często na piechotę, zwykle w straszliwym upale, dźwi-gając na dodatek ciężkie plecaki ze sprzętem. Czasami najlep-szym zabiegiem konserwatorskim było wypielenie roślin, które korzeniami rozsadzały skałę. Trudno to nazwać wyrafinowaną techniką. Ale ku mojemu zdumieniu pokochałam tę pracę. Po raz pierwszy w życiu byłam ogorzala i muskularna. Kaszmiry i jedwabie zamieniłam na praktyczne bojówki w kolorze khaki. Pewnego wyjątkowo upalnego dnia poczułam, że mam

serdecznie dość swoich długich włosów - i obciąłam je. Nowe nazwisko, nowy wygląd, nowe życie. Znalazłam się bardzo daleko od wszystkiego, co mogłoby mi przypominać tę wymarłą hiszpańską owcę i rozkład porów na jej skórze przerobionej na pergamin.

W drodze do Jabiru Station zdrzemnąłam się w ciężarówce. To najlepiej świadczy, jak bardzo byłam zmęczona, bo trudno nazwać tę trasę relaksującą przejażdżką. Jechało się jak po tarce, na dodatek bardzo zakurzonej. A z zapadających ciemności wyskakiwały co chwila prosto pod maskę watahy kangurów.

Dobrze, że Jim jeździ ciężarówkami po buszu od czasu, gdy zaczął sięgać głową kierownicy. Dzięki temu jakoś dotarliśmy na miejsce. Butcher upiekł całą wielgachną barramundi i podał ją ze słodko-cierpkimi jagodami, wedle zwyczaju Mirarrów.

Ledwie wzięłam na widelec kawałek soczystej ryby, zadzwonił telefon. Odebrał Butcher:

- Tak, jest tu. Podał mi słuchawkę.

- Doktor Sharansky? Tu Keith Lowery z DFAT, Departamentu Spraw Zagranicznych i Handlu. Ciężko panią złapać...

- Owszem - zgodziłam się.

- Doktor Sharansky, mamy nadzieję, że będzie pani mogła zjawić się w Canberrze albo w Sydney. Mamy pewien problem i przyszło nam do głowy, że pani mogłaby pomóc...

- Dobrze, wracam do Sydney za jakieś dwa albo trzy tygodnie, kiedy zacznie się na dobre gudzewg, to znaczy pora deszczowa...

- Rozumiem, ale my liczyliśmy, że przyleci pani do nas już-tro...

- Panie Lowery, jestem w środku pewnego ważnego przedsięwzięcia.

Kompania górnicza depcze nam po piętach, a zbocze skalne za jakieś dwa tygodnie będzie już niedostępne. Więc nie chciałabym tracić ani chwili. A może mi pan wreszcie wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

- Przykro mi, ale to nie jest rozmowa na telefon.

- Czy chodzi o te cholerne koncerty wydobywcze? Wyszły coś przeciw nam? Wiem, że posuną się do wszystkiego.

Są jak jadowite żmije. Ale żeby wykorzystywać was do swoich brudnych zagrań...

- Nie, nie chodzi o to, chociaż niektórzy moi koledzy z Wydziału Handlu istotnie biadają nad niekorzystnym wpływem Fundacji Sharansky'ego na postępy prac wydobywczych... Ale ja jestem z Wydziału Bliskiego Wschodu i mogę tylko powiedzieć, że chodzi o pewną... wysoce specjalistyczną pracę, którą wykonała pani przed sześciu laty w Europie.

- Ma pan na myśli Sara...

- Lepiej będzie porozmawiać o tym osobiście. Facet jest z Wydziału Bliskiego Wschodu... Poczułam, że serce zabiło mi mocniej.

- Zajmuje się pan Izraelem?

- Jak już powiedziałem, lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w cztery oczy. A zatem - czy mogę załatwić dla pani na jutro rano lot z Darwin do Canberry? A może wolałaby pani Sydney?

Z sydneyjskiego biura DFAT roztacza się taki widok, że pracującym tam dyplomatom nie bardzo chce się wyjeżdżać na zagraniczne placówki. Kiedy czekałam na Keitha Lowery'ego w lobby na dziesiątym piętrze, nie mogłam oderwać wzroku od jachtów sunących po migotliwych wodach portu pod pełnymi żaglami - jakby salutowały białym, wydętym żaglom Opery.

Wystrój wewnątrz też był przyjemny. Departament Spraw Zagranicznych korzystał ze zbiorów narodowych, więc w pomieszczeniach recepcyjnych zauważyłam Neda Kelly Sidneya Nolana, a po drugiej stronie cudowny Road Crossing Rovera Thomasa.

Podziwiałam płótno Thomasa, gdy zjawił się Lowery.

- Żałuję, że nie mamy tu żadnego dzieła pani ojca. To był naprawdę wielki malarz. Ale w naszym biurze w Canberrze wisi jedno z jego płócien. Lowery był wysokim i barczystym mężczyzną. Przypominał gracza w rugby. W większości prywatnych elitarnych australijskich szkół bardzo poważnie traktuje się tę grę. I większość Australijczyków aspiruje do takich wzorców, mimo całego tego politycznie poprawnego gadania o równości.

- Dziękuję pani za przybycie. Mam świadomość, że spełnienie mojej prośby nie było łatwe.

- No cóż, z Sydney można w ciągu doby dostać się bez trudu do Londynu czy Nowego Jorku, ale z niektórych miejsc położonych na naszej dalekiej północy podróżuje się do Sydney niemal dwa razy dłużej.

- Naprawdę? Szczerze mówiąc, nigdy tam nie byłem. Typowe - pomyślałam. Pewnie zna każde muzeum we Florencji, a nie widział jeszcze Nourlangie Rock.

- Zwykle pracuję w Canberrze, więc musiałem wypożyczyć tu gabinet na nasze spotkanie... Margaret, pani ma na imię Margaret? - zwrócił się do recepcjonistki. - Będziemy w gabinecie pana Kensingtona. Zadba pani, żeby nikt nam teraz nie przeszkadzał?

Przeszliśmy przez bramkę z wykrywaczem metalu i ruszyliśmy długim korytarzem. Przy drzwiach za rogiem Lowery wystukał kod otwierający

zamek. Weszliśmy, a moje oczy natychmiast utkwily w oknie, z którego roztaczała się jeszcze wspanialsza panorama, sięgająca od ogrodu botanicznego po most.

- Pański kolega Kensington to szczęściarz... chociaż pewnie trudno mu się skupić na pracy - powiedziałam. Byłam tak zachwycona widokiem, że nie zauważyłam, iż w pokoju był ktoś jeszcze. Siedział w fotelu, ale podniósł się natychmiast.

- Szalom, Chana.

Włosy trochę mu się przeredziły, ale wciąż był opalony i muskularny, co w naszych kręgach zawodowych nie jest zjawiskiem częstym.

Cofnęłam się o krok i schowałam ręce za plecy.

- Tak mnie witasz, koleżanko? Wciąż się na mnie gniewasz? Po sześciu latach?

Zerknęłam na Lowery'ego. Ciekawe, co wiedział o tej sprawie.

- Sześć lat? - powiedziałam najchłodniej jak umiałam. - Te sześć lat jest niczym w porównaniu z pięciowiekową historią tej książki. Co z nią zrobiłeś?

- Nic. Nic z nią nie zrobiłem... - zamilkł na chwilę i podszedł do eleganckiego biurka z sosny Huon. Stało tam pudło archiwalne. Otworzył zamek.

-Zobacz sama...

Podeszłam bliżej z gniewnym spojrzeniem. Podniosłam wieko... Była w środku. Zawahałam się. Nie miałam rękawiczek, nie dysponowałam też żadnym upoważnieniem, by wziąć ją do ręki. Ale musiałam się upewnić. Najdelikatniej jak umiałam wyjęłam książkę z pudła i położyłam na biurku. Otworzyłam na ilustracji pokazującej stworzenie świata. To było to. Różnica między pewnością i pomyłką. Między znajomością fachu i dyktanctwem.

Otarłam łzy - po części ulgi, a po części żalu nad sobą, nad tymi sześcioma latami, kiedy myślałam, że się pomyliłam. Spojrzałam na Amitaja i cała miniona niepewność wyparowała. Zwątpienie w siebie przeobraziło się we wściekłość. Takiej wściekłości nie czułam jeszcze chyba nigdy w życiu.

- Jak mogłeś?!

A on, ku mojej najwyższej irytacji, uśmiechnął się tylko.

- Nic złego nie zrobiłem.

Walnęłam pięścią w biurko, aż mnie zaboląła ręka.

- Daj spokój! - wrzasnęłam. - Jesteś złodziejem, kanciarzem i cholernym kłamcą!

Lecz on dalej się uśmiechał takim wnerwiającym, wrednym uśmieszkiem.

- Przynosisz wstyd naszej profesji! - krzyknęłam.

- Doktor Sharansky... - wtrącił się Lowery. Myślę, że chciał się wykazać jako dyplomata. Podszedł do mnie i położył midłoń na ramieniu.

Strząsnęłam ją z siebie i zrobiłam krok do tyłu.

- Czemu ten człowiek tu jest? Powinien odpowiadać za zu-chwałą kradzież. Powinien siedzieć w kiciu. Niech mi pan tylko nie mówi, że nasz cholerny rząd jest zamieszany w ten... szwin-del... w ten spisek.

- Doktor Sharansky, niech pani usiądzie!

- Po co mam siadać? Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. I dlaczego hagada jest tutaj? Jak można wlec pięćsetletnią książkę na drugi koniec świata? To nie tylko nieetyczne, to się kwalifi-kuje do kryminału!

Wychodzę stąd i zaraz powiadomię Interpol. Pewnie myślicie, że ukryjecie ten szwindel za immunitetem dy-plomatycznym. Ale nic z tego!

Byłam już przy drzwiach. Ale jak je otworzyć? Nie było żad-nej klamki, żadnego uchwytu. Tylko tablica z przyciskami, a ja nie znałam kodu.

- Lepiej mnie stąd zaraz wypuście!

- Doktor Sharansky! - powiedział Lowery podniesionym gło-sem. W tej chwili nie wyglądał na dyplomatę, tylko środkowego napastnika. - Proszę zamilknąć choć na chwilę i dopuścić do gło-su doktora Jomtowa!

Amitaj już się nie uśmiechał. Rozłożył ręce w przeproszają-cym geście.

- To nie ja. Gdybyś przyszła do mnie zaraz po tym, jak za-uważyłaś fałszerstwo, moglibyśmy ich razem zatrzymać.

- Kogo zatrzymać?

Odpowiedział mi bardzo cicho, niemal szeptem:

- To był doktor Heinrich...

- Werner? - zrobiło mi się słabo. Padłam na fotel. - Werner Heinrich? - zapytałam bez sensu. - Ale kto jeszcze, bo powie-działeś „ich” ...

- Bardzo mi przykro, ale Ozren Karaman. Bez niego to byłoby niemożliwe. A więc kradzieży dokonali wspólnie mój mistrz i mój kocha-nek. Obaj wmawiali mi prosto w oczy, że nie wiem, co mówię... Poczułam się okropnie zdradzona.

- Ale czemu? I skąd książka wzięła się tutaj?

- To długa historia...

Amitaj usiał w fotelu obok i nalał mi szklankę wody z karafki stojącej na stoliku. Drugą chciał podać Lowery'emu, ale ten po-dziękował gestem.

Amitaj napił się więc sam i zaczął:

- Ta historia zaczyna się zimą 1944 roku, kiedy Werner miał czternaście lat. Musiał wówczas stanąć do poboru. Na ogół ta-kich młodych

chłopaków przydzielali do artylerii przeciwlotniczej, ale jego skierowano do Einsatzstab Rosenberg - wiesz, co to było?

Oczywiście, że wiedziałam - była to organizacja najbardziej skutecznych i metodycznych grabieżców dzieł sztuki, jakich znała historia. Owym „sztabem operacyjnym” kierował reichsleiter Alfred Rosenberg, zaufany człowiek Hitlera, który jeszcze przed wojną nazwał niemiecki ekspresjonizm sztuką syfilityczną. Jako przywódca Związku Walki o Niemiecką Kulturę zwalczał zresztą całą sztukę nowoczesną, którą uważał za zdegenerowaną. Do tej kategorii zaliczał także całą literaturę i sztukę żydowską.

- Kiedy Trzecia Rzesza finalizowała „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”, Rosenberg zajął się niszczeniem wszelkich zabytków żydowskiej sztuki, zrabowanych z synagog i kolekcji europejskich. Młodemu Heinrichowi kazano zwozić i palić zwoje Tory, a także inne dokumenty. Jedną z kolekcji, które spalił, był sarajewski pinkas - Amitaj zerknął na Lowery'ego, który zrobił niepewną minę. - To kompletne archiwum gminy żydowskiej - wyjaśnił. - Sarajewski pinkas był bardzo stary. Zawierał dokumenty nawet z 1565 roku...

- To dlatego Heinrich stał się specjalistą od hebrajskich manuskryptów - zauważyłam. Amitaj pokiwał głową.

- Właśnie. Uważał, że nie powinien już przepaść żaden stary dokument żydowski, żadna książka. W pierwszych miesiącach wojny w Bośni zwrócił się do mnie i powiedział, że to, co wyprawiają Serbowie ostrzeliwując sarajewskie biblioteki, przypomina jako żywo działania nazistów z drugiej wojny światowej. Chciał, żeby rząd izraelski zorganizował akcję ratunkową dla ocalenia sarajewskiej hagady.

Odpowiedziałem mu wtedy, że nie mamy pojęcia, gdzie ona się znajduje ani nawet czy jeszcze istnieje. Myślał, że ukrywam przed nim prawdę. A potem, już po wojnie, kiedy ONZ postanowiło zlecić konserwację hagady i wystawić ją na widok publiczny, Werner wciąż uważał, że książce grozi niebezpieczeństwo. Nie wierzył w trwały pokój na Bałkanach. Uważał, że kiedy Narody Zjednoczone i NATO przestaną się interesować tym krajem, władzę w Bośni przejmą islamscy fanatycy. Obawiał się wpływów saudyjskich. Istotnie, Saudyjczycy mają na sumieniu przerażającą liczbę zniszczonych zabytków żydowskich na Półwyspie Arabskim. Heinricha męczyła myśl, że hagada może się ponownie znaleźć w niebezpieczeństwie. Amitaj pociągnął łyk wody.

- Powinienem zwrócić wtedy baczniejszą uwagę na jego słowa - ciągnął. - Nie miałem pojęcia, że doświadczenia z przeszłości zrobią z niego

ekstremistę. Jako Izraelczyk, który sporo przeżył, powinienem się znać na psychologii radykałów. A jednak nie uchwyciłem prawdziwego sensu wywodów Heinricha.

- No ale co miał z tym wspólnego Ozren? Na pewno inaczej widział przyszłość Bośni...

- Bo ja wiem... Nie wydaje mi się. Przecież ta Bośnia nie ocaliła jego żony, nie uratowała syna. Ozren napatrzył się na straszne rzeczy. Widział, jak od kul serbskich snajperów padali ludzie wynoszący książki z płonącej biblioteki. Sam ryzykował życie dla tej hagady... Sądzę więc, że Werner znalazł w Ozrenie wdzięcznego słuchacza. Trudno mi było sobie wyobrazić, by Ozren rzeczywiście tak myślał. Przecież kochał swoje miasto. Na pewno nie stracił wiary w jego przyszłość.

Jaskrawe sydneyjskie słońce wlewało się do pokoju przez wielkie okno i padało na stronice otwartej hagady. Podeszłam do biurka i zamknęłam książkę. Ostrożnie umieściłam ją z powrotem w bezpiecznym pudle. Już miałam zamknąć wieko, ale powstrzymałam się na chwilę. Czułam wciąż na opuszkach palców to podklejone miejsce na okładce, gdzie moja łatka łączyła się ze starszą robotą Floriana Mittla.

Zwróciłam się znów do Amitaja:

- Ale to ty miałaś negatywy...

- Owszem, ale Werner przekonał mnie, że namówi niemiecki rząd do zaspensowania edycji faksymilowej jeszcze lepszej niż ta, którą my planowaliśmy. Trzeba przyznać, że ma siłę perswazji. Załatwił sześć razy więcej pieniędzy niż my... Zamierzali drukować na welinie. To miał być gest dobrej woli ze strony nowych zjednoczonych Niemiec... Co miałem powiedzieć? Wierzyłem mu. Przekazałem Heinrichowi twoją dokumentację. Wykorzystał ją do skopiowania każdego szczegółu, nawet twoich zabiegów konserwatorskich. A ponieważ był twoim nauczycielem, doskonale wiedział, jak to zrobić.

- A dlaczego byłeś tego wieczoru u Ozrena? Amitaj westchnął.

- Poszedłem do niego, bo też straciłem dziecko. Moją córeczkę. Miała trzy latka.

- Tak mi przykro, Amitaj... - Nie miałam pojęcia, że był ojcem.

Wiedziałam tylko, że się rozwiódł. - Czy to był samobójczy zamach bombowy jakiegoś szaleńca?

Pokręcił głową ze słabym uśmiechem.

- Wszyscy myślą, że ludzie w Izraelu umierają tylko od bomb albo w walce z Arabami. Ale niektórym udaje się też umrzeć w łóżku. Ona była chora na serce. Ale strata dziecka boli zawsze tak samo, niezależnie od

okoliczności. Tak myślę. Przyjechałem wtedy do Sarajewa z materiałami ofiarowanymi przez rząd Izraela na odbudowę biblioteki. No i usłyszałem o synu Ozrena. Jako ojciec domyślałem się, co czuł. Na chwilę zaległa kłopotliwa cisza. Wreszcie Amitaj odezwał się ponownie:

- Nie mam do ciebie pretensji, że mnie podejrzewałaś. Miałaś prawo myśleć o mnie jak najgorzej.

Potem opowiedział, jak odnaleziono hagadę i jak domyślił się, że to sprawka Wenera, bo jakoś falsyfikatu wystawionego w Sarajewie była wyjątkowa.

- A dlaczego podrzucił książkę akurat do Yad Yashem?

- Dobrze znał tę instytucję. Pracował w niej wielokrotnie, bywał zapraszany na wykłady. Miał dostęp do biblioteki, więc bez trudności zrealizował swój plan. Nie dbał o to, że nikt nie wiedział, iż książka tam jest, że nikt po nią nie sięgał. Chodziło mu wyłącznie o bezpieczeństwo hagady. Powiedział mi, że Yad Yashem będzie jego zdaniem najlepszym schronieniem. Bo nawet gdyby Izrael musiał stoczyć kolejną wojnę o przetrwanie, Yad Yashem będzie lepiej strzeżony niż jakikolwiek inny obiekt w kraju. No i przynajmniej co do tego się nie mylił.

- Widziałeś się z nim? Został aresztowany?

- Tak. Ale nie jest aresztowany.

- Czemu?

- Przebywa w wiedeńskim hospicjum. To już stary człowiek. Ostatnio bardzo się posunął w latach. Nie jest tak bystry jak kiedyś. Musiałem z nim długo rozmawiać, żeby wyciągnąć z niego to, co ci powtórzyłem.

- A co z Ozrenem? Jego na pewno aresztowali...

- Też nie. Właściwie to nawet awansował. Jest teraz dyrektorem Muzeum Narodowego.

- Coś takiego! Jakim cudem? Dlaczego nie został oskarżony?

Amitaj spojrzał na Lowery'ego. Ten zaczął tłumaczyć:

- Widzi pani, Izraelczycy uważają, że lepiej będzie, jeśli ta sprawa nie przedostanie się do opinii publicznej. Fakt, że książka odnalazła się w Izraelu, zapewne nie zostanie... właściwie zrozumiany. Możemy wdepnąć w ładne g... to znaczy, chciałem powieǳieć, w kłopoty... nieporozumienia...

- Wciąż nie bardzo rozumiem. A więc rząd izraelski chce po cichu zwrócić hagadę, załatwić to dyplomatycznie? Amitaj spojrzał na swoje dłonie.

- Wiesz, Chna, stare przysłowie powiada: gdzie dwóch Żydów, tam trzy opinie. W naszym rządzie są pewne kręgi, którym zależy, by ta książka

pozostała w Izraelu... - zakaszał i musiał napić się wody. - Więc kiedy pan Lowery powiedział „Izraelczycy”, nie miał na myśli aktualnego rządu izraelskiego...

Tym razem miałam pytanie do Lowery'ego:

- Po co właściwie australijski Departament Spraw Zagranicznych miesza się w ten bałagan? Jaki interes mają w tym Australijczycy?

Lowery odchrząknął.

- No cóż, tak się składa, że nasz premier jest bliskim przyjacielem prezydenta Izraela, a pan prezydent starym towarzyszem broni doktora Jonitowa. Więc zorganizowaliśmy im kontakt z panią w ramach, tak to ujmijmy, szczególnej uprzejmości - uśmiechnął się głupkowato. - Zdaje się, że nie jest pani specjalną zwolenniczką naszego obecnego premiera, ale mimo to mamy nadzieję, że w tej akurat sprawie pójdzie nam pani na rękę...

Zrobiłam wielkie oczy, a Amitaj zaczął tłumaczyć:

- No bo ja oczywiście mógłbym przesznułować książkę z powrotem do Sarajewa, ale co potem? To bardzo śliska sprawa. Zdecydowaliśmy się jednak na ten krok, mając ciebie na względzie. Bo naszym zdaniem masz największe szansę, by przekonać Ozrena, żeby umieścił ją z powrotem na miejscu...

Zdębiałam. Przez dłuższy czas nie wiedziałam, co powieć. Tym razem z wyjaśnieniami pośpieszył Lowery:

- No wie pani, to wynika z charakteru waszych stosunków w przeszłości... Tego było już za wiele.

- Jak pan śmie mówić o moich „stosunkach w przeszłości”? Skąd pan niby wie, jaki był ich charakter? Co ma rząd do „stosunków” obywateli? Amitaj podniósł dłoń.

- Nie bierz tego dosłownie. Byłaś w Sarajewie w delikatnym okresie. Wtedy roiło się tam od szpiegów - z CIA, Mosadu, DGSE...

- A nawet z ASIO - wtrącił Lowery. - Wtedy wszyscy tam kogoś szpiegowali albo byli szpiegowani. A pani była spoza układu. On pani zaufa...

Cholera! Łatwo powiedzieć. I co z tego, że spałam z nim przed sześciu laty? Zresztą jestem moim książkowym, a nie dyplomata czy agentem specjalnym. A już na pewno nie należę do komanda „Zrób-to-dla-Izraela”. Zresztą do żadnego innego komanda też nie, niezależnie od tego, pod jaką flagą działa.

Podeszłam do biurka i spojrzałam na hagadę spoczywającą w otwartym pudle. Przetrwiała już tyle ryzykownych podróży. Tym razem dotarła do

kraju, o którego istnieniu jej twórcy nie mieli najmniejszego pojęcia. A stało się to za moją przyczyną.

Przed laty, kiedy wróciłam z drugiej podróży do Sarajewa, poszłam do Australijskiej Galerii Narodowej i przesłuchałam wiele godzin wywiadów nagranych z ojcem. Tworzyła je niespieszna, lakoniczna narracja, typowa dla mieszkańców Outbacku. Nabrał takiego stylu mówienia jako młody człowiek, kiedy odkrył, co naprawdę kochał, co miało dla niego znaczenie. Ale w jego wypowiedziach były też głębsze warstwy. Jakieś ślady bostońskiego dzieciństwa. Czasami dziwny, chyba rosyjski akcent; czasem jakiś wtręt z jidysz.

To, co robię, jest mną, dlatego przyszedłem

Wiedziałam już, jak brzmiał jego głos, gdy wypowiadał tę linijkę z wiersza Hopkinsa. Słyszałam go teraz w głowie.

To, co robię, jest mną

Ja zajmuję się sztuką. Ratuje ją. To jest dzieło mojego życia. To, co robię.

Ale podejmowanie ryzyka, dużego ryzyka nie jest tym, co robię.

Zdecydowanie.

Obróciłam się i oparłam o biurko. Czułam się trochę słabo, byłam roztrzęsiona. A oni obaj gapili się na mnie.

- A co będzie, jeśli mnie złapią? Z ukradzionym przedmiotem wartym z pięćdziesiąt albo i sześćdziesiąt milionów dolarów? Co wtedy się ze mną stanie?

Amitaj zainteresował się znów swoimi dłońmi. Lowery obserwował natomiast jakichś ludzi opalających się na trawie w ogrodzie botanicznym.

- Zadałam wam pytanie: co będzie ze mną, jeśli mnie złapią i oskarżą o kradzież ważnego zabytku światowego dziedzictwa kulturowego?

Amitaj zerknął na Lowery'ego, który nie mógł jakoś oderwać wzroku od widoków za oknem.

- No więc?

Amitaj i Lowery zaczęli jednocześnie:

- Rząd australijski...

-Rząd izraelski...

Zamilkli także w tym samym momencie i zwrócili się do siebie nawzajem z gestem „proszę, pan pierwszy”. Wyglądało to komicznie. Lowery podjął kwestię:

- Widzicie to miejsce pod drzewami figowymi nad Morton Bay? - Wskazał pas zieleni na skraju portu. - To zadziwiający zbieg okoliczności, ale właśnie tam nakręcono finałową scenę drugiej części Mission: Impossible.

*

W Sarajewie zbudowano nowy port lotniczy. Bardzo szykowany i najzupełniej cywilny, z przyjemnymi kafejkami i sklepami z pamiątkami. Normalka.

Ale dla mnie to nie była normalka. Oczekując na odprawę, cieszyłam się z beta-adrenolityków, które godzinę wcześniej dał mi w Wiedniu Amitaj.

- To niweluje oznaki nerwowości. Wiesz, pocenie się rąk, płytki oddech. A dziewięćdziesiąt dziewięć procent celników zwraca uwagę na takie drobiazgi. Oczywiście nadal się będziesz denerwować, ale nikt tego nie zauważy.

Miał rację. Czułam się fatalnie. Musiałam wziąć te pigułki dwa razy. Dał mi też walizkę, w której przewiózł hagadę z Izraela do Australii.

Plastikowa walizka na kółkach z zewnątrz niczym się nie wyróżniała.

Miała jednak fałszywe dno zrobione z jakiegoś supertajnego włókna nieprzepuszczającego promieni rentgenowskich.

- Tego nie da się wykryć żadną stosowaną obecnie techniką prześwietlania - zapewnił.

- A czy ja naprawdę tego potrzebuję? - spytałam. - Bo co z tego, że maszyna na lotnisku prześwietli mi torebkę i pokaże książkę? Tylko specjalista zorientuje się, co to takiego. A jak mnie złapią ze szmuglerską walizką...

- Nie ma co ryzykować. Jedziesz do Sarajewa, a tam ludzie dobrze znają tę książkę - nie tylko Żydzi, którzy kupowali faksy-mile, choć nie mieli co do garnka włożyć. Tam każdy może rozpoznać hagadę - celnik albo pasażer stojący za tobą w kolejce do odprawy. Ta walizka to najlepsza rzecz, jaką dysponujemy. Nikt cię nie złapie.

Razem ze mną leciało paru Irańczyków, co okazało się dla mnie szczęśliwym zrzędzeniem losu. Na tych biedakach skupiła się uwaga wszystkich funkcjonariuszy w hali przylotów. Sarajevo stało się bowiem ulubionym punktem tranzytowym dla ludzi chcących się nielegalnie osiedlić w Europie, ponieważ granice Bośni były wciąż dziurawe, choć Unia Europejska mocno naciskała, by zrobić z tym porządek. Irańczyk przede mną musiał otworzyć bagaż, a jego dokumenty zostały drobiazgowo przejrzane. Z całą pewnością nie brał beta-adrenolityków, bo spocił się strasznie.

Kiedy ja znalazłam się przy stanowisku odprawy granicznej, usłyszałam tylko „Witamy w Bośni”. Do tego szeroki uśmiech. Zaraz potem siedziałam już w taksówce. Minęliśmy gigantyczny nowy meczet wzniesiony za pieniądze Emiratów, a następnie sex-shop i Irish Pub oferujący „dwadzieścia światowych marek piwa”. Holiday Inn był już odnowiony i błyszczał jak gigantyczna wieża z wściekle żółtych klocków Lego. Na miejscu drzew wyciętych na opał podczas wojny pojawiły się szpalery młodych sykomor. Kiedy wjechaliśmy w wąskie uliczki Baścarii, zobaczyłam, mimo chłodu, tłumy jasno ubranych kobiet i mężczyzn, a między nimi sprzedawców balonów i kwiaciarki. Chciałam zapytać kierowcę, co się właściwie dzieje. Wskazałam grupę dziewczynek w odświętnych aksamitnych sukienkach.

- Biram! - odparł z szerokim uśmiechem.

A więc o to chodzi! Skończył się ramadan i miasto celebrowało jedno z najważniejszych świąt w kalendarzu muzułmańskim.

Cukiernia Słodki Kącik wypełniona była do granic możliwości. Ledwie dopchałam się do lady ze swoją walizką na kółkach. Szef mnie nie poznał - zresztą nie ma się co dziwić po sześciu latach. Wskazałam schody prowadzące na poddasze.

- Ozren Karaman? - spytałam.

Kiwnął głową, potem pokazał zegarek i drzwi, z czego wywnioskowałam, że Ozren powinien wkrótce się zjawić. Zaczekałam, aż zwolni się jakieś miejsce. Wreszcie usiadłam i zaczęłam podskubywać bardzo słodkie ciastko, obserwując wejście do cukierni. Wreszcie koło jedenastej Ozren pchnął zaparowane drzwi. Gdybym nie wypatrywała znajomej twarzy, mogłabym go prze-gapić. Włosy, wciąż długie i zmierzwiłone, były zupełnie siwe. Twarz miał nadal pociągłą - zresztą wcale nie przytył - ale pojawiły się na niej głębokie zmarszczki. Kiedy rzucił płaszcz, zobaczyłam, że jest w garniturze. Był to pewnie wymóg na jego nowym dyrektorskim stanowisku. Z własnej woli by się tak nie ubrał. Garnitur był dobrze skrojony, z porządnej tkaniny, ale wyglądał tak, jakby Ozren w nim spał.

Zanim slalomem między stolikami dobiegłam do niego, był już w połowie schodów.

- Ozren...

Odwrócił się i spojrzał, mrugając oczami. Nie poznał mnie. Próżność kazała mi to tłumaczyć marnym oświetleniem i moją nową krótką fryzurą. Wolałam nie dopuszczać do siebie myśli, że też się postarzałam.

- To ja, Hanna Shar... Hanna Heath.

- Dobry Boże! - powiedział tylko.

- Mogę wejść na górę? Muszę z tobą porozmawiać...

- Ale moje mieszkanie nie... Jest już bardzo późno... Może spotkamy się jutro w muzeum? To dzień świąteczny, ale będę od rana...

Zauważyłam, że nauczył się kontrolować swój głos. Mówił tonem opanowanym, chłodnym, można powiedzieć: profesjonalnym.

- Ale ja muszę porozmawiać z tobą teraz. Chyba wiesz, o czym...

- Nie sądzę.

- Ozren, mam tu coś. Tu, w walizce - skinęłam głową w kierunku bagażu na kółkach. - Coś, co należy do muzeum.

- O Boże!

Zauważyłam, że na jego czole pojawiły się krople potu. Na pewno nie od ciepła bijącego z cukierni.

- No dobrze, proszę...

Ruszyłam za nim wąskimi schodami, mocując się z tą cholerną walizką. Próbował ją wziąć ode mnie, ale uczepliłam się rączki tak kurczowo, że pobiełały mi kostki. Paru ludzi w cukierni, w tym szef, zaczęło się nam przyglądać, węsząc jakąś awanturę. Wspinałam się na górę, ciągnąc za sobą łomoczącą po schodach walizkę. Ozren szedł teraz za mną. Kiedy szef zorientował się, że żadnej awantury nie będzie, wrócił do swoich zajęć, a goście do kawy i świątecznych pogaduszek.

Wpuścił mnie do mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Po-tem oparł się o nie ciężko. Jego srebrzyste włosy wywoływały we mnie wspomnienia, które teraz wydawały się zupełnie nie na miejscu.

Na małym kominku leżały szczapy drewna. Kiedy tu byłam ostatnio, drewno stanowiło w Sarajewie luksus, więc nie dane nam było cieszyć się ciepłem ognia. Ozren ukląkł i rozpałił w ko-minku. Potem wziął z półki butelkę rakii i nalał dwa kieliszki. Jeden podał mi, ale bez uśmiechu.

- Za spotkanie po latach - powiedział zupełnie bez entuzjazmu. Jednym haustem opróżnił kieliszek. Ja popijałam drobnymi łyżkami.

- A więc zjawiałaś się, by wsadzić mnie za kratki - powiedział.

- Nie bądź śmieszny, Ozren...

- Dlaczego, zasługuję na kryminal. Od sześciu lat oczekuję dzień po dniu, że do tego dojdzie. Właściwie dobrze, że ty to zrobisz. Zasługujesz bardziej niż ktokolwiek inny.

- Nie wiem, o co ci chodzi...

- Zrobiliśmy ci straszną rzecz. Przez nasze kłamstwa zwątpiłaś w swoje kompetencje, w swój profesjonalizm... - Nalał so-bie drugi kieliszek. - Kiedy się zorientowałaś, że w gablocie leży falsyfikat, powinniśmy od

razu skończyć tę grę. Ale ja nie byłem wtedy sobą, a Werner... bo chyba już wiesz, że to Werner?

Kiwnęłam głową.

- Werner zachowywał się jak opętany... - Twarz Ozrena straciła nagle na ostrości. - Wiesz Hanno, od czasu gdy ta książka została wywieziona za granicę, nie było dnia, żebym nie żałował tego, co wówczas zrobiłem. Już parę miesięcy później starałem się przekonać Wenera, że hagada powinna tu wrócić. Powiedziałem, że się przyznam. A on na to, że wszystkiego się wyprze. I że zdążył ją ukryć w takim miejscu, gdzie nikt jej nie odnajdzie. W tym czasie widziałem już jasno, że on jest szalony, zdolny do wszystkiego...

Zbliżył się do mnie, zabrał kieliszek i ujął moje dłonie.

- Tak za tobą tęskniłem, chciałem cię odnaleźć, powiedzieć ci wszystko... i poprosić o wybaczenie.

Poczułam skurcz w gardle. Wszystko, co do niego czułam - i do nikogo innego - znów się we mnie odezwało. Ale zaraz potem ogarnęła mnie fala gniewu, żalu za to, co mi zrobił. Cofnęłam dłonie.

Podniósł ręce, jakby chciał zademonstrować, że zrobił fałszywy krok.

- Wiesz, że przez ostatnie sześć lat nie tknęłam żadnej książki? To przez twoje kłamstwa. Wmówiliście mi, że się na niczym nie znam...

Podszedł do mansardowego okna, skąd widać było niebo i część miasta. Na zewnątrz paliły się uliczne latarnie i światła w domach. Światła żyjącego miasta. Sześć lat temu widziało się tylko ciemność.

- Dla tego, co zrobiłem, nie ma żadnego usprawiedliwienia. Ale kiedy umarł mój Alija, czułem wściekłość na swój kraj. Wpadłem w rozpacz. A Werner tu wtedy był, szeptał mi do ucha, że książka powinna zostać zwrócona Żydom jako rekompensata za wszystko, co im zrabowano. Że to własność, której będą skutecznie strzec - nie tak jak ten nieopierzony kraik położony w regionie, którego nazwa jest synonimem zabójczej nienawiści i bałaganu.

- Jak mogłeś tak myśleć? Przecież ty, sarajewski muzułmanin, uratowałeś tę książkę. A życie ryzykował dla niej jeszcze inny bibliotekarz, Serif Kamal. Czy wciąż tak myślisz?

- Nie, teraz już nie. Wiesz, że nie jestem człowiekiem religijnym. Ale spędziłem w tym pokoju wiele bezsennych nocy, myśląc, że hagada znalazła się w naszym mieście nie bez przyczyny. Miała nas wypróbować, sprawdzić, czy w Sarajewie są jeszcze ludzie, dla których to, co łączy bliźnich, jest ważniejsze od wszelkich różnic. Ta książka miała zaświadczyć, że bycie istotą ludzką jest ważniejsze od tego, czy jesteśmy

akurat żydami, muzułmanami, katolikami czy prawosławnymi.

Na dole w cukierni ktoś wybuchnął żywiołowym śmiechem. W kominku trzasnęło polano.

- No więc - powiedziałam - jak umieścimy ją na miejscu?

* * *

Później, gdy spotkałam się z Amitajem i opowiedziałam mu o naszej akcji, uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Prawie zawsze tak to się odbywa. Moje zadania w jedno-stce, wyglądały podobnie, przynajmniej w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto. Ale miłośnicy filmów i powieści szpiegowskich inaczej to sobie wyobrażają. Wolą agentów przebranych za ninja, spuszcających się po linach do kanałów wentylacyjnych. A potem wybuch plastiku - i po sprawie. Tym-czasem znacznie częściej akcja wygląda tak jak w waszym przy-padku: sukces bierze się z połączenia szczęścia, wycucia czasu i zdrowego rozsądku. A jeśli przypada akurat muzułmańskie święto - chwała Najwyższemu!

Właśnie z powodu Biramu muzeum strzegł tej nocy tylko je-den strażnik. Oczekaliśmy do czwartej rano, wiedząc, że poran-na zmiana warty następuje o piątej. Ozren powiedział po prostu wartownikowi, że po hucznej zabawie nie chce mu się spać, więc postanowił popracować trochę w swoim gabinecie. Ponieważ był to Biram, zwolnił strażnika do domu, żeby odpoczął sobie nieco przed rodzinnym świętowaniem. Na odchodnym zapewnił go, że sprawdzi wszystkie alarmy i zabezpieczenia. Ja tymczasem czekałam, cała drżąca, przed muzeum, aż zo-baczyłam odchodzącego strażnika. Wtedy Ozren wpuścił mnie do środka. Najpierw zeszliśmy do piwnicy, gdzie znajdował się panel sterujący czujnikami w galerii hagady. Jako dyrektor Ozren znał kody wyłączające czasowo system. Inaczej było z kamerą przemysłową, której nie dało się wyłączyć bez uruchamiania alarmu. Ozren powiedział jednak, że sobie z tym poradzi. Ruszy-liśmy przez sale wystawowe, mijając prehistoryczną łódź i zbio-ry starożytne, aż dotarliśmy do sali hagady.

Ozren drżącą ręką wystukał kod, myląc się o jedną cyfrę.

- Tu się można omylić tylko raz. Druga pomyłka uruchamia alarm. - Wziął głęboki oddech i jeszcze raz podał kod. Wyś-wietliła się informacja „Kod wprowadzony”. Ale drzwi ani drgnęły.

- Jest po godzinach. Potrzeba jeszcze kodu głównego bibliote-karza.

Wystukasz go? Mnie się za bardzo trzęsą ręce.

- Ale ja go nie znam!

- Już ci mówię: dwadzieścia pięć, pięć, osiemnaście, dzie-więćdziesiąt

dwa - wyrecytował bez wahania.

- A skąd wiesz? Uśmiechnął się.

- Przez dziesięć lat była moją asystentką. Jest świetną bibliotekarką, ale do liczb zupełnie nie ma głowy. Zdołała zapamiętać tylko datę urodzenia Tity. Używa jej do wszystkiego.

Weszliśmy do sali, było prawie zupełnie ciemno. Światła wpadało tylko tyle, żeby mogła pracować kamera przemysłowa.

Ozren wziął z sobą latarkę, żebyśmy nie musieli włączać lamp. Obwiązał ją czerwoną chusteczką, by stłumić światło. Wyciągnął z kieszeni elektroniczny klucz do gabloty. Zamek otworzył się bez kłopotu. Można było zdjąć szklaną osłonę. Falsyfikat Wenera otwarty był akurat na ilustracji wyobrażającej hiszpański seder - zamożną rodzinę z tajemniczą Afrykanką w żydowskim stroju. W tym właśnie miejscu znalazłam w oryginale biały włos. Ozren zamknął kopię, wyjął ją z gabloty i odłożył na podłogę.

Jakby odwracając sytuację sprzed sześciu lat, teraz to ja wręczyłam mu sarajewską hagadę. Wziął ją w obie dłonie, a potem na moment przycisnął do czoła.

- Witaj w domu - powiedział.

Ułożył ją starannie na stelażu i przekartkował, aż trafił na tę samą ilustrację.

Nieświadomie wstrzymałam oddech. Ozren miał już założyć pokrywę, ale go powstrzymałam.

- Poczekaj, daj mi jeszcze raz popatrzeć. Ostatni raz... Dopiero później zdałam sobie sprawę, czemu pomimo marne-go oświetlenia udało mi się wówczas dostrzec coś, czego nie zauważyłam wcześniej. To zasługa czerwonego światła latarki. Na sukni Afrykanki zobaczyłam jakieś znaki, zapisane kolorem o ton ciemniejszym od szafranu sukni. Litery były bardzo delikatne, zrobione widać pędzelkiem z pojedynczego włosa. Kiedy przyglądałam się obrazkowi w świetle dziennym albo w chłodnym świetle jarzeniówek, napis wyglądał jak dyskretne cieniowanie, naśladujące - zgodnie z intencją zdolnego artysty - trójwymiarowe fałdy sukni.

Ale w czerwonym świetle latarki Ozren mogłam dostrzec, że te drobniutkie linie to pismo.

- Ozren, daj mi szybko szkło powiększające.

- Czyś ty oszalała? Nie mamy czasu.

Bez słowa zdjęłam mu okulary. Przybliżyłam lewą soczewkę do ilustracji. I przeczytałam na głos:

- „Sporządziłam te obrazki dla Binamina ben Netaniela ha-Lewiego...” - Głos mi drżał. A dalej było nazwisko. - Ozren!

Tu jest nazwisko: Zana... nie, to jest „Zahra bint Ibrahim al-Tarek, znana w Sewilli jako al-Mora”. Al-Mora, czyli Mauryjka. Ozren, to musi być ta kobieta w szafranowej sukni. Ona to namalowała! Ozren założył okulary i pochylił się nad książką, a ja trzymałam mu latarkę.

- Afrykańska muzułmanka... Tajemnicza ilustratorka haga-dy sarajewskiej. I pomyśleć, że ludzie oglądali ją od pięciu wieków...

Byłam tak zaaferowana, że zapomniałam o kamerze. Przypomniał mi o niej pomruk silniczka poruszającego urządzeniem tak, by mogło omiatać całą salę. Ozren założył pokrywę gabloty i starannie zamknął.

- A co zrobimy z tym? - spytałam, wskazując kamerę.

Dał mi znać, bym poszłam za nim. Z zamkniętej szafy w swoim gabinecie wyjął jakąś kasetę. Stały tam całe szeregi, uporządkowane według dat. Miał już nalepkę z aktualną datą.

- Będziesz musiała stąd wyjść, zanim pojawią się strażnicy z porannej zmiany... - powiedział.

Potem zeszliśmy do piwnicy. Wpisał informację, że obchód o 4.30 nie wykazał żadnych nieprawidłowości. Potem zamienił kasetę w magnetowidzie. A z wyjętej kasety paroma zamaszystymi ruchami wywłókł taśmę.

- Wyrzuć ją gdzieś na śmietnik po drodze do Słodkiego Kącika. Ja tymczasem włączę czujniki i poczekam na strażnika z porannej zmiany. Spotkamy się u mnie. Musimy się zastanowić, co zrobić z falsyfikatem. I wtedy oboje zdaliśmy sobie sprawę, że podróbka Wenera wciąż leży na podłodze obok gabloty z hagdą.

Do piątej pozostało dziesięć minut. Gdyby któryś ze strażników przyszedł do pracy trochę wcześniej, byłibyśmy ugotowani. Czegoś takiego jak kolejne minuty w muzeum wołałabym już nigdy nie przeżyć. Powiedzieć, że serce waliło mi jak oszalone, to nie powiedzieć nic.

Myślałam, że dostanę zawału. Skoczyłam do gabinetu Ozrena, otworzyłam jakąś szafę, porwałam drugą kasetę, ale nie mogłam znaleźć czystej nalepki. Na szczęście zjawił się Ozren i pokazał, gdzie się je trzyma.

Popędziliśmy na łeb na szyję z powrotem do piwnicy. Po drodze poślizgnęłam się na marmurowych schodach i stłukłam kolano. Ozren pomógł mi wstać, ale z takim impetem, że mało nie wyrwał mi ramienia ze stawu.

- Teraz zwiewaj z tym - rozkazał, podając falsyfiikat. - Wiadzimy się niedługo w Słodkim Kąciku... - I wypchnął mnie za drzwi.

Byłam już o przecznicę od muzeum, gdy zobaczyłam męża w szarym uniformie straży muzealnej. Szedł w moją stronę, ziewając szeroko. Starłam się nie utykać mimo rwącego bólu w kolanie. Kiedy dotarłam wreszcie do cukierni, szef uwijał się już przy piecach. Widząc, jak kuśtykam po schodach, obrzucił mnie bardzo zdziwionym spojrzeniem.

W mieszkaniu Ozrena rozpałam w kominku i zaczęłam rozmyślać o Zabrze al-Tarek. Jak nauczyła się malarstwa? Kto ją nauczył pisać? Dla kobiety z tamtej epoki były to umiejętności niezwykle. Wiele artystek z przeszłości pozostało anonimowych. A ona znów będzie znana. Ba, sławna. Tyle mogę dla niej uczynić.

Ale jej nazwisko to nie wszystko. Było jeszcze drugie: ha-Le-wi. No i wzmianka o Sewilli. Jeśli malarka mieszkała w tym mieście i rodzina ha-Lewi też, można by się domyślać, że ilustracje są starsze od samego tekstu hagady. Załedwie kilka słów, które mogły prowadzić do wielu odkryć i dać nam wiele cennych informacji.

Ułożyłam sobie pod ścianą parę poduszek i usadowiłam się wygodnie. Na australijskiej dalekiej północy przez dwa albo i trzy miesiące trwać będzie pora deszczowa. Zaczęłam planować podróż do Hiszpanii.

Wkrótce potem usłyszałam Ozrena. Wołał mnie, przeskakując po dwa stopnie. Słyszałam, jak trzeszczały stare belki. Był podekscytowany tym samym co ja. Zrozumiał. Mógł mi pomóc. Mogliśmy razem szukać prawdy o Zabrze al-Tarek. Wspólnie przywrócić ją do życia.

Ale najpierw trzeba było uporać się z czymś innym.

* * *

Ozren stał przed kominkiem z kopią hagady w rękach.

- O czym myślisz? - spytałam.

- Chciałbym, żeby to była ostatnia książka spalona w moim mieście.

Była zimna godzina tuż przed świtem. Wpatrywałam się w płomienie, myśląc o spopielonych średniowiecznych pergaminach, o młodzieńczych twarzach nazistów oświetlonych ogniem płonących książek, o zrujnowanej sarajewskiej bibliotece.

Książki zawsze płoną pierwsze.

- „Najlepiej spal księgi...” - powiedziałam. Kaliban spiskujący przeciw Prosperowi. Nie pamiętałam reszty tej kwestii. Ale Ozren pamiętał:

„(...) Tylko nie zapomnij: Najpierw mu odbierz księgi, bo on bez nich Jest całkiem głupi, tak jak ja, i nie ma Najmniejszej władzy nad duchami”*

Przez oszronione okno w dachu widziałam blaknące gwiazdy. Niebo powoli jaśniało, przybierając odcień głębokiej ultramaryny. Ultra znaczy

„po drugiej stronie, poza czymś”, marina to „morska”. Kolor nazwano od kraju pochodzenia lapis-lazuli, kamienia jak najbardziej zamorskiego, który z dalekiego Afganistanu zawędrował na paletę Zahry al-Tarek. Tego samego kamienia użył Werner, by uzyskać głębokie błękity, które niebawem miały się przekształcić w węglową czerń.

Ozren wciąż stał przed kominkiem z książką w rękach.

- Wiesz, chyba nie potrafię... - powiedział.

Spojrzałam na podróbkę. Jako faksymile była znakomita. Można powiedzieć majstersztyk. Bo i była dziełem prawdziwego mistrza, mojego mistrza. Owocem tego wszystkiego, czego nauczył się w swoim długim życiu, czego nauczył i mnie, podkreślając, że aby dobrze konserwować stare książki, trzeba się nauczyć dawnych rzemiosł. Może powinnam ją schować do walizki na kółkach i zawieźć Amitajowi? Po jakimś czasie mógłby ogłosić, że to dar wielkiego Wenera Heinricha dla narodu izraelskiego. Dar zrodzony z miłości. Bądź co bądź falsyfikat stanowił część historii prawdziwej hagady, nawet jeśli epizod ten należało na jakiś czas ukryć. Przyjdzie dzień, że ktoś go odkryje. Podobnie jak kiedyś - za sto albo więcej lat - ktoś inny odnajdzie w autentycznej hagadzie ziarenko, które ukryłam między pierwszą i drugą składką. Ziarenko figowca znad Morton Bay na wybrzeżu Sydney Harbour. Umieściłam je w książce ostatniego dnia mojego pobytu w Sydney. To był mój znak. Wskazówka dla kogoś, kto tak jak ja będzie starał się dowiedzieć więcej.

- Przecież wiesz, że ta książka może być dla ciebie niebezpieczna - powiedziałam. - Niewykluczone, że ktoś wykorzysta ją przeciw tobie jako dowód obciążający...

- Wiem. Ale w tym mieście spłonęło już za dużo książek...

- Za wiele książek spłonęło na całym świecie. Ozren odłożył kopię hagady na półkę obok. Wyciągnął ku mnie dłoń. Tym razem jej nie odtrąciłam.

KONIEC

Posłowie

Ludzie księgi to powieść inspirowana prawdziwą historią hebrajskiego kodeksu znanego jako hagada sarajewska. Niektóre opisane w niej fakty zaczerpnięte są z prawdziwej historii tej hagady, ale większość akcji i wszystkie postacie należą do fikcji literackiej.

O hagadzie sarajewskiej usłyszałam po raz pierwszy, kiedy pracowałam jako korespondent „The Wall Street Journal” podczas wojny w Bośni. W tym czasie Biblioteka Miejska w Sarajewie zamieniła się - za sprawą

barbarzyńskiego serbskiego ostrzału - w wypaloną ruinę, pokrytą popiołem spalonych książek. W popiół obrócił się również Instytut Orientalny ze zbiorami cudownych manuskryptów. Bośniackie Muzeum Narodowe ocalało, choć jego mury pokryły się szramami po pociskach. Los hagady sarajewskiej - bezcennego klejnotu zbiorów bośniackich - pozostawał tematem dziennikarskich spekulacji.

Dopiero po wojnie okazało się, że pewien muzułmański bibliotekarz, Enver Imamović, uratował kodeks podczas ostrzału i ukrył go w podziemiach banku. Nie po raz pierwszy tę żydowską książkę ocaliły ręce muzułmanina. W 1942 roku wybitny znawca islamu Derviş Korkut sprzątnął hagadę dosłownie sprzed nosa generałowi Hansowi Fortnerowi, dowódcy stacjonującej w Bośni niemieckiej 718 dywizji piechoty (straconemu za zbrodnie wojenne w 1947 roku), i przeniósł do pewnego meczetu w górach, gdzie doczekała bezpiecznie końca II wojny światowej. Te bohaterские czyny stały się dla mnie inspiracją, niemniej jednak w powieści przypisałam je postaciom całkowicie fikcyjnym.

Hagada sarajewska zwróciła na siebie uwagę badaczy w 1894 roku, gdy pewna uboga żydowska rodzina wystawiła ją na sprzedaż. Historycy sztuki byli tym znaleziskiem mocno podekscytowani, bo jest to jedna z najstarszych iluminowanych książek żydowskich, jakie znamy. Odkrycie podważyło utartą opinię, że średniowieczni Żydzi z powodów religijnych odnosili się niechętnie do sztuki figuratywnej. Niestety, ówczesni uczeni niewiele potrafili powiedzieć o pochodzeniu manuskryptu. Wiedzieli tylko, że hagadę wykonano w Hiszpanii, zapewne w połowie XIV wieku, kiedy jeszcze na Półwyspie Pirenejskim panowała *convivencia*, czyli względnie pokojowe współżycie chrześcijan, żydów i muzułmanów. Nie wiadomo, co działo się z hagadą sarajewską po utworzeniu Inkwizycji hiszpańskiej i po wygnaniu Żydów w 1492 roku. Dlatego rozdziały Biały włos i Woda morska należą całkowicie do sfery fikcji literackiej. Na jednej z ilustracji hagady faktycznie widać ciemnoskórą kobietę w szafranowej sukni, co zainspirowało mnie do snucia własnej opowieści o tej tajemniczej postaci.

Przed rokiem 1609 hagadą znalazła się w Wenecji, gdzie parafa katolickiego księdza nazwiskiem Yistorini ocaliła ją przypuszczalnie przed stosem. O Yistorinim nie wiemy zgoła nic prócz tego, że swoim podpisem uratował ten piękny kodeks. Wiemy jednak, że wielu katolickich hebraistów było przechrzczonego żydami, więc wykorzystałam ten fakt w rozdziale Plamy po winie. Występujący tam Juda Arje wzorowany jest na postaci Leona da Modeny, autora autobiografii *Żywot Judy*, której

angielskie wydanie zawdzięczamy Markowi R. Cohenowi. O hazardzie w XVIII-wiecznej Wenecji wiemy dużo dzięki pracom Richarda Zacksa. W 1894 roku, gdy hagdą sarajewska stała się obiektem publicznego zainteresowania, Bośnia znajdowała się formalnie pod okupacją austro-węgierską. Nic zatem dziwnego, że w celu przebadania i konserwacji odesłano manuskrypt do Wiednia. Starając się oddać wiedeńską atmosferę tamtych lat - i oryginalne maniery ówczesnych telefonistek - sięgnęłam do książki *A Nervous Splendour* Frederica Mortona. Wiele cennych spostrzeżeń znalazłam też w *The Dreamers* i *The Impossible Country* Briana Halla. O ile prawdą jest, że hagdę opracowano wtedy dość niestarannie, to motyw zaginionych klamer stanowi wytwór mojej fantazji. Przed napisaniem rozdziału *Owadzie skrzydełko* odbyłam wiele długich rozmów z członkami rodziny Derviśa Korkuta. Szczególną wdzięczność winna jestem pani Servet Korkut, która trwała dzielnie przy mężu, wspierając jego bohaterskie akty oporu podczas faszystowskiej okupacji Sarajewa. Mam nadzieję, że rodzina Korkutów znajdzie w fikcyjnych Kamalach te same humanistyczne ideały, które od lat jej przyświecają. Jeśli chodzi o doświadczenia młodych żydowskich partyzantów, posłużyłam się poruszającymi relacjami Miry Papo, złożonymi w *Yad Yashem*, gdzie pracują bardzo życzliwi bibliotekarze. Bibliotekarze i bibliotekarki z Sarajewa to ludzie wyjątkowi. Przynajmniej jedna z nich, Aida Buturović, oddała życie, ratując książki z Biblioteki Miejskiej. Inni, jak Kemal Bakarsić, podejmowali ogromne ryzyko, ewakuując nocami zagrożone zbiory. Enver Imamović, jak już wspomniałam, uratował hagdę podczas intensywnego ostrzału. Dziękuję obydwu, że zgodzili się ze mną podzielić swoimi doświadczeniami. Dziękuję również takim osobom jak Sanja Baranacow, Jacob Finci, Mirsada Muskić, Denana Bututrović, Bernard Septimus, Bezalel Narkiss i B. Nezirović za pomoc i cenne uwagi. Za pomoc w zbieraniu materiałów i ich przekładzie chciałabym podziękować Andrew Crockerowi, Naidzie Alić, Halimie Korkut i Pamelii J. Matz. Za przybliżenie mi budowy i obyczajów motyla niepylaka mnemozyny dziękuję Naomi Pierce z Harvard Museum of Natural History. Pamela J. Spitzmueller i Thea Burns z Harvard College Library wprowadziły mnie w tajniki konserwacji książek. W grudniu 2001 roku Andrea Pataki pozwoliła mi dołączyć do aż nazbyt licznych widzów, obserwujących jej pracę nad autentyczną hagdą sarajewską w strzeżonym pomieszczeniu Banku Unii Europejskiej. Nie byłoby to możliwe bez wstawiennictwa Freda Eckharda i Jacques'a Kleina z ONZ.

Za zgodę na rozlanie paru kropel wina na skrawkach starych pergaminów, za wyjaśnienie zasad działania spektrografu i za to, że będąc Australijczykiem przekonał mnie, iż taka kariera, jaką wymyśliłam dla Hanny, jest możliwa, dziękuję mojemu rodakowi Narayanowi Khandekarowi ze Straus Center for Conservation. Andrea Pataki i Narayan Khandekar opowiedzieli mi mnóstwo ciekawych rzeczy o sprawach związanych z konserwacją zabytków - ale osobiście nie przypominają zupełnie Hanny Heath i Razmusa Kanahy.

Nie uzyskałabym dostępu do przebogatyh bibliotek i muzeów Harvardu, gdyby nie pomoc Radcliffe Institute for Advanced Study, a szczególnie Drew Gilpin Faust i Judy Yiniac, która kierowała jego niezwykle pomocnym zespołem. Osoby związane z Radcliffe, zwłaszcza uczestnicy wtorkowych spotkań literackich, pomogli mi przemyśleć i sformułować wiele problemów.

Skorzystałam też z opinii moich pierwszych czytelników, zwłaszcza Grahama Thorburna, ekipy Horwitzów (Joshua, Elinor, Norman i Tony), rabina Caryn Broitman z Centrum Hebrajskiego Martha's Vineyard, sofera Jaya Greenspana, Christine Farmer, Lindy Funnel, Clare Reihill, Marie Anderson i Gail Morgan.

Osobne podziękowania należą się mojej redaktorce Molly Stern i mojemu agentowi Krisowi Dahlowi. To świetni fachowcy.

Na koniec, choć właściwie przede wszystkim, muszę podziękować Tony'emu i Nathanielowi za inspirację i chwile odprężenia, bez których nic zrobić się nie da.